

Trent Christine

Lalki królowej

W pożarze giną rodzice Claudette. Jej dotychczasowe życie rozsypuje się jak domek z kart. Ale jedno pozostaje niezmiennie – nadzwyczajny talent dziewczyny do tworzenia pięknych lalek, uwielbianych przez samą królową Marię Antoninę. Odważna i zaradna Claudette wkracza w pełen intryg świat wersalskich salonów. Przyjaźń z królową wystawi na próbę nie tylko charakter dziewczyny, ale i marzenia o młodszej miłości.



PROLOG

Paryż, 1765. Pięcioletnia Claudette Laurent wypadła jak z procy ze sklepu lalkarskiego swego ojca i w mgnieniu oka znalazła się przy drzwiach domu Charlesa i Michelle Renaud.

- *Madame* Renaud! - wykrzyknęła, gdy tylko otwarto. -Czy zastałam Jeana-Philippea? Tatuś zabiera nas, byśmy zobaczyli delfinę! Czy Jean-Philippe może pójść z nami?

Najbliższy przyjaciel Claudette, ledwie o rok starszy od niej, wystawił ciemnowłosą główkę zza spódnicy matki.

- Claudette?

Dziewczynka wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

- Szybko, Jeanie-Phillippe! Zobaczymy delfinę!

- A co to takiego?

- Tata mówi, że to księżniczka, która przybywa z dalekich stron, by wyjść za mąż za królewskiego wnuka. Pewnego dnia, po śmierci króla, to oni będą rządzili.

Oczy Jeana-Philippea zrobiły się wielkie jak spodki.

- To król umiera? Claudette zmarszczyła brwi.

- Tego tatuś nie mówił. Ale chodź prędko, mama i tata czekają!

Etienne i Adelaide Laurent wraz z córeczką i jej kolegą ustawili się w tłumie innych obywateli Francji zgromadzonych wzdłuż głównej ulicy miasteczka Saint-Denis. Dzień był niezwykle upalny jak na tę porę roku, lecz owa niedogodność nie mąciła radosnego, pełnego oczekiwania nastroju. Niestety, nic nie mąciło też odoru unoszącego się w powietrzu nad morzem stłoczonych w ciepłe, niedomytych ciał.

Zapach ten, zmieszany z wonią płynącą od przemykających ulicami zwierząt, był obrzydliwy.

Wciśnięta w tak liczny tłum, dociekliwa z natury Claudette miała okazję nasłuchać się mnóstwa plotek i pogłosek. Większości nie rozumiała zbyt dobrze. Jej uszu dobiegła rozmowa dwóch kobiet na temat nowej delfiny.

- Ponoć jedna z czterech córek króla wstąpiła do tutejszego zakonu karmelitanek i to dlatego zatrzymują się tu w drodze do Wersalu.

Rozmówczyni skinęła głową.

- Bidulka, będzie jej ciężko. To ledwie dziewczuszka, a stary Ludwik z pewnością zaraz odeśle jej świtę z powrotem do Austrii. Brak jej tu będzie choć jednej przyjaznej duszy.

Pierwsza przekupka szturchnęła przyjaciółkę.

- Lepiej chłopkom niż księżniczkom, co?

- Ha, wolałabym pić importowany burbon, niż należeć do dynastii Burbon!

Kobiety wybuchnęły śmiechem na całe gardło, rozbawione własnym żartem. Claudette nie do końca rozumiała ich słowa. Pociągnęła ojca za rękaw.

- Tato, co to jest świta?

- He? A, świta to grupa ludzi otaczających delfinę, są wśród nich doradcy i sługi. Niektórzy będą z Francji, inni z jej ojczyzny.

- Ma w tej świcie przyjaciółki?

- Cóż, ci, którzy przybyli z nią z Austrii, mogą być jej bliscy, w szczególności panny dworu. Jednak przeważająca część jej towarzyszy ma jakiś własny motyw, by być przy niej, lub działa na rozkaz króla, któremu zależy, by śledzić każdy ruch delfiny.

- Tatku, co to jest motyw?

Etienne pogładził córeczkę po głowie.

- Nie kłopotz się tym teraz. Wypatruj orszaku.

Claudette i Jean-Philippe stali wśród gromady dzieci trzymających kwiaty, które miały rozrzucić przed karocą delfiny. Po kilku godzinach oczekiwania tłum dostrzegł nagle w oddali podnoszący się na gościńcu pył - nieomylny znak, że nadjeżdż-

dżają podróżni. Obłok kurzu powiększał się, a odgłos kopyt dobiegał coraz wyraźniej, w miarę jak zbliżały się powozy. Wjeżdżając do miasta, kawalkada zwolniła tempo. Orszak szykował się do postoju, by pozdrowić mieszkańców.

Claudette zacisnęła palce na przywiedłym bukicie. Wyciągała szyję, by dojrzeć zza rodziców nadjeżdżające powozy, ale tłum był zbyt gęsty. Jean-Philippe ujął jej wolną dłoń i szepnął:

- Spróbujmy podejść bliżej.

Wiódł ją za sobą, brnąc w głąb tłumy. Jakaś kobieta zamachnęła się na nich, odganiając ich z krzykiem. Chłopiec spojrzał na nią i uśmiechnął się ujmująco.

- *Madame*, jeśli mnie pani nie przepuści, delfina nie nacieszy oczu moim widokiem.

Kobieta pokręciła głową ze złością, lecz przez jej twarz przemknął cień uśmiechu, gdy robiła dzieciom miejsce. Jean-Philippe z wprawą wykorzystywał swój urok, zostawiając w tyle tęgie przekupki i ich mężów. Wreszcie Claudette wypadła przed tłum. Jej kwiatuszki przedstawiały żaloszny widok. Jean-Philippe nie puszczał jej dłoni.

- Claudette, wyjdźmy delfinie naprzeciw!

- Nie, Jeanie-Philippe, tatuś będzie wściekły, jeśli się oddalimy.

- Za mną!

Fala ludzi porwała dziewczynkę i pchnęła w stronę nadjeżdżającego pochodu. Słyszała dobiegający z oddali krzyk matki: „Claudette, nie! Natychmiast wracaj! Etienne, zadcpczą ją!”. Ojciec również wołał za nią, ale uścisk Jeana-Philippea był pewny, a ich cel ekscytujący, więc ochoczo biegła za chłopcem, coraz bliżej nadciągającej kawalkady.

Jadący na przodzie mężczyzna, odziany w wytworny biały mundur, machał na dzieci, by zeszyły z drogi, lecz one stały w bezruchu, osłupiałe z wrażenia.

- Z drogi, bachory, bo was przejadę!

Ręka powędrowała mu do główki przypiętej u boku szabli. Dzieci usłyszały za sobą przerażony okrzyk tłumy, a wiatr przyniósł dalekie wołanie rodziców dziewczynki.

Claudette i Jean-Philippe odskoczyli, widząc gest jeźdźca, lecz spowodowali, że orszak zwolnił tempo. Konie przeszły do stępa, więc mogli się dobrze przyjrzeć ludziom jadącym wierzchem oraz pasażerom powozów. Nie mogli oderwać oczu od niekończącej się procesji panów i dam strojnych w jedwabie, atłasy i pióra. Klejnoty lśniły na ich szyjach i rękach, a na wietrze trzepotały liczne wstążki i kokardy. Pośrodku pochodu jechał największy i najzdobniejszy powóz. Biała karoca w kształcie odwróconej kropli miała połączone koła i dach, a na każdym z jej boków widniało malowidło o tematyce miłosnej. Cztery iglice wystające z dachu tryskały tęczami chorągiewek łopoczących radośnie mimo powolnego tempa, jakim poruszał się orszak.

Karoca zatrzymała się przy Claudette i Jeanie-Philippie. Podążający tuż za nią jeździec zsiadł z konia, skoczył do drzwiczek i rozstawił przy nich małe schodki. Służący w śnieżnobiałej liberii otworzył drzwi i podał ramię wysiadającej pasażerce. Oczom tłumu ukazała się młoda dziewczyna, może dziesięć lat starsza od stojących przed nią dzieci. Drobnej budowy, sprawiała wrażenie istoty kruchej, a jej delikatne rysy szpeciła jedynie wystająca dolna warga. Jej strój przewyższał elegancją wszystkie, jakie dzieci dojrzały w orszaku. Błękitna suknia w odcieniu jaja drozda obszyta była koronką i różnej wielkości perłami, a spod jej rąbka wystawały małe trzewiki na obcasie, na których widniał dopasowany perłowy wzór. Na skutek długiej podróży spódnica była przykurzona, a buciki ubłocone, lecz panienka emanowała elegancją, szykiem i wytwornością. W rękach trzymała niewielkie puzderko przewiązane białą wstążką, w którą włożony był biały kwiat lilii.

Siląc się na francuski, ślicznotka zawołała:

- Podejdźcie, małe *enfants*, mam coś dla was. Claudette i Jean-Philippe zbliżyli się z ociąganiem. Odwaga

pchająca ich wcześniej do działania, wyparowała w obliczu pełnej wdzięku istoty. Dama nachyliła się ku nim i wyciągnęła w ich stronę dłoń z pudełkiem, drugą ręką rozwiązując kokardę.

- Macie ochotę na marcepan? Wszyscy uwielbiają słodcyce, ze mną na czele!

Dzieci wzięły po jednym łakociu, a gdy zaczęły je żuć, dziewczyna zaśmiała się perliście.

- Czy wiecie, kim jestem?

W milczeniu pokiwały głowami.

- Jestem nową delfiną Francji. Niedawno poznałam mego małżonka, a teraz wiozą mnie do Wersalu. Wiecie, gdzie to jest?

Dzieci bez słowa pokręciły przecząco głowami.

- Cóż, obawiam się nieco, naprzód króla, potem delfina, ale przede wszystkim nieznanego, nowego kraju, który ma mi być domem. Następnym razem, gdy ktoś będzie chciał was nastraszyć, machając szablą z wysokości rumaka, wspomnijcie mnie. Pamiętajcie, że nawet księżniczkę może czasem zdjąć lęk.

Dzieci szeroko otworzyły usta, ukazując delfinie przeżute słodczyce. Panienka zachichotała, po czym spojrzała wyczekująco na Claudette. Nie doczekawszy się reakcji, księżniczka spytała:

- Czy to dla mnie?

Dziewczynka spuściła wzrok na kwiatki żałośnie zwieszające główki z jej ręki.

- Tak, mama kazała rzucić je przed pani powóz. Nie zrobiłam tego, bo za bardzo się bałam. Wybacz, księżniczko.

Po policzku Claudette stoczyła się łza i dziewczynka z całych sił starała się nie wybuchnąć płaczem, by nie okryć się wstydem przed tą przemiłą damą, która nie złościła się nawet za przerwanie jej podróży.

- Nie masz za co przeproszać. Jeśli wręczysz mi bukiet teraz, zabiorę go ze sobą jako pamiątkę z mojego przystanku w Saint-Denis.

Claudette podała delfinie kwiaty zmięte od uścisku jej brudnej rączki, a obdarowana zachowywała się tak, jak gdyby otrzymywała skarb.

- Jak masz na imię, maleńka?

- Jestem Claudette Laurent - odparła nieśmiało zapytana. Jean-Philippe wysunął się przed nią.

- A ja nazywam się Jean-Philippe Renaud. Claudette to jeszcze dziecko. To ja dopilnowałem, żeby przyszła panią zobaczyć.

- Nie jestem dzieckiem! Mam prawie tyle lat co ty!

- Jesteś małą, niesforną dziewczynką, a ja jestem prawie mężczyzną. Tata tak mówi!

Delfina przerwała ich kłótnię.

- Cóż, Jeanie-Philippie, jesteś zaiste dzielny. Rada jestem, że mogłam cię poznać.

Księżniczka wspięła się do karocy, pomachała dzieciom i orszak ruszył w dalszą drogę przez miasteczko.

ROZDZIAŁ 1

Paryż, wrzesień 1781. Claudette spała mocno po pracowitym dniu w sklepie ojca, pogrążona w pięknych snach.

- Claudette! Claudette! Wstawaj, dziecko.

Ujrzała nad sobą oblicze ukochanego taty. Dlaczego miał tak usmoloną twarz?

- Prędszej, *ilya lefeu*. W dole ulicy rozszalał się pożar, niedługo dotrze i tu. Ubierz się i znajdź matkę na zewnątrz. Ja muszę wracać, by pomóc innym.

Zniknął tak szybko, jak się pojawił, zbiegając ze stukotem po schodach. Leżała jeszcze chwilę, błędząc między jawą a snem, lecz ocuciło ją trzaśnięcie drzwi. Tylko silne zdenerwowanie mogło zmusić ojca do pośpiechu.

Czy przyśniło jej się właśnie, że tatko, z czarnymi smugami na twarzy, powiedział, że wybuchł pożar? Z pewnością to tylko sen. Przewróciła się na drugi bok, wygodnie wtulając policzek w długie, złote loki. Nagle jednak połaskotał ją w nos swąd palonego drewna.

Powoli wciągnęła nosem powietrze i przekonała się, że to nie senna mara. Nie miała ochoty wychodzić spod ciepłej kołdry, lecz powoli usiadła i leniwie przeciągnęła się. Nigdy nie wiązała włosów na noc i teraz niesforne kędziory wpadły jej do oczu. Odgarnęła je niecierpliwym ruchem ręki. Z oddali dobiegały krzyki mężczyzn. Zrezygnowana odrzuciła koc i podeszła do okna. Odsunęła zasłonę i ujrzała szeroką łunę. Ogień był niecałą milę od nich! Na ulicy migały latarnie sąsiadów, rozważających powagę zagrożenia.

- Jak ci się zdaje, Michel? Dotrze do nas? - pytał rzeźnik. Mrużąc oczy i wpatrując się w odległy blask, przyjaciel odparł:

- Nie, myślę, że wypali się, zanim tu dojdzie. Mężczyźni oddalili się.

Jakiś kupiec rozmawiał z żoną:

- Znów to samo! Król nie dba wcale o ulice Paryża i mamy kolejny pożar. Daję głowę, że stary Ludwik palcem nie kiwnie, by pomóc biedakom, którzy tej nocy tracą domy.

Potem ruszyli spiesznie w stronę pożogi, jakby chcieli się jej lepiej przyjrzeć.

Właściciel Hôtel de Garamond był jednak ostrożniejszy i gorączkowo wyprowadzał gości z budynku. Pewien tęgi podróżny, burcząc pod nosem i żądając zwrotu kosztów, zagroził, że własnoręcznie spali zajazd, jeśli gospodarz nie pozwoli mu wrócić do środka po dobytek.

Zebrany na ulicy tłum stawał się coraz bardziej nieprzyjemny, co chwilę wybuchały spory, a sąsiedzi zakładali się, w którą stronę rozprzestrzeni się ogień. Nikt zdawał się nie dostrzegać bezpośredniego zagrożenia.

Ze swego punktu obserwacyjnego na drugim piętrze Claudette dostrzegła, że wiatr niespodziewanie zmienił kierunek. Zgromadzeni na ulicy nie dostrzegli tego jeszcze. Machając z okna, zawołała:

- *Mes amis*, wiatr się zmienia! Posłuchajcie! Pożar buchnie w tę stronę! - Jej głos zginął jednak w panującym na ulicy gwarze.

Odwracając się od okna, Claudette zdała sobie sprawę, że ojciec miał rację. Musiała jak najszybciej się ubrać i wyjść z domu. Starannie posłała łóżko i pospiesznie włożyła prostą sukienkę, skrojoną specjalnie na jej wysoką, wiotką figurę, oraz wygodne buty, stosowne na wypadek, gdyby musiała na pewien czas opuścić miasto. Niesforne loki upięła w ciasny kok i upewniła się, czy pierścionek od Jeana-Philippea wisi nadal na łańcuszku wokół szyi. Znalazła niewielką torbę i spakowała swoje skarby, listy od Jeana-Philippea, grzebień, lusterko i przedstawiającą rodziców miniaturę. Gdy podniosła głowę, poczuła, że swąd spalenizny jest wyraźniejszy. Luna biła o wiele jaśniej, a do uszu Claudette dobiegały jęki i trzaski, jak

gdyby budynki stojące na drodze płomieni próbowały z całych sił stawiać opór, lecz w końcu poddawały się okrutnemu losowi. Do sąsiadów powoli docierało, że niesłusznie lekceważyli zagrożenie.

Matka dziewczyny stała po drugiej stronie ulicy, prowadząc gorączkową rozmowę z kobietą z sąsiedztwa. Rozmówczyni wyglądała na zmieszaną i Claudette domyśliła się, że mama bełkocze mieszanką francuskiego z angielskim, jak zwykle, gdy była przejęta. Adélaïde, córka Angielki i Francuza, dorastała, ucząc się obu języków, lecz w chwilach wzburzenia nie potrafiła wystarczająco się skupić, by użyć któregoś poprawnie. Nalegała, by poza francuskim córka poznała także mowę babki, więc Claudette płynnie władała również angielskim.

- Mamo, schodzę na dół! Zaczekaj na mnie! - krzyknęła dziewczyna, przykładając dłonie do ust.

Przez panujący na ulicy zgiełk Adélaïde nie usłyszała jej słów. Claudette cofnęła się od okna, chwyciła torbę, przemierzyła hol i zbiegła ze schodów. W progu warsztatu ojca zawahała się, po czym potrząsnęła głową, oddalając myśl o zabraniu ze sobą jakichś lalek. Pożar pewnie uda się ugasić, zanim dokona większych szkód. Minęła pracownię i przeszła przez salę sklepową. Z żalem przyjrzała się *grandes Pandores* - lalkom naturalnych rozmiarów, które ostatnio wykonali z ojcem -po czym wypadła na zewnątrz, by dołączyć do matki.

Nie znalazła jej jednak. Ulica przeobraziła się w rzekę ludzi ciągnących wózki załadowane meblami, ubraniami i wszelkim sprzętem, który zdołali porwać w popłochu. Przerażeni rodzice ciągnęli za sobą bose, płaczące wniebogłosy dzieci. Wtem jakiś zaniedbany mężczyzna, idący chwiejnym krokiem z butelką alkoholu w ręce, zatoczył się i nadepnął Claudette na palce u stóp.

- Au, *monsieur*, niech pan uważa!

- Ech, będziesz ty wkrótce skwierczeć w piekle, *mademoiselle*. Ale, ale, ślicznotka z ciebie. Może się skusisz na chwilę

igraszek ze starym Pepinem, zanim nas wszystkich czart zabierze? - Objął dziewczynę pożądliwym spojrzeniem, nachylając nad nią twarz o przekrwionych oczach.

- Niech mnie pan zostawi!' - Claudette odepchnęła cuchnącego alkoholem natręta i wtopiła się w tłum. Po chwili obejrzała się, ale pijak szedł w przeciwnym kierunku.

Rzesza uciekających coraz mocniej na nią napierała, a nigdzie nie mogła dojrzeć matki. Nagle ponad zgiełk wybił się czyjś głos:

- *Mademoiselle* Claudette! - To wołał Stary Jacques, importer wina, ich sąsiad. - *Mademoiselle*, twoja mama cię szuka! - Dziewczyna przedarła się z powrotem do sklepu obok warsztatu ojca. - Skryj się w środku, bo zadepczą cię na śmierć!

Weszła do wnętrza i ujrzała, jak matka podnosi się z krzesła.

- Och, córeńko, nie wiedziałam, gdzie jesteś! - Zdawała się ogłuszona.

- Mamusiu, spałam przecież! Gdzie tata?

- Pomaga ratować dom Bertrandów.

- A co z naszym sklepem?

Matka bezradnie wzruszyła ramionami.

- Znasz ojca. Ktoś wezwał go na ratunek, więc poszedł.

- Mamo, musimy stąd uciekać. Pożar może nas zaskoczyć w każdej chwili.

- Tak, kochanie, masz rację.

- Jacques, dziękuję, że zadbał pan o mamę. Pójdzie pan z nami?

- Nie, zostanę. Nawet jeśli nie dotrą tu płomienie, mój sklep będzie pierwszym celem łotrzyków. Opadną go zaraz, gdy tylko zobaczą, że nikt go nie pilnuje.

Claudette wyprowadziła matkę na zewnątrz i natychmiast zatoneły w zgiełku i wrzawie. Dziewczyna ruszyła przed siebie, by jak najprędzej oddalić się od powiększającej się wciąż łuny. Wtem poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw.

- Córeczko, powinniśmy odnaleźć ojca.

- Nie, musimy uciekać.

- Nie odejdę, dopóki się nie dowiem, gdzie on jest.

- Mamo, błagam, trzeba się ratować. Jestem pewna, że tata nas znajdzie. Poza tym nie odszukamy go, jeśli pomaga innym gasić ogień.

Adélaide zatrzymała się i odmówiła dalszej drogi zupełnie jak tłoczące się na ulicy osiołki, które, porykując, z czystej zawziętości zapierały się przed marszem.

- Dobrze, poszukamy taty. - Ustąpiła wreszcie zrezygnowana Claudette.

Złapała matkę za rękę, by nie rozdzielili ich tłum, i zwróciła się ku pożarowi. Im bardziej zbliżały się do zajętego przez ogień obszaru, tym ciężiej im było się poruszać. Coraz więcej ludzi uchodziło przed żarem, a dym stawał się gęstszy, dusząc je i piekąc w oczy.

- Po co się pchacie w to piekło? - krzyknęła do nich kobieta, trzymająca w ramionach zawiniątko, niemowlę opatulone kilkoma brudnymi szmatami. U jej nóg płakało kilkuletnie dziecko. - Zawróćcie! Tam niechybnie zginiecie.

Claudette spojrzała na matkę.

- Powinnyśmy jej posłuchać.

- Chcę odnaleźć twego ojca. - Adélaide była nieugięta. Matka i córka brnęły więc dalej pod górę przez ścisk ludzi,

dym oraz niesione wiatrem iskry. Kawałek żaru osiadł na włosach starszej kobiety. Nie zauważyła tego, dopóki Claudette nie zgasła go palcami. Wreszcie dotarły na skraj szalejącej pożogi. Żar był nie do zniesienia. Dziewczyna martwiła się, że ucierpią nie od płomieni, lecz od wysokiej temperatury. Zatrzymała pierwszego z brzegu mężczyznę i spytała:

- Czy widział pan mego ojca, Étienne'a Laurenta?

- Nie, nie znam go.

Szły dalej, wypytujac wszystkich. Wreszcie trafiły na młodego mężczyznę, dźwigającego dwa wiadra z wodą, który był w stanie udzielić im informacji:

- *Oui*, twój ojciec jest na rue d'Henri - wskazał im kierunek. - Idźcie tędy i skręćcie w prawo. Z pewnością go tam znajdziecie.

- *Merci.*

Pospieszyły w tamtą stronę. Budynki zasłoniły blask płomieni i kobiety mogły odetchnąć od obezwładniającego, iście piekielnego żaru. Nie przystanąły jednak na odpoczynek. Przy końcu ulicy skręciły w prawo, tak jak polecił im napotkany młodzieniec. Trafiły na ustawionych rzędem mężczyzn, podających sobie wiaderka z wodą, usiłujących ugasić płomień buchające wściekle z warsztatu parkieciarza. Składowane tam drewno i bejca zwiększały ryzyko, że ogień wystrzeli z jeszcze większą siłą. Claudette wysilała wzrok, szukając ojca w grupie pracujących bez tchu, zlanych potem ludzi. W końcu dostrzegła, jak stoi w pierwszej linii, uginając się pod ciężarem wiader przechodzących przez jego ręce.

- Zaczekaj tu, mamo. Ojcie! - Pomknęła ku niemu.

- Ach, córko! Co ty tu robisz?

- Mama jest ze mną, uparła się, by cię odszukać.

- Mówiłem jej, byście opuściły miasto - westchnął z rezygnacją. - No cóż, gdzie ona jest?

- Przeprowadzę ją.

Claudette pobiegła do matki, by jej powiedzieć, że znalazła ojca. Podeszły do niego, gdy przejmował właśnie kolejne ciężkie drewniane wiadro. Twarz miał czerwona z wysiłku i gorąca. Żona skoczyła ku niemu.

- Etienne, boję się, gdy cię nie ma. Chodź z nami!

- Adelaide, prosiłem, byś zajęła się Claudette. Odnajdę was później. - Złożył na jej czole pospieszny pocałunek i wrócił do pracy przy gaszeniu ognia.

- Nie, Etienne, chcę zostać przy tobie.

- Chodź, kochana. - Dał znak pozostałym mężczyznom, by kontynuowali bez niego, podczas gdy on porozmawia z żoną. Odprowadził ją kilka metrów od miejsca gorączkowej akcji gaśniczej. Dołączyła do nich Claudette. Ojciec posadził Adelaide na odwróconej beczce..

- Musisz mi obiecać, że poczekaasz tu na mnie. Potem wszyscy pójdziemy razem, dobrze?

- Tak, Etienne.

Rozpacz wyzierała z jej oczu i zdawało się, że nie jest w stanie pozwolić mężowi odejść ani na krok. Claudette podeszła do rodziców.

- Tatku, zostanę tu z mamą. Mamusiu, puść rękę taty i przytul się do mnie.

Adelaide potraktowała polecenie córki dosłownie i kurczowo przywarła do jej ramienia.

- Tak bardzo się boję.

- Wszystko będzie dobrze, mamo.

Ojciec z wyrazem głębokiej troski na twarzy wrócił do pracy, a one obserwowały go z bezpiecznej odległości.

Ściana ognia zbliżała się do długiego szeregu samozwańczych strażaków, trawiąc wszystko na swej drodze i grożąc otoczeniem mężczyznom. Claudette poczuła nagły, niewyjaśniony lęk.

- Myślę, że może...

Wtem ojciec upuścił wiadro i przykleknął. Jego pierś wznosiła się i opadała szybko. Przymknął oczy i zachwiał się, po czym padł skulony na ziemię. Nieruchome, szklane spojrzenie pozostało wbite w żonę i córkę. Mężczyzna po jego lewej ręce nie przerywał walki z żywiołem, podając wiadra nad leżącym. Nie było czasu, by pochylić się nad pomocnikiem.

Z gardła Adelaide wyrwał się zduszony krzyk:

- Nie, nie, nie, nie, nie! - Wreszcie słowa zamarły jej w krtani i zlały się w długi, niski jęk. Wstała z beczki i ledwie trzymając się na nogach, podeszła do leżącego na ziemi męża.

- Och, Etienne, mój miły, nie... - Padła na kolana i przylgnęła do jego piersi. - Nie, to nie może być prawda! - Zaniosła się spazmatycznym płaczem. Wstrząsały nią drgawki podobne tym, jakie przed paroma chwilami targały ciałem jej męża.

W oczach Claudette malowała się groza. Zakryła usta dłonią, by powstrzymać krzyk i w niemym przerażeniu patrzyła na cierpienie matki. Mimo rozpaczki dziewczyna wyczuła nagle, że coś jeszcze jest nie w porządku. Nowy odgłos wzbił się ponad okrzyki mężczyznom, trzask ognia, kobiety wrzeszczące w poszukiwaniu dzieci. Claudette kątem oka dostrzegła źródło

dźwięku. Obląkany ze strachu koń cwałował przez owładniętą chaosem ulicę, ciągnąc za sobą pusty wóz. Strażacy rozpierzchli się. Niektórzy próbowali chwycić lejce łopoczące za łbem zwierzęcia, lecz na próżno. Jeden z mężczyzn usiłował złapać ściankę wozu, ale pośliznął się na mokrym bruku. Zapanowało zamieszanie nie do opanowania. Nikt nie miał czasu zająć się pędzącym koniem. W jednej chwili całe rozżarzone piekło wraz ze swym hałasem, gorącem i smrodem odsunęło się na dalszy plan, gdy przed oczami Claudette rozegrał się dramat. Zwierzę runęło wprost na jej rodziców, po czym wykonało nad nimi skok, wtaczając na nich rozpędzony wóz. Dziewczyna osunęła się na ziemię powalona szokiem i dymem.

ROZDZIAŁ 2

Z trudem chwyciła powietrze. Miała wrażenie, że się topi. Lecz nie, to woda spływała jej po twarzy. Padał deszcz. Niewygoda i ból owładnęły jej ciało.

- *Mademoiselle* Claudette? - Zamajaczyła nad nią czyjaś twarz. „Czy to tata?” - Jesteś przytomna? - To nie był głos ojca. - *Mademoiselle*, pozwól, że pomogę ci usiąść.

Męskie ramiona posadziły jej oporne ciało. Powoli uniosła powieki. Znajdowała się chyba w jakimś parku. Skąd się tu wzięła?

Skupiła spojrzenie na twarzy mężczyzny. Był to Stary Jacques. Jego dobrotliwe, nieogolone, pomarszczone oblicze wyrażało głęboki niepokój. Wtem wszystko jej się przypomniało. Stary Jacques doprowadził ją do matki, poszły razem szukać taty, a potem koń, który poniósł...

- Dasz radę iść?

- Chyba tak - wykrztusiła. - Muszę wstać i pochodzić, oczyścić umysł.

Pomógł jej wstać, podał torbę z dobytkiem, po czym poprowadził przez alejki parku. Świt witał setki bezdomnych paryżan, jednych skrytych w naprędce skleconych namiotach z ubrań i pościeli, innych siedzących bez żadnej osłony. Panowała upiorna cisza, jak gdyby mieszkańcom miasta odjęła mowę świadomość, że cały ich świat w jednej chwili legł w gruzach.

- Jacques, jak się tu znalazłam?

- Martwiłem się, gdy opuściliście z matką mój sklep, bo widziałem, że kierujecie się w stronę ognia. Etienne przenigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwolił jego żonie i córce błąkać się w tym zgiełku, więc postanowiłem podążyć za wami, by

upewnić się, że nic wam nie zagraża. Nie mogłem was dogonić, dopóki nie skręciłyście za róg i nie zatrzymałyście się przy twym ojcu niosącym pomoc Bertrandom. Już miałem zawracać, gdy ujrzałem, jak Etienne pada na ziemię, a Adélaïde biegnie do niego... - urwał raptem. - Cóż, spostrzegłem też, jak pod tobą ugięły się nogi i obawiałem się, że i ty możesz znaleźć się pod kopytami... Podniosłem cię więc i przyniosłem tu, do parku. Godziny całe byłaś nieprzytomna. - Spojrzał na nią z litością. - Claudette, nie masz do czego wracać, maleńka. Pożar strawił i naszą ulicę.

- Może ktoś znalazł rodziców i zabrał ich do szpitala?

- *Chérie*, nie - Jacques pokręcił głową. - Nie było dla nich ratunku.

Claudette zamrugła szybko. Czuła pod powiekami piekące łzy i nie potrafiła ich zatrzymać. Rzuciła się przyjacielowi rodziny na szyję, łkając w jego ramionach. Niezdarnie pogładził ją po włosach, podczas gdy ona szlochała żałośnie.

Wreszcie podniosła głowę i oznajmiła:

- Muszę zapewnić im przyzwoity pochówek. Jacques znów przecząco potrząsnął głową.

- Nie, Claudette, nie wracaj tam. Nie znajdziesz tam nic prócz rozpacz i zgłiszcz. Warsztatu ojca również już nie ujrzysz. Donieśli mi, że nasza ulica została niemal doszczętnie zniszczona. Zapewne i z mojego sklepu nie został kamień na kamieniu, lecz wbrew moim przypuszczeniom to ogień, nie ludzie, unicestwił wszystko. Mam kuzyna w Wersalu, pojedę do niego. Może wyruszysz ze mną?

- Nie, chcę wrócić do domu.

- Tam niczego nie ma! Jesteśmy bezdomni.

- Muszę przekonać się na własne oczy.

- *Mademoiselle*, i co dalej poczniesz?

- Nie potrafię teraz o tym myśleć. Choć nie, wiem, co uczynię! Odnajdę Jeana-Philippea i jego rodzinę. Przyjmą mnie do siebie.

- Jean-Philippe? Rodzina Renaud? Dlaczegoż mieliby się tobą zająć?

- Bo ja... bo Jean-Philippe jest moim... ach, bo nasi rodzice się znali.

Claudette widziała połączenie sceptycyzmu i litości malujące się na obliczu Jacques'a. Najwyraźniej sądził, że z żalu dostała pomieszania zmysłów. Podała mu dłoń, którą on ujął i pocałował.

- Żegnaj, Jacques. Dziękuję, że uratował mi pan życie. Nigdy pana nie zapomnę.

- Do zobaczenia, mała Claudette. Pamiętaj, że masz na tym świecie przyjaciela. Mój kuzyn nazywa się Bertrand Jon-ceaux i mieszka zaledwie dwie przecznice od pałacu.

Podniosła wzrok, by zlokalizować w oddali iglicę Notre Dame. Skorzystała z niej jak z kompasu, aby trafić tam, gdzie niegdyś mieszkała, choć nie wiedziała, ile ocalało z jej domu.

Im dalej szła, tym mniej ludzi napotykała na swej drodze. Od czasu do czasu przemknął koło niej pies czy kot, ale jakież paryżanin błąkałby się w deszczu po zgliszczach?

Na rogu ulicy ujrzała porzucone wiadro napelniające się deszczówką. Uklękła i przejrzała się w wodzie. Omal nie krzyknęła na widok niewyraźnego odbicia. Niebieskie jak kobalt oczy, zwykle błyszczące i dociekliwe, gasły na tle wyraźnych, ciemnych cieni rysujących się pod nimi. Jej szczupła twarz była blada, a złote loki, pozbawione opaski, spływały w nieładzie po plecach. Nabrała wody, by spłukać brud z twarzy, szyi oraz ramion i względnie czystym palcem przemyła przednie zęby. Zabiegi te nieznacznie poprawiły jej wygląd, choć sukienka nadal nosiła ślady sadzy, a teraz i mokrej trawy. Prostując się, poczuła w plecach i nogach nieznaną dotąd ból, którego nawet młodość nie miała zbyt prędko uleczyć. Czowała się o wiele starsza, niż wskazywałyby na to jej lata.

Warsztat z szyldem „Sklep z modnymi lalkami E. Laurenta” przez szesnaście lat nazywała domem, a większość tego czasu spędziła na pomaganiu ojcu. Najpierw zamiatała trociny

i zeszkrobywała z podłogi wosk, później wspólnie z lalkarzem rzeźbiła figury z drewna i obsługiwała klientów.

Lustrując ulicę, stwierdziła, że ogień łagodniej obszedł się z ich domem niż z budynkiem mieszczącym sklep Starego Jacques'a. Zapewne kamienna podmurówka częściowo powstrzymała płomień. Claudette przeszła przez pozostałość framugi.

Piętro przestało istnieć - większość doszczętnie się spaliła, pozostała część zawałiła się na parter. Eleganckie lalki największe poza żoną i córką źródło dumy ojca, przemieniły się w kupki popiołu. Miniaturowe domki uległy całkowitemu zniszczeniu wraz z całym umeblowaniem. Kilka ocalałych *grandes Pandores*, manekinów będących jej ulubioną ozdobą sklepu, ogień zmienił w ponure karykatury. Metalowe szkielety, nadtopione i gotowe rozsypać się pod dotknięciem ręki, stały nadal tam, gdzie Claudette widziała je poprzedniej nocy. Jednak po ich perukach, strojach i wypełnieniu nie było śladu. Dziewczynie zdawało się, że patrzy na kolekcję pustych klatek dla ptaków, opuszczonych przez mieszkańców z powodu jakiejś irytującej niedogodności. Delikatnie przestąpiła rozrzucone wokół szczątki lalek i weszła do warsztatu. Tu nie wszystko poddało się płomieniom. Może coś dałoby się ocalić? Przeszukała stosy resztek wypełnienia do lalek, nadpalonych części ich korpusów i narzędzi, usiłując znaleźć coś, co mogłaby wziąć ze sobą na pamiątkę po uwielbianym ojcu i życiu, które tak kochała. Przez godzinę poszukiwań w strugach deszczu, który wkrótce ustąpił lekkiej mżawce, udało jej się zdobyć narzędzia rzeźbiarskie skrawki tkanin, kilka farb i starą, drewnianą skrzynkę ojca. Schowała do niej swe znaleziska. Dzierżąc ową skrzynkę oraz swoją torbę, opuściła ukochane miejsce.

Wyszędłszy na ulicę, raz jeszcze obejrzała się na sklep. Niepełna dwanaście godzin wcześniej spała smacznie, otulona miłością rodziców, dla których była oczkiem w głowie, i uczuciem Jeana-Philippea, którego kochała, odkąd sięgała pamięcią. Teraz została sama, bez grosza, a w jej żołądku

powoli zaczynał odzywać się głód. Cóż było zrobić? Jediną nadzieję pokładała w Jeanie-Philippe. Z pewnością i on jej teraz szukał. A jeśli coś mu się stało i nie przeżył pożaru? Skąd miała zaczerpnąć informacji o losie jego rodziny? Nawet jako dwunastolatce, trudno jej było przypomnieć sobie okres, kiedy ona i Jean-Philippe nie byłiby najlepszymi przyjaciółmi. Sto razy przedkładała towarzystwo chłopca nad zabawy z koleżankami.

Jean-Philippe niezbyt szczęśliwie terminował u ślusarza nazwiskiem Gamain. Chłopak nie znosił spędzania całych dni w czterech ścianach warsztatu, wyklepywania żelaza młotem i rozgrzewania go w piecach wytwarzających straszliwy żar. Twierdził również, że misterna praca składania mechanizmu zamków działa na niego otepiająco. Zdarzało się jednak, że mistrz zaglądał do kieliszka, co rozwiązywało mu język. Pozwalał wówczas Jeanowi-Philippeowi siadać i słuchać, podczas gdy sam wygłaszał opinie na temat wojny siedmioletniej, rosnących cen chleba, rozrzutności rodziny królewskiej i ogólnej podłości arystokracji, nie zważając na to, dzięki komu ma co do garnka włożyć. Młodzieniec niewiele rozumiał z tego, co słyszał, ale Gamain wydawał się bardzo światowy. Jean-Philippe w nabożnym skupieniu chłonał to, co stary miał do powiedzenia, szczególnie jeśli dawało to okazję do oderwania się od obowiązków.

Gdy Claudette odwiedzała dom rodziny Renaud, zawsze wychodzili z Jeanem-Philippeem na długie spacery po pobliskich ulicach i parkach. Wyjątkiem były krótkie dni, gdy dokuczał mróz. Wówczas zostawali u niego, przycupnięci przed paleniskiem aż do zmierzchu, kiedy Claudette musiała pędzić do domu, do rodziców. Bywało, że w czasie najbardziej siarczystych mrozów, pośrodku zimy, całymi tygodniami nie wyściubiali nosa z domu, więc widzieli się dopiero wiosną. Nie mogli się wtedy nadziwić, ile to drugie urosło i jak spoważniało w tak krótkim czasie.

Jean-Philippe nierzadko dzielił się z Claudette opowieściami i teoriami Gamaina, ale nie rozumiał ich na tyle dobrze,

by przedstawić je w klarowny sposób. Przyjaciółka nie była w stanie pojąć swoistej filozofii majstra ani interpretacji Jeana-Philippea, ale słuchała uprzejmie. W zamian on starał się przywołać na twarz wyraz zainteresowania, ilekroć ona opisywała szczegóły najnowszej techniki pracy dłutkiem, którą właśnie opanowała. Po pierwszej fali trajkotania oddawali się wymianie drobnych plotek, po czym pograżali się w zgodnym milczeniu, spacerując ramię w ramię. Jean-Philippe zatrzymywał się często, by bezceremonialnie zerwać kwiaty z czyjejs bujnie wypełnionej skrzynki na oknie, a Claudette plotła wianki i zdobiła nimi swoje loki. Zdarzało im się wracać do domu, trzymając się za ręce, wymachując nimi i śpiewając śmieszne piosenki, które sami ułożyli.

Pewnego razu przekradali się przez ogród pobliskiego zakonu w poszukiwaniu najdorodniejszego pomidora. Jean-Philippe, w poplamionej sokiem koszuli, zawołał zza krzaka, przy którym kucał:

- Spójrz! Mam największego pomidora w całej Francji! Nie doczekawszy się reakcji ze strony dziewczyny, wyjrzał

i spostrzegł, że Claudette stoi przy zachodniej ścianie budynku i ze zmartwieniem się czemuś przygląda. Zapominając natychmiast o swym niezwykłym odkryciu, pospieszył ku niej.

- Co tam masz?

- Cii - przykazała. Dłonie złożyła w łódeczkę, ale rozchyliła je lekko, by ujawnić nastroszoną kulkę białych piórek opatrzoną dwojgiem mrugających, czarnych oczu.

- To mała ptaszyna, spadła chyba z gzymsu na piętrze. Sądziysz, że powinniśmy poprosić którąś z zakonnicek, by pomodliła się za nią?

- To gołąb. Tata mówi, że przynoszą szczęście. Moglibyśmy sami się nią opiekować, wtedy na pewno będzie się nam powodzić!

Claudette, zawsze chętna do wspólnej przygody z Jeanem-Philippeem, zgodziła się i tego wieczoru zbudowali gniazdo dla pisklaka. Zrobili je z gałązek, liści i skrawków tkanin, które ułożyli luźno w niepotrzebnym Etiennebwi pudełku na

lalkę. Z radością przekopywali ziemię, łowiąc dżdżownice, pędraki i inne pełzające stworzenia, eksperymentując, dopóki nie odkryli, co ptaszek zgadza się jeść, a czego odmawia. W tym czasie Claudette zupełnie zapomniała o swej sztuce wykonywania lalek. Długo nie mogli zdecydować, czy ptak jest dziewczynką i powinien nosić imię po Claudette, czy jest płci męskiej i winien przejąć imię od Jeana-Philippea, lecz wreszcie po wielu kłótniach zgodzili się na Jean-Claudette. Dwa tygodnie później obserwowali, jak ich podopieczny opuszcza ukryte w zakonnym ogrodzie, nieodkryte przez właścicielki pudełko i wzbija się pod niebo.

By upewnić się, że szczęście ich nie opuści, przez kolejne tygodnie próbowali znaleźć jeszcze jednego gołąbka w potrzebie, ale Jean-Claudette okazał się jedynym rannym ptakiem w okolicy. Jean-Philippe zasugerował, że mogliby uwięzić jakiegoś gołębia i udawać, że wymaga on pomocy, ale dziewczynka się nie zgodziła. Wkrótce ich uwagę zajęły inne atrakcje, typowe dla ulic wielkiego miasta.

Spacery i wyprawy zawiodły ich do pięknego Ogrodu Luksemburskiego, ukrytego w cieniu stuletniego pałacu. Siadywali przy fontannie de Médicis, ciesząc się mgiełką opadającą z licznych strumieni i mocząc nogi w wodzie. Przysłuchiwali się rozmowom przechodniów, w większości narzekaniom i krytyce dzisiejszych czasów, przesyconym lękiem o codzienne życie.

- Jak mamy przetrwać kolejną zimę z tak znikomymi zapasami? - dobiegało ich uszu.

Inni, jak to zwykle w społeczeństwach poddanych władzy monarszej, gorzko komentowali poczynania rodziny królewskiej. Słuchali, jak rozprawiał mężczyzna regularnie pojawiający się w parku, by sprzedawać gazety. Miał brata osadzonego w więzieniu za niespłacony dług.

- Królowa przekonuje tłustego Ludwika, by darował dwanaście tysięcy franków odsiadującym kary dłużnikom, ale, och, nie byle jakim! - psioczył sam do siebie. - Pragnie ocalić tylko tych, którzy nie opłacili mamek. A czemu to? Bo niedługo sama

się zaokrągli od dziecka i wydaje się jej, że jeśli da następcę tronu, to Francja wybaczy jej rozrzutność. *Mon Dieu*, po cóż kobiecie brylantowa bransoleta warta czterysta tysięcy liwrów? Za te pieniądze na każdy stół Francji mógłby trafić bochen chleba.

Dzieci spoglądały po sobie i wruszały ramionami. Pamiętały królową jako piękną panienkę, która poczęstowała ich słodyczami przy drodze. I czyż nie było ekscytujące, że miała dać krajowi długo wyczekiwanego potomka?

Teraz jednak Claudette nie miała nawet okruszka, cóż dopiero takiego luksusu jak łakocie.

Błąkała się po ulicach pomiędzy swoim domem a mieszkaniem Jeana-Philippea, wyglądając znajomej twarzy kogoś, kto mógłby jej udzielić pomocy. Dzielnica była jednak wyludniona poza kilkorgiem właścicieli sklepów, którzy odważyli się wrócić, by ocenić skalę zniszczeń dokonanych na ich dobytku.

Claudette podeszła do mężczyzny, którego знаła jedynie jako Feliksa, piekarza.

- *Pardon*, jestem córką Etiennea Laurenta. Czy wie pan może, co stało się z rodziną Renaud?

- Co takiego? Z kim? Co mnie obchodzą inni? Widzisz, jak wygląda mój sklep? Mój cenny piec, worki zboża! Jestem stracony! - Rwał włosy z głowy.

- Proszę wybaczyć, *monsieur*, ale moi rodzice zginęli w pożarze i szukam przyjaciół, którzy mogliby mnie wesprzeć.

- Mój ojciec, a przedtem jego ojciec prowadzili ten interes. A teraz po wszystkim! Nie ma nic! - W jego oku dostrzegła dziki błysk. - Kto pomoże mi odbudować piekarnię? Ty? Tego chcesz? Przejąć mój sklep? Zejdź mi z oczu, wstrętne *morue*.

Claudette stanęła jak wryta. Czy ten mężczyzna naprawdę wypowiedział to słowo? Pochodziła z szanowanej rodziny i z całą pewnością nie była prostytutką z ulicy. Ruszyła dalej.

Godzinami błądziła, zanim wróciła do parku, gdzie rozłożyło się już wielu bezdomnych. Może tu ktoś widział Jeana--Philippea i jego rodziców. Zeszła z niewielkich schodków prowadzących do parku i zdumiała się, jak wielu ludzi przybyło, odkąd rano opuściła to miejsce. Zdawać by się mogło, że cały Paryż postanowił zmieścić się w jednej przecznicy. Zatrzymała pierwszego napotkanego przechodnia:

- *Pardon*, nie wie pan, gdzie szukać rodziny Renaud? Nikt nie potrafił lub nie chciał jej pomóc. W końcu ktoś

doradził, by udała się na komisariat znajdujący się trzy przecznice dalej. Gdy tam dotarła, zwróciła się do funkcjonariusza siedzącego za biurkiem przy drzwiach:

- Bardzo pana proszę, szukam znajomych, czy mógłby mi pan pomóc?

Policjant, jegomość wysoki i tyczkowaty, zareagował znużonym tonem:

- Nazwisko?

Claudette z ulgą wyrzuciła z siebie:

- Renaud. Charles i Michelle Renaud. I ich syn, Jean-Philippe.

- Związek z panienką?

Claudette przełknęła ślinę i wypowiedziała słowa, które nigdy wcześniej nie padły z jej ust w gronie szerszym niż sam zainteresowany:

- Jean-Philippe to mój narzeczony.

Funkcjonariusz ziewnął, niewzruszony sytuacją brudnej, potarganej dziewczyny. Wziął z biurka zakurzoną stertę dokumentów i zaczął je niespiesznie przeglądać. Im dłużej czekała, tym głębsze ogarniało ją poczucie grozy. Cisza panująca w pokoju potęgowała tylko dudnienie w jej uszach. Wreszcie podniósł na nią wzrok.

- Przykro mi, *mademoiselle*, nie mamy zgłoszenia dotyczącego takiej rodziny. Niech panienka spróbuje w porcie.

Wiele osób opuściło Paryż tą drogą. - Na odchodnym rzucił:
-Jeśli się pojawi, powiemy, że panienka tu była.

Nie pozwalając sobie na wybuch płaczu, Claudette odwróciła się i dziarsko wyszła z komisariatu. Rzęsista, nocna ulewa, która ugasiła pożar, stała się ledwie wspomnieniem, gdyż wstawał właśnie nienaturalnie jak na tę porę roku ciepły dzień. Odgarniając z oczu złoty kosmyk, dziewczyna ruszyła do portu.

Przystań na Sekwanie tętniła życiem królewskich poddanych. Jak w takim tłumie miałyby wypatrzeć Jeana-Philippea? Podeszła do mężczyzny w kapitańskim mundurze i raz jeszcze próbowała zasięgnąć informacji o rodzinie Renaud. Strój był niedopasowany do szczupłej sylwetki marynarza, ale w pociągłej twarzy świeciły jasno wielkie, brązowe oczy.

- Nie było tu takich. A czy ty jesteś sama, bez rodziny, *mademoiselle*⁷. - Mówił łamaną francuszczyzną, najwyraźniej był Anglikiem. Pochyliła głowę, by nie było widać, jak przygryza wargę:

- Tak, *monsieur*, jestem sama. Delikatnie złapał ją pod brodę i rzekł:

- No już, już, nie mogę znieść widoku zmartwienia na tak ślicznej buzi. Nazywam się Simon Briggs i mogę ci pomóc. Widzisz tamtą grupę młodych dam, takich jak ty? - Wskazał na różne wiekiem i pochodzeniem kobiety zbite w gromadkę. -Odpowiedziały na moje ogłoszenie dotyczące służby w Anglii. Eleganckie panie na Wyspach potrzebują pracowitych dziewcząt na guwernantki, służące i takie tam. Pomyśl tylko, mogłabyś zostać nianią u jakiejś szacownej rodziny.

- Ale ja jestem córką lalkarza! Nie znam się na takich sprawach.

- Przyuczysz się. Będzie mnóstwo praktyki, jak już dotrzemy do Londynu. Dołącz do szczęśliwych wybranek losu! Wyruszamy za godzinę, a potem zjemy obfity posiłek. Jesteś głodna, prawda?

Wprost konała z głodu, ale wsiadanie na statek, który zmierzał w tak odległe strony, aby coś zjeść, wydawało jej się absurdem. Briggs dostrzegł jej wahanie.

- *Mademoiselle*, czy jesteś przypadkiem ofiarą nocnego pożaru?
Hm, tak przypuszczałem. Wiele z kobiet, które znajdzie się dziś na pokładzie, jest w twojej sytuacji. Z pewnością spotkasz wśród nich przyjaciółkę.

Może to rzeczywiście idealne rozwiązanie? Straciła dom i rodzinę, a szanse na odnalezienie Jeana-Philippea były znikome. Zarówno jej żołądek, jak i sakiewka były boleśnie puste.

Claudette podjęła decyzję. Jak lunatyczka podeszła do pozostałych pasażerek, wciąż nie mogąc zrozumieć, jak jej ciepłe, bezpieczne życie mogło zniknąć tak nagle i bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ 3

Wersal. Małżeństwo zawarte pomiędzy piętnastoletnim delfinem Ludwikiem a czternastoletnią Marią Antoniną było zgodne, a nawet bliskie szczęśliwego. On, dość flegmatyczny i nieprzesadnie bystry, zdawał się nie mieć wystarczającej odwagi, by wieść życie intymne ze swoją świeżo poślubioną, młodą żoną. Z początku dwór rozbrzmiewał ploteczkami na ten temat, lecz z czasem rozbawienie ustąpiło miejsca trosce, gdyż lata mijały, a na świat wciąż nie przychodził następca tronu. Czy coś było nie tak z tą Austriaczką, że nie umiała poradzić sobie z mężem w alkowie? Lud Francji wkrótce zwęszył kłopoty i wyrażał swe obawy na ulicach i w prasie. Między cesarzową Marią Teresą a Marią Antoniną bezustannie krążyły listy. Matka słała w nich jasno sprecyzowane i krępujące instrukcje, jak uwieść własnego małżonka, córka zapewniała zaś, że czyni wszystko, co w jej mocy.

Delfina czerpała radość z życia, nawet jeśli nie cieszyła się pełnymi względami męża. Brała udział w ucztach i balach, rozwijając swój naturalny dar znakomitego gustu w kwestiach mody. Kazała sobie szyc tuziny wyszywanych klejnotami sukien, dobierając do nich bieliznę, trzewiki, wachlarze i kapelusze. Wkrótce posiadała komnaty pełne skrzyń ledwie mogących pomieścić brokatowe tkaniny o każdym możliwym odcieniu błękitu, bladozłote i purpurowe jedwabie, belgijskie koronki oraz takie zwoje atłasu, że dałoby się nim odziać wszystkie kobiety w mieście. Dziesiątki półek zastawione były misternie zdobionymi butami, które i tak miały nigdy nie wyjrzeć spod rąbka spódnicy. Cały dwór skąpany był w przepychu, a delfina nie знаła umiaru, topiąc w morzu luksusu własne cierpienie.

Pewnej lodowatej styczniowej nocy Maria Antonina udała się na bal w operze. Nie było u jej boku Ludwika, gdyż nad spotkania z ludźmi przedkładał on towarzystwo urządzeń mechanicznych i zamków, nad którymi z zamiłowaniem pracował. Szampan lał się strumieniami, a świeżo upieczona księżniczka śmiała się radośnie, zadowolona z żywiołowej natury -swojej i swych dam dworu. Pomagało jej to odsunąć myśli o chłodzie panującym zarówno na zewnątrz, jak i w jej własnym pożyciu małżeńskim. Szerokie paniery jej sukni podskakiwały wesoło, gdy wirowała w tańcu to z jednym, to z innym partnerem. Wszyscy muzycy mieli na głowach upudrowane peruki i odziani byli identycznie w ukochane przez delfinę blade błękity. Barwa ta była coraz częściej wybierana przez dworzan na ich własne stroje. Maria Antonina z zadowoleniem patrzyła, jak blask setek świec osadzonych w kryształowych żyrandolach potęguje lśnienie diamentów zdobiących jej włosy, iskrzących się w lustrach, gdy przemykała obok nich w takt muzyki. Dworzanie, którzy nie tańczyli, stali z boku, klaszcząc, gdy ich mijała.

Jak cudnie być kochaną przez ludzi, nawet jeśli własny mąż nie przejawia zbyt głębokich uczuć.

W przerwie chłodziła się wysadzonymi perłami wachlarzem, popijając szampana podanego przez dyskretnego kelnera i marszcząc nos od bąbelków. Kątem oka spostrzegła, że o jedną z kolumn sali balowej opiera się dżentelmen bacznie śledzący każdy jej ruch. Mrugnęła do niego zalotnie, acz niewinnie, jak zawsze w stosunku do dworskich wielbicieli. Mężczyzna podszedł do niej.

Z bliska mogła ocenić, że jest nieziemsko przystojny: spod gęstych, ciemnych brwi spoglądały ogromne czarne oczy w kształcie migdałów, a nieupudrowane włosy spięte były w modny kucyk. Jego strój był nienaganny, a nosił się jak bohater którejś z tak popularnych ostatnio romantycznych powieści. Nie odrywał od niej wzroku, co sprawiło, że wstrzymała oddech.

- Jestem pani oddanym sługą - odezwał się, stukając piętami w eleganckim ukłonie.

Uniosła wachlarz, częściowo przysłaniając twarz.

- Jakież pan bezpośredni. Ja pana nie znam, co stawia mnie w mniej korzystnej sytuacji.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem hrabia Axel Fersen ze Szwecji. - Zniżył głowę w kolejnym ukłonie.

Maria Antonina wręczyła kieliszek kelnerowi stojącemu w pobliżu w pełnej szacunku pozie i podała nowemu znajomemu rękę, na której on z oddaniem złożył pocałunek. Dotyk jego ust i miękki oddech, który musnął grzbiet jej dłoni, spowodowały przyływ dziwnych uczuć. Nie zaznała jeszcze podobnych, choć hołd oddawały jej już tysiące poddanych.

- Jestem przekonana, że nigdy dotąd nie widziałam pana na dworze - powiedziała, rzeczywiście mając pewność, że zapamiętałaby chwilę taką jak ta, gdy trzymał jej dłoń w swojej.

- Niestety, Wasza Wysokość, wyjechałem na *grand tour* i dopiero od niedawna bawię we Francji, ale jestem tu teraz i miałem nadzieję poznać cię, pani. - Jego oczy pociemniały, gdy skupił na niej spojrzenie. Maria Antonina czuła, że sala odpływa gdzieś w dal. Czyżby miała ośmieszyć się i omdleć u stóp rozmówcy?

- *La, monsieur* - zaśmiała się, dochodząc do siebie. - Zdaje się, że rozbrzmiała znów muzyka, a mnie brak partnera do tańca.

Podał jej ramię.

- Pozwól, że ja będę twą eskortą i tancerzem, pani. Wkrótce płynęli już po parkiecie w *contredanse allemande*

i innych tańcach grupowych. Za każdym razem, gdy trafiała w ramiona hrabiego, delikatnie gładził jej plecy lub wpijał w nią spojrzenie. Udawała, że go ignoruje, lecz ledwie udawało się jej skupić na krokach. Jak przez mgłę docierały do niej szeptany dworzan, komentarze padające zza zasłoniętych dłońmi ust, ilekroć trafiała w ramiona hrabiego. Maria Antonina balowała do białego rana, a do pałacu odjechała z zapewnieniem ze strony nowego przyjaciela, Axela Fersena, że będzie obecny na następnym przyjęciu. Wracała w stanie takiego uniesienia, jakiego jeszcze nie znała. Wkrótce jednak życie

sprowadziło ją na ziemię: Ludwik XV zmarł dziesiątego maja 1774 roku, a to oznaczało wstąpienie na tron młodego delfina i jego małżonki.

Byli przerażeni perspektywą rządów i na wieść o śmierci króla padli na kolana z modlitwą na ustach: „Drogi Boże, prowadź nas i chroń od złego. Jesteśmy zbyt młodzi, by panować”. Długie władanie Ludwika XV, noszącego niegdyś przydomek „Umiłowanego”, rozpoczęło się blaskiem podziwu dla monarchii, a zakończyło wzgardą ze strony poddanych i niemalże bankructwem. Należy do tego dodać gorycz wywołaną miażdżącymi podatkami, uderzającymi najmocniej w tych, których najmniej było na nie stać - biedotę. Taką oto Francję dziedziczyła młoda para - dzieci jeszcze, zupełnie nieprzygotowane i niezdolne do objęcia władzy nad krajem.

ROZDZIAŁ 4

Claudette ruszyła w stronę okrętu kołyszącego się na falach Sekwany. Podeszła do trzech stojących razem kobiet, na oko nieco starszych od niej.

- Czy również wybieracie się do Anglii?

Najwyższa z nich pokiwała głową. Druga zajęta była rozmową i nie zwróciła uwagi na Claudette, ale trzecia odsunęła się od towarzyszek, by pomówić z nastolatką, która była najwyraźniej w fatalnym stanie, jakby wydarzenia minionej nocy dodały jej sporo lat.

- Jestem Elizabeth Preston. - Kobieta, około dwudziestoletnia, wyciągnęła dłoń w przyjaznym geście.

Miała na sobie różowy kostium podróżny obszyty futrem, a na jej wysoko zaczesanych, hebanowych włosach pysznił się zabawny, dopasowany kolorystycznie do kostiumu kapelusik. Dłonie chroniły sięgające nadgarstków rękawiczki wyszywane w kwiaty. Była jedną z najmodniej ubranych osób, jakie Claudette w życiu widziała. Francuzka spojrzała na swój żaloszny przydziewek i przeprosiła, że tak nędznie wygląda.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją *mademoiselle* Preston. Nachyliła się i szepnęła Claudette na ucho: - Powiadają, że sobole to ostatni krzyk mody, ale mnie się zdaje, że łapię od nich pchły!

Claudette roześmiała się mimo swej niedoli i przedstawiła się nowej znajomej.

- Cóż, panno Laurent, było mi bardzo miło cię poznać. Spokojnej podróży - powiedziała i odwróciła się do pozostałych pań, by posłuchać, o czym rozmawiają.

Claudette dostrzegła inną młodą kobietę, która za towarzystwo miała jedynie małą dziewczynkę tulącą się do jej kolan.

Uświadomiła sobie, że wyglądają jeszcze bardziej żałośniej niż ona. Podeszła i wdała się w nową rozmowę. Nieznajoma zdawała się wielce spragniona kompanii, lecz drżała na całym ciele, a dookoła oczu miała czerwone obwódki świadczące wyraźnie o ciężkim strapieniu.

- Nazywam się Béatrice du Georges, a to Marguerite, moja córeczka. - Delikatnie wypchnęła naprzód dziecko, nie starsze niż czterolatnie. Dziewczynka spojrzała śmiało na Claudette i oznajmiła:

- Mam na imię Marguerite. Mamusia kupi mi w Anglii nową sukienkę.

Claudette była pod wrażeniem odwagi dziewczuszki. Zastanawiała się tylko, skąd u niej taka bezpośredniość, bo z pewnością nie została odziedziczona po matce. Zauważyła złotą obrączkę na lewej dłoni Béatrice, więc spytała:

- Czy mąż płynie z wami?

Twarz zapytanej zalał rumieniec, a jej dolna warga zaczęła drżeć wraz z policzkami.

- Mój mąż oszedł. Zmarł na kamice. Żyłam na garnuszku u różnych krewnych, jego i moich, ale nikt nie chce na stałe brać na barki ciężaru, jakim jest wdowa z dzieckiem. Ostatnio pomieszkiwałyśmy u szwagra i jego żony, ale wczoraj, po dwóch tygodniach pobytu u nich, gdy wróciłam do domu, znalazłam na łóżku powiadomienie o tym statku. - Oczy miała pełne łez. - Cóż mi więc pozostało? To jasne, że rodzina nas nie chce. Muszę walczyć o lepsze życie dla siebie i córeczki. Anglicy to ponoć pijane świnię, ale z pewnością nie potraktują nas gorzej niż nasi bliscy.

Zanim Claudette zdążyła coś powiedzieć, kapitan Briggs ją dmuchać w gwizdek i wołać:

- Drogie panie, wsiadajcie na pokład! Za godzinę opuszczamy port. - Robił obchód przystani, nawołując, by pasażerowie zajmowali miejsca na statku. Grupki kobiet szybko się rozpierzchały. Ściskając pod pachą cały swój dobytek, Claudette wzięła Béatrice pod rękę i z Marguerite uczeponą spódnicy matki pełne niepewności weszły na pokład.

Podczas lekkiego posiłku z pozostałymi podróżnymi Béatrice streściła Claudette swą historię. Była córką majątnej francuskiej pary i wychowała się w domu zamożnym, choć niezbyt bogatym w uczucia. Rodzice zaaranżowali jej zamążpójście, chcąc wydać ją za przedstawiciela drobnej szlachty, ale ona zakochała się w studencie teologii z Sorbony, którego poznała na wystawie sztuki. Sądziła, że przekona matkę i ojca, by rozwiązali umowę małżeńską, tak by mogła poślubić swego wybranka. Nie doceniła jednak determinacji rodzicielki, która marzyła o tym, by córka dobrze wyszła za mąż, podnosząc tym samym status rodziny. Zamknięcie w komórcie na cały dzień, bolesne razy, a także czterodobowa głodówka złamały upór nieszczęsnej dziewczyny. Lejąc łzy u stóp matki, zgodziła się wreszcie na wybór rodziców. Jednak następnego ranka opuściła ukradkiem dom, zabierając tylko kuferek najpotrzebniejszych rzeczy, i schroniła się w maleńkim mieszkaniu Alexandre'a przy rue Soufflot, w pobliżu uczelni. Razem uciekli na wieś, gdzie imali się różnych prac, aż wreszcie rok później wrócili do Paryża z niemowlęciem na rękę, córeczką Marguerite.

Chociaż mąż nie miał stałego zajęcia i pracując to tu, to tam, nie zarabiał wiele, byli we troje bardzo szczęśliwi. Wykorzystując pewne rodzinne koneksje, Béatrice otworzyła szkółkę, w której uczyła dzieci grać na klawesynie. Gdy wieść o tym dotarła do jej rodziców, postarali się, by interes natychmiast upadł. Widząc, że zarobkowanie jest w jej przypadku skazane na niepowodzenie, młoda żona została w domu i szukała oszczędności, gdzie tylko potrafiła. Cztery miesiące temu jej mąż zaczął się skarżyć na ból brzucha. Z początku myśleli, że to niestrawność, lecz gdy bóle się nasilały, za ostatnie grosze wezwali lekarza. W mgnieniu oka zdiagnozował, że Alexandre cierpi na kamice żółciową i zalecił operację, by usunąć kamienie. Przerażony perspektywą barbarzyńskiego zabiegu oraz kwestią zapłaty za leczenie pacjent upierał się, że z czasem sam dojdzie do zdrowia. Zmarł miesiąc później, mającąc w gorączce.

Odbył się skromny pogrzeb, po którym Béatrice zwróciła się z prośbą o wsparcie do krewnych męża. Większość z nich radziła jej, by wróciła na łono własnej zamożnej rodziny, i nie była skora do pomocy. Ci, którzy byli jej przychylniejsi, pomagali przez krótki czas. Szybko jednak dawali do zrozumienia, że nie są zainteresowani utrzymaniem biedaczki z dzieckiem. W przyływie rozpaczyny udała się do rodzinnego domu, lecz gdy matka ujrzała ją w progu, jej oczy zmieniły się w wąskie szparki i trzasnęła jedynaczce drzwiami prosto w twarz. Ten ułamek sekundy, kiedy widziała malutką Marguerite, był jej jedynym spotkaniem z wnuczką. Czując się pokonaną przez los, Béatrice wróciła tego dnia do domu szwagra, gdzie niezbyt subtelnie dano jej do zrozumienia, jak mile jest tam widziana.

Claudette opowiedziała Béatrice o warsztacie lalkarskim, który prowadziła w Paryżu jej rodzina, zanim obrócił się w gruzowisko. Rozmówczyni wyraziła zdziwienie, że produkcja lalek może być dochodowym zajęciem. Wielu ludzi postrzegało zabawki jako prymitywne przedmioty sklecone na chybcika dla dzieci przez służących.

Claudette wylewała swój żal, tłumacząc, jak interes ojca rozkwitał pomalutku, począwszy od tego, jak tata terminował jako pomocnik cieśli u swego wuja, a skończywszy na tym, jak, jako szanowany lalkarz, przyjmował klientów ze szlacheckich kręgów. Dzielila z ojcem miłość do drewna i wosku. Z czasem stała się jego jedyną uczennicą i dziedziczką, gdyż nie miała żadnego rodzeństwa. Tata zawsze powtarzał, że sama wyrośnie na wspaniałą lalkarkę. Głos jej się łamał, gdy przywoływała w pamięci marzenia, które ojciec snuł na temat córki i warsztatu. Teraz ze snów została tylko kupka przesiąkniętego deszczem popiołu. Z serca zatopionego w najczarniejszej rozpaczynie Claudette wydobyła również opowieść o swej miłości do Jeana-Philippea. Spod bluzki wyjęła łańcuszek, na którym wytrwale kołysał się pierścienek zaręczynowy.

W maju 1779 roku, miesiąc po swoich czternastych urodzinach, Claudette spotkała się z Jeanem-Philippeem po dwunastu zimowych tygodniach, kiedy nie widzieli się ani razu. Dziewczynę zdumiało, jak rozrosły się ramiona przyjaciela, dostrzegła też ślady zarostu tam, gdzie być może zaczął się już golić. Nawet jego chód się zmienił: kroczył teraz dumnie, choć nie wyzbył się jeszcze młodzieńczej niezdarności. Zastanawiała się, co też on myśli o niej?

Spacerowali razem, jak zwykle, ramię przy ramieniu. Zaczęli już wracać do domu państwa Renaud, gdy Jean-Philippe schylił się i zerwał dla Claudette garść dzikich irysów. Zamiast jednak wręczyć jej podarunek, tak jak czynił to zazwyczaj, wyciągnął z bukietu jeden kwiat i zaczął się z nią przekomarzać, trącąc ją irysem w nos.

- Jeanie-Philippie, przestań! - protestowała, śmiejąc się wesoło.

- Pamiętasz, jak widzieliśmy delfinę w Saint-Denis?

- Oczywiście! Byliśmy wtedy mali, a przez ciebie omal nie wpadliśmy w nieopisane tarapaty! Na szczęście nasze spotkanie z księżniczką odwróciło uwagę rodziców od naszej zuchwałości. Nie zapomniałam też - spojrzała na niego, marszcząc nos - że nazwałeś mnie wtedy dzieckiem!

- Najmocniej z tego dnia zapisał się w mojej pamięci zmięty bukiet, który trzymałaś. Kiedy ofiarowałaś go delfinie, nie było w nim ani jednej niezłamanej łodyżki! Zresztą większość bukietu została ci wtedy w dłoni.

- Byłam mała.

- Byłaś śliczna. Zresztą nadal jesteś... jesteś...

- Jestem nadal jaka, Jeanie-Philippie?

Dwoje nastolatków skreśliło w alejkę biegnącą za kompleksem kilku sklepów. Panowała tu cisza i ich rozmowa przybrała poważniejszy ton. Chłopak zatrzymał Claudette pod kamiennym łukiem łączącym dwa budynki. Przeciągnął kwiat wzdłuż linii jej brody, pozostałe irysy wetknął do kieszeni. Ich twarze nie dzielił nawet centymetr, a jego ciemne oczy wpatrywały się intensywnie w jej niebieskie tęczęwki.

- Jesteś nadal... nie, stałaś się... bardzo piękna, Claudette. Przypominasz mi tego słodkiego białego gołąbka, którego kiedyś ocaliliśmy. - Upuścił kwiat i odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów, delikatnie zatykając jej go za ucho. Nie odsuwał się.

Dlaczego nie mogła złapać oddechu? Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Czy to właśnie miała na myśli mama, gdy opisywała, że świat zdawał się stanąć w miejscu, gdy zakochała się w tacie? „Czy ja się zakochałam?“, przebiegło jej przez myśl.

Jean-Philippe zbliżył wargi do jej ucha i wyszeptał:

- Claudette, jestem już prawie mężczyzną. Za kilka lat skończę naukę i będę wolny. Jesteś moją najbliższą przyjaciółką i chciałbym pojąć cię za żonę, gdy nadejdzie właściwy czas.

Dziewczyna stała jak sparaliżowana, rozdarta pomiędzy radością a niepewnością, co ma dalej nastąpić. Matka niewiele jej tłumaczyła na temat miłości, może poza zapewnieniem, że gwiazdy na niebie zaprzestaną swego biegu, by przyświecać zakochanym na znak błogosławieństwa. Milczała więc.

- Claudette, słyszysz? Kocham cię! - Jean-Philippe złożył pierwszy, delikatny pocałunek na jej uchu, policzku, aż wreszcie przycisnął swe wargi do jej ust. Przemawiał dojrzałe, ale w rzeczywistości był równie niedoświadczony jak ona. Też nie wiedział, jaki powinien być kolejny krok.

Nagle w alejce pojawiła się prostytutka z klientem. On kompletnie pijany, ona, śmiejąc się w głos, udawała odurzoną. Raz po raz wybuchała chichotem w odpowiedzi na wybełkotane, trudno zrozumiałe słowa towarzysza. Otaczał ją ramieniem i próbował dosięgnąć jej piersi, jednocześnie składając na jej policzku i skroni niechlujne pocałunki. Kobieta podtrzymywała go, by nie upadł. Gdy zbliżyli się do pary nastolatków, mężczyzna rzucił bezceremonialną uwagę, że młodzik też już pewnie długo korzysta z rynku. Dźwięczny śmiech i docinki prostytutki przyciągnęły z powrotem jego uwagę.

Jean-Philippe wtulił twarz Claudette w swoje ramię i nie puszczał, dopóki kobieta i jej klient nie oddalili się. Wówczas odchylił jej głowę, by patrzeć prosto w jej oczy.

- Claudette, masz we władaniu moje serce. Zawsze będę cię wielbił i hołubił.

Ich usta znów się spotkały, tym razem w bardziej śmiałym pocałunku. Claudette zarzuciła mu ramiona na szyję.

Mama nie wspomniała, że nie tylko Ziemia wstrzymuje bieg, lecz Słońce i Księżyc kierują swe promienie prosto na zakochanych.

Czyżby teraz oba ciała niebieskie ją porzuciły?

Gdy Claudette skończyła swą opowieść, Béatrice wyciągnęła rękę i w niemym współczuciu chwyciła jej dłoń. Claudette spostrzegła, że twarz nowej znajomej oblała się rumieńcem, który po chwili objął całe jej czoło i policzki zdające się żyć własnym życiem, nerwowo pulsując pod jaskrawą czerwień.

- Och, Claudette, *tu es ma meilleure amie*. Nie mam już nikogo na świecie poza tobą i Marguerite. Przysięgnijmy, że nie rozstaniemy się, gdy dotrzemy do Anglii. Gdybyśmy się rozeszły, cóż miałabym zrobić? Jestem tylko biedną wdową z dzieckiem, bez środków do życia.

Claudette podobała się bezpośredniość i otwartość dziewczyny, trapił ją jednak stan wzburzenia i zdenerwowania, w jakim trwała Béatrice. Skonstatowała jednak, że i ona jest sama jak palec, więc uśmiechnęła się i rzekła:

- Przyjaźń dopóki nas śmierć nie rozłączy, tak?

Tik w policzkach Béatrice natychmiast ustał, za to na jej oblicze wypłynął uśmiech jasny jak promyk słońca.

- Tak, przyjaciółki do grobowej deski!

- Zabieraj ode mnie brudne, zgniłe łapska, sukinsynu, prostaku! - usłyszały nagle i Claudette obejrzała się w samą porę, by ujrzeć, jak Elizabeth Preston wymierza policzek Simonowi Briggsowi. - Spróbuj raz jeszcze mnie tknąć, a powieszę cię za te twoje maleńkie klejnociki, jeśli w ogóle się ich doszukam! - Śmiech przetoczył się przez salę, a kilka osób zaklaskało w dłonie.

Briggs wyprężył się, by wydłużyć jeszcze swą tyczkową sylwetkę, tak aby górować nad otoczeniem. Jego twarz zrobiła się niemal czarna ze złości.

- Jak śmiesz podnosić rękę na swego dobroczyńcę?

- Ha! Zwykła z ciebie świnia! Sporo zapłaciłam za miejsce na tym statku, a nie pamiętam, by oferta zawierała łapy jakiegoś ordynusa ani jego cuchnący oddech!

Briggs raz jeszcze otworzył usta, by rzucić jakąś ripostę, lecz po chwili zamknął je i wyszedł.

- Czy mogę się przysiąść? - spytała Elizabeth, choć zdążyła już zająć miejsce na ławie naprzeciw Claudette.

- Naturalnie. Czy nic pani nie jest?

- Skądże. Ten oprych to zwykły tchórz. Jeszcze na nabrzeżu, zanim odpłynęliśmy, widziałam, jak podszczypuje pasażerkę. Od razu postanowiłam, że nie dam sobie w kaszę dmuchać, niechby tylko czegoś próbował!

Béatrice patrzyła na Elizabeth jak w obrazek. Co za odważna, dzielna kobieta!

- Panno Preston, jaki jest cel pani podróży? Widać od razu, że Anglia to pani ojczyzna - dopytywała Claudette.

- Rzeczywiście wracam do domu. Mam ciotkę, która lata temu przeniosła się do Paryża. Dziedzicę po niej, więc co najmniej raz do roku udaję się do Francji, by mieć na oku spadek. Jak już przejdzie w moje ręce, będę mogła się rozejrzeć za odpowiednim mężem. - To mówiąc, porozumiewawczo puściła oko do Marguerite. Usta Béatrice utworzyły idealne „O”.

- Gdzie w Anglii jest pani dom?

- W Sussex. Ale proszę, mówcie do mnie po imieniu. Ja, jeśli pozwolisz, chciałabym zwracać się do ciebie „Claudette”. W końcu ludzie, którzy wspólnie przeżywają przygodę taką jak ta, powinni być przyjaciółmi, czyż nie? A kim jest ta mała, śliczna rybeńka?

- Elizabeth, oto moja przyjaciółka Béatrice i jej córeczka Marguerite.

Béatrice odzyskała rezon i traciła lekko dziewczynkę.

- Marguerite, przywitaj się z *mademoiselle* Elizabeth.

-*Bonjour, mademoiselle* Lyzabyt... *Mademoiselle* Byzalyt... Zibet... Lizabut! *Bonjour, mademoiselle* Lizabut!

Trzy kobiety roześmiały się wesoło, słysząc jak dziewczynka męczy się z wymową długiego imienia. Jego właścicielka oznajmiła:

- Cóż, skoro młoda dama twierdzi, że mam być Lizabutem, niech i tak będzie!

Zdażyły już zapomnieć o przykrym zajściu z Briggssem i rozmawiały spokojnie, dzieląc się różnymi opowieściami, aż w pewnej chwili zjawił się marynarz pokładowy z ogłoszeniem, że wszystkie panie zamierzające szukać w Anglii zatrudnienia, powinny bezzwłocznie zgłosić się do kapitana na górnym pokładzie, by odebrać stosowne wskazówki.

- A więc, kochane, chyba przyjdzie nam się tu rozstać. Miło mi było was poznać. Oby nasze ścieżki jeszcze się kiedyś zeszły! - Elizabeth, a w zasadzie już Lizabut, podniosła się z miejsca i dygnęła przed Claudette i Béatrice, które powstały, by udać się na górę.

- Gdy dobijemy do portu, starajcie się wyglądać jak najlepiej. Bogacze przyjdą na przystań, by was obejrzeć, i wtedy zadecydują, czy chcą was widzieć u siebie - przemawiał Briggs, od czasu do czasu wypychając policzek językiem, jakby bawił się czymś w ustach.

- *Monsieur*, jakie będzie nasze wynagrodzenie? - pisała filigranowa blondyneczka.

- No, to zależy od tego, jak chlebodawca wyceni waszą pracę. Część zysków oddawać będziecie mnie, jako że pomagam wam wszystko zorganizować. Koniec pytań. Proszę podpisać kontrakty.

Dwie młode kobiety, siedzące dotąd po bokach Briggsa, rozdały formularze poszukującym pracy, których, jak zliczyła Claudette, było około czterdziestu pięciu. Większość dziewcząt szybko skreśliła na kartach swój podpis. Claudette również otrzymała dokument. Rzuciwszy na niego okiem, stwierdziła,

że napisany jest po angielsku. Była przekonana, że znajdujące się na statku Francuzki umiały czytać tylko w ojczystym języku, nawet jeśli potrafiły porozumieć się po angielsku. Co takiego podpisywały? Uważniej przyjrzała się tekstowi. Béatrice już miała składać podpis na swojej umowie, ale przyjaciółka powstrzymała ją.

- Zaczekaj! - szepnęła. - Nie wiemy, co to takiego. Claudette podniosła rękę, by dostrzeżono ją w tłumie śmiejących się, pełnych entuzjazmu kobiet.

- *Monsiuer* Briggs! *Monsieur* Briggs, przepraszam, chciałabym o coś spytać.

Kapitan podniósł wzrok znad zbieranych właśnie formularzy. Spojrzał na Claudette, marszcząc brwi.

- Co znowu?

- O co chodzi w punkcie o pięćdziesięcioprocentowej prowizji?

Zapytany przestąpił z nogi na nogę.

- Umiesz czytać, panienko? Proszę, proszę. Prowizję odprowadzam za to, że pomagam wam znaleźć pracę.

Claudette wydeła usta i nie dawała za wygraną.

- Będzie pan zabierał połowę moich zarobków tak długo, jak będę zatrudniona?

- Tak, owszem, zapewniłem ci przecież darmową podróż do Anglii, czyż nie? Co, jesteś jedną z tych uczonych pannic? Wydaje ci się, że znajomość angielskiego czyni cię lepszą od zebranych tu dziewcząt?

- Skądże. Jednak pięćdziesiąt procent, *monsieur*, to dość wysoka stawka.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie wracać do Francji, ale już nie tym statkiem! Znajdź sobie inny środek transportu. Nie zamierzam znosić niewdzięczności!

- Ależ *monsieur*, jestem wdzięczna za pańską pomoc, ale proszę spróbować mnie zrozumieć. Jakimi dokładnie zajęciami będziemy się parać? Powinniśmy też poznać wysokość naszych pensji.

Briggs zaśmiał się i zawołał do jednego ze swych marynarzy:

- Hej, Jemmy, rusz tu swój leniwy, zagrzybiały zad i posłuchaj. Dzieweczka ubzdurzyła sobie, że należą jej się szczególne przywileje, w dodatku do darmowej podróży na moim pokładzie! - Obaj mężczyźni skwitowali sytuację rechotem.

- Jak masz na imię?

Zbita z tropu tym wybuchem wesołości, lecz zdecydowana, że nie pozwoli się zbyć, Claudette wyprostowała się.

- Nazywam się Claudette Renée Laurent.

- Cóż, panno Laurent, możesz odgrywać wielką damę, ale robotę będziesz miała ciężką, jak inne. A teraz podpisz.

Wtem wybuchło zamieszanie, gdyż dwie kobiety zaczęły wymiotować za burtę, bądź to w wyniku choroby morskiej, bądź spożywania podawanej na obiad niezbyt świeżej ryby. Odciągnęło to uwagę Briggsa, który rzucił się odsuwać pozostałe dziewczęta. Cisnął stertę kontraktów na stojącą pod ręką beczkę, więc Claudette wsunęła swój niepodpisany formularz w sam środek papierów. Następnie dała znak Béatrice, by podała jej swój dokument i on również, bez podpisu, trafił pomiędzy pozostałe kartki. Potem, wraz z podążającą za nimi Marguerite, udały się w głąb statku, by prosić o radę Elizabeth. Lizabut była zbulwersowana, choć nie wyjaśniła, czym konkretnie, natomiast doradziła buntowniczkom, by opuściły statek, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Po dziewięciu latach pobytu we Francji Maria Antonina przekonała się, że popularność niełatwo utrzymać, a gdy się ją raz straciło, powrót do łask ludu graniczy z cudem. Z początku ludzie oszaleli na punkcie młodziutkiej arcyksiężnej, jej wdzięku i elegancji. Uwielbiali czytać w gazetach o jej przyjęciach, ucztach i znaczeniu dla mody. Lecz im dłużej na świecie nie pojawiał się następca tronu, tym więcej szeptów rozbrzmiewało wśród pałacowych ścian. Wreszcie, w grudniu 1778 roku królowa powiła córkę, Marię Teresę, znaną jako *Princesse Royale*. Na narodziny długo wyczekiwanego w dynastii Burbonów chłopca poczęto tracić nadzieję.

Królowa rozpaczała nad niemożnością wypełnienia jedyne­go celu swego życia we Francji. Wszyscy dworzanie szeptali za jej plecami, spekulując, czy jest w stanie wydać na świat potomka płci męskiej. Kto jest bezpłodny - ona czy Ludwik? A może królowa niezdolna jest, by, hm, zainspirować męża do podjęcia małżeńskiego obowiązku?

Jej matka, cesarzowa, nie odstępowała od wysyłania listów poświęconych życiu intymnemu pary. Dopytywała w nich o tak osobiste szczegóły, jak częstotliwość współżycia czy regularność pojawiania się „Generała Krottendorfa”. „Bo gdy Generał zjawia się równo co miesiąc, córko, z pewnością niedługo będziesz brzemienna”.

W wyniku ciągłego grzebania i dłubania w sprawach tak delikatnych, królowa w subtelny sposób wypracowała sobie wyjątkowe życie prywatne. Jedynie kilka najbardziej zaufanych osób zostało wprowadzonych do kręgu jej nowego, własnego światka, z księżną de Lamballe i Axelem Fersenem na czele.

Maria Antonina wystawiała własne sztuki teatralne, w których też sama uczestniczyła, co zapewniało jej zdystansowanie się od codzienności na dworze. Przedstawienia były fantazyjne i niepoważne, lecz nieszkodliwe, a ona uwielbiała je jako sposób ucieczki od rzeczywistości. Król wspierał żonę i z zadowoleniem postrzegał dokonujące się w niej zmiany, szczególnie że wiązały się one z zarzuceniem ciężkiego makijażu i zwrotowi ku prostszym strojom w miejsce ostentacyjnych kreacji dworskich. Często widywano Marię Antoninę, jak spaceruje po perfekcyjnie przystrzyżonych ogrodach wersalskich bez żadnych klejnotów na szyi, palcach, we włosach czy przy ubraniu. Przywdziewała na te przechadzki najprostsze muślinowe sukienki, bez najdrobniejszego wzoru czy haftu. Wiele z matron francuskiego dworu było głęboko zawiedzionych podobnym odejściem od tradycji dworskiej i plotkowało zawistnie, że królowa winna jest grzechu pychy.

Inną ofiarą nowego stylu życia królowej była Rose Bertin, dworska szwaczka.

- Wasza Wysokość - księżna de Cosse, garderobiana, wkroczyła do komnaty królowej, dzierżąc księgę strojów i poduszeczkę ze szpilkami - czy zechce pani wybrać stroje na dzisiaj?

Do zadań władczyni należała selekcja kilku zestawów ubrań na każdy dzień. Jedna suknia mogła służyć przy spożywaniu śniadania i na spacerze po posiłku, inna nadawała się do jazdy konnej, gdyby królową naszła chęć podążenia za mężem na polowanie. Kolejny komplet odzienia był niezbędny do podejmowania popołudniowych gości, i jeszcze jeden na wytworną kolację. Maria Antonina siadała więc w swoim łóżu z baldachimem, zdobionym u szczytu strusimi piórami, i przewracała strony noszącej ślady wielokrotnego użytku książeczki. Każda karta zawierała osobny strój, a dodatkowo do każdej stronicy dołączono skrawek materiału, koronki i innych ozdób. Było przywilejem królowej, by za pomocą ostrych szpilek własnoręcznie zaznaczyć, które stroje wybiera. Następnie garderobiana przysyłała do komnaty królowej portierów niosących przykryte taftą kosze zawierające wybrane przez panią stroje, tak by jeszcze raz ostatecznie je zatwierdziła.

Królowa przeczuciła stronicę, z których wyglądały flamandzkie koronki i wschodnioindyjskie jedwabie, i zatrzymała się u końca katalogu, gdzie widniały najnowsze ubiory. Wbiła szpilki w trzy strony i oddała księżnej album oraz poduszeczkę, myśląc o tym, że jej selekcja powinna przypaść do gustu hrabiemu Fersenowi, który zapowiedział na ten dzień wizytę. Usługująca skłoniła się stosownie i wycofała z komnaty, z trudem maskując niesmak wywołany niegustownym wyborem władczyni. Doskonale wiedziała, do kogo się zwrócić, zanim przekaże książkę portierom.

Dwadzieścia minut później królowa usłyszała lekkie stukanie do drzwi. Weszła jedna z jej dworek, przepaszając za najście, ale zanim zdołała przedstawić cel swego przybycia, za jej plecami odezwał się donośny głos, który skutecznie zagłuszył to, co miała do powiedzenia.

- *Madame*, to niesłychane! - postawna, apodyktyczna kobieta wkroczyła do komnaty, wymachując katalogiem z zazna-

czonymi życzeniami królowej. Dworka natychmiast czmychnęła z sali.

Maria Antonina westchnęła pojednawczo.

- Co też dziś leży pani na sercu, *madame* Bertin?

- To. - Wyciągnęła rękę z garderobianym albumem. -Z pewnością pragniesz włożyć coś bardziej odpowiedniego, pani, niż strój chłopki?

Rose Bertin należała do niewielkiego grona osób, które mogły sobie pozwolić na tak bezpośrednie relacje z królową. Pani w wielkiej mierze polegała na niej w sprawie szycia ekstrawaganckich, dworskich sukien. Wpływ krawcowej na królową, a tym samym na inne panie dworu, był tak ogromny, że nazywano ją ministrem mody.

Maria Antonina nie spojrzała nawet na podsuwane jej stronicę.

- Nie załatwiam dziś żadnych interesów na dworze, więc pozostanę przy tym, co wybrałam.

Bertin stłumiła wybuch zniecierpliwienia. Doprawdy, faza prostoty, przez którą przechodziła obecnie królowa, była nie do zniesienia. Rose Bertin zbudowała swą świetną reputację głównie na osobie Marii Antoniny. Im piękniejsze były suknie monarchini, tym bardziej dochodowy stawał się interes Rose, jako że bywałe na dworze panie, chcąc naśladować styl władczyni, pędziły wprost do jej pracowni krawieckiej. Nikt nie był jednak gotów przywdziewać jakichś plebejskich sukienek, a nawet gdyby tak było, niewiele dało się na tym zarobić.

- Ależ nie przystoi, by najważniejsza kobieta Europy paradowała w stroju tak... tak żenującym!

Zbesztana zaśmiała się lekko.

- Żenującym dla monarchii, czy dla *madame* Bertin? Oblicze szwaczki spąsowiało, lecz się nie poddawała.

- Wasza Wysokość - siliła się na uprzejmość. - Lud uwielbia widzieć swą władczynię ubraną po królewsku, by móc ją podziwiać.

Słynna dolna warga Habsburgów wysunęła się do przodu -nieomylny znak nadciągającego sprzeciwu.

- Ostatnią rzeczą, na jakiej zależy ludziom, to oglądanie wystrojonej arystokratki na spacerze. Jestem zadowolona ze swojego wyboru: jasnobłękitny muślin i słomkowy kapelusz będą w sam raz. O, pasowałyby jeszcze do tego różowa szarfa przewiązana w pasie. Proszę przekazać to księżnej.

Bertin nie drgnęła, wysilając umysł w poszukiwaniu argumentów, które ucięłyby wreszcie romans królowej z garderobą prostaczki.

Maria Antonina przerwała jednak te rozmyślenia.

- Musi pani natychmiast przekazać wiadomość księżnej, w przeciwnym razie portierzy nie zdadzą przygotować mojego stroju.

Rose Bertin prychnęła, ale zdała sobie sprawę, że dalsze przekonywanie królowej było bezcelowe. Wypadła z komnaty, nadal trzymając w rękach nieszczęsny katalog z ubiorami. Cisnęła go w ręce czekającej pod drzwiami damy dworu.

- Poinformuj księżnę de Cosse, że Antonina życzy sobie różową szarfę do przewiązania pysznej sukni mleczarki, którą uparła się dziś założyć - rzuciła władczo, nie zaszczycając nawet służącej spojrzeniem. Kobieta jęknęła, słysząc impertynencję Bertin, która swój komentarz wygłosiła tuż pod drzwiami królewskiej komnaty. Większość dworzan obgadywała mo-narchinię poza zasięgiem słuchu, a i to szeptem.

A Maria Antonina wiedziała, że nie zadowoli ludu Francji niezależnie od tego, jak się będzie ubierać. Wyłącznie narodziny delfina mogły uspokoić nastroje obywateli i przywrócić królową do ich łask.

ROZDZIAŁ 5

Port w Londynie tętnił życiem. Kłębowało robotników, podróżnych i bezpańskich zwierząt przyprawiało Claudette o zawrót głowy. Było porównywalne z chaosem, który panował podczas pożaru, wyłączając gryzący zapach palonego drewna. Zastępował go wszechobecny odór gnijących odpadków. Dławił ją podobnie jak swąd spalenizny, a na dodatek obudził chwilowo stłumione wspomnienia. Czy rzeczywiście minęło niespełna czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy straciła rodziców? Czy do Jeana-Philippea dotarła wieść o ich śmierci? Czy szukał jej teraz? Z trudem przełknęła łzy. Z otępienia wyrwał ją dopiero głos Simona Briggsa.

- No, drogie panie, zbierzcie się tutaj - rozkazał, gdy opuściły pokład okrętu. - Nadchodzą klienci, więc uśmiechajcie się ładnie, pokażcie się z najlepszej strony.

Większość dziewcząt, ledwie wyrósłszy z wieku nastoletniego, nie miała pojęcia, jaką to stronę mają pokazać. Uśmiechały się więc tylko szeroko, wołając: „Tu, proszę pana!”, „Niech pan wybierze mnie!” i „Umiem ciężko pracować!”. Ich głosy zlewały się w kakofonię francuskiego okraszonego angielskimi wtrętami. Kilku zamożnie wyglądających mężczyzn podeszło do nich i zaczęło je oglądać, jakby oceniali konie na wybiegu.

Lizabut pojawiła się znienacka za Claudette i Béatrice.

- Myślę, że najlepiej będzie dla was, jeśli zaraz odłączycie się od tej gromadki. Chodźcie ze mną!

Wzięły się za ręce wraz z małą Marguerite i ruszyły spokojnym krokiem, oddalając się od zgromadzenia, podczas gdy klienci dokonywali selekcji spośród nowo przybyłych dziewcząt.

Już miały wkroczyć w pylistą uliczkę przy końcu portu, gdy z tyłu dobiegł ich krzyk:

- Wy paskudne ladacznice, wracać mi tu natychmiast! Wychłostam wam tyłki, aż krew się poleje! - To kapitan i jego pomocnik Jemmy pędzili ku nim, przyciągając spojrzenia pozostałych kobiet oraz mężczyzn, którzy przybyli, by je wybrać. Wśród zgromadzonych dziewcząt wzmógł się gwar. Elizabeth stanęła i odwróciła się.

- W nogi, drogie panie! Oni chcą zhańbić waszą cnotę! W grupie dziewcząt wybuchła panika. Próbowaly uwolnić

się od potencjalnych „chlebobawców”, kilka z nich wbiegło z powrotem na statek, inne rozpierzchły się po porcie. Zdając sobie sprawę, że sytuacja całkowicie wymknęła mu się spod kontroli, Briggs rzucił się uspokajać swych klientów, krzycząc przez ramię do Jemmy ego, by „zagonił te dziwki z powrotem”, bo, jak zagroził, „dopadnie i jego tyłka”.

Béatrice porwała Marguerite w ramiona i we trzy puściły się biegiem. Lizabut prowadziła je nierówno brukowanymi ulicami i wąskimi alejkami, aż uznała, że Briggs nie ma już szans ich odnaleźć.

- No! To było doprawdy emocjonujące, czyż nie? - Włosy wysypywały się jej spod kapelusza, a w jednym z trzewików złamał się obcas. Urwała go i uniosła do góry.

- Wyśmienita pamiątka naszej eskapady. Zachowam go na zawsze - roześmiała się, potrząsając ściskany w dłoni pantoflem.

Claudette była zlana potem z wysiłku i przerażenia. Béatrice, purpurowa na twarzy, dyszała ciężko, a córeczka popłakiwała cicho u jej boku. Lizabut wykrzyknęła:

- Rety! Czy nasza przygoda tak wami wstrząsnęła? Już wiem, zatrzymajmy się gdzieś na herbatę i zaplanujmy, co dalej.

Zaprosiła towarzyszki na lekki posiłek do kawiarni nieopodal, by mogły dojść do siebie, i podsunęła rozwiązanie.

- Szukacie uczciwej pracy tu, w Londynie, tak? Moja ciotka na nic się tu nie zda. Fortunę trzyma pozamykaną na trzy spusty i dreszcz ją przechodzi, gdy choć ćwierć pensa ma wpaść do

kieszeni kogokolwiek innego niż jej ulubionego architekta. Mam lepszy pomysł. Znajdziemy parafię, gdzie zajmą się wami i pomogą znaleźć zajęcie. Nakarmią was i skierują, gdzie trzeba, jestem tego pewna.

Jedyną odpowiedzią ze strony Beatrice było pełne żałości, błagalne spojrzenie wbite w Claudette, więc zgodziła się w imieniu ich obu. Ruszyły przez dzielnicę Southwark, gdzie sprzedawca owoców wskazał im drogę do parafii Świętego Jerzego Męczennika. Wśród wymienianych na schodach kościoła pocałunków i uścisków oraz deklaracji przyjaźni kobiety przyrzekły sobie spotkanie w przyszłości, gdy Lizabut zostanie już Kobiętą Majętną, a Claudette Kobiętą Niezależną. Potem, na osobności, dziewczyna gorąco podziękowała Elizabeth:

- Zawsze będę ci wdzięczna. Już nigdy nie dam się nabrać komuś takiemu jak Simon Briggs.

- Moja droga, nie pozwól się zwodzić żadnemu mężczyźnie.

- Obiecuję. - Zerknęła w stronę żony wikariusza gawędzącej wesoło z Beatrice i Marguerite na temat swego warzywnika. Młoda Francuzka nie rozumiała prawie nic z angielskiej mowy, ale poświęcała mówiącej całą swą uwagę. - Za dużo spoczęło na mnie odpowiedzialności, bym mogła dać się oszukać.

Wzrok Lizabut pobiegł za spojrzeniem Claudette.

- Obawiam się, że zbyt szybko będziesz musiała dorosnąć.

Wersal, marzec 1781. Maria Antonina niemal od roku była w żałobie. Od listopada, gdy posłaniec przybył z wieścią, że jej matka, cesarzowa Maria Teresa, zmarła na skutek przewlekłej choroby. Potajemnie radowała się jednak, gdyż była pewna, że jest *enceinte*. Tym razem to musi być chłopiec! „A może - myślała - powinnam zamówić obraz u *madame* Elizabeth, która niedawno zaczęła uczyć malarstwa siostrę króla”. Portret przedstawiałby królową promieniejącą zdrowiem od noszenia pod sercem następcy tronu.

Malunek będzie wymagał nowej sukni schlebiającej jej błogosławionemu stanowi. I może powinna pozować przy kołysce?

Trzeba nabyć nową w oczekiwaniu na królewskiego potomka, który nie powinien spać tam, gdzie spoczywał już jakikolwiek śmiertelnik, nawet jego siostra. Kołyska będzie pozłacana, godna przyszłego króla.

Porozmawia z Ludwikiem o wszystkich tych sprawach, gdy zdradzi mu sekret. Przebiegło jej przez myśl, czy kołyska cała wykładana złotem nie byłaby zbyt kosztowna.

„Ach, nie mam głowy do pieniędzy, a lud widzi przecież, jak skromnie staram się żyć. Król niech coś postanowi”, zdecydowała w myślach.

ROZDZIAŁ 6

Londyn, październik 1781. Claudette czuła, jak ściska ją w żołądku, gdy stała przed imponującymi drzwiami dwupiętrowej rezydencji państwa Ashby. Tuż za nią Beatrice aż kulila się ze zdenerwowania, podczas gdy niewzruszona niczym Marguerite trajkotała nieustannie:

- Czyj to dom? Do kogo idziemy z wizytą? Znasz ich, mamusiu?

Claudette uciszyła ją, po czym uniosła kołatkę z brązu przedstawiającą łeb lwa o zmrużonych ślepiach i obnażonych kłach.

Drzwi otwarła kobieta w średnim wieku odziana w surową czerń. Jej oczy, maleńkie szare punkciki, pozbawione były ciepła. W twarzy dominował duży haczykowaty nos. Włosy ściągnęła z tyłu głowy w tak ciasny kok, że ich linia odcinała się na czole ostrą kreską. Claudette była przekonana, że żaden włos nie śmiałyby się wysmyknąć bez zgody właścicielki.

- Słucham? - przywitała przybyłe.

- Nazywam się Claudette Laurent. Pastor Daniels skierował mnie do pracy w domu *monsieur* Ashby'ego i jego rodziny.

Kobieta wystawiła dłoń, wielką jak niedźwiedzia łapa, w którą Claudette włożyła notkę od duchownego. Rzuciła na nią okiem, sprawiając wrażenie, że nie umie jej przeczytać.

- Rzeczywiście, referencje. A te dwie to kto? - spytała, wykonując głową gest w kierunku Beatrice i Marguerite.

- To Beatrice du Georges, moja przyjaciółka. Właśnie przybyliśmy do Anglii i poszukujemy razem zatrudnienia -odparła Claudette, wypychając strwożoną dziewczynę naprzód.

- A dzieciak?

- To Marguerite, córeczka Béatrice. Jest świetnie wychowaną dziewczynką i potrafi pomagać w pracach domowych. Nie przysparza żadnych problemów i zachowuje się bardzo cicho.

- Pani Ashby nie spodoba się przyjmowanie do domu darmożjada. Lepiej stąd idźcie. - Już myślała, że się ich pozbyła, gdy Claudette zrobiła krok do przodu, uniemożliwiając kobiecie zamknięcie drzwi.

- *Madame*, jesteśmy bardzo zmęczone i, szczerze mówiąc, okrutnie głodne, gdyż od przyjazdu nie miałyśmy w ustach nic poza odrobiną zupy i ciepłego *ale*. Zapewniono mnie, że otrzymane skierowanie pozwoli nam na odbycie rozmowy o pracę w tym domu i zamierzam upominać się o tę grzeczność.

Służąca przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią, rozważając, czy skorzystać z okazji, by pokazać tej bezczelnej dziewczusze, kto rządzi w tym domu, czy zaryzykować słynny gniew Maude Ashby za niewpuszczenie dwóch poleconych pomocy domowych. Powoli odsunęła się, wpuszczając do środka kobiety i rozbrykane dziecko.

- Nazywam się Lundy i jestem tu gospodynią, a więc zarządzam wszystkimi służącymi. Poczekacie tu, a ja sprawdzę, czy pani Ashby zechce was widzieć. - Z niesmakiem wzięła list pastora i wyszła.

Béatrice wydała jęk rozpaczny.

- Ach, Claudette, ona nas tu nie chce! Chodzi o Marguerite, prawda? Nie podoba jej się moje dziecko. A jeśli nie znajdziemy tu posady, co z nami będzie?

- Przestań, Béatrice. Zatrudnią nas. A jeżeli nie, to będziemy pukały po kolei do każdych drzwi w Londynie, aż wreszcie ktoś nas przyjmie.

Marguerite, która zamilkła na chwilę pod wpływem groźnego spojrzenia pani Lundy, nagle odzyskała głos:

- Mamo, mamo, czy to nasz nowy dom? Kto tu mieszka? Czy to twoi znajomi? Mamusiu, w brzuszku mi burczy.

Béatrice w roztargnieniu pogładziła główkę dziecka.

- Tak, *chérie*, to nasi nowi przyjaciele.

Po krótkiej chwili nadeszła pani Ashby. W młodości musiała być bardzo atrakcyjna i w pewien chłodny, posagowy sposób była nadal urodziwa, swą urodę wspomagając śmiałą farbą do włosów, subtelnymi kosmetykami oraz pomadami do pielęgnacji skóry. W ręce trzymała referencje.

- A więc pastor Daniels was do mnie skierował. Czyż nie dość kładę mu na tacy, że zmusza mnie do dodatkowej dobroczynności? Musi wiedzieć, że nie mam pieniędzy... to znaczy... potrzeby dodatkowych rąk pracy w domu. - Przez dłuższą chwilę przyglądała się całej trójce, uderzając listem w przód swej eleganckiej, choć nie najlepiej skrojonej sukni. Claudette natychmiast wyobraziła sobie, że kreację można zwięzić nieco w pasie, by podkreślić szczupłą talię pani Ashby, a u rękawów długości trzy-czwarte doszyć odrobinę koronki. Żadna lalka nie opuściłaby warsztatu ojca w stroju tak niedopracowanym jak u tej zamożnej damy.

Maude Ashby westchnęła ostentacyjnie.

- Nie podejrzewam, by któraś z was wykonywała kiedyś prace domowe. Niech no zerknę na wasze dłonie. Hm, tak jak się spodziewałam, hołubione i rozpieszczane przez całe życie.

Béatrice zadrżała, słysząc trafne przypuszczenie, ale Claudette zrobiła krok ku pani domu i rzekła:

- *Madame*, jestem córką jednego z najświetniejszych lalkarzy w Paryżu. Przywykłam do obsługi klientów, sprzątania sklepu, a także wszystkich prac związanych z produkcją lalek. Śmierć ojca postawiła mnie w obecnej ciężkiej sytuacji, lecz zapewniam panią, że nieobca mi jest harówka. - Przyciągnęła Béatrice bliżej. - Mojej przyjaciółce także.

Pani Ashby wywróciła oczami.

- Zdaje się, że nie mam wyboru, bo inaczej następnej niedzieli wysłuchiwać będziemy kazania o wspieraniu nędzarzy albo okazywaniu miłości bliźniemu. Co gorsza, pastor mógłby odebrać nam ławkę z przodu kościoła, a za długo pracowałam na tę pozycję, by teraz ją stracić. Och, Harrisonowie byliby zachwyceni, gdyby nam ją zabrano, a oni mogliby ją

wykupić. - Wydała z siebie kolejne ciężkie westchnienie. - Dobrze więc, przyjmę was na pr ó b ę, ale jeśli przysporzycie jakichkolwiek kłopotów, odeślę was bezzwłocznie pastorowi i opowiem, jakie jesteście nieznośne. I postarajcie się nie być tak rażąco francuskie. Jesteście w Anglii, na litość boską, a nie w tym kraju nierządu i bezprawia.

Pani Lundy zaprowadziła je do ich pokoi, wąskich klitek na strychu, pomalowanych na zielono i przesiąkniętych zapachem zjełczałego oleju. Każdy z nich zaopatrzony był w pryczę i niewielką toaletkę.

Bezzwłocznie zapędzono je do pracy. Claudette trafiła do kuchni w roli służącej, a Beatrice posłano do pralni, gdzie nikomu nie rzucała się w oczy i mogła mieć przy sobie Marguerite. Ale obowiązki, którym miała sprostać, wiązały się z brudem oraz gorącem i były zupełnie nie na siły delikatnej dziewczyny. Jej dłonie wkrótce opuchły i zrobiły się spierzchnięte, czasem krwawiąc tam, gdzie pękła przesuszona skóra. Beatrice często płakała ukradkiem, zaciskając i pocierając obolałe palce. Jak jedna rodzina mogła brudzić tyle bielizny?

W skład rodziny Ashbych wchodził James Ashby, jego żona Maude oraz dwunastoletnie bliźnięta Nathaniel i Nicholas. Pan domu miał nienaturalnie wielki brzuch i tak rozległe zakola, że zdawały się należeć do kogoś o wiele starszego. Lata w trzymanym żelazną ręką żony domu przygarbiły mu plecy, co w połączeniu z wydatnym brzuchem nadawało mu wygląd pokrytego rzadkim włosem jaja na twardo.

Maude Ashby pochodziła ze skromnego rodu, którego gwiazda zaczęła wschodzić, gdy jedna z jej ciotek, parę dekad temu, została kochanką Jerzego II. Ciotka ta była jedną z wielu nałożnic, którymi król pocieszał się po śmierci swej żony, królowej Karoliny. Król sprezentował kochance klejnoty, wina i jedwabie, ona jemu zaś - nieślubnego syna. Jerzy postanowił wówczas, że czas zakończy romans z uroczą Matildą Carter, i zapisał jej rezydencję w Yorkshire oraz sumę pięciuset funtów rocznie z królewskiej kiesy, uważając się za wybitnie hojnego, szczególnie że uznał syna.

Matka Maude nieustannie wbijała jej do głowy, że powinna czerpać naukę z przykładu ciotki i w żadnym wypadku nie godzić się na pozycję kochanki. Należało dobrze wyjść za mąż i przynieść rodzinie prestiż, a poza nim - co ważniejsze nawet - majątek. James Ashby wydawał się dobrą partią: dwadzieścia tysięcy funtów spadku po dalekim krewnym, udziały w towarzystwie żeglugi utrzymującym handel z amerykańskimi koloniami oraz nienaganna reputacja rodu. Niestety, koloniści wypowiedzieli Brytyjczykom wojnę, przez co interes upadł. Większość odziedziczonych pieniędzy, a przynajmniej to, co z nich zostało po zakupie sporej kamienicy w St. Marylebone, James przeznaczył na utrzymanie firmy na powierzchni, lecz kiedy zbuntowani brytyjscy poddani porwali i ograbili dwa statki w nowojorskiej przystani, popłynęły ostatnie jego oszczędności.

Mając dwóch synów, którym chciała zaaranżować korzystny ożenek, Maude nie okazała wyrozumiałości dla niepowodzeń małżonka. Któraż panna będzie chciała wyjść za młodzieńca, którego ojciec stracił cały majątek w nieudanym przedsięwzięciu handlowym? Maude co jakiś czas parskała pod nosem, zastanawiając się, jak mogła poślubić takiego imbecyla. Na jej głowie spoczęło podsycanie iluzji dobrobytu rodziny, więc skrycie zaciskała pasa i oszczędzała, na czym się tylko dało. Czerpała fundusze ze spadku po ciotce, czekając, aż pewnego dnia jakiś interes wreszcie się powiedzie i odzyska swój właściwy status społeczny. Przynajmniej miała synów -ach, drogi Nathaniel! - na pocieszenie.

Nathaniel Ashby kształtem przypominał ojca, lecz z charakteru - matkę. A że na niczym nie zależało mu tak bardzo, jak na czołowym miejscu w sercu rodzicielki, jego jadowita osobowość obracała się najczęściej przeciwko bliźniaczemu bratu Nicholasowi. Nathaniel obmyślał spiski, jak wplątać Nicholasa, chłopca spokojnego i myślącego, w kłopoty i zapewnić mu niezасłużone lanie od matki lub kierownika szkoły. Jego ostatnia intryga polegała na schwytaniu węża i ukryciu go pomiędzy podręcznikami brata w stercie poskładanej bielizny

pościelowej. Znalazła go ta głupia krowa, nowa pomocnica Béatrice. Jej krzyki i piski postawiły na nogi całą okolicę. Nathaniel poinformował matkę, zgodnie z prawdą, że książki należały do Nicholasa, który na domiar złego nierzadko urządzał wycieczki do pralni. Wymierzono więc Nicholasowi kilka razy i posłano do łóżka bez kolacji, nie dając szansy na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Nathanielowi zdarzało się poczuć wyrzuty sumienia, szczególnie gdy brat zwracał na niego spojrzenie wielkich oczu, spoglądających wymownie z jego bladej twarzy, ale pozbywał się ich zaraz, gdy tylko matka wsunęła mu do ust jakiegoś łakocia.

Nicholas powinien być faworytem Maude, jako że to właśnie on ze wszystkich mężczyzn rodu Ashbych miał największe szanse, by odzyskać pewnego dnia rodzinną fortunę. Był jednak w dużej mierze pomijany przez matkę. Zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie żywił do niego brat, a nawet do pewnego stopnia je rozumiał. Ciągłe zwykane skłoniły go do wycofania się w cień, bezszelestnego przemierzania korytarzy, starań, by pozostać niezauważonym, i odżywiania się tylko wówczas, gdy ktoś zwracał się bezpośrednio do niego. Całe godziny spędzał zatopiony w lekturze lub kontemplował, siedząc na zewnątrz, pod drzewami, liście, ziemię i niebo. Przechodzący obok człowiek rzekłby do siebie: „Cóż za rozgarnięty, poważny młodzieniec”.

Przybycie Claudette i Béatrice pod ich dach zaintrygowało Nicholas. Francuski akcent dziewczyn i ich maniery były dla niego nowym odkryciem. Nosiły się w inny sposób niż pozostałe służące i nawet zdawały się dostrzegać jego istnienie. Chodził za nimi, rzecz jasna po kryjomu, podkradając się czasem tam, gdzie pracowały, i przypatrując im się z progu. Musiał jednak uważać, by nie dać się przyłapać Nathanielowi.

Z dwóch służących - lub też pań, jak myślał o nich Nicholas - Béatrice była tą, którą lubił bardziej. Emanowała taką delikatnością i była tak różna od jego matki, że nieodparcie ciągnęło go do niej, a w swej dziecięcej desperacji podobny był do kolibra wabionego przez kwiat, starającego utrzymać się przy

kielichu szaleńczym biciem skrzydełek. Na Marguerite nie zwracał uwagi. Była tylko małą dziewczynką, nieistotną i niegodną jego uwagi.

Béatrice, instynktownie rozpoznając nieśmiałość chłopca, wciągała go w rozmowę, gdy prała, składała pościel czy cerowała.

- Jakich przedmiotów uczysz się w szkole, *monsieur* Nicholasie?
- spytała kiedyś coraz poprawniej szym angielskim, podnosząc się z kolan i strzepując nad wiadrem ociekające wodą, zaczerwienione ręce.

Splonąwszy rumieńcem, odparł:

- Och, jedynie gramatyki i rachunków. I historii.

- A czego to z historii nauczyłeś się dzisiaj?

- Poznajemy imiona wszystkich królów i królowych Anglii, największych władców na świecie.

- No tak, przypuszczam, że można i tak to interpretować. A czy wiesz, że wasza królowa Elżbieta zwodziła swego czasu francuskiego księcia d'Anjou, udając, że pragnie go poślubić, a w istocie wcale nie mając takiego zamiaru? Wszystko po to, by utrzymać przyjacielskie stosunki między Anglią a Francją.

- Doprawdy? Tego nas nie uczyli. Przynajmniej jeszcze nie. Béatrice wzięła kolejną stertę ubrań i zabrała się za ich sortowanie.

- Więc jeśli największa królowa Anglii uważała, że warto żyć w przyjaźni z Francuzami, to i my powinniśmy się zaprzyjaźnić, *oui*? - Puściła do niego oko, po czym odwróciła się po mydło, starając się, by nie widział, jak masuje otarte dłonie.

Tymczasem Claudette robiła, co mogła, by przetrwać walkę toczącą się w kuchni. W tej części domu służba skakała sobie do oczu, byle tylko przypodobać się pani Lundy i zyskać uznanie w jej oczach. Pracownicy bezustannie się szpiegowali, by donieść przełożonej o czymś nagannym zachowaniu. W ten sposób można się było przyczynić do zwolnienia konkurenta z pracy, co dawało szpiegowi szansę na zajęcie

stanowiska oddalonej osoby. A jeśli nawet nie udało się zdobyć tej najwyższej z nagród, można było przynajmniej zyskać pochwałę od pani Lundy za informowanie jej, co dzieje się w domu, tym samym dając dowód swej lojalności wobec rodziny Ashbych.

Claudette szybko pojęła, że należy wszystkim schodzić z drogi, utrzymując stosunki jedynie z Beatrice i skupiając uwagę wyłącznie na wykonywaniu zadań stawianych każdego ranka przez panią Lundy. Na ogół były to najgorsze roboty kuchenne oraz to wszystko, czego pozostali służący nie mieli ochoty wykonywać. Długie dni zmieniały się w długie miesiące, a czas płynął jej na szorowaniu garnków i patelni oraz niekończącej się bieganinie po schodach, gdyż była co chwilę wysyłana na wymyślane przez podłą gospodynię posyłki. Niestety, pozostali służący zdecydowali, że francuskich intruzek nie lubią nawet bardziej niż siebie nawzajem, pomimo że przecież przejęły najbardziej znieawidzone przez wszystkich zajęcia. Zawiść, która rozkwitła w stosunku do wykształconych i ułożonych przybyszek, zaowocowała swoistym sojuszem pomiędzy pozostałymi pracownikami domu. Claudette często słyszała za plecami szept i drwiny.

Najgorsza ze wszystkich była Jassy Brickford, chuda nastolatka, której korzenie rodzinne budziły ogólne wątpliwości, mimo że sama twierdziła, iż spokrewniona jest z Karolem II. Komuż o niewiadomym pochodzeniu można było odmówić tego pokrewieństwa? - zastanawiała się Claudette.

Jassy nie tolerowała francuskich manier Claudette. Musiała zdawać sobie sprawę że pełne elegancji i klasy stanowią zupełne przeciwieństwo jej zachowania.

Wiele czasu spędzała na krytykowaniu dziewczyny przed innymi zatrudnionymi w domu kobietami.

- Francuzeczka zadziera noseczka, nie? Ledwo wczoraj słyszałam, jak pani Lundy nakazuje jej pozbierać wszystkie zdechłe kwiatki z całego domu i powkładać wszędzie świeże, z ogrodu. Oczywiście nasza Francuzeczka guzik wie o porządnym angielskim układaniu bukietów, więc pani Lundy kazała

jej zrobić wszystko od początku. Mała francuska Fifi mówi na to, że lepiej się nie da z tego, co jest. Myślałam, że jej zęby wyfruną, jak jej Lundy przyłożyła w gębę. - Jassy aż się roześmiała, odtwarzając scenę w pamięci, a jej słuchaczki zawtórowały. - Za kogo ona się ma! Nawet ja, choć mam pewne dystyngowane pochodzenie, nie pyskuję przełożonym, a już na pewno nie tej starej jędzy z nosem jak trąba! Komu potrzeba, żeby Lundy okładała go po uszach cały dzień?

Pozostałe służące uwielbiały przysłuchiwać się opowieściom Jassy i z zapalem przyznawały, że obie Francuzki, a przede wszystkim Claudette, to śmierdzące leniuchy.

Jedynym poza Nicholasem przyjacielem, jakiego miały pod tym dachem, był niewyrośnięty osiemnastoletni młodzieniec nazwiskiem Jack Smythe. Jego wielkie serce z okładem rekompensowało niedociągnięcia postury i z otwartymi ramionami powitał nowo przybyłe. Jack nie pełnił w domostwie konkretnej roli, ale większość czasu spędzał, załatwiając przeróżne sprawy, z którymi wysyłano go do miasta, gdyż był niewielki, szybki i bardzo zwinnie się poruszał. Jack mieszkał w podziemiach z pozostałymi służącymi w domu mężczyznami, ale Claudette nie raz, nie dwa była świadkiem, jak chłopak wykrada się przez okno na stryszku, zsuwa się po obrośniętej bluszczem ścianie budynku, po czym rusza w miasto. Rano zawsze stawiał się na wezwanie i nigdy nie było po nim widać, że brakuje mu snu. Miło było pomyśleć, że jest choć jeden służący, który nie marzy, by zobaczyć, jak ich ciała giną w falach Tamizy.

Co wieczór, nieważne jak bardzo były zmęczone, Claudette i Béatrice spotykały się w pokoiku jednej z nich, po tym jak Marguerite zasnęła już na wysuwającym łóżeczku na podłodze klitki Béatrice. Opowiadały sobie o minionym dniu i pocieszały się nawzajem. Claudette przynosiła na górę resztki deserów i innych potraw, by nadrobić jakoś nędzę zwykłych posiłków, które spożywały z resztą służby, gdy państwo skończyli jeść. Claudette udawała, że nie dostrzega obtartych do krwi dłoni Béatrice i jej poczerwieniałej twarzy, a przyjaciółka nie

komentowała tego, jak bardzo Claudette zmizerniała. Próbowaly nawet zobaczyć swoje położenie w jaśniejszych barwach, pozornie zazdroszcząc jedna drugiej.

- Béatrice, gdybym tylko mogła ukryć się w pralni, z dala od wścibskich oczu pani Lundy i od tej okropnej Jassy Brick-ford, prasowałabym z radością cały dzień i szykowałabym najświeższe prześcieradła, jakie widział świat. Nawet ubrałabym się w prześcieradło, byle tylko zdjąć z siebie ten fartuch i czepek!

- Nie żartuj! Masz możliwość oglądania wszystkich ciekawych znajomych i gości państwa Ashbych. Pomyśl sama, może niedługo poznasz kogoś z nich! Co więcej, masz dostęp do wszystkich naczyń, a to daje ci o wiele większą szansę niż mnie na trafienie Jassy filiżanką!

Przyjaciółki śmiały się i płakały razem w tych krótkich chwilach, a potem kładły się do łóżek, by zapaść w niedający wypoczynku sen, który kończył się pobudką o świcie kolejnego ciężkiego dnia. Na ogół Claudette nie śniła, jednak czasem umysł podsuwał jej obraz Jeana-Philippea. Nie widziała go już niemal od roku. We śnie pojawiał się odziany w kolorowe szaty - śmiałe czerwienie, turkusy i fiolety - i zawsze wyciągał rękę z podarunkiem dla niej. Mogła to być róża, książka czy medalion, który mu ofiarowała. Powtarzał szeptem jej imię. Dziewczyna budziła się w te noce drżąca i zlana potem. Aby się uspokoić, wyciągała spod koszuli łańcuszek, składała pocałunek na pierścionku zaręczynowym i obracała go tak, by spoczywał pod jej policzkiem. Niewygoda tej pozycji odwracała jej uwagę od nękających ją myśli. Na ogół pamięć niosła ją do dnia, kiedy dostała pierścionek.

Jean-Philippe coraz częściej w trakcie wspólnych spacerów ożywiał się, gdy relacjonował, co majster Gamain miał do powiedzenia na temat światowych wydarzeń.

- Wiesz, Claudette, *monsieur* Gamain powiada, że amerykańscy koloniści mieli rację. I że my tu, we Francji, cierpimy

taki sam ucisk jak oni tam. Uważa, że to wszystko wina króla i królowej, że opodatkowują nas wręcz skandalicznie, a sami beztrzesko wydają te pieniądze na swoje zachcianki. Twierdzi, że powinniśmy zrzucić jarzmo władzy!

- Ćśś, Jeanie-Philippie! Nie można mówić takich rzeczy o królewskiej parze. To... to przecież... zdrada!

- Być może... Ale czy zdradą jest żądanie sprawiedliwości?

Coraz częściej odbywali przechadzki w milczeniu, przerywając marsz jedynie po to, by objąć się ukradkiem lub podyskutować o nadzwyczajnej mądrości *monsieur* Gamaina. Claudette uwielbiała uścisk ramion Jeana-Philippea obejmujących jej wiotką kibić, gdy tulili się, oparci o pień drzewa. Ramiona te były coraz silniejsze od codziennej pracy, a na dodatek zaczynały się pokrywać ciemnymi, kręconymi włoskami. Zapewnienia młodzieńca o miłości i plany, jakie snuł w związku z ich wspólną przyszłością, zapierały jej dech w piersi. Jediną skazą na niezmaconym szczęściu była fascynacja Jeana-Philippea majstrem Gamainem.

- Słyszałaś, że królowa urządza uczyty i co wieczór przegrywa tysiące franków, grając w karty? *Monsieur* Gamain powiada, że od rana do nocy wydaje mnóstwo pieniędzy na stroje, biżuterię i podarki dla znajomych. Co więcej, mówi się, że uprawia sprzeczne z naturą stosunki ze swymi przyjaciółmi. Organizuje orgie w zaroślach Wersalu!

Claudette nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

- Jeanie-Philippie, co za idiotyczna historia! Królowa Francji, którą oboje poznaliśmy i oceniliśmy jako wzór niewinności, oddająca się nierządowi w krzewach hortensji! Równie dobrze można by wierzyć komuś, kto przysięgałby, iż widział, jak Marii Antoninie wyrosły skrzydła i latała nad Paryżem, przysiadając na czubkach drzew. Myślę, że mistrz drwi sobie z ciebie.

- *Monsieur* Gamain mówi też, że królowa ma ponad pięciuset służących i że na dworze jest nawet człowiek zatrudniony tylko po to, by podawać jej szklanek wody, gdy poczuje pragnienie. To przecież miazdzące brzemię dla nas, mieszczan,

i dla chłopstwa, by płacić za te fanaberie. Dlaczego mamy dźwigać to brzemie, Claudette?

Na szczęście Jean-Philippe zapominał o cierpieniach ludu, gdy tylko brał Claudette w ramiona, a jej w tych chwilach czułych uścisków i słodkich szeptów wylatywał z głowy wszechobecny *monsieur* Gamain.

Pewnego bezchmurnego czerwcowego dnia przechadzali się jak zwykle i doszli aż do ogrodu des Plantes, gdzie spędzili trochę czasu w zawiłych labiryntach żywopłotów. Później, zamiast tradycyjnie poszukać ławki, ułożonej tak, by sprzyjała ciekawemu zajęciu obserwowania spacerowiczów, Jean-Philippe poprowadził Claudette dalej w głąb parku i rozłożył koc pod wielowiekowym dębem, którego korona tworzyła nad nimi szeroki na dziesięć metrów baldachim. Gdy już usiedli, młodzieniec dość nieudolnie poruszył temat uczuć, jakie żywił do dziewczyny. Wreszcie, rozumiejąc coraz mniej z jego przemowy, Claudette przerwała:

- Wiem, że mnie kochasz i że się pobierzemy, gdy dorośniemy. Czy masz mi do powiedzenia coś jeszcze?

Zamilkł, by zebrać myśli.

- Claudette, oszczędzałem to, co udało mi się zarobić, choć nie ma tego wiele, i chciałem ci coś ofiarować. Jest to skromny podarek, ale mam nadzieję, że przyjmiesz go i zachowasz, dopóki nie będzie mnie stać na taki, który naprawdę będzie cię godzien. - Sięgnął do kieszeni i wyjął maleńki, przewiązany sznurkiem pakuneczek.

Dziewczyna otworzyła go i jej oczom ukazał się drobny pierścionek z cyny. Obrączka była prosta, zakończona misternie wykonanym supelkiem. Wpatrywała się w nią przez chwilę, nie będąc pewna, czy dobrze rozumie. Jean-Philippe wyjął jej z ręki pierścionek i odwrócił jej dłoń, by wsunąć go na serdeczny palec.

- Gołębaczko, ta obrączka to obietnica małżeństwa. Pobierzemy się, gdy skończymy osiemnaście lat, a ja nie będę już terminował. Czy za dwa lata wyjdiesz za mnie?

Nie mogła oderwać wzroku od pierścionka ani uwierzyć w to, co przeżywa. Wreszcie udało jej się wykrztusić:

- Oczywiście.

Sięgnęła do łańcuszka na szyi i zdjęła wiszący na nim medalion - jedyną sztukę biżuterii, jaką dotychczas posiadała - i wręczyła go

Jeanowi-Philippeowi jako symbol swojej przysięgi. Przypieczętowali narzeczeństwo pocałunkiem i umówili się, że zachowają je w tajemnicy, dopóki trwać będzie nauka chłopca.

Wstali z trawnika, zapominając o kocu. Jean-Philippe wziął Claudette pod rękę, a gdy szli, głaskał jej dłoń. Pogwizdywał wesoło, gdy przemierzali park, tak jakby był to jeden z wielu wspólnie spędzanych dni, a ona oblała się rumieńcem, pewna, że tak właśnie czuje się kobieta dorosła na przechadzce z oddanym małżonkiem.

Claudette nie pokazała pierścionka nawet rodzicom, a i Jean-Philippe ukrył medalion, świadom, że matka i ojciec byliby wściekli na wieść, że poza nauką i pracą ma inne plany na przyszłość. Zarówno państwo Laurent, jak i państwo Renaud uważali, że ich pociechy to jeszcze dzieci i pozwalali im spotykać się tak często, jak mieli na to ochotę.

Dzięki skromnym zarobkom od *monsieur* Gamaina ich wspólne chwile nie ograniczały się do spacerów i skradzionych całusów. Poza urządzanymi w parku piknikami bywali też na przedstawieniach i w kawiarniach. Claudette czuła się bardzo dorosła, gdy popijała swoją pierwszą w życiu kawę. Mimo że była okropnie gorzka, nie zostawiła w filiżance ani kropelki, bo spożywanie tego napoju uważała za wysoce nobilitujące. Jean-Philippe śmiał się i podziwiał, jak dzielnie stara się polubić popularny napar. Bardzo często zachowywał jednak powagę.

- Gamain powiada, że klasa średnia, czyli my, Claudette, odsunięta jest na margines świata polityki. Tylko arystokracja i duchowieństwo mają coś do powiedzenia we Francji. My stanowimy większą część narodu, lecz nasze zdanie się nie liczy. Amerykańscy koloniści podjęli walkę, by przejąć władzę nad rządem. Powinniśmy wziąć z nich przykład.

- Ależ Jeanie-Philippie - protestowała narzeczona, krocząc u jego boku wąską, brukowaną uliczką pośród przytulonych

ciasno kamienic ozdobionych obfitym różowym i czerwonym kwieciem rosnącym na parapetach. - Czy koloniści nie walczą o ustanowienie własnego państwa, bo są daleko od Anglii? My dzielimy ziemię z naszym rządem.

Jej argument zbił Jeana-Philippea z tropu, ale tylko na chwilę.

- To bez znaczenia. Lud Francji powinien mieć prawo głosu. A teraz, turkaweczko, właśnie dostałem wypłatę i zapraszam cię na tartę z kremem.

Wziął ją pod rękę i czule pogładził jej dłoń. Claudette natychmiast zapomniała o słowach majstra, kolonistach i problemach ojczyzny. Zakochana dziewczyna nie obejmuje pamięcią nic poza tym, co ostatnio zrobił dla niej ukochany.

Leżąc teraz na wąskiej pryczy, czuła, jak wspomnienia ulatniają się pod ciężarem udreki i tępego bólu samotności, które na dobre zagnieździły się w jej sercu.

ROZDZIAŁ 7

Jednym z elementów starań Maude Ashby, by przywrócić rodzinie właściwy, w jej mniemaniu, status społeczny, było częste wydawanie przyjęć. Z początku zapraszała na nie sąsiadów oraz partnerów w interesach Jamesa. Nie tych, których docelowo pragnęła ujrzeć na swych salonach, ale mniej ważnych, mających posłużyć za szczeble do kariery, dopóki reputacja państwa Ashbych się nie poprawi. Miała zawsze asa w rękawie w postaci atrakcji-niespodzianek, jak wtedy, gdy gości bawiła sztuczkami tresowana małpka. Zapewniało jej to opinię niezrównanej gospodyni. Powoli budowała grupę swoistej „klienteli” pojawiającej się na jej przyjęciach. Po każdej uroczystej kolacji skreślała kilka osób z listy gości planowanych na następną wizytę, uznając, że przewyższa ich już w hierarchii społecznej. Zapraszała natomiast kilkoro nowych ludzi, z którym rozpaczliwie chciała zrównać się rangą. Chociaż nie mogła powiedzieć, żeby jej przyjęcia były szczególnie wyjątkowe, a zaproszenia na nie specjalnie pożądane, to jednak skrupulatnie pilnowała listy gości, by nadać spotkaniom znamiona pewnej ekskluzywności. Od paru dni głowiła się nad zorganizowaniem kolejnego przyjęcia, uznając w końcu, że przyniesie niewątpliwą korzyść. Wzięła się więc do planowania wydarzenia.

Poszła do gabinetu Jamesa, wyglądając po drodze suknię i przywołując na twarz najmiłszy uśmiech.

- Panie mężu, sądzę, iż czas na kolejną proszoną kolację. Chyba się ze mną zgodzisz.

James Ashby podniósł znad książki zdumione spojrzenie. Nie przypominał sobie, by Maude kiedykolwiek konsultowała się z nim w tych sprawach. W zasadzie nie pamiętał, kiedy

ostatnio żona przemówiła do niego w uprzejmy sposób, bez zawołanej aluzji do jego nieudolności w byciu mężem, ojcem i żywicielem rodziny.

- A... ależ naturalnie, moja droga, jeśli tylko cię to uszczęśliwi.

Westchnęła z rozdrażnieniem.

- Nie chodzi o moje s z c z ę ś c i e, ale daje mi to szansę... to znaczy, daje to szansę tobie, by wejść w odpowiednie kręgi. To jeszcze nie wszystko! Mam pomysł, który sprawi, że staniemy się prawdziwie wyjątkowymi członkami elity.

Podczas gdy Maude Ashby przedstawiała mężowi swą nadzwyczajną wizję, przekonana, że wreszcie zdobędzie szacunek i podziw wszystkich właściwych osób, wzrok Jamesa przesunął się z żony na obraz wiszący na ścianie, a jego myśli odpłynęły ku klubowi, gdzie planował udać się następnego dnia z jednym z przyjaciół, by napić się brandy, zapalić cygaro i uciec od piekielnego zrządzenia w domu.

-Co takiego? Co każe ci zrobić? - Béatrice nie wierzyła własnym uszom. - Ależ Claudette, pani Ashby nas obu nie znosi. Dlaczego nagle, po tylu miesiącach, daje ci takie polecenie?

- Nie mam pojęcia, Béatrice. Ale myślę, że muszę zrobić, co zleca, niezależnie od tego, jak śmiesznie wypadnę. Przypuszczam, że będę miała okazję spotkać tych wszystkich ciekawych ludzi, których, jak masz nadzieję, znają państwo Ashby.

- Ach, gdybyś tylko poznała kogoś, kto pomógłby nam się stąd wydostać. Jakżebym chciała choć przez jeden dzień nie musieć czyścić bryczesów Nathaniela. Są tak okropnie brudne! Podejrzewam, że naumyślnie wciera w nie w nie błoto i robactwo, żeby utrudnić mi pracę.

Claudette przytuliła przyjaciółkę.

- Nie wiem, czy ktoś z grona znajomych państwa Ashbych mógłby stać się naszym sprzymierzeńcem, ale wiem, że pani podaruje mi kilka nowych sukienek w związku z moją rolą, a ja podzielę się nimi z tobą!

Jassy była wściekła jak osa. Jakim prawem ta francuska dziwka zostaje wyniesiona na stanowisko pokojówki? Przecież pani Ashby nigdy nie miała osobistej służącej, a skoro nagle zaszła tak wysoko w hierarchii społecznej, to czemu jej, Jassy, nie trafiła się ta funkcja? „W końcu - myślała - jestem tu już prawie cztery lata i swoje wiem o układaniu fryzur, o tak. Czy to nie ja cesałam ciotkę Mary zanim trafiła do trumny? Gdyby nie ta francuska ładaczka i jej przyjaciółka-szara myszka, ja byłabym teraz pokojówką pani i mogłabym się znaleźć lepszemu mężowi niż teraz, jak jestem w kuchni”.

Jassy zmrużyła oczy w wąskie szparki. To nie *fair*, a ta nadęta, zarozumiała gaska będzie niedługo musiała zacząć się liczyć z Jassy Brickford.

Przygotowania do wielkiego przyjęcia, określonego na zaproszeniach mianem „wieczorku francuskiego”, trwały już kilka tygodni, dzień i noc, wprawiając cały dom w gorączkowy nastrój. Trzepano dywany, wietrzono obrusy, polerowano srebra. James coraz częściej zostawał do późnych godzin nocnych w Klubie dla Dżentelmenów Brooksa, by uniknąć niekończącego marudzenia żony o tym, jakim trudem są te wszystkie przyjęcia, ale że ona zniesie je w ramach poświęcenia, by ratować dobre imię rodziny i podreperować majątek, który tak niefortunnie stracili.

Nicholas i Nathaniel z zaciekawieniem przyglądali się pracom. Nicholas zgłosił się na ochotnika, by znosić rzeczy na dół do pralni, co nie wiedzieć czemu, zajmowało mu zwykle około godziny. Na szczęście służba i domownicy byli zbyt zajęci, by cokolwiek zauważyć. W chwilach, gdy nie polował na kawałki próbnego ciasta kucharki, Nathaniel obmyślał, jaki figiel spletać któremuś z gości. Pająk w kieliszku? Nie, to głupie, za poważny był na taką dziecinadę. Może rozniecić na zewnątrz mały pożar, tak by przerazić przybyłych? Nie, ojciec nieczęsto wpadał w gniew, ale taki dowcip z pewnością ściągnąłby na

głowę jego autora srogą karę, a on najpewniej nie przekonałby nikogo, że to sprawka Nicholasa. Musiał wymyślić coś prostego i niemożliwego do wykrycia.

Claudette, mianowana tymczasowo na osobistą pokojówkę pani, musiała przejść godziny instruktażu, ucząc się, jaką dokładnie pozycję zająć za panią Ashby („Zawsze stój za moim lewym ramieniem, na tyle blisko, bym nie musiała podnosić głosu, wydając ci polecenia, ale wystarczająco daleko, abyś na mnie nie wpadała. Nie chcę wyczuwać twojej obecności, lecz muszę mieć pewność, że gdy upuszczę serwetkę, ty będziesz na miejscu, by natychmiast ją podnieść”). Szkolenie ciągnęło się w nieskończoność. Kiedy odezwać się do gości (tylko w chwilach, gdy pani Ashby się nią popisywała), kiedy się uśmiechać, a kiedy nadać twarzy wyraz powagi, kiedy wyjść z pokoju, kiedy wtrącić coś pochlebnego o swojej pani, jak podawać jej wino w uniżony, lecz pełen uwielbienia sposób, jak wyczuć właściwy moment, by rzucić uprzejme słówko chlebobdawczyni.

Lekcje *savoir-vivre* przeplatane były nauką, jak czesać panią Ashby („A gdyby tak wysunął się jakiś kosmyk? Ludzie będą oczekiwali, że natychmiast się tym zajmiesz”). Została również poinstruowana, jak w subtelny sposób nanieść puder i róż na policzki pani Ashby, gdyby przypadkiem się starł („Tak abym przez cały czas wyglądała jak najlepiej. Muszę przez cały wieczór wyglądać cudownie”).

Na zakończenie kilkutygodniowego szkolenia pani Ashby rzekła do Claudette:

- Pomyśl tylko, jeśli się sprawisz, może nawet zatrzymam cię jako moją osobistą służącą. Co za zaszczyt dla ciebie! A jak inne panie będą mi zazdrościć!

Claudette tępy uśmiechem zamaskowała przemożną chęć krzyku. Pocieszała się myślą, że dostanie sukienki. Kilka zaledwie, ale będą nowe i będzie się nimi mogła podzielić z Béatrice. Podczas przymiarek prosiła, by uszyto stroje nieco obszerniejsze, tak aby przyjaciółka, o nieco obfitszej tuszy, swobodnie się w nie mieściła. Pani Ashby nie zgodziłaby się na żadne wyszukane materiały, ale w porównaniu z uniformem,

w którym była dotąd uwięziona, stroje - w tym jedna prawdziwa suknia wieczorowa - były jak dar z niebios. Krawcowa starała się naśladować francuską modę, miała jednak wzory sprzed dekady, a Maria Antonina dbała o to, by przemysł modniarski rozwijał się pełną parą, więc daleko idące zmiany w dopuszczalnych kolorach i stylach zachodziły co sezon. Tkaniny, których użyła szwaczka, były praktyczne i dobrej jakości. Claudette przywodziły na myśl materiały używane przez ojca do ubierania lalek. Poczwała nagłą tęsknotę za Paryżem, jego swojskimi zapachami i hałaśliwymi ulicami, za rodzicami i ukochanym warsztatem, ale przede wszystkim za Jeanem-Philippeem. Może jednak żyje? Czy uda jej się kiedyś wrócić do Francji, by go odszukać?

Dzień przyjęcia okazał się piękny, jak gdyby nawet pogoda nie śmiała odmówić złożonemu przez panią Ashby zamówieniu na pełne słońce i lekki zefirek. Gorączka ostatnich tygodni osiągnęła punkt kulminacyjny w ostatecznym zrywie polerowania, odkurzania i szorowania. Wyjęto z ukrycia tajny skład oryginalnych świec z wosku pszczelego i umieszczono je w lśniących kandelabrach oraz kinkietach na całym parterze. Czuć było odurzający zapach artystycznie ułożonych, świeżych kwiatów stojących na bacność w licznych wazonach na stołach i kredensach. Nawet bliźniakom nie udało się uniknąć doprowadzenia do porządku: wyszorowano ich do czysta i ubrano w identyczne spodnie oraz marynarki, choć mieli zapowiedziane, że nie pozostaną w towarzystwie dłużej niż godzinę, zanim zostaną wysłani do łóżek. Pan Ashby również przywdział najelegantszą kamizelkę.

Pani domu nie wychodziła z ukrycia przez wiele godzin, dogładana jedynie przez Claudette. Pozostałe służące czuły gniew na myśl o nagłym podniesieniu rangi dziewczyny, ale żadna nie miotała z tego powodu tylu gromów co Jassy. Wylewała swoją wściekłość przed każdym, kto chciał jej wysłuchać. „Coś należy zaradzić na to panoszenie się Panny Wielkiej

-Wspaniałej-Francuzki", myślała, z wściekłością atakując nasączoną pastą szmatką kołatkę z brązu.

Pani Ashby spędziła godzinę, ćwicząc zejście głównymi schodami - Claudette miała podążać tuż za nią, zachowując odpowiedni - nie za duży, lecz i nie za mały - dystans. Miała stąpać nieco z boku, tak aby goście mogli się dobrze przyjrzeć nowej francuskiej służce pani, lecz nie nazbyt daleko, bo to odciągnęłoby uwagę przybyłych od wydekoltowanej sukni balowej szytej wedle najnowszych trendów, którą pani Ashby sprowadziła prosto z Paryża. Zdaniem Claudette groszkowa zieleń przetykana srebrną nicią zupełnie nie pasowała do ciemnej karnacji właścicielki, ale rozsądnie powstrzymała się od wygłaszania swoich sugestii.

Zejście pani Ashby do gości wypadło satysfakcjonująco i Claudette najwyraźniej bezbłędnie zastosowała się do wszelkich instrukcji, gdyż nie została skarcona, gdy dotarły na parter, a gospodyni poczęła zabawiać gości.

Od czasu do czasu Maude odnajdowała męża, teoretycznie po to, by poflirtować subtelnie z jego rozmówcą, lecz w istocie celem jej było sprawdzenie, czy James nie wystawia się na pośmiewisko nedorzecznymi komentarzami. Doprawdy, człowiek ten był w roli gospodarza po prostu śmieszny.

Gdy pani Ashby upewniła się już, że podeszła do każdego z wcześniej przybyłych gości przynajmniej raz, ulokowała się w bawialni. Wybrała takie miejsce, by widzieć kolejnych przybywających gości i na tyle daleko w głębi pokoju, by nowo przybyli musieli włożyć choć trochę wysiłku, aby podejść do niej, by ją pozdrowić.

W pewnej chwili, stojąc tuż za panią Ashby, Claudette spostrzegła potężną kobietę o zdeterminowanym spojrzeniu i kropelkach potu na czole, która wtoczyła się przez drzwi, rzucając ostro jakąś uwagę do kogoś podążającego za nią. „Kolejna biedna, poniewierana służąca”, pomyślała Claudette. Pani Ashby odwróciła się do niej i syknęła:

- Wiedziałam, że przyjdzie! Claudette, udawaj, że za grosz nie znasz angielskiego. Odpowiadaj jej tylko po francusku. Będzie wściekła!

Obróciła się, by stanąć twarzą w twarz z gościem. Ostentacyjnie pomachała wachlarzem przed twarzą i wykrzyknęła z przesadną emfazą:

- Ach, pani Harrison, jestem taka rada z pani przybycia! Właśnie dzisiejszego ranka mówiłam Jamesowi, jak okropnie byłabym zawiedziona, gdyby nie zaszczyciła nas pani swoim towarzystwem. Pani Harrison, słyszała pani może o mojej nowej służącej Claudette? - To mówiąc, wyciągnęła dziewczynę przed siebie, a ta dygnęła grzecznie. - Jest Francuzką, wie pani. Sprowadziłam ją sobie z Paryża, żeby mi usługiwała. Zawsze powtarzałam Jamesowi, że to takie istotne, by chłopcy mieli jakieś kontynentalne wpływy. Naturalnie przyznaje mi rację. - Maude westchnęła głęboko, wachlując się w zwolnionym tempie, jakby kalkulowała właśnie, jacy kulturalni stają się synowie dzięki jej mądrości. - Biedaczka nie zna ani słowa po angielsku, ale ja jestem całkiem sprawna w przedstawianiu moich żądań, wobec czego układa nam się wspaniale. Niestety, nie jestem pewna, czy pani odnalazłaby się w takiej sytuacji, pani Harrison, a to doprawdy szkoda, bo posiadanie w domu francuskiej służki jest cudowne!

Claudette wczuła się w rolę. Emily Harrison wejrzała jej głęboko w oczy, jak gdyby przyglądała się nowej parze rękawiczek, których kupno rozważała, po czym warknęła:

- Z pewnością dogadam się z każdym, jeśli tylko przyjdzie mi na to ochota. Claudette, przynieś mi wina. - Udała, że sięga po stojący na tacy kieliszek i pije jego zawartość. Pantomima była jasna i tylko głupiec nie zrozumiałby, co pani chciała wyrazić. Claudette zmrużyła oczy, wydeła wargi i potrząsnęła głową. Odezwała się po francusku, mówiąc co jej tylko ślina na język przyniosła:

- Tak, pani, wyglądasz jak krzykliwie pomalowany słoń, ale chętnie wyjechałabym stąd na twym grzbiecie, byle wyrwać się mojej obłąkanej chlebobawczyni.

Emily Harrison sądziła, iż Claudette nie rozumie wydanego jej polecenia, więc ponowiła swój występ. Odrzucała głowę do tyłu, jakby wychylała nie jeden, a tuzin kieliszków, a jej ręka

zaciskała się kurczowo na wymagowanym szkle. Claudette wzruszyła ramionami i spojrzała na Maude, która aż wychodziła ze skóry z zadowolenia. Emily tupnęła grubą nogą, mrużąc pod nosem, że Francuzom brak piątej klepki, po czym jak taran ruszyła do drzwi, nakazując służącej, by wezwała powóz.

- Ha! Wiedziałam, że uda mi się pozbyć tej starej wiedźmy, jeśli tylko znajdę na to sposób. Teraz mogę ją wykreślić z listy zaproszonych, a jeśli jej nie będzie, przyjdą państwo Denby. A jeśli zjawią się oni, to będę już tylko o kilka zaproszeń od hrabiego czy księcia z ich kręgów. - Mało brakowało, by Maude zaklaskała z uciechy.

Takich absurdalnych zajęć było kilka, zanim godzinę później podano obiad. Pani Ashby ruszyła na poszukiwania męża, by towarzyszył jej do jadalni. Claudette skorzystała z okazji, by schronić się w ciemnej bibliotece - czuła przemożną potrzebę choć chwili samotności. Wyzuta z sił i godności usadowiła się w krześle, którego czerwone, aksamitne obicie było wytarte, ale na szczęście wypchane pluszem. Oparła się i zamknęła oczy, zbierając siły na pozostałą część wieczoru.

Nie słyszała, jak otwierają się drzwi. Zaalarmował ją dopiero błysk zapalki i zobaczyła, jak nieznajomy mężczyzna zapala świecę wyjętą z ustawionego przy drzwiach kandelabru. Jego twarz pozostawała częściowo ukryta w cieniu, dopóki nie uniósł świecy i nie wszedł w głąb pokoju. Był wysoki i nosił się jak arystokrata. Zapewne nim był, zdała sobie sprawę zdegustowana Claudette, skoro otrzymał zaproszenie od pani Ashby.

Podszedł do regału, podnosząc światło, by przeczytać tytuły ustawionych równo tomów. Blask świecy padał na jego sylwetkę, ujawniając człowieka postawnego, o falujących włosach sięgających kołnierzyka. Dziewczyna próbowała wtopić się w mrok, instynktownie pragnąc pozostać niezauważoną. Mężczyzna zdjął z półki książkę i zważył ją w dłoni. Odwrócił się do wyjścia i Claudette znalazła się w kręgu światła.

- Co, u licha?! Kto tu jest? - Podniósł wysoko świecę. Następnie idealną francuszczyzną rzekł:

- A co to? Toż to służka pani Ashby. Co pani tu robi?

Claudette uniosła brew i rewanżując mu się piękną angielszczyzną, odparła:

- Ach, więc służąca nie ma prawa być wystarczająco wykształcona, by czytać?

- Niczego takiego nie powiedziałem. Nie spodziewałbym się jednak, aby młoda kobieta, która niespełna godzinę temu nie znała ani słowa po angielsku, mogła go opanować w tak krótkim czasie, siedząc w ciemnym pokoju pełnym książek.

- Nie rozumie pan! Ja...

- Jestem pewien, że wzrok mnie nie myli. Posiada pani jakąś mroczną tajemnicę, o której nikt nie może się dowiedzieć. Spróbujmy rozwiązać tę zagadkę. Może jest pani zaginioną ongiś córką pani Ashby...

- Skądże! Jakież pan okrutny! - Claudette uderzyła dłońmi w oparcie krzesła i wstała.

- Niece? Hmm, a zatem może pani być szpiegiem francuskiego króla, który zlecił zbadanie, czy Anglików da się podbić poprzez infiltrację ich przyjęć.

Dziewczyna tupnęła, biorąc się pod boki.

- Nic podobnego! Jak pan śmie! Nazywam się Claudette Laurent, jestem emigrantką na służbie u państwa Ashbych, jakkolwiek bardzo to poniżające. Moim ojcem był Etienne Laurent, jeden z najświetniejszych lalkarzy w całej Francji. Jestem jednak przekonana, że pan nie zrozumie pojęcia ciężkiej pracy ani sukcesu osiągniętego dzięki wybitnemu talentowi.

Mężczyzna odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

- Ależ panno Laurent, poznanie córki tak zacnego rzemieślnika to dla mnie nie lada zaszczyt. Gdy następnym razem przyjdzie mi z panią rozmawiać, postaram się być bardziej uniżony i pełen uszanowania.

Claudette opadła z powrotem na krzesło i poprawiła falbany spódnicy. Czowała, jak palą ją policzki.

- *Monsieur*, nie jest pan godzien miana dżentelmena i nie zamierzam pana dłużej słuchać. Nie rozumiem, dlaczego państwo Ashby zaprosili kogoś tak nieokrzesanego jak pan!

- Cóż, podejrzewam, że w oczach pani Ashby korzyści mogące płynąć z mego nazwiska i koneksji znacznie przewyższają moje osobiste niedociągnięcia. - Odstawił świecę i z książką pod pachą ruszył do wyjścia. - Cóż, niech pani sobie dalej drzemie.

- Wcale nie d r z e m i ę! - Ale drzwi zamknęły się już za nim.

Claudette zdmuchnęła sprzed oczu luźny kosmyk włosów. Cóż za irytujący człowiek! Co za tupet, żeby tak się do niej odzywać. Z pewnością nie był dżentelmenem ani intelektualistą takim jak Jean-Philippe, pomimo różnicy w pochodzeniu. Obróciła na palcu pierścionek zaręczynowy, który nosiła teraz na prawej dłoni, starając się przywołać poświęcone polityce monologi ukochanego. Nie mogła jednak zebrać myśli. Kim był nieznajomy?

Cichy dźwięk dzwonka wyrwał Claudette z zamyślenia. Był to ustalony przez panią Ashby sygnał, że służąca ma się natychmiast znaleźć przy niej. Pospiesznie opuściła bibliotekę i pobiegła do jadalni. Pani dała jej znak, by podsunęła sobie krzesło i usiadła za nią. Tajemniczy mężczyzna siedział naprzeciw gospodyni i uśmiechał się nieznacznie, wygodnie oparty i z kieliszkiem wina w dłoni.

- Droga pani Ashby, gdzie to ukrywała pani swoją nową służącą? Jest Francuzką, nieprawdaż? Z tego co wiem, mają się za lepszych od Anglików, więc powinniśmy pokazywać im, gdzie ich miejsce. Mówię otwarcie, gdyż panna - pochylił się w stronę rozmówczyni w geście konspiracji - nie zna angielskiego. - Gdzieś z końca stołu dobiegł lekki jak dzwoneczek śmiech którejś z pań. Po raz pierwszy tego wieczoru Maude poczuła się nieswojo.

-Cóż, panie Greycliffe, dziewczyna świetnie rozumie moje polecenia. Jestem bardzo skuteczna w ich wydawaniu.

- Bez wątpienia. A czy służąca umie zatańczyć menueta? Bardzo chciałbym zobaczyć ten taniec w wykonaniu prawdziwej

Francuzki. Byłbym rad, mogąc poprowadzić ją i całe nasze zgromadzenie na parkiecie.

Pani Ashby otworzyła wachlarz i energicznie nim zamachała. Propozycja była wysoce niestosowna, ale czy mogła ryzykować urażenie członka rodziny Greycliffe'ów, którzy wkupili się ostatnio w łaski króla jakąś wyjątkowo intratną transakcją handlową na Karaibach? Uznanie w oczach monarchy prowadziło na ogół do tytułów...

- Właśnie miałam zasugerować, byśmy skończyli jeść i zajęli się tańcem. James... - Wystawiła dłoń. - Mógłbyś towarzyszyć mi do salonu?

Mężczyzna nazwiskiem Greycliffe podszedł do Claudette, ukłonił się i wyciągnął ku niej rękę. - *Mademoiselle*⁷

Wstała i przyjęła jego ramię, lecz uparcie odwracała wzrok od jego twarzy. Gdy prowadzili państwa Ashbych i gości na parkiet, Claudette syknęła cicho:

- *Monsieur*, nie znam się na tańcach, jestem tylko córką lalkarza.

- Oho! Jak nisko upadłaś od naszego ostatniego spotkania, *mademoiselle*. Czy nie byłaś wtedy dziedziczką świetnego rzemieślnika? - Nie odpowiedziała mu, więc po chwili nachylił się ku niej i szepnął:

- Nie obawiaj się, ja cię poprowadzę.

Goście zaczęli wkraczać do długiej sali, w której pod ścianami ustawiono rzędy krzeseł. Z instrumentów muzyków natychmiast popłynęły dźwięki poloneza. Pan Greycliffe poprowadził Claudette ku frontowi sali i otoczył zaskakująco silnym ramieniem. Delikatnie wirował z nią w kształt litery S, w milczeniu pokazując, jak stawiać stopy, by pięty tylko niekiedy dotykały podłogi.

- Szybko się pani uczy, panno Laurent.

Claudette nie odpowiedziała. Myślała o Jeanie-Philippie. Ostatni raz znajdowała się w męskich ramionach, gdy żegnała się z ukochanym po spacerze w parku. Nie wiedzieli, że nie zobaczą się więcej. Dotknęła prawej dłoni w poszukiwaniu pierścionka. Jest. Jej partner w tańcu był wyższy od Jeana-Philippea

i miał jasne włosy, przeciwieństwo ciemnych oczu i czupryny, które pokochała. Trzymał ją jednak w talii pewnie i opiekuńczo. Ile kobiet uległo czarowi tego mocnego, kojącego uścisku? Pachniał czystością; poza wonią mydła wyczuwała delikatny zapach skóry. Wciągnęła powietrze. Jean-Philippe zawsze pachniał mydłem, ale subtelniej niż ten mężczyzna. Otrząsnęła się z tych myśli. Pan Greycliffe był przecież jednym z nich, zadufanym w sobie, aroganckim arystokratą. Nie interesował jej, a z pewnością i ona - zubożała dziewczyna z Francji - nie budziła jego zainteresowania.

Taniec dobiegł końca i Claudette szybko się uwolniła, mając wrażenie, że skóra parzy ją w miejscach, gdzie spoczywały jego dłonie. William Greycliffe nachylił się do jej ucha i powiedział miękko:

- *Enchanté, mademoiselle* Laurent. Oby udało nam się powtórzyć tę przyjemność. - W jego zielonych oczach dostrzegła błysk, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Obawiając się, że znów z niej żartuje, uciekła z sali, świadoma, że mężczyzna ani na chwilę nie spuszcza wzroku z jej umykającej postaci.

Béatrice nie było w pokoju, więc Claudette udała się prosto do łóżka, nie zwracając uwagi na stukanie służących wysłanych na jej poszukiwania przez panią Ashby. Przyjaciółka pojawiła się kilka godzin później, zarumieniona z emocji.

- Gdzie byłaś? Nie uwierzysz, co się stało!

Claudette usiadła na skrzypiącym łóżku, ciekawa nowin.

- Widziałam, jak Nathaniel okropnym dowcipem niszczy przyjęcie matki! Wsunął węża, niegroźnego, jakiś gatunek ogrodowy, do salonu. Zwierzę znalazło się na parkiecie i wpełzło na but jednej z pań czekającej na swoją kolej w kon-tredansie. Zaczęła pisać i machać rękami i nie dała się uspokoić, dopóki wąż nie został schwytany. Mąż nieszczęsnej zajął się gadziną, ale wszyscy byli absolutnie oburzeni i zażądali, by jakaś kara spotkała Nathaniela, gdyż jasne było, że tylko on mógł dopuścić się czegoś tak strasznego. Ale znasz panią Ashby. Przytulila ukochanego syneczka i upierała się, że to

w żadnym razie nie mogła być jego sprawka, choć oczywiście wszyscy domyślili się prawdy.

- A więc Nathaniel był niegrzeczny. Co w tym niezwykłego?

- To jeszcze nie koniec! Jeden z gości uklęknął przed Nathanielem i wygłosił takie kazanie o odpowiedzialności i honorze, że mały potworek rozplakał się i czmychnął, zalewając się łzami! Nigdy nie widziałam, żeby pani Ashby była tak zszokowana.

Claudette poczuła nieomal żal, że wcześniej opuściła przyjęcie, nie tylko dlatego, że czekała ją bura od pani Ashby za samowolne zwolnienie się z obowiązków, ale również z powodu przegapienia takich wydarzeń.

- Który to gość?

- Wysoki mężczyzna o jasnych, kręconych włosach. Całkiem przystojny, trzeba mu przyznać. Nie miał żadnej towarzyszki. Nie spytałam nikogo o jego nazwisko.

- Hmm - wymruczała w odpowiedzi Claudette.

ROZDZIAŁ 8

Wersal, październik 1781. Niewiarygodne. Marzenie królowej wreszcie się spełniło i szczęśliwie powiła zdrowego chłopca, następcę francuskiego tronu. Ulice Paryża rozbrzmiewały wiwatami szalonej radości i biciem dzwonów, a w królewskiej komnacie było nie mniej gwarno. Osiem osób, nie licząc *accoucheur*, uczestniczyło w odbieraniu porodu. Król nie był świadkiem owego wydarzenia, ale to on przyniósł żonie nowinę, że to chłopiec, że dała krajowi delfina, jako że w ogólnym zamieszaniu nikomu nie przyszło do głowy, by ją poinformować. Zapewniając Francji długo oczekiwanego następcę tronu, Maria Antonina była przez krótką chwilę stawiana na piedestale przez prasę i ukazywana jako idealna żona i matka. Była to zbyt skromna rekompensata za wszystkie lata szkalowania i oczerniania jej, lecz pławiła się w niej z rozkoszą.

ROZDZIAŁ 9

Czoło Marguerite było rozpalone i już od kilku godzin na zmianę traciła i odzyskiwała przytomność. Béatrice zwróciła na Claudette spojrzenie czerwonych, zapłakanych oczu.

- Tak bardzo się martwię. Nigdy dotąd nie chorowała. Mój najmilszy Alexandre zmarł na kamice. Sądziś, że malutka może cierpieć na to samo?

- Nie wydaje mi się, aby dokuczał jej jakiś wewnętrzny ból. Miejmy nadzieję, że to tylko chwilowa gorączka. Przyniosłaś więcej ściereczek z pralni?

We dwie zmieniały się przy łóżku dziecka, przykładając zimne kompresy, płuczac szmatki w miednicy, by stale je chłodzić. Zauważywszy, jak Béatrice ukradkiem chowa ściereczki z pralni, Nicholas poszedł za nią na górę i ujrzał leżącą tam dziewczynkę z oczami błyszczącymi od gorączki. Co jakiś czas wspinał się po schodach, by zerknąć, jak mała się miewa. Zastanawiał się, jak mógłby pomóc Béatrice, w którą zapatrzony był jak w święty obrazek.

Po całym dniu skradania się na stryszek, by obserwować, jak kobiety opiekują się dzieckiem, zebrał się na odwagę, by wyjawic swą obecność, gdy Claudette nie było w pokoju.

- Panno Béatrice? - Odchrząknął.

Dziewczyna aż podskoczyła, kopiąc przy tym miedniczkę i wylewając wodę na podłogę.

- Nicholasie, ależ mnie wystraszyłeś! Co robisz na piętrze służby?

Wbijając spojrzenie w czubki butów, wymamrotał:

- Sprawdzałem, co panią trzyma tak długo na górze.

- Moja córeczka jest chora. Ale proszę, nie mów nic swojej matce. Z pewnością wyrzuciłaby nas, a nie mamy gdzie się podziać.

Nicholas aż pokraśniał z radości, że może zachować dla Béatrice jakąś tajemnicę.

- Na pewno nie powiem, przenigdy bym tego nie zrobił. Może pani na mnie polegać. Widzi pani, ja...

Ku jego rozczarowaniu zjawiała się nagle Claudette.

- Ależ Nicholasie, co ty tu robisz? Matka sprawiłaby ci lanie, gdyby się dowiedziała, że błąkasz się po strychu, zadając ze służbą!

- Tak, proszę pani. - Nie przestawał wpatrywać się w Béatrice. Sekundy mijały. Wreszcie Claudette zniecierpliwiła się.

- Nicholasie, co możemy dla ciebie zrobić? Chłopiec wskazał na łóżko.

- Czy potrzeba jej leków? Mógłbym je zdobyć.

- Naprawdę? Jakim sposobem? - spytała Béatrice.

- Dam radę. Czego potrzebuje? - Uniknął odpowiedzi. Pełna nadziei matka wyliczała na palcach: wywar z tama-

ryndowca, lód i korzenie prawoślazu, by mogła sama przyrządzić kojący napój dla córeczki. Claudette przyłączyła się do próśb, wymieniając koce i poduszkę, jako że posłanie Marguerite było zupełnie przepocone. Nie minęła nawet godzina, a Nicholas już powrócił, spełniając wszystkie ich życzenia. Wręczył Béatrice pakunek z dumą rycerza, który pokonał smoka i przynosi trofeum z jego łba swej królowej.

Claudette wzięła do ręki buteleczkę wywaru z tamaryndowca.

- Jak udało ci się to zdobyć?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na Béatrice, która nie mogła się nachwalić jego pomocy.

- Jesteśmy twoimi dłużniczkami, Nicholasie. Jak zdołamy ci się odwdzięczyć?

Chłopiec spłonął rumieńcem i uciekł z pokoju. Wracił jednak na górę co wieczór, by sprawdzić, jak sobie radzą i czy czegoś im nie trzeba.

Trzeciego dnia gorączka spadła. Wracająca do zdrowia dziewczynka narzekała na nudę. Béatrice radziła się Claudette:

- Sądzisz, że pani Ashby pozwoliłaby nam poprosić Nicholasa o jakieś zabawki dla Marguerite?

- Na pewno nie. Poza tym, jego zainteresowania różnią się bardzo od jej potrzeb. Będziemy musiały same wymyślić jakiś sposób, by ją zabawić.

Claudette udało się znaleźć na półkach państwa Ashbych kilka książeczek dla dzieci. Wniosła je chyłkiem na górę, ale choroba osłabiła dziewczynkę na tyle, że nie mogła się skoncentrować, marudziła też, że od czytania bolą ją oczy. Claudette odniosła więc książki do biblioteki, przysiadając na chwilę na krześle, tym samym, na którym zastał ją niegdyś arogancki pan Greycliffe. Angielscy arystokraci byli tak samo nadęci i egoistyczni jak we Francji. Pomyśleć, jak ciężko jej tata pracował, by wyrobić sobie markę, a nie miał w sobie ani krzty pychy. A ten Greycliffe ze swoim wyszukany strojem i mocnymi dłońmi dyskredytuje ojca ot, tak! Nigdy nie widział nawet zasłużenie sławnych *grandes Pandores* ani domków dla lalek, laleczek-miniaturek, które wyszły spod ręki ojca, czy... Och! Że też wcześniej na to nie wpadła!

Claudette popędziła na strych, omal nie przewracając po drodze pani Lundy. Przełożona krzyczała za nią, ale dziewczyna nie miała czasu jej wysłuchiwać. Unosząc lekko spódnice, pomknęła na górę wąskimi, mrocznymi schodami, aż dopadła swojego pokoiku. Sięgnęła pod łóżko, skąd wydobyla zapomnianą skrzyneczkę z materiałami lalkarskimi. Może za ich pomocą uda się przywrócić blask w oczach Marguerite!

Claudette z pomocą Béatrice pracowała do późna w nocy. Zrobiła dwie proste lalki, obie wyrzeźbione z kawałków drewna kominkowego. Jedna z kukiełek ubrana była w czarne spodnie zrobione z wyrzuconej skórzanej rękawiczki, a druga w muślinową sukienkę wykonaną z fragmentu fartucha Béatrice. By zafarbować materiał, rozgniotły przejrzałe truskawki.

Marguerite była wniebowzięta.

- Mamusiu, to dla mnie? - Poglaskała lalki po główkach i przytuliła do policzka. - To moje nowe *bébés*.

Następnego wieczoru, po wyjątkowo trudnym dniu spędzonym w towarzystwie Jassy, Claudette zajrzała do Marguerite. Béatrice siedziała na skraju łóżka i przyglądała się, jak córka bawi się lalkami, odgrywając nimi role państwa Ashbych.

- Och, pani Ashby, nie może pani tak nieuprzejmie traktować swoich służących, szczególnie *madame* du Georges, która jest od pani o wiele mądrzejsza i miłsza. Wyciągnę na ciebie różgę, jeśli nie będziesz grzeczna. A pan, panie Ashby, pewnie wolałby pan teraz siedzieć u Brooksa, zgadłam? - Marguerite zakryła pana Ashby ego poduszką i wróciła do karcenia lalki przedstawiającej panią Ashby. Béatrice zaklaskała lekko w dłonie i przytuliła córeczkę. Raptem przerwało im ciche pukanie do drzwi.

Jack Smythe, jeden ze służących, przyniósł wezwanie dla Claudette. Miała zająć się wyglądem pani przed wizytą, którą państwo Ashby planowali złożyć znajomym tego wieczoru. Dziewczyna odwróciła głowę i wzniosła oczy ku niebu.

Młodzieniec zauważył, jak Marguerite bawi się lalką przedstawiającą panią Ashby, i spytał, skąd ją ma. Dziewczynka natychmiast wyjęła z ukrycia kukielkę pana Ashbyego, żeby pochwalić się nim Jackowi.

- *Mademoiselle* Laurent i mama zrobiły je dla mnie - odpowiedziała z entuzjazmem. - To moje nowe *bébés*, choć gdy dorosnę, będę miała dziesięcioro prawdziwych dzidziusiów!

Jack tymczasem badał lalki. Spojrzał na Claudette.

- Masz ich więcej?

- Nie, te skleciłyśmy, żeby pocieszyć Marguerite. Dlaczego pytasz?

- Mógłbym je sprzedać na targu przy ulicy Surrey. Zdążyłabyś wykonać kilka do przyszłego tygodnia?

- Sądzę, że tak. Czy pani Ashby regularnie wysyła cię na targ?

- Nie, bywam tam, gdy mam chwilę wolnego. Dochodem podzielimy się po połowie.

- Po połowie! Ale ja muszę nabyć materiały na lalki: drewno, farby, tkaniny, igły, nożyczki, tego typu sprzęty. Przystanę na pięćdziesiąt procent, pod warunkiem że ty zbierzesz wszystko, czego mi trzeba.

- Zgoda!

Negocjacje zakończyły się sukcesem, więc Claudette, z pomocą Béatrice, zabrała się do pracy, by w ciągu tygodnia stworzyć tuzin prostych lalek. Wiele godzin każdej nocy spędzała nad figurkami, a rano, gdy wstawała wykończona, zastanawiała się, skąd Jack czerpie siłę na nocne wyprawy.

Praca sprawiła, że do Claudette wróciły wspomnienia nauki i ojca. Umiała mierzyć i wycinać małe deseczki odpowiedniej szerokości, marnując jak najmniej drewna. Następnie wygładzała je za pomocą piasku, po czym, przy użyciu mokrych szmatek, wydobywała z kawałków drewna słoje i piękną barwę. Wiele razy przecięła sobie kciuk i sporo drzazg wbiło jej się w dłonie, zanim nabrała takiej wprawy w obchodzeniu się z drewnem, jaką miała w Paryżu. Potem całe noce przesiadywała zgarbiona nad maleńkimi elementami niedokończonych lalek, ze szmatką i woskiem w rękach, starając się doprowadzić każdy szczegół do perfekcji. Skromne oszczędności, które posiadała, wkrótce wydała na łojowe świece, by oświetlić swój warsztat pracy.

Najwięcej skupienia wymagało struganie - Claudette godzinami rzeźbiła proste kształty lalek. Wykorzystywała narzędzia ze skrzynki ojca, by z grubo ciosanych klocków utworzyć postać o okrągłej głowie, długich ramionach z kulkami w miejscu dłoni, prostym korpusie zaopatrzonym w otwory na kończyny oraz nogach o zaokrąglonych stopach. Ręce i nogi przymocowywała do tułowia za pomocą szpagatu, aby umożliwić pewną ruchomość kończyn.

Następnie ozdabiała lalki perukami wykonanymi z włóczki i wąskich pasków materiału wyciętych ze ścierek wykradanych z kosza na odpadki, gdy pani Lundy odwróciła wzrok. Farby, które zdobył Jack, były marnej jakości i blakły niemal natychmiast po pomalowaniu drewna, ale Béatrice nakładała

na oczy, usta i policzki tyle warstw koloru, aż wreszcie Claudette była zadowolona z efektu.

Każdego wieczoru Jack cichutko drapał w drzwi Claudette, by sprawdzić, jak postępują prace, a był niemal tak podekscytowany projektem, jak przyjaciółki.

Największą trudność sprawiało utrzymanie produkcji lalek w tajemnicy przed resztą służby, a w szczególności przed Jassy, która miała niebywały wręcz talent do tropienia działań wszystkich pracowników domu. Udało jej się zastraszyć większość z nich swym bezwzględny szpiegowaniem i donoszeniem o wszystkim pani Lundy, ale Claudette nie poddawała się temu terrorowi.

- Więc, panno Francuzeczko Laurent - zagadnęła Jassy, stając przy Claudette pewnego dnia, gdy ta kroїła warzywa, wykonując jeden z wielu codziennych obowiązków, którym podlegała, gdy nie usługiwała bezpośrednio pani Ashby. - Zauważyłam, że spędzasz sporo czasu z Jackiem Smytheem. -Z jej cichego głosu przebijała chytrość. - Może potrzeba ci kogoś, kto w nocy stróżowałby pod twoimi drzwiami? Mogłabym się upewnić, że nikt nie będzie cię niepokoić.

Claudette z hukiem odłożyła nóż.

- Ty paskudna dziewucho! Nie masz nic lepszego do roboty, niż męczenie wszystkich wokół niczym natrętna osa? Jak na osobę o tak błękitnej krwi masz wyjątkowo mało klasy. Tyle co koty, którym rzucam skrawki na podwórzu. A charakter masz o wiele gorszy!

Jassy aż zamilkła z oburzenia, lecz szybko odzyskała rezon.

- Ach, więc dzieje się coś między tobą a Jackiem! Dowiem się wszystkiego, a potem upewnię się, żeby pani Lundy się dowiedziała. Rzecz jasna - rzuciła, oddalając się niespiesznie - jeśli nie uda mi się odkryć prawdy, wymyślę coś sama. Powinnaś się już nauczyć, że ze mną się nie zadziera.

Claudette wróciła do pracy, z wściekłością krojąc i siekając produkty na kolację dla chlebobawców. Przy przebiegłych służących pani Ashby i jej aroganckich gościach nie było ani chwili spokoju.

Jack dotrzymał słowa i sprzedał pierwsze lalki przed upływem tygodnia. Claudette dysponowała teraz czterema szylingami i próbowała oddać połowę zysku Béatrice. Przyjaciółka jednak nalegała, by to Claudette przechowała pieniądze.

- Nie mam do tego głowy - powiedziała. - Ty je schowaj i wykorzystaj, żeby wydostać nas z tego okropnego miejsca.

Monety zabrzęczały w rękach Claudette uradowanej posiadaniem pieniędzy, o których nie wiedziała pani Ashby. Wsypała je do koperty i ukryła w trzymanej pod łóżkiem skrzynce z narzędziami.

Jack poszerzał grono klientów, więc Claudette i Béatrice spały coraz mniej, by wyprodukować jak najwięcej lalek. Były do cna wyczerpane, ale wspólnik zgłaszał coraz większe zapotrzebowanie, a koperta z szylingami pęczniała. Nigdy nie wspominał, co robi ze swoją pulą, a kobiety wyczuwały, że nie wypada pytać. W końcu one też mu się nie zwierzały.

Co jakiś czas widywały pod swoimi drzwiami Jassy. Za każdym razem szeroko otwierała oczy, nadając im wyraz niewinności. Zawsze umiała wyjaśnić swoją obecność: „Pani Lundy chce, żebyś poszła z nią do rzeźnika”, albo „Pani odpadł guzik” - było jednak jasne, że zżera ją ciekawość, dlatego Claudette i Béatrice w każdej wolnej chwili zaszywają się w swoich klitkach.

Gdy Claudette odłożyła już pewną sumę pieniędzy, dała część z nich Jackowi, by kupił jeszcze jeden zestaw pędzli i dłutek, tak aby mogły z Béatrice pracować nad dwiema lalkami jednocześnie. Córka lalkarza pomagała przyjaciółce na każdym etapie wykonywania figurki. Brak doświadczenia Béatrice nadrabiała zapalem i chęcią pomocy. Gdy pracowały, traj-kotała o zaoszczędzeniu sumy umożliwiającej im kupno własnego domu. Swoje marzenia Claudette trzymała dla siebie. Skupiały się one wyłącznie na zebraniu kwoty, która pozwoliłaby jej na powrót do Francji i odnalezienie Jeana-Philippe'a.

Każdego roku na Wielkanoc pani Ashby prowadziła rodzinę i służbę do kościoła Świętego Jerzego na nabożeństwo. Służący najpierw odprowadzali państwa Ashbych z synami na ich miejsca, a potem odsyłani byli do tylnej ławki, by chwalić wspaniałomyślność pani. Ten rok nie przyniósł odstępstwa od rutyny.

Przybyli na miejsce tuż przed rozpoczęciem mszy i cała służba, z Claudette i Béatrice włącznie, przemaszerowała przez kościół i ze stoickim spokojem czekała, aż rodzina Ashbych się usadowi. Już mieli odchodzić, gdy Maude dała Claudette sygnał, by zasiadła z nimi w rzeźbionej dębowej ławie o wysokim oparciu.

Claudette poczuła lęk, nie rozumiejąc, co się dzieje. Dlaczego nie wolno jej było oddalić się z pozostałymi służącymi? Czy to jakaś nowa, wyszukana forma tortur?

Patrzyła, jak idą na tył kościoła, odprowadzani czujnym spojrzeniem dobrotliwego pastora i zebranych parafian. Mrużąc oczy w gniewie, Jassy Brickford syknęła do niej:

- No, ależ hrabianka z ciebie!

Pani Lundy dyskretnie uszczypnęła złościcę, by się nie zatrzymywała, ale sama też nie oszczędziła Claudette drwiącego spojrzenia.

Tymczasem pani Ashby pochyliła się do męża i wyszeptwała:

- Widziałeś, Jamesie? Wszyscy aż zamilkli z wrażenia, ilu mamy teraz służących.

- Moja droga, sądzę, że zamilkli raczej z oburzenia, że tak paradujemy...

- A pastor Daniels na pewno z radością zauważył, jak wspaniale traktujemy jego sierotkę. Koniecznie musimy mu powiedzieć, że została wyniesiona do funkcji pokojówki.

- Wątpię, czy obchodzi go, że...

- Zastanawiam się, czy nie umieścić go na liście gości na nasze nadchodzące przyjęcie w ogrodzie. Dodałoby to całemu wydarzeniu nastroju boskiego przyzwolenia, nie sądzisz?

- Cóż, ja...

Rozmowę przerwało rozpoczęcie nabożeństwa. Gdy pastor poprosił zebranych, by pochylili głowy w modlitwie,

Claudette nie spuszczała oka z pani Ashby poruszającej ustami w pokornym błaganiu kierowanym do niebios, a dotyczącym najbliższej fety.

Po chwili jednak, pozostawiając panią Ashby jej modlitwom, dziewczyna skupiła się na własnych prośbach o interwencję w sprawie swej ponurej i beznadziejnej sytuacji. Była tak zatopiona w modlitwie, że ledwo zauważyła, że ktoś przesuwa się wzdłuż ławek i zajmuje miejsce naprzeciw rodziny Ashbych.

Gdy pastor Daniels rozpoczął kazanie, podniosła wzrok, by spojrzeć na spóźnionego przybysza. Widziała go z profilu... Musiał to być ktoś wysoko postawiony, skoro siedział w jednej z pierwszych ławek. Postawny, o blond włosach falujących na karku... Ależ to ten Greycliffe! Zerknął na Claudette i z powagą na twarzy pozdrowił ją, puszczając do niej oko.

„Jak on śmie”, pomyślała. „Co on w ogóle robi w kościele państwa Ashbych? Należał do tej parafii, czy zjawił się tylko po to, by mnie nękać?”, zastanawiała się.

A może to sam Wszechmogący drwił z niej sobie?

Claudette grzecznie skinęła głową w odpowiedzi na powitanie pana Greycliffea i przeniosła uwagę na pastora. Ręce splotła na kolanach, by przestały się trząść. Maude Ashby nie mogła usiedzieć z emocji i bezskutecznie próbowała trącić męża, jednocześnie wywracając oczami w kierunku Greycliffea. Siedzący obok Claudette Nathaniel szurał nogami po podłodze i wiercił się niecierpliwie, podczas gdy jego brat siedział spokojnie i jako jedyny członek rodziny rzeczywiście słuchał kazania.

Gdy msza dobiegła końca, Claudette błyskawicznie podniosła się z miejsca, by się oddalić, lecz pani Ashby okazała się jeszcze szybsza. Również wstała, dając tym samym sygnał całej rodzinie, że może się podnieść, blokując jednak w ten sposób drogę ucieczki Claudette.

- Ach, panie Greycliffe, jakaż to radość widzieć pana znów w tak krótkim czasie! Niemal zapomniałam, że pańska rodzina odwiedza ten kościół podczas pobytu w Londynie. Ja sama oczywiście chciałabym bywać tu częściej, lecz niestety

obowiązki żony, matki i organizatorki przyjęć są takie czasochłonne, że nie w każdą niedzielę udaje mi się od nich oderwać. Rzecz jasna staramy się zapewnić służbie choć jedno wyjście w roku, co jest przecież naturalnym zachowaniem miłosiernego chrześcijanina.

Pastor Daniels ze zmarszczonymi brwiami patrzył z ambony na niepomną niczego panią Ashby, która właśnie próbowała przypochlebić się przedstawicielowi klasy wyższej, nie opuściwszy nawet domu bożego.

- Tak - zgodził się William. - Miłosierdzie zaczyna się w domu, jak mówi Pismo Święte. Może pozwolą się państwo zaprosić do cukierni na lody? Proponuję, abyśmy nie ograniczali się w swej dobroczynności i zaprosili wszystkich, z którymi dziś państwo przybyli. Pani mąż oraz ja i tak mamy pewne interesy do omówienia, prawda, Ashby?

- A, więc zdecydował pan rozważyć moją propozycję. Doskonale. Może zatem...

- Panie Greycliffe, absolutnie nie uważam za konieczne prowadzenie z nami służby, już skorzystała z jednego wyjścia. Miałam jednak zamiar dać im wolne na resztę dnia. Claudette, możesz już iść, i nie spodziewamy się ciebie przed wieczorem. Powtórz innym, proszę.

Upokorzona przed panem Greycliffe em protekcjonalnym tonem chlebodawczyni precyzyjnie się pomiędzy członkami rodziny i bez słowa ruszyła nawą, nie zważając na to, że zostanie później skarcona za okazany brak szacunku.

Po przekazaniu wiadomości pozostałym służącym, co wywołało uśmiech na twarzy nawet u ziejącej nienawiścią Jassy, Claudette poprosiła Béatrice, by spędziła popołudnie bez niej. Miała ochotę po prostu pobyć sama. Zignorowała pytające spojrzenie przyjaciółki i uciekła z kościoła, by uniknąć kolejnego bolesnego spotkania ze zmierzającym już do wyjścia panem Greycliffe em.

Gorączkowo rozejrzała się za jakąś kryjówką, gdzie mogłaby złapać oddech i uspokoić nerwy, podczas gdy jej chlebodawcy i prześladowca żegnali się z pastorem i szykowali do

odejścia. Dostrzegła przy kościele niewielki cmentarz, pośrodku którego wiosenną, jaskrawozieloną koronę rozwijał potężny dąb. Pod drzewem stały dwie ławki, jedna przodem do kościoła, druga zwrócona do porośniętego bluszczem muru odgradzającego zakątek od ruchliwej ulicy. Miejsce było jej znajome, gdyż wypłakiwała w nim swój żal tuż po przyjeździe do Londynu. Claudette opadła na jedną z ławek i oparłszy brodę na dłoniach, a łokcie na kolanach, zatoneła w czarnych myślach.

Czy tak miało wyglądać życie aż do końca jej dni? Nie było dla niej miejsca w domu Ashbych. Służba uważała ją za wyniosłą, a chlebodawczyni z trudem tolerowała. „Nie mam ochoty na bycie damą, pragnę tylko wrócić do robienia pięknych lalek”. Nie uda jej się porzucić znieawidzonej posady, nigdy już nie wróci do Francji. Gdyby tylko mogła...

- Nie martwi cię, pani, że ludzie posądzą cię o dziwactwo, jeśli będziesz tak siedzieć, mamrocząc do siebie?

Claudette aż podskoczyła, gdy ujrzała nad sobą Williama Greycliffe'a opierającego stopę o stojącą obok ławkę. Na ustach błąkał mu się nieodłączny uśmiezek, a wzrok skupiony miał na niej. Jakże był nieznośny!

- Po co pan tu przyszedł, panie Greycliffe? Nie powinien pan być zajęty napychaniem moich chlebodawców słodyczami, opowiadając o dopiero co nabytej nieruchomości lub omawiając inne tematy, które zwykli poruszać ludzie z wyższych sfer? Czy też poczuł pan palącą potrzebę dokuczenia mi, zanim odda się pan innym przyjemnościom?

Zdjął nogę z ławki i podszedł do Claudette, zajmując, nieproszony, miejsce niepokojąco blisko niej.

- Czy martwi panią sytuacja, w której się pani znajduje, panno Laurent?

- Jak mogłoby być inaczej? Sam był pan świadkiem, jak pani Ashby mnie traktuje. Gdyby wiedziała, że mój ojciec był właścicielem jednego z najświetniejszych sklepów lalkarskich we Francji, objętego patronatem samych Burbonów, może byłaby nieco bardziej uprzejma. Ale nie uwierzyłaby mi przecież,

nawet gdybym próbowała ją przekonać. Oczywiście, komuś takiemu jak pan moje strapienia wydadzą się mało istotne.

- Myli się pani, są dla mnie istotne. Widzi pani, rozumiem co znaczy być więźniem okoliczności.

- Pan? Pnący się w górę arystokrata bez cienia troski. Wszystkie damy pewnie dają się uwieść panu... pana urokowi, czego ja oczywiście nigdy bym nie uczyniła...

- Nie spodziewałbym się czegoś podobnego, panno Laurent.

- A pan otacza się pewnie takimi jak ja, żeby rozstawiać je po kątach i traktować jak bezpańskie kundle!

- Czy tak źle myśli pani o mnie, że zakłada, iż jestem okrutny? Czy sądzi pani, że moje bardzo ograniczone kontakty z państwem Ashby sprawiają, że jestem jednym z nich? Panno Laurent, musi się pani jeszcze wiele o mnie dowiedzieć, a wciąż tracimy czas. Wkrótce będzie za późno.

- Jak to?

- Mniejsza o to. - Potrząsnął głową, jakby chciał przesiać zmieszane myśli.

Przeniósł wzrok na kościelny dziedziniec, więc Claudette również spojrzała w tamtą stronę. Parafianie rozeszli się, pozostawiając na miejscu jedynie rodzinę Ashbych, czekającą na schodach przed kościołem. Napotykając spojrzenie Williama, pani Ashby pomachała do niego niepewnie. Jej zboląła mina mówiła Claudette aż nadto, co sądzi na temat pana Greycliffea szepczącego z nią pośród nagrobków.

- Panno Laurent, jakie jest pani największe marzenie?

- Pragnę zostać najświetniejszą lalkarką Anglii.

„Co takiego? Dlaczego nie powiedziałam o powrocie do Francji?”

Delikatnie uniósł jej dłoń.

- Zatem tak właśnie się stanie.

Musnął ustami jej niechronione rękawiczką palce. Trwało to ułamek sekundy, jednak okrzyk, który wydobył się z ust pani Ashby, wystraszył wszystkie wróble z korony dębu. Sama Claudette czuła niepokój na myśl o maleńkim płomyku ciepła,

który rozpałił się w niej pod wpływem gestu Greycliffa. Z pewnością reagowała tak na jego eleganckie maniery, nic więcej. Zdecydowanie nic poza tym.

William wstał i skłonił się grzecznie.

- Do następnego spotkania - pożegnał ją i odszedł w stronę Ashbych, by spełnić obietnicę udania się z nimi na lody.

Gdy Claudette wróciła wieczorem do domu, szok, którego doznała pani Ashby, zdążył się zmienić w zaprzeczenie. Ani razu nie wspomniała o przejawie uczuć Greycliffa w stosunku do marnej służącej, a pozostali pracownicy zgodnie ze zwyczajem nie odzywali się do niej wcale. Życie Claudette wróciło na swój dawny tor i wkrótce sama zaczęła się zastanawiać, czy incydent pod dębem w ogóle się wydarzył.

I tak ruszyły przygotowania do kolejnej z niekończących się towarzyskich imprez w domu Ashbych. Claudette, która już na stałe otrzymała wątpliwy zaszczyt usługiwania pani Ashby, nie uzyskawszy jednak przy tym ani prestiżu, ani godności, dostała nową porcję instrukcji na temat swego zachowania.

Pani Ashby trajkotała nieprzerwanie, a Claudette marzyła o ucieczce. Co mogła zrobić, by wyswobodzić się z kajdan swej posady? „Wszyscy służący mnie nienawidzą, a chlebodawczyni jest przekonana, że poczytuję za zaszczyt możliwość służby u niej. Muszę brać pod uwagę Béatrice i Marguerite. Nie przetrwają beze mnie. Gdyby tylko udało mi się odłożyć dość pieniędzy na opłacenie przeprawy do Francji dla całej naszej trójki...”

Paryż był znany i bezpieczny. Londyn pełen był okrutnych chlebodawców, nikczemnych współpracowników oraz przystojnych mężczyzn, którzy zarazem napawali ją odrazą i fascynowali. Nie, pozostanie w Anglii miało się z celem. Trzeba koniecznie wracać do Francji. Nawet we dwie miały jednak za mało pieniędzy. Ich zarobki były nędzne, ze względu na przywilej mieszkania pod tak zacnym dachem. Za tygodniową

wypłatę można było sprawić sobie najwyżej parę butów. Jeżeli cokolwiek w domu uległo zniszczeniu, odliczano za to pieniądze, i to nie zawsze winowajcy. Dzięki przedsiębiorczości Jacka udało im się odłożyć pewną sumę, ale jak miałyby utrzymać te dochody, gdyby opuściły dom Ashbych?

Po raz tysięczny zastanawiała się, czy Jean-Philippe żyje gdzieś we Francji. Czy jej szuka? Jeśli żyje, z pewnością nie przerwał poszukiwań ukochanej. Może udałoby się wysłać list? Tylko do kogo? Gdzie? Cała jej ulica zginęła w płomieniach, a ocaleni mieszkańcy rozproszyli się. Wzdychając z rezygnacją, Claudette powróciła do nużąco rozmownej pani Ashby.

Dzień uroczystej kolacji wstał szary. Deszcz spływał kaskadami po domu państwa Ashbych. Maude, zbulwersowana, że pogoda śmiała przeciwstawić się jej jasno wyrażonym życzeniom, była w najgorszym z nastrojów, siejąc terror wśród rodziny i służby. Tylko Claudette zdawała się odporna na humory pani Ashby, ze spokojem odpowiadając na niekończące się, na ogół niemożliwe do spełnienia żądania. W końcu jednak pani zmęczyła się znajdowaniem wad we wszystkim, co weszło w jej pole widzenia, i stała się Gospodynią z Wyższych Sfer, którą, we własnym mniemaniu, po prostu musiała zostać.

Maude ulokowała się w bawialni, z Claudette jak zwykle tuż za plecami, i rozpoczęło się nużące witanie gości. Claudette stłumiła ziewnięcie. „Bycie członkiem angielskiej elity musi być szalenie uciążliwe”, myślała. Wszystkie te kroczące wokół papużki, zamknięte w odwiecznej grze rywalizacji. Wtem pani Ashby wyrwał się z ust cichutki okrzyk, ponownie zwracając uwagę dziewczyny na przyjęcie.

Oto pojawił się pan Greycliffe, trzymając parasolkę nad głową kobiety, która z pewnością była damą z towarzystwa. Spod ciemnej pelerynki wyglądała szmaragdowa, atlasowa suknia, bogato wyszywana w motywy kwiatowe. Tkanina zebrana była na piersi, tak by eksponować piękny dekolt, a w talii ściągnięta w sposób podkreślający smukłość sylwetki. Z rękawów, od łokcia po mankiet, spływały delikatne koronki. Lśniące brązowe włosy upięte miała wysoko, a na czubku fryzury spoczywał kapelusik zdobny w bladozielone wstążki i farbowane strusie pióra związane koronką taką jak przy rękawach sukni. Gdy pan Greycliffe pomógł jej zdjąć

pelerynkę, zebranych olśniło cudne podszycie z futra. Spojrzała na partnera, który wręczał okrycie i parasolkę Jackowi, a jej równe, białe zęby błysnęły w uśmiechu. Pan Greycliffe nachylił się, by szepnąć jej coś do ucha, po czym podał jej ramię. Dama ujęła je eleganckim ruchem i ruszyli razem. Patrzyła w lewo i w prawo, mrużąc odpowiednie pozdrowienia osobom, które rozpoznawała, a lekkim skinieniem głowy witając pozostałych, którzy napotykali jej spojrzenie.

Claudette natychmiast ją znienawidziła.

Owładnęła nią niejasna mieszanina zazdrości, pogardy i paniki. Oto kolejna kobieta, która w życiu nie doświadczyła trudów codzienności. Powinna współczuć biedaczce, gdyż najwyraźniej była w tajemniczym panu Greycliffie zakochana bez pamięci, ale nie potrafiła. Ku własnemu zaskoczeniu Claudette pragnęła być tamtą.

Para podchodziła właśnie do państwa Ashbych. Claudette stała z przyklejonym do twarzy uśmiechem, wdzięczna za możliwość ukrycia się za rolę służącej, która poza francuskim nie włada żadnym językiem.

Pani Ashby wzięła głośny wdech i zasłoniła twarz wachlarzem. Wyszepiała:

- Przeprowadził Lenorę Radley! Słyszałam od pani Dailey, której pomoc kuchenna ma siostrę służącą w domu Radleyów, że jakiś majątny dżentelmen stara się o Lenorę i że ona marzy o zamążpójściu. Do głowy mi nie przyszło, że chodzi o Williama Greycliffe'a!

Poczęła wachlować się energicznie.

- Ciekawe, czy zamierzają wkrótce ogłosić zaręczyny! Ach, musimy jako pierwsi im pogratulować, organizując przyjęcie na ich cześć!

Claudette zamarła, mając nadzieję, że uśmiech nie zniknął z jej ust. Przyjęcie dla tego aroganta i jego idealnej laleczki. „Oczywiście, że ma lśniące włosy i perfekcyjnie zaokrąglone paznokcie. Zapewne zajmuje się tym jej własna służka, taka jak ja”. A wszystko po to, by wyglądać atrakcyjnie i zachęcająco dla niego. Cóż, i tak bladł w porównaniu z Jeanem-Philippe'em. Jak miał sobie znaleźć żonę? Może i ma imponujące nazwisko, ale żaden z niego dżentelmen. Doprawdy, tamtej należy się współczucie. Znosić te uściski, jego usta na swojej szyi, dłonie pieszczące plecy...

Gdy podeszli bliżej, spojrzenia Williama i Claudette spotkały się i dziewczyna spostrzegła, jak jego źrenice pociemniały na ułamek chwili.

- Panie Greycliffe, co za radość pana gościć! - Pani Ashby aż drżała z podniecenia. - Jak widzę, przyprowadził pan z sobą uroczą pannę Radley! Jesteśmy zaszczytzeni państwa obecnością, prawda, James?

Łokieć, który trafił pana Ashby'ego prosto w żebra, postawił go na baczność.

- Yy... tak, zaszczytzeni. Uroczo. Cieszymy się, że są państwo u nas.

Wreszcie ocknął się na tyle, że naprawdę zauważył, iż stoi przed nim William. Ożywił się od razu.

- A, Greycliffe! Musi mnie pan jak najprędzej odwiedzić. Mam panu do zaoferowania kolejną inwestycję.

William skinął głową na zgodę, rzekł parę słów powitania do wachlującej się z zapalem pani Ashby, po czym odprowadził pannę Radley w dal. Odchodząc, pochylił głowę ku towarzyszce i poklepał ją dwukrotnie po ramieniu. Claudette zmroziło krew w żyłach. Gest mężczyzny był identyczny jak pieszczota, którą obdarzał ją Jean-Philippe w czasie ich wspólnych spacerów. Nie mogła złapać oddechu. Maude Ashby była pochłonięta rozmową z innym gościem. „Brakuje mi powietrza”, przemknęło przez myśl dziewczynie. Nie wydawało się, by chlebodawczyni i jej rozmówca mieli szybko skończyć pogawędkę, więc szepnęła: „*Madame, pardon*”, i opuściła salę.

nie bacząc na to, czy ktokolwiek zauważy jej ucieczkę od boku pani. Wypadłszy z pokoju, pobiegła długim korytarzem do biblioteki, a stamtąd na zewnątrz, na werandę i w dół, do ogrodu za domem. Gdy zdała sobie sprawę z szalejącej ulewy, było już za późno i teraz stała w ciemnościach rozrzedzonych tylko światłem bijącym z wnętrza salonu, w którym beztrąsko bawili się goście.

Suknia natychmiast jej przemokła, a włosy przykleiły się do policzków. Potykając się, dotarła do pergoli znajdującej się pośrodku wypielegnowanego ogrodu. Po obu jej stronach ustawiono małe fontanny niepotrzebnie marnujące energię na tryskanie wodą w górę, skoro niebiosa tak wiele właśnie jej zrzucały. Pergola nie była najlepszym schronieniem, Claudette usiadła jednak na znajdującej się wewnątrz ławeczce, opłotła kolana ramionami, złożyła na nich głowę i wybuchnęła płaczem. Płakała nad utratą rodziców i nad rozstaniem z ukochanym Jeanem-Philippeem, którego twarz, choć wstyd jej było przyznać, powoli zamazywała się w jej wspomnieniach. Rozpaczała nad beznadziejną sytuacją w domu Ashbych i nad swą nieudolnością w ratowaniu siebie i Béatrice z opresji. Miała tylko osiemnaście lat, a już została skazana na życie w nędzy. Szczególnym ciężarem leżała jej na sercu świadomość, że zaginie spuścizna po ojcu. Świat nie usłyszy już o wspaniałych lalkach Étienne'a Laurenta. Ludzie pokroju tego Williama Greycliffe'a i jego Lenory Radley będą zawsze patrzeć z góry na artystów takich jak Etienne i jego córka, szczególnie jeśli owa córka zostaje bez grosza przy duszy. „Och, tatusiu, czy ja jedna w Europie pamiętam twój talent i geniusz w rzeźbie? Nie ma nikogo, kto mógłby cię zastąpić. Anglicy nie zrozumieliby twojego niezwykłego daru, dla nich jedyną formą sztuki są portrety”. W myślach przedrzeźniała bywalców przyjęć pani Ashby: „Joshua Reynolds wykonał tak wierną podobiznę mojego teriera walijskiego Pompeya” albo „Rzecz jasna, z moimi znajomościami udało mi się zaangażować Thomasa Gainsborougha, by namalował portret zaręczynowy mej córki”. Wylała już wszystkie łzy, więc teraz zaśmiała się

cichutko. Jakie szaleństwo zapanowałoby wśród angielskiej arystokracji, gdyby wyprodukowała choć jedną z *grandes Pandores* taty. Czyż w Paryżu lalki nie były najmodniejsze właśnie w kręgach bogaczy?

Nagle blask z okien podświetlający strugi deszczu przesłonił jakiś cień. Przed Claudette stanął nikt inny, jak obiekt jej złości - William Greycliffe. Strzepnął parasolkę, najpewniej tę samą, którą trzymał wcześniej nad głową panny Radley.

- Zauważyłem, jak wybiegła pani z domu. Co pani tu robi w deszczu? Proszę nie mówić, że znów ucina sobie pani drzemkę. Czy te przyjęcia aż tak panią męczą?

Tłumione dotąd uczucia zagotowały się w dziewczynie i wyładowały w postaci gniewu. Podniosła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Jak pan śmie! Nic pan o mnie nie wie!

- A pani nie pozwala mi się poznać.

- *Sir*, w pana obecności mam zawsze niejasne wrażenie, że celowo stara się pan być w stosunku do mnie okrutnym i drwi z mojego nędznego położenia. Z całym szacunkiem nalegam, by powstrzymał się pan od konwersacji ze mną.

Nie zwracając uwagi na jej skargę, rzekł:

- Okropnie pani wygląda z włosami wpadającymi do oczu. Jak pamiętam, gdy tylko te pani oczy nie są ukryte w mroku, mają przecudny wręcz niebieski odcień.

Upuścił parasol i podszedł do niej, wydobywając chustkę z wewnętrznej kieszeni.

- Panno Laurent. - Ciepłą dłonią przytrzymał jej policzek i czułym ruchem otarł jej twarz. - Proszę mi wierzyć, mylnie odczytuje pani moje zachowanie.

Claudette przymknęła oczy i pozwoliła, by się o nią zatroszczył, chwilowo udobruchana delikatnością jego dotyku.

- Co też mogłabym źle zinterpretować?

Nie przerywał dotykania jej chusteczką, mimo że była już sucha. Jego ręka ześliznęła się na kark dziewczyny, który łagodnie odchylił do tyłu. Czowała ciepło jego oddechu na swej szyi i mimo ciemności wiedziała, że bacznie jej się przygląda.

- Myśli pani, że jestem próżny i płytki, ponieważ posiadam majątek i jestem arystokratą, a na panią patrzę z góry jako na kogoś z niższej klasy. Przeciwnie, panno Laurent, to pani gardzi mną. Nie wyobraża sobie pani, jakie brzemię dźwigam jako dziedzic nazwiska i spuścizny Greycliffe'ów. Cierpię, musząc wyrzec się tego, czego pragnę, dla rzeczy, których wcale nie chcę. Doprawdy, muszę...

- Panie Greycliffe? *Sir*? - czyjś głos popłynął ku nim przez mrok i deszcz.

Claudette błyskawicznie otworzyła oczy, a William zaklął pod nosem.

- Słucham, o co chodzi?

- Pani Ashby wzywa wszystkich gości. Mówi, że chce wygłosić ważny komunikat.

Odnalazłszy cel poszukiwań, służący wśliznął się z powrotem do domu, chcąc się jak najszybciej wydostać spod ściany deszczu.

William zsunął rękę z karku Claudette, zatrzymując ją tylko na chwilę, by zatknąć kosmyk jej włosów za prawe ucho.

- Muszę wracać do środka, ale mam ci tak wiele do powiedzenia.

Schylił się po parasol i wszedł do budynku, zanim zdołała wykrztusić odpowiedź.

Długo jeszcze siedziała w pergoli.

Gdy Claudette wróciła do domu, deszcz już nie padał, a goście zdążyli wyjść. Pomogła pozostałym służącym w sprzątaniu, po czym udała się na stryżek, gdzie czekała już Béatrice.

- Claudette, gdzie się podziewałaś? Ominęły cię najbardziej ekscytujące wydarzenia! Ten pan Greycliffe, którego tak nie znosisz, zaręczył się w zeszłym tygodniu z niejaką panną Radley. Może widziałaś ich dziś razem. Ślub za sześć miesięcy, a pani Ashby oznajmiła, że zorganizuje dla nich przyjęcie zaręczynowe. Panna Radley przyjęła to wręcz z euforią! Jest bardzo elegancka, nie sądzisz? Nie jestem pewna, czy rodzina

pana Greycliffe'a wyrazi zgodę na przyjęcie tutaj, ale, och, czy wyobrażasz sobie bycie tak majątną, że ludzie urządzają uroczyste kolacje na twoją cześć? - Béatrice mówiła już bez ładu i składu. - Nikt nigdy nie zastąpi mi Alexandre'a, ale gdybym jednak miała się z kimś wiązać, to marzyłyby mi się trzy przyjęcia zaręczynowe, każde o innym motywie przewodnim. Wszyscy goście z tych uroczystości zostaliby też zaproszeni na wesele. Welon przybrany byłby prawdziwymi kwiatami, tak mi się wydaje... Claudette, dokąd idziesz?

Claudette zamknęła za sobą drzwi i wśliznęła się do własnej klitki. Padła na łóżko, lecz nie płakała. Na myśl o Williamie Greycliffie zalała ją fala goryczy. Dokuczał jej, nękał, i kiedy już-już miała uwierzyć w szczerłość jego intencji, ogłasza światu, że zamierza pojąć za żonę damę z wyższych sfer! Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Kogo obchodzi, że żeni się z jakąś chudonogą? Była zła dlatego, że traktuje ją jak głupią.

Dziewczyna czuła, że czas opuścić rezydencję Ashbych niezależnie od trudności, jakie przyszyłoby jej w tym celu pokonać. Usługiwanie na przyjęciu z okazji zaręczyn Williama Greycliffe'a było czymś, na co się nie zdobędzie. Rodzice zginęli, Jean-Philippe zniknął z jej życia, a los Béatrice i Marguerite leży w jej rękach. Odsunie na bok marzenia o szczęściu, skupi się na zdobyciu niezależności i przywróceniu do życia niezwyklej wizji ojca. Pokaże światu, że jest dziedziczką największego lalkarza.

Claudette dzielnie starała się ignorować przygotowania do przyjęcia zaręczynowego dla pana Greycliffe'a. Béatrice trajkotała o nim bez ustanku, ale Claudette umykała we własne myśli, marząc o założeniu warsztatu i planując to przedsięwzięcie. Pierwsze na liście potrzeb były pieniądze, większe niż te, które zarabiała za pośrednictwem Jacka ze sprzedaży na targu przy ulicy Surrey. Handlowano tam zresztą raczej owocami i warzywami niż sprzętami użytku domowego.

Podjęła z Jackiem temat poszerzenia rynku sprzedaży lalek.

- Sam nie wiem, panienko Claudette - podrapał się po krótkich, sztywnych włosach. - Brzmi, jakby chciała je panienka eksportować, a nie wiem, jak tego dokonamy bez wiedzy pani Ashby. Chyba że znajdzie panienka własny sklep.

- Sklep! - zaśmiała się, jednak bez cienia radości w głosie. - Niemożliwe. Ledwie wystarcza mi pieniędzy na ciepłe pończochy dla nas trzech. I masz rację, coś takiego Jassy wywachałaby raz dwa. A ponadto, nawet gdyby udało mi się to ukryć, skąd miałabym wziąć fundusze na tkaniny i inne materiały w ilości wystarczającej na otwarcie sklepu? Musi być inny sposób.

To Béatrice wpadła wreszcie na rozwiązanie.

- Czy nie wspominałaś mi kiedyś o tym, że twój ojciec sprzedawał lalki krawcom, aby mogli pochwalić się najnowszymi strojami? Może mogłybyśmy uczynić to samo, w zamian za skrawki materiałów?

Claudette rzuciła się ścisnąć przyjaciółkę.

- Béatrice, jesteś genialna! Właśnie tak zrobimy!

Pracowały jeszcze intensywniej, by przygotować komplet lalek. Pewnego popołudnia Claudette wyjątkowo dostała wychodne ze względu na to, że państwo Ashby wybrali się gdzieś z wizytą. Wyruszyła z Jackiem w roli przewodnika, by odwiedzić kilka sklepów krawieckich i zaproponować właścicielom wymianę - lalki za tkaniny. Odmowy były bolesne. „Co takiego? Myślicie, że nie mam dość pracy? Miałabym jeszcze szyć miniaturowe sukienki dla jakichś głupich lalek?”, rzuciła jęcza o skwaśniałym obliczu. „Czy oczy nie dość mi szwankują, że przynosicie mi jeszcze coś takiego? Do tego żądacie zapłaty w postaci moich kosztownych materiałów, też coś!” - trzasnęły kolejne drzwi.

Przygnębiona, odesłała Jacka do domu i ruszyła samotnie alejką wzdłuż ulicy, gdzie wreszcie usiadła pod ścianą budynku i zapatrzyła się w swoje pudełko. Jak zdobyć tkaniny? Nie

zniży się do kradzieży. Z drugiej strony nie była w stanie wyobrazić sobie wiecznej służby w domu Ashbych. Siedziała po-
grążona w myślach, aż nagle poderwała się na równe nogi. Naturalnie!
Ależ była głupia. Pytała niewłaściwe osoby!

Podniosła pudełko i przeszła dwie ulice do Sklepu Bławatnego
Gifforda. W środku mężczyzna i kobieta podliczali rachunki z całego
dnia. Gdy weszła Claudette ze swym towarem, równocześnie podnieśli
głowy.

- Przykro nam, nie jesteśmy zainteresowani twoimi kociętami -
powitała ją niska i tęga kobieta z wypłowiałymi brązowymi włosami i
nieco zrezygnowanym spojrzeniem.

- Nie, proszę pani, nie mam kotków. Mam natomiast propozycję,
która pomoże zarówno mojemu, jak i państwa interesowi.

Mąż, równie niewysokiej, lecz korpulentnej postury co jego
małżonka, uniósł brwi i zapytał:

- Co to za oferta?

Claudette wyjaśniła im, że jest lalkarką i pilnie potrzebuje tkanin,
by zrealizować zamówienie na komplet lalek. Nie mogła czekać na
dostawę z Kontynentu. Pokazała im pudełko próbek, które obejrzeni z
uwagą, podnosząc lalki, poruszając ich kończynami i dotykając
palcami malowanych twarzączek. Zaproponowała, że ofiaruje im lalki
ubrane w ich tkaniny, jeśli w zamian otrzyma od nich trochę materiału.
Ona będzie dysponować niezbędnymi skrawkami, a oni skorzystają,
mogąc pochwalić się świetną jakością swych towarów, eksponując je
w ciekawszy niż dotąd sposób.

- Eee... - rzuciła kobieta, wzruszając ramionami, najwyraźniej
nieporuszona.

Zdesperowana Claudette zaniósła lalki na wystawę i pokazała,
jak można je ustawić za szybą, by były najlepiej widoczne dla
przechodniów. Para wymieniła spojrzenia, których Claudette nie
umiała zinterpretować.

- Hmm, co o tym sądzisz, Diane? - mężczyzna spytał żonę.

- W gruncie rzeczy... czemu nie? Daj jej kilka zabrudzonych
zwojów. Może powycinać materiał wokół plam, a my

przynajmniej w ten sposób wykorzystamy tkaninę, z której inaczej nie mielibyśmy żadnego pożytku. - Przyglądając się Claudette, zauważyła: - Wyglądasz na bardzo młodą, panienko. Mówisz, że masz już ustaloną pozycję w Londynie?

Dziewczyna wymamrotała szybko, że jej lalki znane są nawet we Francji, po czym pospiesznie opuściła sklep, obiecując wrócić za dwa tygodnie z dokończonymi figurkami.

Poprosiła Jacka, by zdobył kilka najświeższych wzorów sukien od okolicznych krawcowych, tak aby mogła ubrać lalki zgodnie z obowiązującymi trendami. Wzięła się za żmudne i wymagające dokładności szycie, starannie stawiając ścieg za ściegiem, tak jakby nigdy nie opuściła warsztatu ojca. Beatrice wolała nieco mniej mozolną pracę malowania twarzączek. Wkrótce miały ponad tuzin lalek gotowych, by dostarczyć je do sklepu państwa Giffordów. Miał się tym zająć Jack, jako że jego nieobecność w domu Ashbych mniej rzucałaby się w oczy niż zniknięcie Claudette. Wrócił ze swej misji, tryskając entuzjazmem.

- Wzięli wszystkie i wychwalali pod niebiosa! Mogłem je pewnie sprzedać, i to za cenę dwa razy przekraczającą to, co dostałbym na targu.

Następnie położył przed nimi ciężki pakunek przewiązany szpagatem. Wewnątrz znalazły hojnie odkrojone kawałki tkanin, a poza tym wstążki, a nawet cekiny w małej sakiewce. Claudette z zapalem przekopywała się przez otrzymane skarby, a potem wraz z Jackiem i Beatrice rozłożyli materiały i zwinęli je starannie w jeden rulon, by ocalić je przed nieodwracalnym pomięciem.

Przyjaciółki nauczyły się spać pięć godzin na dobę. Pracowały każdej nocy, długo po tym, jak cały dom już zasnął, produkując lalki dla londyńskiego rynku mody. Skrzynka pęczniała od monet i Claudette zaczęła wierzyć, że może w następnym roku uda im się opuścić posady u Ashbych. Popłynęłyby z powrotem do Francji, odnalazłaby Jeana-Philippea i wreszcie pozbyłaby się osoby pana Williama Greycliffea.

Pewnego poranka Claudette zajęta była układaniem akcesoriów na toalecie pani Ashby, gdy weszła Jassy z miną bardziej chytrą i tajemniczą niż kiedykolwiek.

- Pani chce cię widzieć w jadalni - powiedziała, a na jej twarz wypłynął złośliwy uśmiezek.

Claudette odłożyła srebrne lusterko, które właśnie polerowała, i wstała, by dołączyć do Jassy, lecz tamta zdążyła się już wyśliznąć z pokoju.

Pani Ashby oczekiwała jej w jadalni w towarzystwie pani Lundy. Pierwsza z nich siedziała, wyprostowana u szczytu stołu, stukając palcami w blat. Druga stała przy kredensie z pełną niezadowolenia miną, zaciskając dłonie.

Co znowu?

Gdy Claudette weszła do sali, pani Ashby wstała władczo.

- Czy domyślasz się, dlaczego cię tu wezwałam?

- Nie, proszę pani. Układałam pani akcesoria toaletowe, kiedy Jassy...

- To, co robiłaś przed chwilą, jest bez znaczenia. Istotne jest to, czego dopuszczałaś się przez ostatnich kilka miesięcy pod moim nosem!

-*Madame*⁷ Nie rozumiem... - Dobry Boże, dowiedziała się o lalkach?

- Nie wciskaj mi tu swoich paryskich kłamstewek! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, przyjmując ciebie i tę przygłupią dziewczuchę z wiecznie trajkoczącym dzieciakiem, karmiąc i troszcząc się o was, jakbyście były członkami rodziny. Wszystko to wbrew moim słusznym, jak widać, o was sądom.

Pani Lundy pociągnęła nosem, co najwyraźniej miało oznaczać aprobatę dla słów chlebobawczyni, która tymczasem mówiła dalej:

-Kiedy pomyślę o tym, jak wielkodusznie wyniosłam cię powyżej twej rangi, obdarzając zaufaniem i mianując swoją osobistą służącą... A ty tak mi się odwdzięczasz! Jestem oburzona... nie, wręcz nie mieści mi się w głowie... - Maude

ciągnęła zbolalym głosem, podczas gdy Claudette stała przed nią niepewna, o co konkretnie jest oskarżana. - Jakie to szczęście, że Jassy jest porządną służącą i że leży jej na sercu dobro jej pani. Na miłość boską, do czego jeszcze by doszło, gdyby mi tego nie zgłosiła? Mogłabyś wpaść w tarapaty i mnie ośmieszyć!

- W tarapaty? Jak to? - Dziewczyna zacisnęła pięści spuszczonej bo bokach rąk.

-Ha! Wiem o twoich nocnych grzeszkach z Jackiem Smytheem. Był uczciwym i przyzwoitym młodzieńcem, zanim wpadł w twoje szpony.

- Moje szpony? - Claudette nadal nie była pewna, dokąd pani Ashby zmierza w swej tyradzie. Czyżby Jassy odkryła pudełko na lalki? Nie zaglądała tam jeszcze dzisiaj... A może spełniała swoją groźbę o donosie na zmyślony temat?

-Tak, twoje zachłanne, chciwe szpony! Jak śmiałaś zaciągnąć go do łóżka, łóżka, które ja ci dałam, by odbywać potajemny romans! Dobrze wiesz, że to łamanie zasad tego domu. Doszły mnie słuchy, że nosisz już w brzuchu bękarta! - Ach, więc tak to Jassy rozegrała. - A może znasz kogoś w okolicy, kto potrafiłby zająć się twoim problemem? Co masz na swoją obronę, dziewczyno?

Claudette wzięła głęboki wdech. Przynajmniej pani Ashby nic nie wiedziała o nocnych wyprawach Jacka na ulicę Surrey. Jej oskarżenia były jednak nie do zniesienia.

„Czy powinnam błagać o wybaczenie, by ocalić nasze posady?” Sekundy mijały, Maude czekała z coraz jawniejszym zniecierpliwieniem, a pani Lundy poruszała nosem z dezaprobatą. Kątem oka Claudette dostrzegła Jassy przechodzącą przez spiżarnię. Zajrzała do środka, a z jej oczu aż nadto wyraźnie wyglądały ciekawość i złośliwość.

- Pani Ashby - zaczęła Claudette. - Wiele byłam w stanie znieść: nędzną płacę, protekcjonalność, a także nienawiść ze strony pozostałej służby. Jednakże pani zarzuty wobec mnie są nie tylko nieprawdziwe, ale i krzywdzące. Nie mam ani czasu, ani ochoty na, jak je pani nazywa, „grzeszki” z którymkolwiek

z pani służących. Natomiast to, że zawierzyła pani tak pustej, kłamliwej osobie jak Jassy, która nie ma za grosz intelektu, świadczy tylko o pani własnej bezbrzeżnej głupocie i egocentryzmie.

Twarz pani Ashby wykrzywił grymas wściekłości i przemówiła najgroźniejszym tonem ze swego repertuaru, tym, który na ogół skłaniał służbę i rodzinę do ukrywania się po kątach.

- Jesteś nic niewartą ulicznicą. Nie masz innych perspektyw, jak tylko praca u mnie. Czy zdajesz sobie sprawę, że w moich rękach znajduje się cała twoja przyszłość i że mogę zniszczyć ją w ułamku sekundy? - Strzeliła palcami przed nosem dziewczyny, by podkreślić swoją władzę.

Na twarz Claudette pomалу wypłynął uśmiech.

- *Madame*, może pani dodać „nierozsądna” do sugerowanego przeze mnie opisu pani osoby. I proszę uważać moją pracę u pani za zakończoną.

W kącikach ust pani Ashby pojawiła się piana.

- Ty... śmiesz powiedzieć, że... ty wypowiadasz posadę u mnie?

- Owszem, mówię *au revoir* pani, pani nieudacznemu mężowi, wstrętnemu synalkowi Nathanielowi i każdemu wrednemu służącemu w pani domu. - Claudette rzuciła pani Lundy znaczące spojrzenie, by czuła się włączona w listę oprawców. - Nicholas to wśród was najmłodsza, a zarazem najbardziej przyzwoita osoba, poza Jackiem.

Dziewczyna obróciła się na pięcie i opuściła pokój przez spiżarnię. Gonili ją jeszcze groźby pani Ashby:

- Moje koneksje sięgają daleko! Nikt nie zatrudni cię w Londynie! W całej Anglii, nikt! Już ja tego dopilnuję!

Claudette nie odwróciła się nawet, wpadła za to wprost na Jassy, która wróciła, by podsłuchiwać rozmowę. Uskoczyła na bok, zszokowana śmiałością przeciwniczki. Claudette pomknęła na górę, nie zauważając nawet Nicholasa obserwującego ją z półpiętra. Poszła na strych, wzięła narzędzia lalkarskie i nagryzmoła liścik do Jacka, po czym zbiegła trzy piętra w dół, do pralni.

Odnalazłszy w podziemiach Béatrice, rzuciła tylko:

- Opuszczamy ten dom. Natychmiast.

Przyjaciółka nie potrzebowała wyjaśnień, by przystać na ten scenariusz, więc bez zwłoki porzuciła składane właśnie prześcieradło. Wzięła na ręce Marguerite i przytulając ją mocno, ruszyła za Claudette na górę i do wyjścia. Nicholas nadal przyglądał im się z punktu obserwacyjnego na półpiętrze.

ROZDZIAŁ 10

Londyn, kwiecień 1783. Rozglądając się po zagraconym sklepieniu i napawając jego istnieniem, Claudette nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Po ucieczce z domu Ashbych wróciły z Beatrice do pastora Danielsa i jego żony. Choć zganili Claudette za nierozważne zachowanie, to jednak zrobili to bez przekonania. Między sobą przyznali, że Maude Ashby nie należy do najbardziej miłosiernych owieczek w ich trzódce i zapewne Harrisonowie bardziej zasługują na ławkę przy samym ołtarzu.

Pewnego wieczoru, jakiś tydzień później, odwiedził je Jack Smythe, który wymknął się jak zwykle, gdy cały dom już spał. Przyniósł wszystkie rzeczy przyjaciółek, jakie udało mu się znaleźć w ich klitkach. Pełne klasy odejście Claudette było źródłem niekończących się plotek. Pani Ashby oświadczyła, że wyrzuciła ją wraz z Beatrice i „płaczliwym bachorem” wprost na bruk. Pani Lundy przemilczała tę kwestię, ale Jassy nie skąpiła sobie pochwał i wśród służby została wyniesiona na piedestał niczym bogini dzięki roli, którą odegrała w zdemaskowaniu obłudnej Francuzeczki Fifi. Jack cudem uniknął kary, zapewne dlatego że występował w roli nieszczęśliwie uwiedzionego młodzieńca. Jassy unikała go, jak tylko mogła, natychmiast przerywając swe przechwałki, gdy tylko pojawiał się w pobliżu.

- Moje nocne poczynania nadal pozostają niezauważone -zdradził kobietom, uśmiechając się krzywo.

Claudette odetchnęła z ulgą, gdy dowiedziała się, że nie stał się ofiarą wybuchowego charakteru pani Ashby. W ciągu kilku kolejnych dni Jack pomógł przyjaciółkom znaleźć lokal,

a przed upływem miesiąca mogły już serdecznie podziękować pastorowi i jego żonie za gościnę. Pomieszczenie było małe i ciemne i znajdowało się w samym sercu tętniącej życiem, handlowej dzielnicy Cheapside. Claudette musiała oddać niemal połowę nędznych oszczędności, by zapewnić im lokal na sześć miesięcy. Spały we trzy w jednym łóżku ustawionym w kącie jednopokojowego sklepu. Sąsiadowały z handlarzem świec z jednej i z księgarzem z drugiej strony. Wytargowała od sąsiada tyle świec, by wewnątrz sklepu uczynić choć odrobinę bardziej przytulnym. Każdego ranka budziły się, słały łóżko, po czym Marguerite zajmowała je, bawiąc się lalkami i innymi zabawkami, które dla niej zrobiły. Claudette i Béatrice, siedząc przy stole z solidnego, nieheblowanego drewna, strugały i ubierały skromne lalki, a potem na zmianę stawały przed sklepem, by sprzedawać je przechodniom.

- Laleczki! Małe bobaski! Kto kupi moje śliczne dzidziusie? Tylko pół pensa za lalę!

Claudette, mając w pamięci wyrafinowany klimat paryskiego sklepu ojca, czuła się upokorzona taką formą handlu. W Londynie było to jednak w zwyczaju handlarzy, których nie stać było na poważny sklep. Sprzedawcy mięsa, mioteł, wstążek, bukietów i wszelakich innych towarów przechadzali się ulicami z koszykami czy wózkami, śpiewnym krzykiem zachęcając kupujących.

Jack zjawiał się co kilka tygodni, by odebrać co elegantsze lalki i wymienić je na tkaniny u Giffordów i w innym sklepach tekstylnych. Pewnego dnia wpadł do sklepu niemal bez tchu, podekscytowany najnowszym osiągnięciem. Udało mu się przekonać kilku producentów kapeluszy, by kupili lalki ubrane wedle ich wskazówek. Naciskali, by ich wizje związane z modą były bardzo rygorystycznie przestrzegane, w związku z czym życzili sobie osobistej wizyty lalkarki, by omówić wzory.

Claudette zaczęła więc odwiedzać modystów, by osobiście zbierać zamówienia i uzgadniać szczegóły strojów miniaturowych modelek. Sprzedawcy kapeluszy dostarczali materiałów

i lamówek, które życzyli sobie widzieć w ubiorach lalek, a Claudette wykorzystywała każdy skrawek pozostały z tych zleceń do odziania figurek, które Marguerite sprzedawała na ulicy pod okiem matki.

Siedmioletnia już dziewczynka miała wdzięku pod dostatkiem i instynktownie wyczuwała, jak mrugnąć oczkiem i co powiedzieć, by dobić targu. Klienci uwielbiali jej dziecięcą śmiałość, a to prowadziło wprost do docenienia kunsztu Claudette, gdy Marguerite przekonywała ich do dokonania zakupu.

Claudette stała się znana w okolicy jako „francuska lalkar-ka z ulicy Cheapside” i uświadomiła sobie, że najwyższy czas nadać sklepikowi oficjalną nazwę. Własnoręcznie wymalowała tabliczkę mającą stać w oknie:

C. LAURENT MODNE LALKI FRANCUSKIE I ANGIELSKIE C. LAURENT, WŁAŚCICIELKA

Każdego ranka ustawiała na wystawie inną lalkę, by przyciągnąć wzrok przechodniów, ale rzadko kiedy zainteresowała kogoś na tyle, by wszedł do środka. Przede wszystkim handel kwitł więc wśród przedsiębiorców, którzy używali lalek przy sprzedaży własnych towarów, a na drugim miejscu plasowała się Marguerite ze swą skutecznością sprzedaży poza sklepem.

Zainteresowanie sklepem wykazał Nicholas Ashby, któremu udało się przekonać Jacka co do swej szczerzej troski o zaprzyjaźnione trio i wydobyć z niego informację, gdzie je znaleźć. Gdy trafił na miejsce, spotkał przed drzwiami Claudette wracającą akurat z miasta po dostarczeniu kosza nowiutkich lalek do sklepu z kapeluszami i rękawiczkami.

- Nicholas! Co za radość widzieć cię tutaj! Jak nas odszukałeś? Nieważne zresztą, wejdź, proszę. Béatrice i Marguerite ucieszą się na twój widok!

W środku zastali Béatrice krztuszącą się w ataku kaszlu nad stertą wiórów. Obok ścinków drewna leżał niedokończony korpus lalki i nożyk do strugania.

Claudette skoczyła ku przyjaciółce.

- Béatrice, pył z drewna dostał ci się do płuc! Kobieta przysłoniła usta dłonią.

- Nie, nie, wszystko w porządku, ale chyba chwilkę odpocznę. - Wyjęła z kieszeni chusteczkę i przyłożyła ją do warg.

- O, czy to Nicholas przyszedł nas odwiedzić? Chłopiec pochylił głowę.

- Tak, panno Béatrice. Jack zdradził mi, gdzie jesteście. Chciałem zobaczyć na własne oczy.

Béatrice wyciągnęła ręce i przytuliła go. Poczował zapach palonego drewna, kleju, i delikatną nutkę lawendy. Mimo że uścisk trwał raptem chwilkę, Nicholas zawstydział się i szybko uwolnił z jej ramion.

- Gdzie pani córeczka? - spytał.

- Ach, ten mały łobuz nie daje spokoju księgarzowi obok. Wiecznie pożyczka i oddaje książki. Spodziewam się, że pewnego dnia wreszcie zabarykaduje się przed nią, ale jak dotąd mała zdaje się podbijać każde napotkane serce. Może z wyjątkiem twojej matki. Och, Nicholasie, przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Nie podnosił wzroku.

- Wiem, jaka jest. Wpadła w straszny gniew, gdy się zwinęłyście.

Opowiedział im, że po ich odejściu Maude Ashby dostała apopleksji z wściekłości, a nawet teraz nie wolno przy niej wymawiać imienia Claudette. Według Nicholasa najbardziej urażona była jej duma. Oto dwie kobiety, które powinny jej być do zgonnie wdzięczne, bezczelnie wypowiadają u niej służbę. Całymi miesiącami, każdego ranka przy śniadaniu przeglądała prasę, polując na informację, że któraś z nich trafiła do więzienia dla dłużników, „co należałoby się tym niewdzięcznym dziewczkom jak amen w pacierzu”. Potwierdziłoby to jej przekonanie, że nie są w stanie przetrwać bez jej miłosierdzia. Jej gniew skrupiał się najbardziej na Jamesie i Nicholasie. Jack Smythe rzeczywiście uniknął kary. Nicholas przypuszczał, że to spryt i przydatność Jacka jako służącego sprawiły, że Maude

wolała całą winę przypisać Claudette, zamiast dopuścić do siebie myśl, że i młodzieniec mógł zrobić coś złego.

- Jassy Brickford też już nie ma - dodał. Claudette znieruchomiała.

- A gdzie jest?

- Nie wiem. Pokłóciła się z panią Lundy... zdaje się, że o jakieś stanowisko, którego żądała Jassy. Mama ani słyszeć nie chciała o tym, by je objęła, a wtedy Jassy, cóż, straciła panowanie nad sobą. Zagroziła, że spali dom. Pani Lundy zwolniła ją, więc Jassy zniknęła, wynosząc przy okazji część naszej srebrnej zastawy. Mamie znów puściły nerwy, ale nie rozgniewało jej to aż tak, jak wasze odejście.

Marguerite wróciła do sklepu, lecz obecność Nicholasa nie zrobiła na niej wrażenia. Zasiedli w czwórkę przy roboczym stole do lekkiego posiłku złożonego z niewielkich kawałków mięsa i słabego ale. Wcześniej tego dnia Béatrice przyniosła koszyczek świeżych truskawek od ulicznego sprzedawcy i teraz zjedli je razem. Uwielbienie, z jakim Nicholas patrzył na Béatrice, było widoczne dla wszystkich z wyjątkiem Marguerite, która opowiadała o najnowszym tomie na wystawie pana Addlestona, zatytułowanego *Życie i myśli J.W. Pana Tristrama Shandy*.

- Przeczytałaś to sama, w twoim wieku? - dziwiła się jej mama.

- Nie... Ale pan Addleston wszystko mi streścił, więc wcale nie musiałam czytać! - odparła dziewczynka, zupełnie nie-speszona.

Nicholas musiał się wkrótce zbierać, aby matka nie zauważyła jego przedłużającej się nieobecności. Powiedział jej, że udaje się na korepetycje do swego nauczyciela, lecz pewnie zaczęła się już zastanawiać, dlaczego zajmuje mu to tyle czasu. Obiecał wkrótce znów je odwiedzić, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że ukrywanie wizyt przed wszystko wiedzącą panią Ashby może okazać się niemożliwe.

Gdy wychodził, Béatrice wcisnęła mu do ręki małą laleczkę w wełnianym stroju.

- Zachowaj ją dla swojej pierwszej ukochanej - powiedziała.
- Ale... - próbował oddać jej podarunek, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Wepchnęła figurkę mocniej w jego dłoń.

- Pewnego dnia znajdziesz odpowiednią panienkę w twoim wieku i być może będziesz chciał ofiarować jej coś na dowód swoich uczuć. Do widzenia, Nicholasie.

Wyglądał na załamane, ale posłusznie schował lalkę do kieszeni. Wyszedł ze sklepu, po czym, oglądając się jeszcze za siebie, wtopił się w uliczny tłum.

Kilka dni później Claudette udała się do sklepu Giffordów. Czekala tam na nią Diane z wiadomością, od której serce dziewczyny niemal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Pytano tu dziś o twoje lalki.

- Pytano?

- Tak, jedna z moich klientek przyszła z córką i z rodzinną krawcową, szukały tkaniny na sukienkę na urodziny tej małej. Ci bogacze dają się ponieść przechwałkom i chęci olśnienia innych. Pomyśl tylko, tyle jedwabiu dla dziesięciolatki, żeby pobrykała sobie przez jeden dzień. No cóż, i my mamy dzięki temu co do garnka włożyć, więc...

- A to pytanie? - weszła jej w słowo Claudette.

- Ach, tak, więc matka spytała, czy lalki na wystawie są na sprzedaż. Powiedziałam, że zostały zrobione specjalnie dla nas. Wtedy wręczyła mi wizytówkę i prosiła, by lalkarka stawiła się u niej w domu, tak by mogła złożyć zamówienie.

Claudette zdawało się, że ziemia drży jej pod stopami. Musiała wziąć kilka głębokich wdechów, by zachować względny spokój.

- Ktoś z wyższych sfer życzy sobie mnie widzieć? Żeby zamówić lalkę?

- Nie rób takiej niemądrej miny. Czy świat ma stanąć w miejscu, bo któryś z tych bogatych snobów pragnie się z tobą rozmówić? Proszę, oto wizytówka.

Przez resztę dnia Claudette rozważała, jak zachowywać się w stosunku do mającej pani. Jak zagwarantować sobie sprzedaż? Opowiedziała Béatrice o potencjalnej klientce.

- Byłaś już u niej?

- Jeszcze nie - odparła z zakłopotaniem. - Chciałam najpierw podzielić się nowiną z tobą.

- Claudette! Musisz udać się tam jak najprędzej. To dla ciebie wielka szansa!

- Każdy mój sukces to również zasługa twoja i Jacka. Wybrały modele, które miała zademonstrować *lady* Helen Par-

shall. Czy wziąć też próbki tkanin? A może tylko w pełni odziane lalki? Jak sprawić, by spotkanie przyniosło zlecenie od *lady* Par-shall, a może i jej znajomych? Jak oczarować angielską elitę?

Analizowały pomysł za pomysłem, aż wreszcie Claudette przysłała do głowy niezwykła myśl.

- Béatrice, wiem, co zrobimy! To będzie coś jedyne w swoim rodzaju i pokaże lalki w najlepszym świetle.

- Co to będzie?

- Chcę, byś poszła ze mną przebrana za lalkę.

- Za co?

- To genialny plan. Dobierzemy suknie dla ciebie oraz lalki i przedstawimy was razem. Te lalki to i tak w połowie twoje dzieło. Będzie mi trzeba trochę twoich włosów na perukę. -Z tymi słowami otworzyła szufladę i wyjęła z niej nożyczki.

- Claudette! Co ty wyprawiasz?

- Tylko parę kosmyków, tu spod spodu. - Uniosła włosy spływające Béatrice po karku. - Tylko raz ciachnę i będę miała aż nadto. O, proszę. Nie widać, by czegokolwiek brakowało.

Béatrice roześmiała się.

- Mam nadzieję, że uda ci się dobić targu, zanim zostanie mi strzecha na głowie!

Przyjaciółki pracowały ciężiej niż kiedykolwiek. Pięć dni później udały się pod adres widniejący na wizytówce *lady* Parshall. W głowie Claudette szalała burza myśli. Była świa-

doma, że oto stoi na progu olśniewającej wiktorii lub druzgoczącej porażki. Czy tata przeżywał takie chwile u progu swojej kariery?

-Och, Claudette, jestem okropnie zdenerwowana. Tak bardzo chciałabym, żeby wszystko udało ci się jak najlepiej.

Béatrice miała na sobie kreację ze złocistego jedwabiu i koronki. Nasunięty nisko na czoło kapelusz dobrany był kolorystycznie do sukni, a z boku wesoło zatknięto weń pawie pióro. W rękach Claudette spoczywało drewniane pudełko, a w nim modelowa lalka o zielonych oczach, w peruce z włosów Béatrice i stroju będącym idealną repliką jej ubioru. Nawet stylowy kapelusz był identyczny!

Drżąc z nerwów, podeszły do drzwi *lady* Parshall i zapukały lekko. Otwarto im niemal natychmiast, a służąca, zapytawszy o ich nazwiska, poprosiła, by poczekały w sali przy holu, po czym poszła zawiadomić panią o ich przybyciu. *lady* Parshall wkroczyła zamaszycie, najwyraźniej przyzwyczajona do wydawania poleceń i bycia szanowaną. Jej wysoka, szczupła postać odziana była w haftowaną jedwabną suknię o barwie słonecznika, obficie ozdobioną koronką przy łokciach i dekolcie. Krok w krok za nią podążał mały Murzynek ubrany w ten sam jaskrawy jedwab, a także wymyślnie zwinięty turban. Chłopiec nie zwrócił uwagi na nieznaną, wpatrzony z uwielbieniem w swoją panią. Niósł w rączkach nieduży wachlarz z białych, strusich piór. Widok chłopca przywiódł na myśl Claudette jej własną rolę, wymuszoną na niej przez panią Ashby.

- Więc która z was jest lalkarką?

- To ja - odezwała się Claudette. - Nazywam się Claudette Laurent, a to moja asystentka Béatrice du Georges.

- Ponoć jesteście Francuzkami - powiedziała beznamiętnie pani domu.

Odpowiedziały milczeniem, nie będąc pewne, czy komentarz był neutralny, czy wymierzony jako oskarżenie.

Lady Parshall przyglądała im się niecierpliwie, tupiąc obutą w atłas stopą w wielki wełniany dywan.

- Siadajcie, siadajcie - rozkazała wreszcie, wskazując parę krzeseł obitych haftowaną tkaniną. Sama zajęła miejsce naprzeciwko, a mały Murzynek stanął za jej oparciem. Uniósł strusie pióra i począł powoli wachlować swoją panią. *Lady* Parshall z roztargnieniem poklepała go po główce, jak gdyby wyrażała pochwałę dla psa.

- Marcel, masz ochotę na coś pysznego? Idź do kucharki, powiedz, że pozwoliłam ci zjeść łakocia. Ale tylko jednego, Marcel. Grzeczny chłopiec.

Marcel odłożył wachlarz na stolik, skłonił się grzecznie damie i wybiegł w podskokach. *Lady* Parshall rzuciła za nim okiem, po czym zwróciła się do przybyłych, które tymczasem ukradkiem oglądały pokój. Przestrzeń zdominowana była przez lustro na jednej ścianie i okno po przeciwległej stronie. Promienie słońca wpadające przez szyby odbijały się od tafli luster i zalewały pomieszczenie olśniewającym blaskiem. Claudette słyszała, że Ludwik XIV stworzył olbrzymią Salę Luster w Wersalu. Czy oglądały właśnie podjętą przez *lady* Parshall próbę kopiowania francuskiego stylu? Trzecią ścianę zdobiły dwa gobeliny przedstawiające sielankowe sceny. Pokój zastawiony był meblami, które - choć pretensjonalne - były dobrze wykonane. Claudette szczególnie bacznie przyglądała się rzeźbionym nogom krzeseł. Nagła fala uczuć poniosła jej myśli do warsztatu taty, gdzie każdego dnia witał ją jego zdrowy śmiech, zapach świeżo spiłowanego drewna, a także mieszająca się z nim, odurzająca woń dobiegająca z ulokowanej dwa domy dalej *parfumerie*. Pachnące tak powietrze wypełniało jej dziecięcą wówczas główkę pozytywnymi myślami. Umiała rozróżniać gatunki drewna po zapachu pokrytych pęcherzami ojcowskich dłoni, które z drewnem tym pracowały.

Wiodąc wzrokiem za spojrzeniem Claudette, skupionym na pozłacanym biurku, jej przyszła, daj Bóg, klientka rzekła:

- Widzę, że podobają ci się moje meble.

- Tak, proszę pani. Ojciec był stolarzem i nauczył mnie wiele o drewnie. Ma tu pani piękne okazy.

Polechtana pochwałą *lady* Parshall odparła z zadowoleniem:

- Wszyscy producenci mebli w Anglii marzą o tym, by otrzymać ode mnie zlecenie. Każdy, u kogo się zaopatruję, staje się znany i majątny. W zasadzie rzadko kiedy w ogóle przychodzi mi za coś płacić ze względu na prestiż, jaki moje nazwisko może przynieść rzemieślnikowi.

Claudette poczuła mrowienie w karku. Czy jedyną zapłatą za pracę miała być niepewna obietnica zleceń od znajomych *lady* Parshall?

- Czy *milady* życzyłyby sobie zobaczyć model wykonany specjalnie na dzisiejszą okazję?

Otrzymawszy w odpowiedzi nieznaczące skinienie głową, Claudette szepnęła do Beatrice:

- Wyjmij lalkę z pudełka i zademonstruj pani, trzymając ją tak blisko twarzy, jak ci mówiłam.

Beatrice niespiesznie wydobyła owiniętą w bibułę lalkę, jak gdyby miała odkryć wielki skarb. Jeszcze dłużej zajęło jej od-pakowywanie złożonej na kolanach figurki, jakby ów skarb był tak cenny i delikatny, że mógłby się skruszyć pod najlżejszym uciskiem. Gdy wreszcie opadł spowijający lalkę papier, Beatrice uniosła ją na wysokość swego policzka i obracając się do *lady* Parshall, przytuliła twarz do lalki z uśmiechem tak ciepłym, że stopiłby każde serce.

- Niesamowite! - wykrzyknęła dama. - Zrobiłaś ją jako idealną podobiznę swej asystentki! Ubranie takie samo. Podaj mi ją. - Wyjęła lalkę z rąk Beatrice. - Te włosy! Takie jak twoje, miękkie i gładkie.

- Tak, pani - wtrąciła wyjaśnienie Claudette. - Ucięłam kosmyk włosów asystentce, by uzyskać jak najbardziej naturalny efekt. Większość lalkarzy używa szorstkich włókien do produkcji fryzur, lecz ja jestem bardzo staranna przy zleceniach od ważnych klientów. Sądzę, że lalka zyskuje w ten sposób klasę. Zgodzi się pani ze mną?

Lady Parshall nie zwracała uwagi na Claudette, gdyż zajęta była poruszaniem stawami figurki, obliczaniem wartości jej

stroju, odpinaniem i zapinaniem haftek, badaniem odzieży spodniej i gładzeniem pomalowanej twarzyczki.

- Fantastyczna jakość - mruzczała pod nosem.

Przez kilka minut była tak zaabsorbowana oglądaniem zabawki, że zdawała się nie pamiętać, że Claudette i Béatrice nadal są w pokoju.

Wreszcie podniosła wzrok i jak gdyby zdziwiona ich obecnością spytała:

- Tak, więc ile mi sprezentujecie?

- Sprezentujemy, *lady* Parshall? - Claudette coraz bardziej się denerwowała.

- Owszem. Życzę sobie otrzymać cztery lalki. Jedną będącą moją podobizną i trzy przedstawiające moje córki. Podam wam adresy miejsc, gdzie należy zakupić materiały na sukienki, które są właśnie szyte dla każdej z nas. Weźmiemy lalki na przyjęcie wydawane w przyszłym miesiącu przez hrabiego Boxshire w jego wiejskiej posiadłości w Surrey. Wy dacie mi lalki, a ja w zamian postaram się, aby każdy z obecnych dowiedział się, czym są dziełem. - *Lady* Parshall wstała władczo. Było jasne, że rozmowa dobiegła końca, a Claudette pozostawało tylko zastosować się do otrzymanych instrukcji.

Do pokoju wrócił Marcel z wiele zdradzającymi plamami czekolady na bufiastych rękawkach.

- Marcel, spójrz. - Dama podała chłopcu lalkę. Wziął ją ostrożnie, wpatrując się w nią jakby właśnie spadła z nieba. Podniósł oczy na swoją panią, szukając wskazówki co do oczekiwanej reakcji.

- To jest lalka. Będziemy mieli ich kilka i będą wyglądały jak ja oraz panienki Camilla, Caroline i Cecily. Rozsławią nas na całe miasto, jeśli biednej, obecnej tu pannie Laurent się poszczęści.

Marcel wbił wzrok z powrotem w zabawkę, po czym oddał ją *lady* Parshall. Zwróciła się ponownie do Claudette:

- Kiedy dostarczycie mi lalki?

- *Madame...* - zawahała się. - Stworzenie tak wyszukanych lalek wymaga ogromnych nakładów, a ja już zainwesto-

wałam bardzo wiele w swe przedsiębiorstwo. Czy nie rozważyłaby pani jednak choć drobnej zapłaty za nasz towar?

- Dostarczycie lalki do tylnych drzwi za dwa tygodnie. Nie życzę sobie, aby widziano handlarzy przy głównym wejściu. -Wydawszy ostatnie polecenie, z szelestem sukien wyszła z pokoju, zupełnie nie zważając na sugestię Claudette.

Obdarzywszy się nawzajem pociągłymi spojrzeniami, przyjaciółki zrozumiały, że jedynym wyjściem jest poddanie się woli damy.

Gorączkowo pracowały nad czterema lalkami dla *lady* Parshall. Odbyły dwie wyprawy do domu dobrodziejki, korzystając oczywiście z tylnego wejścia, by wykonać naprędce szkice twarzy i fryzur trzech dziewcząt oraz przyjrzeć się sukniom, w których miały wystąpić na przyjęciu u hrabiego. Na szczęście wszystkie tkaniny udało im się znaleźć u Gerarda i Diane Giffordów, którzy z otwartymi ramionami powitali młodą lal-karkę. Diane krzątała się zwinnie, pomagając Claudette.

- Tak, tak, *lady* Parshall to ciężki przypadek, co? Wiecznie żąda, by dawać jej materiał za darmo, zawsze przyrzekając, że dzięki jej niewyobrażalnym koneksjom będziemy mieć w sklepie ruch, z którym wręcz trudno nam sobie będzie poradzić. Przypuszczam, że rzeczywiście pojawiło się u nas więcej osób, ej, ostrożnie z tym jedwabiem, jest nowy i delikatny!, choć nikt pokroju hrabiego Boxshire. - Kładła na ręce Claudette zwoje tkaniny.

Tymczasem jej mąż i Béatrice przeszukiwali szuflady pełne nici i koronek. Gerard odezwał się przez ramię do Claudette, której ledwo czubek głowy wystawał zza góry tkanin:

- Moje dziecko, nie martw się kwestią zapłaty, dopóki dostarczone lalki nie przyniosą ci jakichś zysków. Oboje z żoną pomożemy ci przy *lady* Parshall nie dlatego, że spodziewamy się, iż przyjdzie ci z pomocą. Jesteśmy jednak przekonani, że twoje lalki będą mówić same za siebie i przyprowadzą klientów również do naszego sklepu.

Porwana nagłym impulsem Claudette odłożyła tkaniny na stół i zarzuciła ramiona na szyję staruszka, całując go w policzek. Gerard, zmieszany, parsknął tylko, po czym pogładził ją niezręcznie po głowie, wyplątał się z jej rąk i wrócił do pracy.

Przyjaciółki dostarczyły lalki starannie opakowane w bibułę i przewiązane wstążkami pod kolor sukni każdej z nich. Trzy córki *lady* Parshall aż piszczały z uciechy, gdy Claudette pokazała matce ich miniaturowe podobizny spowite w barwne jedwabie i koronki.

- Będę najbardziej pożądaną panną na całym przyjęciu! - wykrzyknęła ciemnooka Camilla, którą można byłoby nazwać piękną, gdyby nie niepokojące wypryski.

- Wcale nie! Moja lalka jest do mnie bardziej podobna i to mnie będzie prosił do tańca każdy kawaler! - zaproponowała jej siostra Cecily, pulchna blondynka.

- Mamo, proszę, czy mogłabym potrzymać swoją lalkę? Chciałabym poćwiczyć wchodzenie z nią na salę balową. - Caroline była najpoważniejszą z dziewcząt, jeśli oczywiście którąkolwiek z sióstr można określić mianem poważnej.

Lady Parshall wyprosiła zaopatrzone w lalki córki z pokoju i zwróciła się do Claudette i Beatrice z nowymi instrukcjami:

- Spodziewam się, że nie wykonacie podobnych lalek dla nikogo, dopóki nie odbędzie się przyjęcie u hrabiego w przyszłym tygodniu. Jeśli odkryję, że zrobiłyście figurki dla kogokolwiek innego w Londynie, dosłownie kogokolwiek, dowiem się o tym, a wtedy was zniszczę. Nie pozwolę, aby nasz wyjątkowy wieczór zepsuły marne handlarki, którym wydaje się, że mają prawo wtrącać się w imprezy towarzyskie osób wyżej postawionych.

Klasnęła w dłonie, na co niemal błyskawicznie zjawiała się pokojówka. *Lady* Parshall poinformowała ją, że Claudette i Beatrice mają zakaz wstępu do domu, dopóki nie zostaną wezwane. To powiedziawszy, odwróciła się dumnie i wymaszerowała tylnym korytarzem, jedyną częścią domu, którą lalkarkom dane było zobaczyć. Służąca odprowadziła je do drzwi.

Gdy zamknęła je za nimi, przez chwilę nie ruszały się z miejsca, zastanawiając się, czy przystając na to szaleństwo, popełniły największy błąd w życiu.

Nie było to jednak szaleństwo. Minęły trzy tygodnie i Claudette omal nie postradała zmysłów ze zdenerwowania. Zaprzeszała jakiegokolwiek produkcji ze strachu, że któraś lalka mogłaby wpaść w ręce kogoś z kręgu *lady* Parshall. Dziewczyna poszła odwiedzić sklep Giffordów, a tam przywitał ją radosny śmiech.

- Ach, panienko Claudette, martwiliśmy się, dawno cię u nas nie było. Tymczasem... spójrz na te zamówienia na tkaniny przychodzące z całego Londynu! - Diane podniosła stertę papierów. - A wiele z nich zawiera zlecenie wykonania lalek odzianych w te same materiały!

Claudette nie wierzyła własnym uszom. Czy naprawdę spływało aż tyle zamówień? Skąd nagle tak wiele?

Diane wyjaśniła, że rodzina królewska szykowała wyjątkową uroczystość w Domu Królowej i wszyscy chcieli podążyć tam zgodnie z wyznaczonym przez *lady* Parshall trendem.

- Masz przed sobą dużo pracy, moja droga, ale być może przyczyniłaś się do sukcesu nas wszystkich! Pomyśl, gdybyśmy nawiązali kontakty z królem!

Król Jerzy III nie był znany z ekstrawagancji, ale miał stadko dzieci. Czyjego córeczkom spodobają się lalki? Czy nazwisko Laurent wiązane będzie kiedyś z angielskim monarchą?

ROZDZIAŁ 11

Gdy nadszedł październik, Claudette zdała sobie sprawę, że będą musiały się przenieść do większego lokalu. Opary farb, gipsu sztukatorskiego, konopi i innych materiałów tworzyły toksyczną mieszkankę wypełniającą szczelnie małe pomieszczenie. Béatrice coraz częściej kaszłała, zakrywając usta dłonią, ale odmawiała sobie odpoczynku. Produkowały w dodatku coraz więcej i więcej lalek dla wyższych sfer i jedna izba stawała się zdecydowanie zbyt ciasna.

Claudette zwróciła się do jedyne go sprzymierzeńca, Jacka Smythea, by rozważyć możliwe rozwiązania.

- Ile udało się wam odłożyć? - spytał wprost.

- Około dziesięciu funtów.

- Nie wiem, czy ktoś będzie chciał wynająć przyzwoity lokal kobiecie. Może trzeba wam będzie poręczyciela.

- Nie będzie takiej potrzeby. Albo zrobię to sama, albo wcale. Moje miedziaki mają taką samą wartość jak z czyjejkolwiek innej kiesy.

Jack, który wiązał swój przyszły dobrobyt z sytuacją finansową Claudette, z ogromnym zapałem ruszył na poszukiwania nowego lokalu. Liczył, że przyczyni się to do dalszych korzyści. Znalazł trzypokojową kamieniczkę przy ulicy Old Bond, na obrzeżach modnej dzielnicy Mayfair. Od frontu znajdowało się pomieszczenie sklepowe o długości jakichś siedmiu metrów, z szerokim ceglany m kominkiem i sufitem niemal w całości pokrytym sadzą. Z tyłu znajdowały się dwa maleńkie pokoiki. W jednym z nich mogły urządzić sypialnię, a w drugim warsztat. Pomieszczenie na pracownię posiadało jeszcze wąskie schodki prowadzące na niewielkie, niezagospodarowane

poddasze. Pokój nadający się na sypialnię miał okno wyglądające na zachwaszczony ogród, który Béatrice obiecała natychmiast doprowadzić do porządku. Przygotowała nawet listę leczniczych ziół, które planowała zasadzić. Chciała mieć pewność, że wszystko będzie pod ręką, gdyby Marguerite przypadkiem znów zapadła na jakąś chorobę. Jedna ze ścian ogrodu przylegała do potężnego ceglanego pieca, z którego korzystali użytkownicy czterech otaczających podwórze budynków.

Z zewnątrz widać było, że konstrukcję, z jej stromym, krytym strzechą dachem i do połowy drewnianą ramą, wzniesiono co najmniej dwa wieki wcześniej. Budynek był stary i wymagał olbrzymiego nakładu pracy, by dało się w nim zamieszkać, lecz Claudette natychmiast go pokochała.

Dom od roku stał pusty i właściciel użyczyłby go nawet osłu pociągowemu, gdyby wykazał się zdolnością finansową. Po podpisaniu umowy wynajmu cała trójka przeprowadziła się z pomocą Jacka. Zdobył dla nich wózek, na który załadowały marny dobytek oraz wielki stos materiałów do produkcji lalek i wspólnie przebyli dwadzieścia przecnic dzielących ich od nowego lokalu.

Sprzątanie ogrodu i wnętrza budynku Claudette pozostawiła Béatrice. Sama zajęła się urządzeniem warsztatu oraz wystawą mającą za zadanie przyciągać klientów. Postanowiła wystawić na witrynie jak największą liczbę lalek, zarówno eleganckich modelek, jak i dzidziusiów. Marzyła o zatrudnieniu kowala, by wykuł ramę na choć jedną *grande Pandore*, ale na razie nie dysponowała wystarczającą kwotą. Wszystkie oszczędności wydała na przeprowadzkę. Nie stać jej było ani na metalową konstrukcję, ani na ogromną ilość tkaniny potrzebną na strój dla manekina. W dodatku warsztat był za mały, by wykonywać w nim więcej niż jedno zlecenie na raz, więc obecność *grande Pandore* wykluczyłaby jakiekolwiek inne prace. Claudette odsunęła więc myśl o wielkim przedsięwzięciu i skupiła się na nowym zamówieniu od znajomej *lady* Parshall.

Zlecenie to wymagało wykonania lalki wyprawianej do ślubu. Kilka tygodni pracy zaowocowało jedną z najpiękniej-

szych lalek, jakie kiedykolwiek wyszły spod ręki Claudette. Była pewna, że tata byłby z niej dumny. Pokazała dzieło Béatrice. Atlasowa suknia o barwie błękitu bladego jak lód miała kilkuwarstwowy kołnierz, spod którego wyglądała drobna koronkowa falbana. Taką samą ozdobione były mankiety długich rękawów. Zebrana talia nadawała spódnicy kształt klosza. Dodatkami do sukni były zwisająca z ramienia lalki torebeczka z kremowego brokatu oraz welon z tego samego materiału obsyty dodatkowo koronką.

- Doprawdy, Claudette - westchnęła Béatrice. - Osiągnęłaś mistrzostwo w swym rzemiośle.

Znajoma *lady* Parshall najwyraźniej zgadzała się z tym zdaniem, gdyż wkrótce ruszyła kolejna lawina zamówień. Claudette powitała nowy rok zasypana częściami lalek, perukami, zwojami tkanin i innymi materiałami ułożonymi w sterty na każdym dostępnym skrawku podłogi czy stołów.

Nowe marzenie poczęło kiełkować w jej głowie. A gdyby tak znaleźć ładniejsze mieszkanie, niepołączone ze sklepem, gdzie ona i Béatrice mogłyby mieć oddzielne sypialnie? Claudette natychmiast tłumiała podobne zdradliwe wizje. Jak mogła sobie wyobrażać wyrzucanie pieniędzy na ugruntowanie pozycji w Anglii, skoro jej prawdziwym pragnieniem był powrót do Francji i odszukanie Jeana-Philippea?

Oblicze Jeana-Philippea było już jednak mocno zatarte w jej pamięci, a wspomnienie jego silnych ramion nie przynosiło takiego ukojenia jak niegdyś. Całą jej uwagę zaprzętało teraz rosnące przedsiębiorstwo. I był też ten intrygujący, a zarazem irytujący William Greycliffe, który mimo swych zaręczyn - a może był już żonaty? - zagnieździł się na stałe w odległym zakamarku jej umysłu. „Och, tatusiu, co robić?”

ROZDZIAŁ 12

Wersal, 1/83. Długo wyczekiwany delfin miał już niemal dwa latka. Był ślicznym chłopcem, jednak zdrowie, od dnia wstąpienia na scenę świata, miał bardzo wątłe. W przyszłości miał zmienić się w garbatą istotę nękaną nieprzerwanie gorączkami i innymi chorobami. Rodzice bezustannie się o niego zamartwiali.

Na razie jednak narodziny Ludwika Józefa podreperowały reputację Marii Antoniny, choć uwielbienia okazywanego jej, gdy przekraczała francuską granicę, miała już nigdy nie doświadczyć.

Spokojna o swą pozycję żony i matki królowa skupiła siły na projekcie, który opracowywała już od dłuższego czasu. Wezwała architekta Richarda Mique'a i poleciła mu zrealizować niezwykle plan - miała to być sielska wioska na terenie Wersalu. Osada składała się z dwunastu krytych strzechą chat. Była tam mleczarnia, obora, gołębnik, a nawet łowisko i młyn. W centrum wioski miał się znajdować Dom Królowej złożony z dwóch rustykalnych budynków połączonych drewnianą galeryjką i ozdobionych glinianymi, biało-niebieskimi donicami z wymalowanymi na nich inicjałami monarchini. Wewnątrz miały się znaleźć jadalnia, sala do gry w tryktraka, pokój chiński, a także mały i duży salon. Później dodano jeszcze farmę, gdzie osadzono parę rolników, by dostarczali królowej jajka, masło, śmietanę i ser. Cała wioska miała się stać znana jako ukochana Hameau, czyli Osada, Marii Antoniny. To tu odgrywała rolę prostej pasterki czy żony farmera, odziana w białą, muślinową sukienkę i słomkowy kapelusz. Dworzanie szybko pojęli, że podczas jej pobytu w Hameau należało

porzucić sztywną etykietę - tak mocno związaną z pałacową egzystencją - na rzecz luźniejszej atmosfery, bardziej pasującej do życia na wsi.

Większość dworzan nie znosiła nowych zwyczajów, gdyż surowa etykieta pomagała im w utrzymaniu hierarchii i dominacji wyższych rangą nad innymi. Wielu czuło się dotkniętych, że traktuje się ich na równi z kimś z niższych sfer. Pod tym względem jednak Maria Antonina była nieugięta. Życie w Hameau miało być spokojne i przyjemne. Było to też życie, w którym czerpała radość ze spotkań z Axelem Fersenem.

Claudette wytrwale odkładała pieniądze do skrzynki na narzędzia, którą ocaliła z warsztatu ojca. Nawet płacąc nowy czynsz i prowizję Jackowi, zredukowaną zresztą ze względu na to, że sama kupowała już materiały, była w stanie oszczędzać więcej niż w czasach służby u państwa Ashbych. Wkrótce skrzyneczka tak napeętniała od banknotów, że właścicielka musiała przewiązać ją szpagatem, by nie pękła w szwach. Wspomniała Jackowi, że być może byłaby zainteresowana znalezieniem bankiera. Przedstawił jej wobec tego swojego bankiera, niejakiego pana Benjamina. Claudette zdziwiła się bardzo, że służący, a już w szczególności pracownik Ashbych, ma pieniądze w banku, ale Jack zdawał się szczególnie zaradny, gdy chodziło o wzbogacanie się. Zagadnięty w tej kwestii odparł szelmowsko:

- Człowiek musi patrzeć w przyszłość. Nie będę przecież służącym do końca swoich dni.

Pan Benjamin pomógł jej założyć konto, a także doradził w sprawie inwestycji, podpowiadając, by wykupiła udziały amerykańskiej plantacji tytoniu. Claudette podziękowała później Jackowi wylewnie, gdyż wszystkie sugestie pana Benjamina okazały się trafne i już wkrótce mogła znów włożyć trochę pieniędzy w sklep, a na dodatek zapewnić sobie, Béatrice i Marguerite przyzwoite warunki do życia. Zleciła nawet uszycie paru nowych sukien dla całej ich trójki i dokupiła do nich pantofelki pod kolor. Sukienki od pani Ashby odesłały jako dary dla biednych.

W tym roku na Boże Narodzenie mogły sobie pozwolić na nadziewanego kapłona i pieczone warzywa, które Béatrice przyprawiła ziołami z ogródka i przyrządziła w piecu na podwórzu. Pozostały na talerzach sos wytarty gorącym jeszcze, chrupiącym chlebem z pobliskiej piekarni. Claudette rozdała też prezenty - flakonik wody różanej dla Béatrice i oprawny w skórę egzemplarz *Słownika języka angielskiego* Samuela Johnsona dla Marguerite. Dziewczynka aż zapiszczała z radości i popędziła, by pochwalić się panu Addlestonowi, podczas gdy mama i Claudette sprzątały po małej uczcie.

- Jak myślisz, pod czym ugina się dziś stół państwa Ashbych? Kandyzowane owoce? Pieczone gołębie? Tarta z kremem? - spytała Béatrice.

- Cokolwiek tam jest, na pewno nie smakuje lepiej niż posiłek, który wspólnie zjadłyśmy.

- Pomyśleć, że dwa lata temu rozpoczynałyśmy harówkę u tej kobiety i jej okropnego syna. Mam oczywiście na myśli Nathaniela. Och, Claudette, co by z nami było, gdyby nie ocalił nas twój talent?

- Przetrwałybyśmy... jakoś.

Claudette spędziła cały ranek w warsztacie, rozplątując motki wełny, z której powstać miały włosy lalek. Tak mocno skupiła się na plątaniu włókien, że nie zwróciła uwagi na dzwoneczek, który zadzwieczał u drzwi. Béatrice wpadła do pracowni, ledwo łapiąc oddech.

- Claudette, masz gościa.

- Kto to?

- Chyba powinnaś zobaczyć sama. - Wymknęła się z pokoju, nim zdążyły paść kolejne pytania.

Zanim wyszła powitać przybysza, Claudette odłożyła trzymany w dłoni motek i otrzepała ze spódnicy strzępki wełny.

Wkraczając do części sklepowej, zamarła i rzuciła w myślach przekleństwo pod adresem Beatrice, że jej nie ostrzegła.

- Witam, panno Laurent. Mam nadzieję, że pomoże mi pani wybrać prezent dla matki, która za kilka tygodni będzie obchodzić pięćdziesiątą rocznicę urodzin. - Stał przed nią William Greycliffe z cynicznym uśmiechem jak zwykle goszczącym na obliczu.

Przełknęła ślinę, by rozluźnić ściśnięte z nerwów gardło, i zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Czy matka pana jest już w posiadaniu jakichś modnych lalek, panie Greycliffe? Może pan bowiem zdecydować się na coś z widocznej na półkach oferty lub zamówić lalkę spełniającą jej lub pańskie konkretne wymagania. - Dłonie trzymała splecione przed sobą.

William podszedł i zatrzymał się tuż przy niej. Znów czuła woń jego mydła i bezwiednie wciągnęła głęboko powietrze. I on pragnął chłonąć jej zapach, co na chwilę zbiło go z tropu.

- Aa... tak, tak, chciałbym zamówić coś wyjątkowego na tę okazję.

- Zapraszam zatem - rzekła, wskazując biurko i dwa krzesła ustawione przy kominku. - Omówmy szczegóły zlecenia.

Usiedli, a Claudette wzięła do ręki gęsie pióro i położyła przed sobą kartkę papieru.

- Proszę opowiedzieć o gustach matki. Na początek, czy miałyby to być lalka dorosła czy dzidzius?

- Panno Laurent, odnosi pani niemałe sukcesy. Nie kłamała pani, mówiąc, że jest dziedziczką wielkiego lalkarza - głos Williama tchnął podziwem.

- Owszem, panie Greycliffe. J a nie mam w zwyczaju zwodzić innych moimi myślami i intencjami. - Poczwała, jak wokół niej wyrasta zimny mur obronny.

- Panno Laurent, czy możemy zamienić słowo na osobności?

Na osobności? To mogło prowadzić jedynie do kłopotów, a nie zamierzała znaleźć się w żadnej kłopotliwej sytuacji z tym mężczyzną.

O ton podniosła głos:

- Ależ, *sir*, zamówienie na lalkę nigdy dotąd nie wymagało rozmów w cztery oczy. Jestem przekonana, że uda nam się załatwić interesy tutaj.

Jego głos przeszedł w szept:

- Błagam - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Claudette niełatwo było przekonać.

- Czy ożenił się pan z panną Radley?

- Owszem.

- Więc jest pan teraz jej oddanym małżonkiem?

- Muszę nim być, by nie przynieść ujmy jej godności.

- Oho! Tak więc skalał pan jej dobre imię swymi zalotami, a teraz zamierza pan starannie odegrać galanterię? Nie dam się nabrać, panie Greycliffe, a już z pewnością nie zostanę pana utrzymanką, do czego najwyraźniej pan zmierza.

Rzucił jej pełne smutku spojrzenie. Nie zniżając głosu, ciągnęła:

- A zatem, zaczął pan mówić o gustach matki... William patrzył jej w oczy jeszcze przez kilka chwil, lecz

wreszcie spuścił wzrok, godząc się z porażką. Bez entuzjazmu podsunął kilka sugestii dotyczących wyglądu lalki i Claudette zamknęła transakcję, podając mu cenę, na którą natychmiast przystał.

- Świetnie, *sir*, lalka będzie gotowa za trzy tygodnie. Obiecuję, że pańska matka będzie zachwycona.

- Za trzy tygodnie wrócę, by się z panią zobaczyć. - Spojrzał na nią znacząco i opuścił sklep.

Zjawiała się Béatrice, a w jej oczach malował się milion pytań. Claudette popatrzyła na nią cierpko i zamknęła się w warsztacie na resztę dnia.

Claudette osobiście zajęła się zamówieniem dla pani Greycliffe, nie dopuszczając nikogo do figurki. Stworzyła lalkę o blond lokach i szokująco niebieskich oczach. Przyglądając się niedokończonemu jeszcze ciałku z dystansu wyciągniętej ręki,

zdała sobie sprawę... „Claudette, ty głupia, zrobiłaś miniaturę samej siebie i teraz ofiarujesz ją temu arogantowi". Myśl ta przerodziła się jednak w pewien plan.

Ubrała lalkę w brokat w kolorze głębokiego błękitu, dodając obfite halki i koronkowy gorset. Na małej główce spoczął kapelusz o szerokim rondzie ozdobiony pasującym do sukni paskiem brokatu i smużkami koronki.

„Proszę, panie Greycliffe! Tak wyglądałabym, gdybym obracała się w pana kręgach. Lecz nie jest tak. Jestem rzemieślnikiem i nigdy nie będę podobna tej miniaturze".

By jeszcze dotkliwiej go ukłuć, wystrugała małą lalczkę, mającą raptem kilka centymetrów wzrostu, odzianą w prostą, bawełnianą sukienkę przypominającą krojem worek. Jej włoski były jednak w całości wykonane z loków jej twórczyni. Claudette przykleiła ją do dłoni dużej lalki.

Owijając ukończone dzieło bibułą, by oczekiwało na odbiór, powiedziała głośno do otaczających ją ścian:

- To na wypadek, gdyby zapomniał pan o mej pozycji społecznej, panie Greycliffe.

W umówiony dzień Claudette starała się spędzać w sklepie jak najmniej czasu. Oznajmiła Béatrice, że ma jakieś sprawunki do załatwienia. Przyjaciółka wydeła usta, lecz nie odezwała się. Gdy lalkarka wróciła wieczorem, Béatrice wręczyła jej zwinięty liścik.

- To od pana Greycliffe'a. Zdawał się załamany twoją nieobecnością.

Claudette przyjęła rulonik i natychmiast cisnęła go w płomień na kominku, by uchronić się przed pokusą odczytania wiadomości.

- Proszę, nie wspominaj o nim więcej.

Béatrice pokręciła głową i poszła spać wraz z Marguerite, nie życząc Claudette dobrej nocy.

ROZDZIAŁ 13

Londyn, czerwiec 1784. Claudette, Béatrice i Marguerite zakończyły wyjątkowo pracowity tydzień i przeszły kilka przecznic do kawiarni, by uraczyć się puddingiem z rodzynekami. Skończyły jeść i siedziały jeszcze przy stoliku na zewnątrz, przysłuchując się najświeższym wiadomościom dostarczonym przez znanych plotkarzy Londynu. Największą popularnością cieszył się temat ostatnich wyborów parlamentarnych, a w szczególności spór pomiędzy Pittem a Foxem. Król Jerzy III udzielał poparcia Pittowi, a jego syn, książę Walii, stał murem za Foxem. Jakby tego było mało, księżna Devonshire przemierzała ponoć ulice miasta i rozdawała całusy wyborcom, by przekonać ich do głosowania na Foxa. Nie było w kawiarni mężczyzny, który - jak twierdzili - nie zostałby obdarowany pocałunkiem od pięknej księżnej. Foxa, z Partii Wigów, ogłoszono wreszcie zwycięzcą, ale konserwatysta Pitt domagał się śledztwa w sprawie przebiegu wyborów. Claudette i Béatrice słuchały uważnie tej politycznej paplaniny, gdyż zamknięte na co dzień w sklepie rzadko miały dostęp do jakichkolwiek wieści. Claudette już otwierała usta, by zapytać jednego z klientów o związane z wyborami procedury, gdy usłyszały odgłosy jakiegoś zamieszania. Znajomy żeński głos wzbijał się nad hałas ulicy.

- Nie będę uprzejma, drogi panie. Ten mały nicpoń celowo cisnął we mnie końskim łajnem. Jeśli pan się tym nie zajmie, osobiście zaprowadzę go za kratki Newgate. Tam sobie posiedzi i przemyśli sprawę, dopóki mnie nie przeprosi. I mam nadzieję, że każdego dnia będzie otrzymywał tęgie razy, a do jedzenia spleśniałe suchary.

Zebrany wokół tłum skwitował śmiechem tę tyradę.

Przyjaciółki wyciągnęły szyje, by zobaczyć coś przez ściśniętą gawieź. Dojrzały kobietę w olbrzymim kapeluszu z piórami trzymającą za ucho chłopca. Béatrice zauważyła:

- Claudette, spójrz! Toż to Lizabut! Co ona wyprawia?

- Na moje oko odbywa właśnie potyczkę z dziesięcioletnim dzieckiem.

Tłum zaczął rzednąć, a mały bohater zdarzenia wykorzystał okazję, by wyśliznąć się z uścisku swej oskarżycielki. Béatrice pomachała gwałtownie rękami, by zwrócić na siebie uwagę Elizabeth, która, dostrzegłszy ją, natychmiast zakasała spódnicę jedną ręką, przytrzymała kapelusz drugą i w mgnieniu oka znalazła się przy ich stoliku. Wśród uścisków i pocałunków usiadły razem. Lizabut uklękła jednak zaraz przy Marguerite.

- Ależ urosłaś! Ile masz już lat?

- Osiem! - odpowiedziała mała, wystawiając sześć paluszków.

- Cóż, wkrótce będę musiała nam obu szukać mężów!

- Nie znalazłaś jeszcze księcia ani innego kandydata błękitnej krwi, który postarałby się o twą rękę?

- Niestety, takich, którzy pragnęliby mnie poślubić, jest na pęczki, ale czy ja mam ochotę widzieć ich w roli męża... oto istotne pytanie. - Tu mrugnęła porozumiewawczo do Marguerite. - Po prostu nie mogę się zdecydować, czy wolę Anglików, czy Francuzów. Człowiek chciałby pozostać wierny ojczyźnie, lecz dopiero tam mężczyźni wiedzą, co to namiętność, ognisty temperament. Mogę wam o nich opowiedzieć... - rzuciła znów okiem na Marguerite - później, być może. A tymczasem nalegam, byście się pozwoliły zaprosić na przedstawienie. Co ty na to, maleńka?

Spędziły popołudnie razem, beztroskim trajkotaniem szybko zapełniając lukę kilku lat, kiedy się nie widziały. Lizabut odziedziczyła w końcu fortunę ciotki i dzieliła czas pomiędzy Paryż i Londyn, urządzając posiadłości w każdym z miast i płynąc z nurtem towarzyskich zawirowań tu i tam.

Claudette zadawała mnóstwo pytań o Paryż, chłonąc każde słowo Elizabeth na temat tętniącego życiem i energią miasta. Przeszło jej przez myśl, że mogłaby poprosić Lizabut o pomoc w odkryciu, jaki los spotkał Jeana-Philippea i jego rodzinę. Tylko o co pytać? Nie miała nawet punktu zaczepienia.

Wszystkie cztery wróciły do sklepu lalkarskiego, by Claudette mogła pokazać koleżance coraz lepiej prosperujące przedsiębiorstwo. W drodze do Cheapside słońce radośnie pieściło ich twarze, a stangret wołał na konia. Claudette, zmęczona wesołym dniem w towarzystwie i ukołysana ciepłym powietrzem oraz rytmicznym stukotem kopyt, zapadła w lekką drzemkę.

Zatrzymali się nagle przed ruchliwym skrzyżowaniem, by ustąpić pierwszeństwa kilku powozom. Zniecierpliwione parsknięcie konia wyrwało dziewczynę ze snu.

- Czy już cię znudziłam? - spytała Lizabut. - Czy przebywanie ze mną jest mniej ciekawe niż towarzystwo twych drewnianych bobasków?

- Skądże! Właśnie cieszyłam się...

Claudette urwała w pół zdania. Ulicą sunęło właśnie ciemnoczerwone lando na kołach o czerwonych szprychach. Było o wiele większe niż powóz, który wiozł ich czwórkę, i zaprzężone w dwa smukłe kare rumaki ciągnące je bez wysiłku. Pasażerowie siedzieli naprzeciw siebie, lecz wzrok wbijali w dal, każde po swojej stronie pojazdu.

I znów William Greycliffe.

Świat wokół Claudette zrobił się bezbarwny i milczący, gdy powozy się mijały. Pan Greycliffe odbywał przejażdżkę z żoną Lenorą. Claudette zaniepokoił jednak wygląd damy. Elegancka panna, która dziarsko wkroczyła na przyjęcie pani Ashby, olśniewając podbitą futrem pelerynką podkreślającą przepych jej włosów i idealny uśmiech, wyglądała teraz na zanedbaną, wręcz zapuszczoną. Włosy miała nieupięte, kołtunów nie przykrywał nawet kapelusz! Spojrzenie jej błędziło pomiędzy mężem a jakimiś niewidzialnymi punktami poza powozem. Co dziwniejsze, Lenora nagle wydała z siebie krótki śmiech, zupełnie bez powodu, po czym spojrzała na małżonka, jakby

oczekiwała aprobaty. Nie doczekała się jej jednak. Mąż nie zareagował wcale, wpatrzony przed siebie. Bawiła się dalej przenoszeniem wzroku.

Dlaczego żona pana Greycliffe'a była tak... zaniedbana? Wyglądała, jakby nieszczęsną wypuszczono właśnie ze szpitala Bedlam. Czy mąż źle ją traktował? Czy to w ogóle prawdopodobne? Claudette zadrżała mimo ciepłej pogody. Choć wyniosły pan Greycliffe nie interesował jej za grosz, to jednak scenariusz, w którym zachowywałby się brutalnie w stosunku do małżonki, budził w niej zarówno złość, jak i ból. Nie, to niemożliwe, by był okrutny, po prostu nie był takim człowiekiem. Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

Wstrzymała oddech, gdy jej oczy napotkały spojrzenie pana Greycliffe'a. Jego wzrok był poważny i przejmujący. Poczowała, że jej dusza jest jak szyba matowego szkła, którą on przebija swym własnym promieniem światła. Powitał ją nieznacznym skinieniem głowy, lecz już konie powiozły go w dal.

Całe spotkanie trwało może dziesięć sekund, lecz Claudette zdawało się, że przeżyła właśnie dzień koszmaru na jawie. Dlaczego? Dlaczego ten człowiek tak bardzo nią wstrząsał?

- Czym się cieszyłaś? - Lizabut przerwała jej zadumę.

- Co? Ach, tak, oczywiście, więc... cieszyłam się właśnie tym dniem, który tak uroczonie spędziłyśmy razem. Spójrzcie, już jedziemy. Pewnie nasz dorożkarz znalazł jakąś lukę w ruchu. Cudownie będzie pokazać ci wreszcie sklep. Jest tam tyle do zobaczenia! Mamy bardzo szeroką ofertę lalek, wszystkich stylów i rozmiarów. Będę musiała dać ci...

- Claudette, na miłość boską, co ci się stało? Pleciesz, jakbyś dostała pomieszania rozumu!

Mimo niepokoju, który wciąż odczuwała, Claudette roześmiała się. Jak dobrze było widzieć znów Elizabeth!

Na miejscu kobiety obeszły wnętrze, a Marguerite czmychnęła do księgarza. Claudette nie spodziewała się, że sklep wywrze na Lizabut aż tak wielkie wrażenie.

- Te są prześliczne. Stajesz się niezależną kobietą, o jakiej mówiłyśmy.

- Cóż, jeszcze nie osiągnęliśmy pełnego sukcesu. Ledwie mieścimy się w naszym mieszkanku, a kiedy Marguerite zacznie wierzgać przez sen, nie wysypia się żadna z nas! Ale dajemy sobie radę.

- Ja rzekłabym, że przeszłyście bardzo długą drogę odkąd poznałam was, trzy sierotki, na pokładzie zmierzającego do Anglii statku. Teraz musimy tylko wymyślić, jak was dobrze wydać za mąż, mimo że paracie się rzemiosłem. Czy ktoś stara się już o wasze ręce? - Myśli Lizabut zdawały się nigdy nie odbiegać zbyt daleko od tematu małżeństwa.

Claudette milczała. Przez cały ten okres niewiele miała czasu, by rozważać zamążpójście. Trzy lata temu straciła rodziców, dom i Jeana-Philippea, miłość swego życia. Zdecydowanie: jedyną swą miłość. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, ale przeżyła już poniżającą służbę, a teraz też nie było jej lekko, szczególnie że miała pod swoją opieką Béatrice i jej córeczkę. Taki na przykład Jack Smythe. Jack był mniej więcej w jej wieku, lecz był za bardzo pochłonięty swoimi tajemnicami. Jak mogłaby zaufać takiemu mężowi? Jedynym mężczyzną, z którym jeszcze miała kontakt, był William Greycliffe, lecz okropnie ją irytował. Zbyt pewny siebie. Zbyt arogancki. A poza tym był przecież mężem tej zachwycającej Lenory Radley, która z jakichś przyczyn nie była już tą samą kobietą, co przed zamążpójściem. Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Oczywiście, nie miało żadnego.

- Hej, Claudette! Dokąd znów odpłynęłaś? - Wesoly głos Elizabeth sprowadził ją na ziemię. - Czyżbyś miała tylu adoratorów, że nie umiesz ich już zliczyć? - Jej śmiech rozbrzmiewał wśród ścian sklepu jak dzwoneczek.

- Skądże, byłam zbyt zajęta, by zaprzętać sobie tym głowę. Ale opowiedz, co u ciebie. Panowie z Anglii i z Kontynentu biją się o twoje względy. To musi być ekscytujące.

Béatrice przerwała im, narzekając na ból głowy, który wymagał odpoczynku w sypialni. Gdy zostały same, Lizabut odpowiedziała:

- *La*, podróże dają mi mnóstwo okazji do poznawania odpowiednich młodych mężczyzn. Jednak kobieta mojego pokroju musi wykazać się ogromną ostrożnością przy doborze towarzystwa. Nie chciałabym wpaść w ręce jakiegoś łowcy posagów, a tacy czyhają zarówno tu, jak i we Francji.

Claudette uśmiechnęła się do przyjaciółki, której z pewnością nie brakowało tupetu.

- Nie mogę sobie wyobrazić, byś pozwoliła się komukolwiek wykorzystać. To, jak zbeształaś Simona Briggsa, na zawsze wryło mi się w pamięć!

- Wspaniale mi się wtedy udało, prawda? Zasłużył sobie na dotkliwszą karę niż ten policzek, który ode mnie dostał. -Nagle jednak twarz Lizabut spochmurniała. - Ale wiesz, muszę naprawdę zachowywać ostrożność we Francji. Takie czasy. Pomimo kultury i energii, o których wspominałyśmy wcześniej, Paryż zmienił się przez ostatnie dwa lata, i to bynajmniej nie na lepsze. Gdy tam jestem, ubieram się bardzo skromnie, a suknie posyłam w skrzyniach innym statkiem. Ludzie na ulicach patrzą spode łba na tych, którzy, jak im się wydaje, mają gdzie zapasy pieniędzy.

- Dlaczego tak się dzieje? - dopytywała Claudette.

- Obywatele są wściekli na króla Ludwika i Marię Antoninę. Twierdzą, że para królewska ponosi winę za słabe plony oraz inflację. Złość ludu rozciąga się na każdego, kogo posądzają o kontakty z królem i królową.

- Słyszałam już podobne opinie, jeszcze zanim wyjechałam z Francji. Ale to przecież śmieszne. Jak można winić władcę za słabe opady i marną żyzność gleby?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko, że ludzie są niezadowoleni i głośno narzekają. Będzie jeszcze gorzej, jeśli król jakoś nie zareaguje. Ich skargi nie są całkiem bezpodstawne. Doszły mnie słuchy, że królowa wydaje bająnskie sumy na biżuterię, stroje i podarunki dla ulubionych poddanych.

- Ja również o tym słyszałam - odparła Claudette zniecierpliwionym tonem. - Ale pamiętam też, jak mój ojciec tłumaczył, że cała szlachta w Europie postępuje tak samo. Nawet Prinny tu, w Anglii, obsypuje ulubienice wyszukanymi prezentami,

ziemią, klejnotami. Dlaczego tylko Marii Antoninie przypisuje się takie nadużycia? Znów wzruszenie ramion.

- Może uważają, że królowa naprawdę już przesadza. Być może mają rację.

- Nie wierzę w to.

- Gdybym to ja była królową, z pewnością wykorzystywałabym swe bogactwo dla własnej przyjemności, ale bym się z tym nie obnosiła. *La*, nie kłóćmy się. Jesteśmy przyjaciółkami, nieprawdaż? Nie nasza to sprawa, co dzieje się setki kilometrów stąd. Robi się późno. Odwiedzę was jutro i wybierzemy się na targ Leadenhall. Jest tam mężczyzna, który ma niezwykle ptaki prosto z Ameryki Południowej. Potrafią mówić i wykonywać sztuczki. Ponoć czasem przeklinają nawet w innych językach!

Umówiły się, że następnego dnia się spotkają i pójdą razem obejrzeć słynne ptaki.

Nazajutrz Béatrice wykręciła się chorobą. Miała mocne rumieńce i kaszlała.

- To tylko lekka grypa. Bawcie się dobrze!

Claudette, Lizabut i Marguerite wyruszyły więc na targ wynajętym powozem. Stangret wysadził je przed bramą prowadzącą do Leadenhall. Okolica roiła się od ludzi, a kakofonia ulicy, handlarzy i ich klientów była wręcz ogłuszająca. Na wózkach i stolikach piętrzyły się przeróżne towary, od owoców, warzyw i świeżo upolowanych zajęcy po egzotyczne produkty z Dalekiego Wschodu. Dostawcy dywanów, wonnych olejków, kremów i balsamów z odległych krajów przypochlebiali się klientom, byle tylko skłonić ich do obejrzenia ich towaru. Gdzieniegdzie rozpalono niewielkie ogniska, na których handlarze piekli na patykach różnego rodzaju mięsa. Setki zapachów mieszały się ze sobą, tworząc ostrą, duszącą woń.

Claudette nigdy nie była na tak wielkim targu. To, co oferował Londyn, robiło na niej wielkie wrażenie. Marguerite była tak przejęta, że kobiety musiały trzymać ją za obie ręce, by gdzieś się nie oddaliła.

- Panno Lizabut! Panno Claudette! Popatrzcie, to te ptaki! - Dziewczynka dosłownie podskakiwała z emocji.

Wokół miejsca, gdzie właśnie rozpoczynało się przedstawienie, zebrała się garstka osób. W pięciu rzędach ustawiono około dwudziestu klatek, a w każdej z nich zamknięty był ptak o innym ubarwieniu. Z przodu, w gęstwinie przeróżnych stojaków i żerdek, stanął właściciel. Przedstawił się jako pan Spi-vely i zapowiedział, że mieszkańcy Londynu obejrzą za chwilę najbardziej niezwykły pokaz zwierzęcych wyczynów, jakiego kiedykolwiek byli świadkami.

Otworzył jedną z klatek i wyjął zachwycającego białego ptaka o gęstym, pełnym, puszystym wręcz upierzeniu, hebanowym dziobie i pomarańczowym czubie. Zwierzę podniosło główkę, jakby witało się z publicznością.

- Drodzy przyjaciele, poznajcie Brzoskwinkę. - Pan Spively posadził okazałego ptaka na żerdzi i pozwolił mu zaprezentować swoje umiejętności. Brzoskwinka powtarzała za treserem. Wymówiła wyraźnie: „Niech żyje król”, „Nalej piwka, kochana” i „Złodziej buchnął ci kapelusz!” Kilkoro widzów rzuciło słowa pochwały. Wzrok pana Spively'ego padł tymczasem na Marguerite próbującą przepchnąć się przez krąg zebranych.

- Jak się nazywasz, mały skrzacie? - spytał.

- Marguerite du Georges - odparła, chyba pierwszy raz w życiu ogarnięta nieśmiałością.

Pan Spively dał ptakowi sygnał ręką, na co Brzoskwinka zaczęła kiwać się tam i z powrotem na swej grzędzie, krzycząc:

- Marguerite! Marguerite! Marguerite! Du Georges! Du Georges! Du Georges! Chcę cukierka! Dajcie ekierka! Kto na mnie zerka!

Ptak oczarował wszystkich. Elizabeth wrzuciła do koszyka pana Spively'ego kilka monet. Sprawiając zawód Marguerite,

Brzoskwinka wróciła do klatki, a zamiast niej na żerdkach zasiadły dwa inne ptaki, jeszcze większe od swej poprzedniczki. Jeden z nich był szkarłatny, a drugi jaskrawoniebieski i oba miały długie ogony. Przedstawiono je jako Rubinka i Szafirka, a gdy właściciel wymawiał ich imiona, skinęły kolejno głowami.

Pan Spively szepnął polecenie, pochylając się nad Rubinkiem, jak gdyby chciał mu coś powiedzieć na ucho. Ptak natychmiast poderwał się do lotu, po czym zniknął gdzieś na tle nieba. Po chwili pan Spively wydał długi gwizd i nagle, jakby znikąd, pojawił się Rubinek i wylądował na swoim miejscu. Ludzie śmiali się i wiwatowali.

Teraz Szafirek otrzymał cichutką komendę. Powoli, majestatycznie rozwinął skrzydła i począł zataczać nisko kręgi, tuż nad głowami zgromadzonych. Uszczęśliwiona Marguerite zaklaskała. Gdy Szafirek wykonywał trzecie okrążenie nad zachwyconym tłumem, dostrzegł go bezpieczeństwa pies biegnący luzem po okolicy w poszukiwaniu skrawków mięsa. Poruszony tak niezwykłym widokiem pies wbiegł między ludzi i z dzikim ujadaniem wypadł na otwartą, zastawioną żerdziami przestrzeń. Rubinek machnął skrzydłami i zaskrzeczał w wyrazie buntu, ze wszystkich sił starając się utrzymać pionową pozycję na żerdzi, gdy pies wpadł wprost na jego stojak. Wrzask Rubinka i szczekanie psa przeraziło krążącego Szafirka. Zdjęty paniką zapikował wprost w gromadkę widzów.

Claudette, której uwagę rozproszyło pojawienie się podekscytowanego psa, nie zauważyła spadającego na nią Szafirka. Ptak odbił się mocno od jej ramienia, powalając ją na ziemię w płataninie sukni i piór. Nadal przerażony, Szafirek zaczął uderzać ją ogromnymi skrzydłami i szczypać potężnym, białym dziobem. Krzyknęła i próbowała odepchnąć ptaka, nie otwierając jednak oczu w obawie, że wydziobie je lub wydrapie. Jej ruchy jeszcze bardziej rozdrażniły Szafirka. Właściciel ptaka i tłum gapiów stali bezradni, a jej zaczynało brakować już tchu.

Nagle usłyszała głośnie „szszust!” i Szafirek odleciał z donośnym kwikiem. Nie opierała się, gdy poczuła, że ktoś

podnosi ją z ziemi i nakazuje innym, by się rozeszli, robiąc dla niej przejście.

- Spójrz na mnie - powiedział męski głos. Claudette otworzyła oczy. Patrzyła wprost w oblicze Williama Greycliffea. Zaczęła mu się wrywać, lecz on wzmocnił tylko uścisk.

- Nie wygłupiaj się - rzekł cicho. - Próbuję ci pomóc.

- Lizabut... - jęknęła.

- Jesteśmy przy tobie, Claudette - usłyszała za sobą głos i kroki Elizabeth. Przymknęła znów oczy. Dotarł do niej dźwięk uchylanych drzwi, więc spojrzała wokół, by przekonać się, że układana jest właśnie w dużym, eleganckim powozie, innym niż ten, w którym poprzednio widziała Greycliffea z Lenorą Radley. William wspiął się do środka i zajął miejsce obok Claudette, a Lizabut i Marguerite usadowiły się naprzeciwko. Mężczyzna wydał polecenie stangretowi.

- Nic pani nie jest? - zwrócił się do niej.

Elizabeth w milczeniu podała jej chusteczkę i wskazała na szyję. Jeden ruch chustką wystarczył, by Claudette zdała sobie sprawę, że ma na sobie plamy z kurzu i krwi. Ptak podrapał ją, a także uderzył mocno w ramię, którym zaczynał teraz targać ból.

- Raczej nie. - Skrzyżowała ramiona na piersi, udając zdystansowaną wobec całego zdarzenia, choć wiedziała, że musi wyglądać okropnie po starciu z pierzastym napastnikiem. Jej obawy potwierdzało spojrzenie, z jakim wpatrywała się w nią Marguerite.

- Dobry Boże, Claudette! - wykrzyknęła Lizabut. - Ten dżentelmen, zdaje się, że nie zostaliśmy sobie właściwie przedstawieni, uratował cię właśnie przed dziką bestią! Jednym ciosem odesłał ją, pokonaną, do właściciela, a wszystko, co masz do powiedzenia, to „raczej nie”?

- Nic nie rozumiesz - wymamrotała dziewczyna. Zmuszając się do spojrzenia na Williama, wycedziła: - Panie Greycliffe, jestem wdzięczna za wybawienie mnie z opresji.

- To wielka radość dla mnie, panno Laurent, móc ci się przysłużyć. - Wyrazu jego oczu nie dało się rozszyfrować, ale przemówił lekkim tonem. „Do diaska z tym mężczyzną i jego ironicznymi odzywkami”.

- A więc - mina Lizabut rozjaśniała się stopniowo - znacie się! Błagam, zdradźcie skąd. Claudette nie opowiadała mi o panu. Jestem Elizabeth Preston, jedna z jej najbliższych przyjaciółek. - Wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń.

William przywitał ją uprzejmie.

- Panno Preston, jako przyjaciółce panny Laurent należy się pani mój najwyższy szacunek. Lecz powiada pani, że nie wspominała nigdy o mnie? Czuję się zawiedziony. Wiem, że ma o mnie zdanie, delikatnie mówiąc, nie najlepsze, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak nisko mnie ceni. Ja, z kolei, cenię i szanuję ją w najwyższym stopniu.

Elizabeth rozejrzała się po wnętrzu powozu wyposażonego w aksamitne zielone fotele i mosiężne dodatki.

- Widzę, że moja przyjaciółka nie chce pomóc własnemu losowi. - Ledwie to powiedziała, jej wzrok spoczął na obrączce ślubnej Williama. - Ach, może jednak ma pan jedną wadę - stwierdziła pytającym tonem. Spojrzenie mężczyzny powędrowało tam, gdzie się wpatrzyła.

- Przyjechałem na targ ze sługą, by zakupić papużkę dla żony. Ma już całą kolekcję, lecz ptaszki wybierane przez służące nie przypadają jej do gustu. Pomyślałem, że jeśli sam dokonam zakupu, może uda się ją zadowolić.

Lizabut przekrzywiła głowę.

- I zamiast papużki usidlił pan łabędzicę, tak? Claudette poczuła, że policzki jej płoną.

- Niestety - odparł William. - Nigdy nie miałem okazji usidlić łabędzicy i już na zawsze pozostanie ona poza moim zasięgiem.

Powóz zatrzymał się przed sklepem i William odprowadził panie pod drzwi. Marguerite wpadła do środka, wołając mamę, by zdać jej relację z ich wielkiej przygody. Elizabeth weszła za nią, ale Claudette została zatrzymana przez swego wybawcę.

- Panno Laurent, czy pozwoli pani, bym przysłał do pani lekarza?

- Nie ma takiej potrzeby, nic mi nie jest.

- Mogła pani odnieść gorsze obrażenia, niż się to w tej chwili wydaje. Czułbym się znacznie spokojniejszy, gdybym miał świadomość, że lekarz wypowiedział się pozytywnie o pani stanie zdrowia.

Dlaczego pan Greycliffe wiecznie zdawał się mieć dylemat -być sarkastycznym czy uroczym? Och, był doprawdy okropny, ale ból głowy się wzmacniał, więc może rzeczywiście wizyta medyka byłaby wskazana.

- Cóż, pewnie nie zaszkodzi konsultacja - zgodziła się.

- Wspaniale. Poproszę naszego rodzinnego lekarza, doktora Crowleya, by zajrzał do pani. Sam sprawdzę, jak się pani miewa, za jakieś dwa tygodnie.

-Nie! Chciałam powiedzieć... to nie będzie konieczne. Doceniam pańską troskę, panie Greycliffe, ale muszę już iść. Jestem też przekonana, że pana żona zastanawia się już, gdzie się pan podziewa z jej nową papuzką. - Podała mu rękę, a on ujął ją obiema swoimi dłońmi, przyciskając mocno, jakby chciał zapobiec jej odejściu.

- Panno Laurent, nie miałem dotąd okazji powiedzieć pani, jak piękna była lalka, którą wykonała pani dla mojej matki. Jeszcze kilka tygodni po uroczystości nie mówiła o niczym innym!

- Wszystkie zlecenia traktujemy bardzo poważnie, panie Greycliffe. Pana zamówienie otrzymało tyle samo uwagi, ile poświęcam wszystkim innym.

- Tak, cóż, zapewne tak było. Jednak jakoś stworzonego przez panią dzieła wiele mówi o wykonawczyń. Szczególne wrażenie zrobiły na mnie oczy figurki, tak niebieskie, tak przejrzyste, że przywodziły mi na myśl...

Przyciągnął ją do siebie, tak że nieomal się zetknęli. Podniósł do ust jej dłoń i ucałował ją, po czym obrócił jej rękę i złożył na jej przegubie kolejny, lekki jak piórko pocałunek.

„Nie, Claudette, nie! - pędziły jej myśli. - Jest żonatym arystokratą, nie kocha cię, lecz zwodzi! Ale jego usta przy-

prawiają mnie o dreszcz i nie mogę mu się oprzeć niezależnie od tego, jaki jest okropny. Niech ktoś mi pomoże".

Nie spotkawszy się ze sprzeciwem, William nachylił się nad nią i złożył jeszcze dwa pocałunki na jej podrapanym, posiniaczonym czole - po jednym nad każdym z oczu.

- Przywodziły mi na myśl panią, panno Laurent, i pani piekielnie cięty język. Dlaczego panią koch... panią koniecznie chcę wybawiać z kłopotów, sam nie wiem.

Niechętnie puścił jej dłoń.

- Do następnego spotkania.

Wsiadł z powrotem do powozu i zastukał w sufit, dając stangretowi znak, by ruszał. Pożegnał ją jeszcze skinieniem głowy.

Claudette odczekała chwilę, by uspokoić zmysły, po czym weszła do sklepu prosto w grad pytań przyjaciółek.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym Greycliffie, gdy rozmawiałyśmy wczoraj?

- Czy naprawdę zaatakowało cię ptaszysko? - Béatrice miała nieco szklisty wzrok, lecz wyglądała o wiele lepiej niż rano.

- Jak mogłaś pozwolić, by taki dżentelmen prześliznął ci się przez palce?

Claudette podniosła ręce do góry.

- Nie zamierzam dyskutować na temat nienagannego pana Greycliffe'a, a stan mojej twarzy dość wyraźnie chyba wskazuje na to, że zaiste miałam pewne przejścia z dzikim stworzeniem, które na dodatek odniosło nade mną zwycięstwo. - Minęła je w drodze do sypialni. - Gdyby ktoś miał ochotę przynieść mi filiżankę herbaty, byłabym zobowiązana, ale ostrzegam, że nie będę się wdawała w żadne rozmowy.

Pozostawiła je wspólnym plotkom, więc Béatrice natychmiast wtajemniczyła Lizabut we wszystko, co wiedziała na temat pana Greycliffe'a.

Doktor Crowley orzekł, że Claudette rzeczywiście nic nie dolega mimo kilku stłuczeń i zadrapań. Przyniósł ze sobą liścik od pana Greycliffa, który tym razem nie został natychmiast spalony, lecz odłożony do szuflady, by mogła przeczytać go w samotności.

Po kolacji Claudette udała się do sypialni, podczas gdy Béatrice siedziała z Marguerite przy ogniu, ucząc ją, jak nawlec nitkę.

Odwróciła kopertę i złamała czerwoną, woskową pieczęć.

Hevington, Kent, 25 czerwca 1784

Droga Panno Lament,

wierzę, że mój list znajdzie Panią w dobrym zdrowiu i nastroju po nieszczęśliwym wypadku, któremu Pani uległa. To, że miałem okazję Pani pomóc, poczytuję za łut szczęścia. Gdyby znalazła się Pani w jakiegokolwiek potrzebie, proszę mnie tylko zawiadomić. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo żałuję, że okoliczności, na które nie miałem wpływu, stanęły mi na przeszkodzie zawarcia z Panią bliższej znajomości. Mniemam, iż znajomość ta zaowocowałaby największym szczęściem.

Niemniej na zawsze pozostanę Pani służką William Greycliffe

Claudette złożyła list i tym razem zdecydowała się zachować kartkę, więc zamiast cisnąć ją w płomień, schowała notkę do skrzyneczki ojca. O jakich okolicznościach pisze? Czyżby potężny pan Greycliffe wyrażał szczere zainteresowanie jej osobą?

ROZDZIAŁ 14

Paryż, 1785. Rok ten miał się okazać przełomowym dla Marii Antoniny. Jej reputacja wśród ludu została przypieczętowana na wieki, a wszystko z powodu lśniącego brylantowego naszyjnika.

Jeanne de Saint-Remy urodziła się w roku 1765 jako córka zubożałego arystokraty będącego poprzez nieprawę łożę dalekim potomkiem Henryka II, króla z rodu Walezjuszów. Baron de Saint-Remy nauczył dzieci, by żebrały na ulicy, wołając: „Zlitujcie się nad dzieciątkiem, które wywodzi się od jednego z najświetniejszych królów Francji!”. Jeanne okazała się uzdolnioną aktorką i wykazywała się talentem w amatorskich teatrach, dzięki którym poznała wojskowego oficera Nicholasa de la Motte.

Para szybko się pobrała, a on zrzekł się oficierskiego patentu. Zaczęli się podpisywać jako hrabia i hrabina de la Motte lub - jeśli istniała potrzeba zaimponowania komuś - de la Motte-Walezzy.

Jeanne zawarła znajomość z przystojnym, zarozumiałym, wspinającym się po drabinie społecznej kardynałem de Rohanem, który nosił również tytuł książe. Jedynym jego marzeniem było iść w ślady kardynałów Richelieu i Mazarina. Taka pozycja włożyłaby mu w ręce stery Francji! Na nieszczęście kardynała królowa nie cierpiała go z powodu pewnego listu, który bardzo nieroztropnie napisał do *madame du Barry*, nałożnicy Ludwika XV. Naśmiewał się w nim z matki Marii Antoniny. *Madame du Barry* odczytała list na głos podczas proszonej kolacji, co szybko dotarło do uszu królowej. W ten sposób własnym piórem skreślił sobie szansę awansu. Jeanne

doskonale orientowała się w sytuacji, gdy nawiązywała znajomość z kardynałem. Najpierw uprosiła Rohana, by zabezpieczył dla jej męża pozycję w Wersalu, sugerując, że odsunąwszy go na bok, ona i de Rohan będą mogli zostać kochankami. Jednak zamiast tego dołączyła do małżonka w pałacu, by mieć szansę na poznanie królowej. Jednak władczyni - celowo bądź nie - nie zauważała Jeanne, więc ambitna młoda kobieta opracowywała przeróżne metody osiągnięcia swych celów. Głównym z nich było zdobycie uznania jej królewskich korzeni, co mogłoby prowadzić do otrzymania pensji. „Hrabina” uskuteczniała różne wybiegi, takie jak mdlenie w holu, którym właśnie przechodziła Maria Antonina. Królowa ominęła tylko leżące na posadzce ciało, doskonale rozpoznając spisek rozgrywający się przed jej oczami. Jeanne rozsiewała również opowieści, wszystkie co do jednej zmyślane, o rozmowach, które prowadziła z królową. Wkrótce wypracowała sobie reputację osoby z wewnętrznych kręgów Marii Antoniny, choć w istocie monarchini nie znała nawet jej imienia. Dla Jeanne było to jednak bez znaczenia, gdyż ona i de la Motte zdołali opracować idealny plan mający zapewnić im wysoką pozycję wśród arystokratycznej elity. Potrzebne im było wsparcie kardynała de Rohana, który, wierząc w miejsce Jeanne u boku królowej, gotów był im pomóc, by odbudować własne relacje z Marią Antoniną.

Jeanne odkryła, że królewscy jubilerzy, Boehmer i Bassenge, spędzili ładnych parę lat, wykonując najwspanialszy naszyjnik, jaki kiedykolwiek widziała Europa, złożony z sześciuset czterdziestu siedmiu lśniących jak gwiazdy diamentów. Zleceniodawcą był Ludwik XV, a wyjątkowy skarb zamierzał podarować swej kochance *madame du Barry*. By zakupić kamienie na tę biżuterię, jubilerzy wydali kwoty znacznie przekraczające ich własne majątki. Na ich nieszczęście król zmarł, nie dopełniwszy transakcji, popychając ich tym samym na skraj bankructwa. Wykonywali wcześniej drobniejsze sztuki biżuterii dla Marii Antoniny i zakładali, że będzie zachwycona naszyjnikiem, którego nie można było określić mianem

innym niż „olśniewający”. Nie wiedzieli niestety, że królowa nie gustuje już w podobnych skarbach, napawając się raczej nowo odkrytą przyjemnością noszenia najprostszych strojów i spędzania czasu w sielskiej scenerii pozornie niewyszukanego, lecz w istocie pochłaniającego olbrzymie sumy pieniędzy Hameau.

Boehmer i Bassenge zaprezentowali Marii Antoninie naszyjnik, ta jednak odmówiła zakupu, uważając klejnoty za zbyt krzykliwe jak na jej nowy styl bycia, a ponadto zdając sobie sprawę, że podobne szaleństwo jeszcze bardziej ujęłoby jej na popularności. Zdesperowani jubilerzy podjęli więc próby jego sprzedaży wśród najzamożniejszych kobiet Kontynentu. Z pomocą kilku wspólników Jeanne dotarła do Boehmera i poinformowała go, że królowa rozważa jednak kupno naszyjnika, przy czym transakcja musiałaby zostać utajniona ze względu na jej marną reputację wśród ludu. Uzgodniono cenę miliona sześciuset franków, co nie stanowiło nawet pełnej wartości użytych kamieni. Spiesząc się, by sfinalizować sprzedaż, złotnik nie dopytał o tożsamość Jeanne.

Ta z kolei udała się do de Rohana z wieścią, że królowej ogromnie zależy na naszyjniku - tak bardzo, że gotowa była przyjąć kardynała z powrotem w swoje kręgi, jeśli założyłby za nią pieniądze i pozwolił zwrócić je sobie w ratach. Rozpaczliwie pragnąc wkraść się znów w łaski władczyni, de Rohan nie kwestionował przedstawionego planu.

Państwo de la Motte wzięli pieniądze od kardynała, a naszyjnik od Boehmera, zostawiając mu promesę podpisaną rzekomo ręką królowej, po czym natychmiast rozebrali misterne dzieło sztuki jubilerskiej na kawałki i wysprzedali diament po diamencie.

Wkrótce jednak zarówno jubiler, jak i kardynał zaczęli dopominać się o pieniądze. Szczególnie de Rohan był zdezorientowany, gdyż stosunek królowej do niego nie uległ poprawie po jego hojnym goście. Maria Antonina nigdy też nie nosiła klejnotów w towarzystwie. Gdy Jeanne wyczerpały się już wymówki, którymi karmiła jubilerów i de Rohana, oszustwo wyszło na

jaw. Wybuchł skandal i wszyscy zamieszani w sprawę, z wyjątkiem Nicholasa de la Motte, który umknął z kraju przy pierwszych oznakach nadciągających kłopotów, zostali aresztowani i osądzeni. Wszystkich spiskowców z wyjątkiem Jeanne wypuszczono na wolność, a konsekwencje, które ponieśli, były niewielkie lub żadne. Hrabina de la Motte została jednak skazana na publiczną chłostę, wypalenie piętna nad lewą piersią oraz więzienie.

Całe wydarzenie nie wynikało ani z woli, ani z rozmysłu Marii Antoniny, jednak prasa i lud natychmiast obarczyli ją winą. Jej i tak już nadszarpnięta reputacja fry wolnej rozrzut-nicy jeszcze się pogorszyła, a Francuzi poczuli do swej królowej jeszcze głębszą niechęć.

- Dlaczego? Dlaczego poddani tak gorzko mnie nienawidzą? - wypłakiwała się przed Axelem późną nocą.

Nie umiał odpowiedzieć.

Londyn, październik 1785. Jack odwiedził Claudette i Beatrice, by odebrać zamówienie złożone przez właścicieli nowo otwartego sklepu z kapeluszami.

- Słyszałyście najświeższe plotki o Greycliffeach? Claudette zamarła.

- Nie, dlaczego miałabym wiedzieć coś na ich temat? - Zakrzyknęła się przy lalce, której już po raz trzeci wypadło oczko.

Przekrzywił głowę, patrząc na nią z namysłem.

- Przecież znacie się z panem Greycliffeem. Czy to nie on ocalił cię od ptaków na targu?

Claudette nie opowiedziała, dłubiąc z zapalem przy niechętniej do współpracy drewnianej twarzycze. Jack potrząsnął głową.

- Biedny człowiek, mieć taką flandrę za żonę! Zostawiła go w środku nocy, a odeszła z kim? Z jego własnym lokajem! Jest w ciąży, zamierza urodzić służącemu dziecko. Mieszkają u jego rodziny, która wcale nie skacze z radości. Pan Grey-

cliffe zatrudnił ich chłopaka i był dobrym chlebodawcą. Dziwne tylko, że pan Greycliffe ponoć wcale nie wygląda na zmartwionego. Mam więc nadzieję, że nawet tak marna kreatura jak ja może się kiedyś nieźle ożenić... Gdyby tak sądzić po przykładzie pani Greycliffe...

Szklane oczko znów potoczyło się po podłodze, ale tym razem Claudette nie zawracała sobie głowy schylaniem się po nie. Przytuliła lalkę mocno do siebie, by Jack nie zauważył, jak drży.

ROZDZIAŁ 15

Londyn, marzec 1786. W warsztacie było tłoczno, praca wrzała. Claudette nadzorowała działania trzech pracowników - jednej szwaczki i dwóch rzeźbiarzy. Pierwszy z nich, znany po prostu jako Stolarz Tom, zarabiał kiedyś na życie produkcją mebli. Wiek przygarbił mu jednak plecy i nie miał już sił na wymachiwanie siekierą czy młotkiem. Struganie lalek bardzo mu odpowiadało, gdyż mógł cały dzień siedzieć wygodnie nad roboczym stołem, a w dodatku Claudette pozwalała mu czasem wziąć do domu jakiś gotowy produkt na prezent urodzinowy dla wnuczki czy wnucząt jego siostry.

Drugi rzemieślnik, którego zatrudniła, nazywał się Roger Hatfield. Był to olbrzym o szerokim torsie, a jego donośny głos odbijał się echem od ścian sklepu, nawet kiedy szeptał. Był też najbardziej owłosioną istotą ludzką, jaką Claudette kiedykolwiek widziała - miał nie tylko długie czarne loki spływające po karku i równie długą i ciemną brodę, lecz także obficie porośnięte ramiona, na których włosy wily się niczym gąszcz splątanych lian. Z początku wydawał się przyjaciółkom bardzo groźny, z tymi swoimi krzaczastymi, poruszającymi się brwiami i masywnymi barami, ale szybko przekonany się, że to najbardziej oddany ich obrońca, gdy zachodziła potrzeba doprowadzenia do porządku nieuprzejmego klienta. Był niezrównany w produkcji jak największej liczby kończyn lalek z pojedynczego kłoca drewna.

Claudette co wieczór porządkowała zamówienia z całego dnia. Podejmowała decyzje o rodzaju włosów, kolorze oczu i ust każdej lalki oraz szkicowała odpowiedni strój. Wycinała skrawki tkanin i przypinała je do kartki z opisem zamówienia,

dołączając instrukcje, z jakiego rodzaju materiału należy wykonać poszczególne elementy odzieży. Następnie segregowała zamówienia pod względem znaczenia klienta i układała je w stos, który pozostawiała na stole w pracowni. Stolarz Tom lub Roger, którykolwiek pojawił się w warsztacie pierwszy, zaczynał pracę od zlecenia znajdującego się na samym wierzchu.

Po dniu lub dwóch rzeźbiarze zawijali wystrugany tułów lalki w papier i przekazywali go, wraz ze spisanim zleceniem, szwaczce Agnes Smoot, dalekiej krewnej Rogera, zatrudnionej przez Claudette na jego prośbę.

Agnes pracowała nad każdą figurką zgodnie z otrzymanymi zaleceniami. Dokładnie badała załączone przez Claudette skrawki, po czym udawała się na stryszek, gdzie przechowywano tkaniny, i wybierała odpowiednie zwoje. Agnes, ku zadowoleniu Claudette, nierzadko dodawała do stroju lalki koronkową lamówkę czy falbankę, w miejscu, które Claudette nie przyszło do głowy, tak że estetyka końcowego produktu ogromnie na tym zyskiwała.

Lokal Claudette tętnił życiem sześć dni w tygodniu. We frontowej, sklepowej części pojawiali się klienci, a z tyłu, w warsztacie, strugano, szyto i składano elementy. Lalkarka zatrudniła nawet młodego pomocnika, wychudzonego, nędznie prezentującego się chłopca nazwiskiem Joseph Cummings, który zjawił się pewnego razu, błagając o posadę.

Mimo że dochody nie były pokaźne, Claudette zdała sobie sprawę, że potrzeba im znów więcej przestrzeni, zwłaszcza jeśli chciała zabrać się do tworzenia *grandes Pandores*, które jej ojciec rozślawił w Paryżu. Dziewczyna była przekonana, że angielska elita również pokocha *grandes Pandores*. Może nie ponura królowa Szarlotta, spędzająca czas na rodzeniu dzieci i haftowaniu, ale reszta dworu udręczona wyniosłym i nudnym stylem życia narzuconym przez króla Jerzego i jego małżonkę - z pewnością tak.

We wcześniejszych latach angielski dwór aż skrzył się od politycznych intryg, wystawnych bali i nieprzerwanej walki o pozycję (nadającej sens dworskiej egzystencji). Za panowa-

nia dynastii Hanowerów, a w szczególności Jerzego III, życie dworskie zredukowano do żmudnej gry w tryktraka, konwersacji na temat rolnictwa oraz uczestnictwa w niezliczonych chrzcinach, jako że monarcha i jego żona wykazywali oznaki życia jedynie w sypialni.

Grandes Pandores były dokładnie tym, czego potrzebowała arystokracja. Claudette była przekonana, że znów wzniesie entuzjazm na salonach.

Niewielka sypialnia, którą dzieliły we trzy, była już usłana materiałami i akcesoriami niemieszczącymi się w warsztacie. Wydzieliły już nawet mały fragment sklepu, odgradzając go parawanem, by nie było widać skrzynek z częściami lalek. Strych pękał szwach od zabezpieczonych bibułą zwojów tkanin, koronek i lamówek.

- Mam wrażenie, że znalazłam wymarzone miejsce! - Béatrice wpadła do sklepu bez tchu, tak bardzo spieszyła się w drodze powrotnej. Claudette od dwóch tygodni wysyłała ją i Josepha na misje zwiadowcze w poszukiwaniu nowego lokalu. Do tej pory Béatrice wyruszała w miasto bez entuzjazmu, każdego dnia wracając do domu z wyraźniejszą rezygnacją.

- To wspaniały sklep, Claudette! Ma wielkie frontowe okna wystawowe, a na górze ogromną pracownię zamykaną na klucz. Sam sklep jest dwa razy większy od naszego, a do tego jest jasny i przytulny. Ściany są świeżo bielone, a podłogi aż lśnią!

Proponowany przez Béatrice lokal nie posiadał części mieszkalnej, co zmusiłoby przyjaciółki do wyszukania osobnego lokum. Jednak Claudette zakochała się w nowym miejscu od pierwszego wejrzenia. Było ono na samej ulicy Oxford, jednej z najmodniejszych w całej dzielnicy Mayfair. Z kalkulacji wynikało, że wyższe koszty wynajmu pokryją dochody ze zwiększonej sprzedaży. W krótkim czasie udało im się też znaleźć nieduże, lecz czyste kwatery. Były to dwa sąsiadujące ze sobą mieszkania, co dawało każdej z nich odrobinę prywatności, za którą Claudette bardzo już tęskniła. Béatrice z kolei cieszyła się, że choć osobno, będą jednak bardzo blisko siebie, gdyż Londyn nie przestawał napawać jej lękiem.

Podejmując ten krok, Claudette powzięła też nieodwołalną decyzję zapuszczenia korzeni w Anglii. Myślała nadal o Jeanie--Philippie, lecz brak było w tych myślach głębokiej tęsknoty, którą niegdyś czuła. Zepchnęła wspomnienie o nim i o rodzicach do specjalnego kącika w głowie, który czasem odwiedzała, by się upewnić, że nigdy ich nie zapomni.

Robiła sobie natomiast wyrzuty z powodu pana Greycliffea. Korzystając z jej nieuwagi, wypełził z marginesu jej umysłu i zajął w jej sercu puste miejsce, którego wcale nie zamierzała zapępniać. Obiecała sobie, że wyeksmituje go stamtąd, jak tylko uda jej się oderwać choć na chwilę od codziennej krzątaniny. Jakież to niedorzeczne nosić w sercu żonatego arystokratę! Czyżby całkiem straciła rozum?

Właścicielka kamienicy, w której zamieszkały, była wdową. Kiedy tylko zaistniała taka potrzeba, z wielką radością zajmowała się Marguerite, racząc ją słodyczami oraz obsypując zabawkami i ubrankami po wnukach, które przeprowadziły się do odległego Yorkshire. Dziewczynka rozkwitała pod okiem troskliwej pani Jenkins. Dobrze zrobiły jej też przenosiny do większego lokum. Może Anglia nie była jednak taka zła dla rozwijającej się panienki.

W miesiąc po przeprowadzce do nowych kwater podpisały również umowę wynajmu sklepu, więc przewieziono wszystkie narzędzia z warsztatu, a modelowe lalki zajęły miejsca na wystawie. Dopelnieniem wszystkiego było powieszenie szyldu o treści „C. Laurent - Modne Lalki” wykonanego przez profesjonalnego producenta tablic. Napis był biały na ciemnozielonym tle, a obok niego widniała mała główka lalki.

Niemal natychmiast przed sklepem zebrała się grupka ciekawskich tradycyjnie towarzysząca otwarciu nowego interesu. Zwykle zainteresowanie szybko spadało, gdy okazywało się, że nowy sprzedawca handluje marnymi drobiazgami: kawałkami koronki, kosmetykami czy gęsimi piórami, które można było znaleźć na każdym rogu.

Claudette musiała dbać o to, by stale przechodniów zaskakiwać. Pewnego razu powiesiła w oknie tabliczkę:

12 MAJA ROKU PAŃSKIEGO 1786 PRZYBYWAJCIE ZOBACZYĆ CUDOWNE DZIEŁO! PROSTO Z FRANCJI! UNIKATOWE I NIEWIDZIANE DOTĄD W CAŁEJ ANGLII. W TYM DNIU PRZYJĘTA BĘDZIE OGRANICZONA LICZBA ZAMÓWIEŃ

Pomimo żywniej do Francuzów niechęci, Anglicy szaleli za ich modą i stylem. Żenujące zachowanie pani Ashby i *lady* Parshall było odzwierciedleniem zawiści wyspiarzy o trendy ustalane przez paryżan.

Béatrice przekrzywiła głowę, wpatrując się w ogłoszenie. Marszcząc brwi, zapytała:

- Co takiego będziemy miały w ofercie?

- Sądzę, że nadszedł czas, by Anglia poznała *grandes Pandores*. Zbudujemy dwie - jedną wystawimy na pokaz dwunastego maja, a drugą weźmie do domu klient, który zaoferuje najwyższą stawkę. Pozostali będą musieli poczekać miesiąc na zrealizowanie swych zamówień. Chcę, by zabiegano o te lalki.

Oczy Béatrice zrobiły się wielkie jak spodki.

- Ach, Claudette, naprawdę myślisz, że to się uda? Nigdy wcześniej ich nie robiłyśmy. A jeśli ludziom się nie spodobają? Wszystkie zainwestowane pieniądze...

Claudette uśmiechała się z niezmaconym spokojem.

- Powiedzie się nam. Wstrząśniemy Londynem.

Choć Claudette uczyła się rzemiosła przede wszystkim na niewielkich modnych lalkach, to jednak ojciec zajmował się też po trosze *grandes Pandores*, które stały się krzykiem mody w Paryżu. Lalki wielkości dorosłego człowieka, osadzone na metalowych ramach, były niezwykle skutecznym sposobem zademonstrowania swego statusu przez tych, którym uderzyło do głowy niebotyczne bogactwo i luksusy ogromnych posiadłości, rozległych ogrodów, klejnotów i zastępów służących. Manekiny te trudno było jednak budować,

więc ojciec porzucił je i wrócił do mniejszych lalek, w których produkcji celował.

Claudette z siłą huraganu ruszyła do pracy w nowym warsztacie. Obszerna powierzchnia umożliwiała efektywniejszą organizację pracowni. Pośrodku pokoju stanął długi, szeroki stół, a podłogi miały być co wieczór zamiatane do czysta. Do ścian pokoju przymocowano drewniane skrzynki na narzędzia i materiały, ułożone zgodnie z kolejnością, w jakiej były używane. W całym pomieszczeniu zamontowano kinkiety ze świecami, by pracownicy mieli dość światła dla wymagającej precyzji pracy. Na ziemię rzucono kilka plecionych dywaników, by zapewnić ciepło zimową porą.

Claudette wstrzymała wszystkie zlecenia, by nauczyć pracowników budować *grandes Pandores*. Najpierw naszkicowała kilka planów nowej lalki, potem najęła kowala, by zrobił jej ramę. Kratowana, metalowa konstrukcja miała kształt dzwonu odzwierciedlającego rozkloszowaną spódnicę i osadzona była na pojedynczym pręcie. Mniejszy, odwrócony dzwon umieszczono na „spódnicy” jako korpus. Gotowa rama miała prawie półtora metra wysokości i sama utrzymywała się w pozycji pionowej. Pracownicy pokryli ją obiciem, po czym zajęli się wypchaniem ramion i przygotowaniem form do odlania z wosku głowy.

Wykonanie owych form było najbardziej pracochłonne z całego procesu produkcji i w dodatku bardzo różniło się od strugania w drewnie, do którego przywykli pracownicy lalkarki. Claudette była zadziwiona, jak mało czasu trzeba było Rogerowi Hatfieldowi, by osiągnął perfekcję w obróbce wosku. Wiedział, jak mocno go podgrzać i jak długo studzić w drewnianych formach, zanim będą gotowe go rozchylenia, pozwalając głowie lalki wypaść spokojnie na kolana rzemieślnika. Olbrzym pieścił się z formami, jak gdyby zamiast drewna miał w rękach szczeniaczka, i rozwierając je, przemawiał do nich łagodnym głosem. Doświadczenia nabierał jednak niemałym kosztem, gdyż nierzadko zdarzało mu się ochlapać gorącym woskiem siebie lub blat i przyjaciółki słyszały, jak

klnie i mamrocze pod nosem. Gdy już uwolnił wystygłą woskową głowę z formy, wygładzał wszelkie nierówności i ostrożnie przekazywał następnej osobie do pomalowania.

Ostatnim punktem programu było przymocowanie głowy na właściwym miejscu. Wymagało to kilku prób, bo umieszczenie jej na olbrzymich ramach szło opornie. Kilkakrotnie Claudette lub Roger, otwierając rano sklep, znajdowali na podłodze roztrzaskaną głowę lalki. Wreszcie wpadli na pomysł, by do formy, do której wlewali wosk, włożyć dwa metrowe kawałki szpagatu. W ten sposób, po wyjęciu i pomalowaniu głowy, a także po doprowadzeniu jej włosów, mogli ją umieścić na ramie, mocując linkę na spodzie metalowego klosza spódnicy.

Gdy Roger wraz z resztą zespołu kończyli prace nad konstrukcją lalki, Claudette pobierała już miary na ubiór. Wykonała projekt stroju i przekazała go Agnes. Béatrice asystowała krawcowej w żmudnym obszywaniu sukni koronką i haftowaniu wzorów. Uszyły lalce *robe à la française* - suknię w popularnym we Francji stylu, z zupełnie otwartą z przodu spódnicą, udrapowaną z obu stron, pod którą nosiło się halkę i inne elementy garderoby. Wzdłuż rozcięcia bladoniebieskiej spódnicy kobiety wyszyły wzór z motyli w jaskrawych barwach: czerwieni, oranżu i różu. Dodatkowo na wystającej spod spodu kremowej halce przysiadł jeden mały haftowany motylek. Wyglądało to tak, jakby sfrunął tam z wierzchniej części sukni.

Nawet młody Joseph, którego obowiązki ograniczały się do sprzątania i segregowania materiałów, rozumiał i doceniał wspaniałość haftu i każdego dnia zjawiał się w pracy wcześniej, by z przejęciem przyglądać się postępującemu wzorowi.

Kobiety sporządziły też nieduże nakrycie głowy - ciemnoniebieski, muślinowy czepeczek z piórami - które przytroczyły na bakier do głowy lalki. Idealnie spełniał ozdobną funkcję, jednocześnie nie odciągając uwagi od twarzy i peruki. Włosy szczesane były z czoła i upięte wysoko w formie sporej pufy, po bokach zaś wypuszczono luźne kosmyki.

Gdy lalka była już gotowa, cała załoga sklepu stanęła razem, by ją podziwiać. To była zupełnie nowa strona ich działalności i wszyscy wiedzieli, że zjedna im jeszcze więcej klientów oraz rozśławi sklep. Béatrice mocno uściskała Claudette.

- *Mon amie*, spójrz, czego dla nas dokonałaś. Dla nas wszystkich.

Całymi tygodniami Claudette i jej pracownicy mieli pełne ręce roboty. Widząc, jak lalki wielkości ludzi nabierają kształtów i rodzą się, a ich woskowe dłonie i głowy wyjmowane są z form i umieszczane na swoich miejscach, niemal zaklaskała z radości. Co powiedziała by tata, gdyby był tu teraz? Westchnęła. Rozpierałaby go duma. Śmiałaby się, ciesząc z jej śmiałości. I pewnie dodałby, że oczy jednej z lalek nie są idealnie równe. Cóż, trzeba będzie to poprawić.

Claudette poczuła satysfakcję, ujrawszy grupkę gapiów tłoczących się przed witryną jej sklepu, kiedy rano w dzień prezentacji dotarła na miejsce. Poprzedniego wieczoru zasłoniła szyby, by wzbudzić w ludziach jeszcze większe zainteresowanie i ukryć *grandes Pandores*, by nikt przedwcześnie ich nie zobaczył. Powitała tłumek i poprosiła o chwilkę cierpliwości.

Wewnątrz sklepu Béatrice i Roger zajmowali się jeszcze ostatnimi przygotowaniem przed przyjęciem klientów. Joseph zajął miejsce przy okrągłej drewnianej platformie ustawionej przy oknie, a obie jego dłonie spoczywały na korbie przymocowanej do konstrukcji z drewna, na której stanęła okazalsza z lalek. Obrócenie figury o trzysta sześćdziesiąt stopni wymagało czterech obrotów korby, co sprawiało, że Joseph dyszał ciężko z wysiłku.

Claudette i Béatrice wspólnie odsłoniły szyby, a wśród tłumu na zewnątrz natychmiast poniósł się szmer zachwytu. Klienci jak fala wdarli się do wnętrza i podekscytowani jęli zasypywać przyjaciółki pytaniami. Skąd wzięły tak niezwykle figury? Czy rzeczywiście przybyły z Francji? Czy ktokolwiek w Londynie już takie posiada?

Pewna śmiała dama próbowała nawet podnieść suknię obracanej na platformie lalki. Natychmiast przyskoczył do niej Roger, złapał przykucniętą kobietę pod ramiona i siłą usunął ze sklepu, pouczając ją o nieprzyzwoitości podobnych postępów. Przyłapana czmychnęła z twarzą czerwoną jak burak ze wstydu, lecz parę godzin później pojawiła się znów przed sklepem i to z przyjaciółką, pokazując jej z zapalem przez okno niezwykle figury.

Od rana do wieczora drzwi sklepu nie zamykały się od wizyt nowych klientów i starych przyjaciół. Zjawili się: Lizabut Preston, Gerard i Diane Giffordowie, Jack Smythe, a także Nicholas Ashby. Wszyscy chylili czoła przed sukcesem lalkarzy.

Wprowadzenie *grandes Pandores* błyskawicznie przyniosło korzyści. Do warsztatu spływały zamówienia od niższej szlachty i wielu odzianych w liberie służących wbiegało i wybiegało ze sklepu każdego dnia, składając zamówienia dla swoich państwa. Modne damy zdały sobie sprawę, że mogą stać się bohaterkami bardzo pochlebnych ploteczek, jeśli w ich domach znajdzie się choć jedna z tych wytwornych figur.

Claudette oddała drugą lalkę jako nagrodę w loterii i pan, który wygrał ją dla swojej żony, zachowywał się tak, jakby z nieba spadła mu nagle niespodziewana fortuna.

Przez następne tygodnie liczba zamówień nie malała. Zdawało się, że cały Londyn mówi już tylko o „lalkach-towarzyszkach”. Doniesiono nawet Claudette, że sama królowa Szarlotta słyszała o jej figurach. Podobno podniosła nawet wzrok znad książki, by spytać, jak można posiadać taką lalkę, nie zapewniając jej oddzielnej sypialni.

Lecz nawet zainteresowanie wykazane przez monarchinię nie poruszyło Claudette tak jak liścik od Williama Greycliffea, w którym gratulował jej osiągnięć jako „dziedziczki najświetniejszego lalkarza we Francji”.

Czytała te słowa w kółko, siedząc w samotności, z dala od znaków zapytania w oczach Béatrice. Nie mogła się oprzeć pokusie przyłożenia grubego, kremowego papieru do policzka, by wychwycić choćby najłżejszy ślad zapachu nadawcy. Głęboko

wciągała w nozdrza powietrze, nagradzana najdelikatniejszą mieszanką woni skóry i jego wyraźnego, męskiego zapachu.

„Claudette - myślała - jesteś idiotką, jeśli wydaje ci się, że pan Greycliffe zaleca się do ciebie. Nie może to być. Ma żonę, a do tego jest arystokratą. Jego pozycja nie pozwala mu na więcej, niż igranie z twoimi uczuciami. Przerwij to, zanim cię zniszczy”.

Niechętnie złożyła list, chowając go do małej, prostokątnej koperty, i zauważyła, że adres zwrotny to hrabstwo Kent. Wieści o jej świetnie prosperującym sklepie lalkarskim niosły się naprawdę daleko, jeśli dosięgły go aż tam.

A może interesował się nią na tyle, by celowo zdobywać informacje na jej temat?

„Skończ z tym raz na zawsze”, upominała się uparcie.

Wyjęła starą skrzyneczkę na narzędzia i użyła jej po raz kolejny jako sejfu. Skrzynka pełna była przeróżnych skarbów. Były w niej połamane kawałki lalek, kilka monet pozostałych z oszczędności, które bohaterko starała się gromadzić na służbie u Ashbych, barwne nici, zardzewiałe nożyczki, a także słoiczek gipsu sztukatorskiego pośród innych upchniętych tam drobiazgów. Krył się tam również poprzedni list od pana Greycliffa, ten, który otrzymała po wypadku z ptakami. Trzymając obie kartki przed sobą, podjęła decyzję podyktowaną nie rozsądkiem, lecz uczuciem. Pobiegnęła do warsztatu i wróciła stamtąd ze szpulą różowej wstążki. Odwijając jej spory kawałek, związała oba liściki razem i zakopała je na dnie skrzyneczki. Potem jej palce odnalazły inny niegruby, przewiązany wstążeczką plik. Były to listy miłosne od Jeana--Philippea. Prawie o nich zapomniała. Osunęła się na podłogę, na kolana, i przeczytała wszystkie.

Ich treść zdominowana była przez jego młodzieńczą brawurę i Claudette pozwoliła, by zalały ją słodko-gorzkie wspomnienia beztroskiej młodości, jego stanowczych opinii i ich czystej, niewinnej miłości.

Ach, Jeanie-Philippe, kto wie, gdzie bylibyśmy teraz, gdyby nie rozdzielił nas okrutny los?

Ból nie przeszył jej jednak tak jak kiedyś. Złożyła listy i przewiązała je wstążką, by odłożyć plik z powrotem do skrzynki. Z przyczyn, do których sama przed sobą bała się przyznać, wsunęła korespondencję od Jeana-Philippea głębiej na dno, a kartki od pana Greycliffa położyła na wierzchu, by mieć do nich lepszy dostęp.

Raz jeszcze skarciła siebie: „Claudette, myśli poświęcane temu mężczyźnie przyniosą ci tylko zgubę!”.

ROZDZIAŁ 16

Londyn, czerwiec 1786. W sklepie panował gwar większy niż kiedykolwiek, szczególnie że panna Claudette, jak z uczuciem odnosili się do niej klienci i pracownicy, oferowała teraz *grandes Pandores* szerokiej publiczności. Angielska arystokracja oszalała na ich punkcie. Niektórzy dopuszczali się nawet takich dziwactw, jak „zapraszanie” swych lalek-towarzyszek na herbatę lub zabieranie ich z sobą do powozów, gdy udawali się z wizytą do znajomych. Agnes twierdziła, że praca nad odzieżą dla tego rodzaju lalek była łatwiejsza, bo mogła korzystać z szablonów, które posiadała z czasów, gdy szyła bieliznę i podomki dla pań. Pewnego dnia, około południa, Claudette wśliznęła się do warsztatu, z westchnieniem wsadzając niesforny kosmyk włosów pod opaskę. Przyjrzała się kolejno rozłożonym na roboczym blacie lalkom w różnych etapach powstawania, badając je pod kątem ewentualnych niedociągnięć. Potem przeszła do rzędu *grandes Pandores*, mniej lub bardziej odzianych. Agnes spytała:

- Panno Claudette, czy mogę pani jakoś pomóc? Czy coś się stało?

- Nie, potrzebowałam tylko chwili wytchnienia od klientów. Dziś wyjątkowo mi ciężko bez Béatrice, która została w domu zmożona chorobą.

W sklepie zadźwięczał dzwoneczek. Claudette wyprostowała się, poprawiła spódnicę, przyklepała włosy i wyszła witać kolejnego klienta.

Do sklepu lalkarskiego C. Laurent wkraczał właśnie bogato odziany dżentelmen i grupa osób, których nie można było

określić inaczej niż jego swię. Był słońcem, wokół którego tańczyło kilkoro ludzi, w tym dwie kobiety zdające się konkurować o każde jego skinienie czy inny objaw uwagi. Claudette zajęła miejsce za ladą, podczas gdy przybyli oglądali wystawione lalki. Ze swego punktu obserwacyjnego Claudette mogła przyjrzeć się klientowi bez jawnej nachalności. Był przystojnym mężczyzną - nie, „przystojny” to za mało, on był naprawdę piękny. Jego strój szyty był na modłę francuską, podobnie jak kostiumy towarzyszących mu osób. Odwrócił się do Claudette profilem i ujrzała migdałowe oczy o długich rzęsach, orli nos, wysoko osadzone kości policzkowe i mocno zarysowaną szczękę. Stłumiła jęk, gdy Adonis podszedł do lady. Zatrzymał się, stanął niemal na baczność i skłonił się przed nią z wdziękiem.

- *Mademoiselle*, jestem hrabia Fersen ze Szwecji, bliski przyjaciel króla i królowej Francji. Chciałbym złożyć zamówienie na kilka z pani wyrobów. Odkąd przybyłem do Londynu, nie słyszę o niczym innym! - „Mówi po francusku!” - Dostrzegł zmieszane spojrzenie Claudette. - Wszyscy powiadają: „Musisz odwiedzić francuski sklepik lalkarski przy ulicy Oxford”. Założyłem więc, że francuski miły będzie pani uszom, choć nieczęsto spotyka się on z sympatią w angielskich kręgach. - W jego głosie brzmiała nutka humoru. Zaczął skubać wełnę leżącą luzem na ladzie. - Nie widzę jednak żadnej z lalek, które wyglądają ponoć jak żywe... Zwą je chyba *grandes Pandores*⁷

- Ogromnie mi przykro, ale rzeczywiście nie mamy żadnych na wystawie. Są tak popularne, że sprzedają się w mgnieniu oka. W tej chwili dysponujemy jedynie częściowo wykonanymi egzemplarzami, są w warsztacie.

- Zatem nalegam, aby pozwoliła pani, bym bezzwłocznie towarzyszył jej do owego warsztatu. - Zaoferował jej ramię, a ona natychmiast dała się ować jego urokowi. Agnes wydawała się zelektryzowana widokiem przystojnego hrabiego, który szarmancko się jej ukłonił, wchodząc do pracowni.

Prawie godzinę spędził hrabia, badając wielkie lalki, oglądając ich metalowe ramy i niemal ludzkie rysy. Wrócił też do frontowej części sklepu, by przyjrzeć się różnym stylom lalek. Świta oczekiwała w kącie pomieszczenia, a kobiety rzucały Claudette nienawistne spojrzenia, nie wiedząc, jakie też zamiary może wobec niej żywić hrabia. Wreszcie złożył zamówienie na trzy mniejsze lalki, prosząc, by ubrano je wedle najświeższych angielskich trendów, które, jak stwierdził, były jedynie marną imitacją mody francuskiej. Poinstruował lalkarkę, by przesyłkę kierowała bezpośrednio do Marii Antoniny, królowej Francji.

- Będzie nimi zachwycona. Uwielbia lalki, a w dodatku bez wątplenia ucieszy ją fakt, że Anglicy pozostają tak daleko w tyle w kwestiach mody. Powinna też pani wiedzieć, że królowa jest zagorzałym mecenasem utalentowanych artystów. Może okaże się, że i panią weźmie pod swoje skrzydła, jeśli spodoba jej się pani prace.

W głowie Claudette zabrzmiał dzwoneczek na alarm. Nigdy nie zapomniała swej pierwszej dobrodziejki w Londynie, która uparcie odmawiała uiszczenia zapłaty za lalki. Wszystko obróciło się dla dziewczyny na dobre, ale czy stać ją na to, by zaopatrywać w lalki cały francuski dwór, otrzymując w zamian jedynie wątpliwe obietnice...

- Rzecz jasna, nie poruszyliśmy jeszcze kwestii ceny lalek, a jako że już wkrótce opuszczam Anglię, byłoby najlepiej, gdybym od razu w pełni wyrównał z panią rachunki, dobrze?

Dobili interesu, a Claudette stanęła przed największym wyzwaniem w swej karierze. Ależ dumny byłby z niej tata!

Jakiś czas po dostarczeniu lalek otrzymała wiadomość od hrabiego Fersena, który donosił, że Maria Antonina była urzeczona figurkami do tego stopnia, że stwierdziła, iż ich jakość przewyższa wszystko, co ma w swej kolekcji. Prosiła Fersena, by złożył dalsze zamówienia. Wkrótce zaczęły napływać zlecenia od wybranych dworzan, tych, którzy nie uznawali posiadania lalek za śmieszność. Zamówieniom tym

towarzyszyły liściki. Klienci informowali ją, że uważają lalki za „urocze” lub za świetne „przystawki do konwersacji”. Jedyne królowa zdawała się cenić artystyczną doskonałość tych małych osóbek.

Gdy arystokracja angielska zdała sobie sprawę, że i Francuzi interesują się *grandes Pandores*, ich własna fascynacja wzrosła trzykrotnie. Zamówienia pojawiały się teraz z instrukcjami, aby figury były „bardziej stylowe niż te dla żabojadów”.

„Jak sprostać takim wymaganiom?”, łamała sobie głowę Claudette.

Zdecydowała, że lalki wysyłane do Francji będą nieco niższe. Chciała tym sposobem dopieścić angielskich kupujących, jednocześnie nie obrażając francuskiej klienteli.

Jej majątek pomnażał się. Kolejna wyprawa do pana Benjamina zaowocowała nową inwestycją. Tym razem w plantację cukru na Barbadosie, odległym miejscu, o którym Claudette nigdy nie słyszała. Jak zapewniał bankier, mogło to przynieść pyszne zyski. Założyła również konto dla Béatrice i włożyła na nie pokaźną sumę pieniędzy. Jak daleko zaszły, ona i jej wierna, pracująca za dwóch przyjaciółka, odkąd przybiły wraz z małą Marguerite i Lizabut Preston do portu w Londynie...

Wkrótce Claudette złożono kolejną niezwykłą propozycję. Pani Jenkins oznajmiła, że marzy już o odpoczynku i przeniesieniu się na parter swej kamienicy. Bolały ją stawy i była zbyt zmęczona, by zarządzać budynkiem. Czy Claudette nie zechciałaby go kupić? Mieszkał w nim jeszcze tylko jeden lokator, który lada dzień miał się wyprowadzić. Pani Jenkins chciała zająć lokal właśnie po nim.

- Co o tym sądzisz? - Claudette spytała Béatrice, gdy spożywały kolację w pobliskiej tawernie. Nakreśliła przyjaciółce całą sprawę nad półmiskiem szynki pieczonej w winno-korzennym sosie.

- Czy to nie za wielkie ryzyko? - wahała się Béatrice.

- Myślę, że nie. Wydaje mi się, że pani Jenkins oferuje przyzwoitą cenę, a w dodatku nie musiałabym wpłacać całej

kwoty na raz. Pomyśl tylko, mogłybyśmy wyremontować całe pierwsze piętro, zrobić tam dwa mieszkanie, po jednym dla każdej z nas, i urządzić je w stylu Adamów albo w jakim tylko zapragniesz!

- A co z panem Greycliffeem?

- Z panem Greycliffeem? Nie rozumiem.

- Co będzie, jeśli rozwiedzie się z żoną i ciebie poprosi o rękę?

- Béatrice, bujasz w obłokach! Ja nie pozwalam sobie na żadne myśli związane z tym człowiekiem i tobie radziłabym iść za moim przykładem. Jest aroganckim egoistą i więcej w nim z bestii niż z dżentelmena!

- Ale uratował cię przed tym dzikim ptakiem. Sądzę, że cię kocha. Jest bardzo szarmancki.

- Nie chcę o nim słyszeć ani słoweczka! Chciałabym natomiast poznać twoje zdanie o kupnie kamienicy. Czy powinnam dokonać transakcji?

- Naturalnie! Już nie mogę się doczekać, by zasiąść do szycia zasłon!

- Zatem z samego rana udam się do pana Benjamina. Przepisanie kamienicy na Claudette odbyło się bardzo

sprawnie i pani Jenkins przeniosła się do zwolnionego lokalu na parterze. Panie zatrudniły architekta i budowniczych, by wykonali nowy projekt i przerobili cztery pokoje na pierwszym piętrze na dwa mieszkanie. Pomiędzy nimi, u szczytu schodów, miał się znajdować wspólny salonik.

Kurz i pył wypełniające pomieszczenia, pogorszyły stan i tak już nadwątlonego zdrowia Béatrice. Coraz częściej wstrząsały nią ataki kaszlu i kichania. Przez kilka miesięcy z oczu sączyła jej się zawiesina. Claudette próbowała namówić ją na wizytę lekarza, ale spotkała się ze sprzeciwem.

- To taka reakcja na ogrom wrażeń, to wszystko - odparła.

Architekt polecił im stolarza, który zaopatrzył je w łóżka, stoły i inne niezbędne umeblowanie. Claudette zaszalała nawet, decydując się na wysoki zegar szafkowy do salonu. Ojciec

nigdy nie posiadał tak ekstrawaganckiego symbolu swego sukcesu, więc córka uznała, że zakup będzie znakiem szacunku dla najdroższego taty.

Jakże żałowała, że ojciec jej nie widzi - ukochanej jedynaczki, która zaszła na szczyt mimo wszelkich przeciwności losu.

ROZDZIAŁ 17

Paryż, 1787. Proces związany z nieszczęsnym brylantowym naszyjnikiem odbył się w maju 1786 roku. W samym środku całej sprawy zjawił się we Francji brat królowej, arcyksiążę Ferdynand, pogłębiając tylko upokorzenie Marii Antoniny. Uwikłanie w głośną walkę prawną w trakcie wizyty brata było poniżające, a w dodatku sam arcyksiążę zachowywał się kłopotliwie, gdyż wpadł na pomysł, by przybyć do Paryża *incognito* i opracowywał przeróżne plany podróżowania w przebraniu. Jej dyskomfort spotęgowany był dodatkowo zaawansowaną ciążą. Radość, którą powinna przepełniać ją myśl o narodzinach potomka - być może kolejnego syna - przyćmiona była niekończącym się korowodem problemów.

Nie mogła znaleźć pocieszenia w spotkaniach z Axelem, gdyż wyjechał do Anglii, gdzie, jak donosiły różne źródła, wzbudzał sensację, gdziekolwiek się pojawiał. Nawet króla nie miała przy boku, gdyż wybrał się na ośmiodniową wycieczkę do Cherbourga i innych portów morskich.

Gdy Ludwik wracał, królowa cieszyła się tak bardzo, że powitała go z pałacowego balkonu wraz z trojgiem dzieci: sześciolletnią *Princesse Royale*, delfinem, który ukończył lat pięć, i raptem piętnastomiesięcznym Ludwikiem Karolem, księciem Normandii. Cała rodzina odziana była w najświetniejsze stroje dworskie, jednak bez śladu biżuterii. Maria Antonina pragnęła zaznaczyć, że jest nadal majestatyczną monarchinią swego kraju, ale jednocześnie dostrzega jego cierpienie. Nadmorska podróż króla okazała się sporym sukcesem, a świadkowie jego powrotu i przyjęcia wspierali królewską rodzinę.

Następnego dnia Ludwik wpadł znów w zwykłą, monotonną rutynę polowań, które przerwał na czas podróży. Maria Antonina znów została sama.

Dziesięć dni później poczuła się gorzej. Nie chciała wierzyć, że nadeszły już bóle porodowe, więc nie zważała na nie najlepsze samopoczucie. Przed wieczorem zorientowała się jednak, że czas połogu nastąpi wcześniej, niż przewidywano. Służba natychmiast przygotowała zniechęconą przez nią, duszną salkę porodową z zaklejonymi szczelnie oknami i absolutnym brakiem prywatności. O dziewiętnastej trzydzięci dnia dziewiątego lipca, przed głośnym stadem dworzan tłoczących się wokół łoża, królowa powiła Zofię Helenę Beatrycze.

Król był w siódmym niebie, choć wielu żałowało, iż dziecko nie jest trzecim synem. Tak czy inaczej, niemowlę marnie przybierało na wadze. Na skutek ciągłych chorób męczących delfina i jego ogólnie wątłego zdrowia, a także obrzydliwej afery o brylantowy naszyjnik, nastrój w Wersalu był mocno zwarzony.

Dziewiętnastego czerwca 1787 roku, ledwie kilka tygodni przed pierwszymi urodzinami, maleńka Zofia zmarła, nigdy w istocie się nie rozwinięszy. Królowa była zdruzgotana. Królewska malarka Elisabeth Marie-Louise Vigee-Lebrun musiała wprowadzić zmiany w tworzonym właśnie portrecie rodziny -trzeba było usunąć z płótna maleńką królową. Zastąpił ją palec Ludwika Józefa wyciągnięty w kierunku pustej kołyski. Obraz pogłębił tylko depresję królowej, ale nie aż tak jak wieść o tym, że Jeanne de la Motte, na kilka dni przed śmiercią Zofii, uciekła z więzienia La Salpetriere, po czym przedostała się do Anglii, by tam własnym jadem spisać „autobiografię”. Rzekome wspomnienia zawierały między innymi opisy safickich stosunków autorki z królową i przyjęte zostały z entuzjazmem przez angielską publiczność lubującą się w plotkach, szczególnie jeśli dotyczyły zniechęconych Francuzów.

Londyn, styczeń 1788. Chłopiec otworzył wytrychem drzwi sklepu lalkarskiego C. Laurent w sposób, jakiego nauczył go dziadek. Trzęsły mu się ręce i ogromnie wdzięczny był losowi, że nikt go nie spostrzegł. Nerwy omal go zawiodły, a nogi prawie poniosły z powrotem do sklepu dziadka. Jednak perspektywa razów, które niechybnie by mu wymierzono, gdyby stchórzył, sprawiła, że został, skulony za pustym straganem warzywnym po drugiej stronie ulicy, dmuchając na palce zamarzające w pozbawionych palców, wełnianych rękawiczkach. Czekał, aż wszyscy pracownicy sklepu udadzą się do domu.

Przemknął przez drogę do drzwi frontowych, ściskając pod pachą zawinięte w worek narzędzia. Wydobył kilka instrumentów i dłużył przy zamku, aż zapadki ustąpiły. Następnie wśliznął się do środka i szybko zamknął za sobą drzwi.

Był na miejscu, stał pośrodku sklepu tej wiedźmy. Zawsze obrywał od dziadka po uszach, gdy tak ją nazywał, bo - jak twierdził starzec - czarownice nie istnieją. Ale ta panna Laurent była tak zadufana w sobie, że aż nieznośna, i trzeba było dać jej nauczkę.

Chłopiec pozostawał jednak nieprzekonany. Widział pannę Laurent na ulicy i choć dziadek miał rację, mówiąc, że nosi się dumnie, to jednak mały wierzył, że jej niezwykła uroda i umiejętność zjednywania sobie tylu bogatych klientów muszą być wynikiem mocy nadprzyrodzonych. Nie dostrzegł u niej żadnych typowych wiedźmom oznak, ale może kryły się pod ubraniem. Może nawet teraz kupowała gdzieś eliksiry i tajemne zioła, których użyje na niczym niespodziewającym się wrogu. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Miał nadzieję, że nie natknie się na żadne narzędzia tortur.

Martwiąc się, by nikt z ulicy nie dojrzał go w środku w gasnącym świetle dnia, przemknął przez sklep w poszukiwaniu swego celu. Otwierał szafki i szuflady, starając się zachować ostrożność, tak by czarownica, yy... panna Laurent, nie nabrała żadnych podejrzeń.

Gdzie to wszystko było? Skoczył na tyły sklepu, uchylając kolejne drzwi. Małeńka sypialnia dla pracowników, komórka...

O! To musi być tutaj. Stał z zachwytem w progu warsztatu -wszędzie tak czysto, wszystko poukładane w skrzynkach pod ścianami! Było tu zupełnie inaczej niż w sklepie dziadka. Trzeba mu będzie o tym opowiedzieć. Przecież stan pomieszczenia wyraźnie wskazywał na obecność czarów! Jakiż śmiertelnik utrzymałby pracownię w tak idealnym porządku?

Dostrzegł nagle rzeczy, po które go przysłano, więc wrzucił je szybko do worka, zaniepokojony myślą, że wiedźma mogłaby mieć swojego szpiega czającego się w okolicy, obserwującego go teraz bacznie i gotującego się, by polecieć do swej pani i donieść jej o włamywaczu. A co, jeśli zmieni go w coś strasznego, na przykład prosiaka czy ciełę? Zaraz dopadłby go rzeź-nik i poderznął mu gardło. Dopiero by się dziadek gniewał.

Skrzypienie drzwi wejściowych wystraszyło go tak, że o mało nie wyskoczył z butów. Rzucił się przed siebie, wpadając na stojącą na podłodze skrzynię z narzędziami, po czym dał nura pod stół roboczy ustawiony prostopadle do wejścia.

- Beatrice, nie wyglądasz najlepiej. Chyba już czas, byśmy wróciły do sklepu.

Przyjaciółki stały przy ruchliwej ulicy. Zapadał mroźny zmierzch. Wyszły późno tego popołudnia, by złożyć pieniądze w depozycie u pana Benjamina, a potem wynajęły powóz, by zabrał je do Giffordów, gdzie odebrały specjalnie zamówione zwoje materiału. Na ogół Claudette wysyłała w takich sprawach Josepha, lecz tym razem chodziło o bardzo kosztowne jedwabie. Miały w nie ubrać zestaw dziesięciu lalek dla córki pewnego hrabiego, która życzyła sobie, by stroje figurek pasowały do jej sukni ślubnej. Arystokraci potrafili być wybredni. Nawet najmniejsza plamka w najmniej widocznym miejscu mogła sprawić, że hrabia zwróciłby cały komplet, więc Claudette wolała osobiście zająć się tkaniną. Korzystając z wizyty u Giffordów, wybrały też kilka materiałów na praktyczne sukienkiienne dla Marguerite i dla siebie samych.

Claudette wynajęła dorożkę, by zawiozła je z powrotem do sklepu. Doprawdy, powinna już kupić własny powóz. Wystarczyłoby pieniędzy na konia i lekki pojazd. Może niewielkie lando? W najbliższych dniach zapyta Jacka, na jaką aukcję powinna się udać. Oczywiście będzie musiała zatrudnić kogoś do powożenia i dbania o konia - umieszczania go w stajni, opieki, karmienia. Do tego dochodziła kwestia przechowywania samego powozu. „Nie - pomyślała - to byłby nierozważny zakup, a przecież nie przebyłam tak długiej drogi po to, by popełniać głupstwa”.

Po rozładowaniu pakunków i rozliczeniu się z dorożkarzem Claudette wsunęła klucz do zamka. Wokół nich zaczął sypać miękki śnieg. W środku panował mrok. Agnes lub Roger zamknęli sklep co najmniej godzinę temu, zaprowadzając Marguerite do pani Jenkins. Drzwi skrzypnęły, a wtedy gdzieś w głębi warsztatu rozległ się jakiś łomot. Przestraszyły się obie, a Béatrice wydała nawet lekki okrzyk.

Strach spowodował, że zastygły bez ruchu, a śnieg osiadał na ich płaszczach i wpadał do wnętrza.

- Coś musiało spaść. Mam nadzieję, że żadna z lalek nie uległa zniszczeniu - powiedziała Claudette, nadając głosowi ton pewności, której wcale nie czuła. Béatrice tylko zadrżała w odpowiedzi. - Chodź, sprzątnijmy, co trzeba, zanim nabawimy się zapalenia płuc, stojąc na mrozie.

Wtaszczyły zwoje tkanin do środka, tuż za drzwiami, i Claudette zamknęła je za nimi, macając ręką w mroku po ladzie w poszukiwaniu lampy naftowej. Zapaliła ją i ruszyła do pracowni z Béatrice o krok za nią.

Stając w progu, uniosła światło, ale pośród starannie ułożonych materiałów i narzędzi nie rzucało jej się w oczy nic odbiegającego od normy. Musiało im się zdawać, że coś słyszą. Tylko czy dwie dorosłe osoby mogą mieć w jednej chwili takie same majaki?

Béatrice chwyciła ją za łokieć i wskazała palcem stół. Wystawał spod niego mocno znoszony, skórzany męski but.

- Kto tam jest? Dlaczego się ukrywasz? - rzuciła Claudette, z całych sił starając się uspokoić drżenie w głosie.

Młody człowiek, chłopiec zaledwie, o przyciętych krótko blond włosach, tak jasnych, że niemal białych, wyskoczył z kryjówki ze sporym workiem w ręce i rzucił się ku kobietom. Wyciągnął przed siebie wyprostowane ramię, by posłużyło za taran.

Chłopak potracił Beatrice, która przewróciła się na jedną z *grandes Pandores*. Wraz z metalową konstrukcją runęła na ziemię. Claudette sięgnęła gorączkowo po jakąś broń i jej dłoń zacisnęła się na kiju opartej o ścianę miotły. Z orężem w jednej i lampą w drugiej ręce deptała włamywaczowi po piętach. Potknął się, zawadzając o coś ciężkim ładunkiem, więc Claudette natychmiast wykorzystwała moment by, odstawivszy światło, stłuc go miotłą. Pośród jego okrzyków protestu biła bez przerwy, po głowie, kolanach i brzuchu, okrążając go przy tym jak drapieżny ptak atakujący gryzonia.

Chłopak padł na kolana i upuścił wór, z którego wysypały się części niedokończonych lalek.

Po co ktoś miałby kraść niewykończone egzemplarze? Nie były przecież nic warte! Dlaczego złodziej nie sięgnął na półki po gotowe figurki?

- Dość, panienko, proszę przestać! Przepraszam, naprawdę! Musiałem to zrobić. - Chłopiec zasłaniał twarz dłońmi. - Proszę, nie chcę być czyjąś kolacją!

Do tego czasu Claudette zmęczyła się już mocno okładaniem go. Dołączyła też do niej Beatrice, masując bok, który ucierpiał w kolizji z metalową ramą manekina.

Trzymając miotłę nad chłopcem jak katowski miecz, Claudette spytała:

- Jak się nazywasz? I co, u licha, tutaj robisz?

- Jestem Ralph Pierotti, proszę pani. Mój dziadek jest właścicielem sklepu lalkarskiego Pierotti. To on mi kazał, przysięgam. - Z twarzy podrapanej teraz przez miotłę wyzierały oczy o błagalnym spojrzeniu. Cała głowa chłopca była zakurzona od brudu, który sypał się z broni Claudette.

- Słyszałam o sklepie Pierottiego. Działa bardzo pręźnie. Po co dziadek miałby kraść próbki ode mnie?

- Ostatnio nie odnosimy już takich sukcesów. Pani sklep zabrał mu wielu klientów z wyższych sfer. Mówi, że to dlatego, że pani się tak wywyższa. Ja odparłem, że to raczej dlatego, że... - urwał w pół słowa, rozglądając się nerwowo po pokoju.

- A więc wysłał dziecko, by ukradło części lalek z mojego warsztatu? Ale w jakim celu?

- Żeby rozgryźć, jak pani to robi, co takiego wyjątkowego jest w pani lalkach, dlaczego pani eksperymenty z woskiem wychodzą o wiele lepiej niż jemu. Chciał zdobyć kilka próbek, które mógłby zbadać, a potem skopiować, ale zabronił mi ruszać jakichkolwiek gotowych egzemplarzy. Powiedział, że to nie byłoby w porządku.

Claudette opuściła miotłę i roześmiała się, zupełnie zbijając Ralpa z tropu. Nawet Béatrice nie bardzo rozumiała ten nagły wybuch wesołości.

- Ach, więc kradzież moich drogich materiałów i części jest dla dziadka zupełnie dopuszczalna, natomiast uprowadzenie ukończonej lalki, cóż, to wykraczałoby już poza normy przyzwoitości... Ojej! - Potrząsnęła głową, a uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Wykonała nagły ruch miotłą, na co Ralph rzucił się do ucieczki, ale uspokoiła go, pokazując gestem, by się nie obawiał. Otworzyła porzucony worek i wrzuciła do niego wszystkie rozsypane po podłodze części, po czym podała pakunek chłopcu.

- Proszę, Ralphie. Przekaż to Henry'emu Pierotti wraz z pozdrowieniami ode mnie. Powiedz mu, że będę wielce rada, mogąc omówić z nim moje rzemiosło, i że nie ma potrzeby, by wpędzał krewnych do kryminału.

Wciąż przerażony chłopak porwał z jej ręki torbę i wybiegł w mroźną noc, trzaskając drzwiami.

- Cóż, kochana - Claudette ziewnęła z zadowoleniem. - Myślałam, że wyrobiłyśmy sobie markę, gdy otrzymałyśmy liścik od królowej Szarlotty, lecz teraz wiem, że jesteśmy prawdziwie sławne, bo zainspirowałyśmy kogoś do rabunku! Sugeruję, byśmy uczciły nasz sukces wraz z panią Jenkins, nim udamy się dziś do snu.

Londyn, kwiecień 1788. Pewnego wieczoru, gdy przyjaciółki skończyły właśnie jeść zupę w mieszkaniu Claudette, dobiegł je odgłos podjeżdżającego pod kamienicę powozu, a następnie kołatanie do drzwi. Béatrice podeszła do okna.

- Och - szepnęła.

- Co tam?

Zanim Béatrice zdążyła odpowiedzieć, usłyszały ostre pukanie do drzwi mieszkanka Claudette, a zaraz po nim głos pani Jenkins:

- Panno Laurent? Jakiś dżentelmen z wizytą do pani. Spojrzała pytająco na Béatrice, lecz ta odwróciła się znów do szyby.

Zdając sobie sprawę, że przyjaciółka unika jej spojrzenia i myśląc szybko, że to przecież nie może być o n, że nie odwiedziłby jej znowu, otworzyła drzwi. Serce zamarło jej w piersi, po czym podeszło do gardła, tak że nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Panno Laurent, przybył do pani pan Greycliffe. - Pani Jenkins promieniała radością, zerkając na stojącego przy niej przystojnego mężczyznę.

- Na to wygląda - wydukała Claudette.

Nie zanosilo się na to, by staruszka miała się oddalić, więc William zwrócił się do niej:

- Droga pani, jestem wdzięczny za pomoc. Było mi niezmiernie przyjemnie.

- Och, no tak, cóż, panie Greycliffe, gdyby czegokolwiek pan potrzebował, proszę tylko zapukać. - I zeszła szybko na dół, do siebie.

Claudette i William nie odrywali od siebie wzroku. Każde czekało, aż to drugie przełamie ciszę. Wreszcie Claudette poczuła, że wrócił jej rezon, więc odezwała się pierwsza:

- Panie Greycliffe, czym zasłużyłam sobie na tę, przyznam, dość nieoczekiwaną przyjemność? Nie czuję potrzeby lekcji tańca, ostatnio nie atakowano mnie z powietrza... Nie przechowuję tu też żadnych egzemplarzy lalek na wypadek, gdyby klient postanowił najść mnie w domu.

Usłyszała za sobą kroki Béatrice wymykającej się po cichutku do swojego mieszkania.

- Panno Laurent, nie przyjechałem, by toczyć z panią boje. Mam jedynie nadzieję na kulturalną konwersację. Kiedy mnie pani wysłucha, zdecyduje pani, czy chce utrzymywać ze mną znajomość, czy też nie. Jednakże błagam o pewną wyrozumiałość.

Spojrzał na drzwi, które przed momentem zamknęły się za Béatrice, i podał Claudette ramię.

- Pani pozwoli, że zaproponuję kolację w pobliskiej gospodzie? Mają tam wyśmienitą pieczeń wieprzową.

Przyglądała mu się przez chwilę, zanim powiedziała:

- Przypuszczam, że mogę poświęcić panu odrobinę czasu. Przebyli pieszo kilka przecznic dzielących ich od karczmy.

Na miejscu wskazano im stół z tyłu pomieszczenia. Ogień huczał w narożnym kominku, wyganiając chłód wczesnowiosennego wieczoru, gdy siedzieli razem, popijając bordo w oczekiwaniu na posiłek. Rozmawiali o niewinnych sprawach - długotrwałej zimie, problemach z Francją, rozwijającym się handlu z Amerykanami i najświeższej polityce pana Pitta. Myśli szalały i burzyły się w głowie Claudette. Tyle czasu go nie widziała, że sądziła, iż udało jej się wyprowadzić go gdzieś w głąb umysłu, w jakiś kąt, gdzie sama nie umiałaby już trafić. Dlaczego tak mocno na nią działał nawet po długiej nieobecności? Byle zachować spokój.

Gdy z talerzy zniknęło już wszystko i zjedli też ze smakiem tartę agrestową, podano im kieliszki z nalewką pitą tradycyjnie po posiłku dla poprawy trawienia. Twarz Williama spoważniała.

- A teraz, panno Laurent, mam z panią do pomówienia na pewien ważki temat. Chciałbym opowiedzieć pani o moim małżeństwie.

- Och - rzuciła Claudette, siląc się na lekki ton, choć serce jej drżało. - Wcale pan nie musi. Dotarły do mnie plotki o pańskich małżeńskich tragediach.

- Być może, choć bez wątpienia nie zna pani prawdy. A przynajmniej całej prawdy.

Claudette odsunęła krzesło i już miała wstać od stołu, bojąc się, że nie zdierzy tego tematu, gdy William wyciągnął rękę i przykrył jej palce swoją lewą dłonią. Obrączki nie było. Powoli usiadła z powrotem.

- Proszę raz mnie wysłuchać. Blisko pięć lat próbuję wszystko pani wyjaśnić.

Siedziała bez ruchu, nie wysuwając dłoni spod jego ręki. Zaczął mówić, jednocześnie biorąc jej dłoń między swoje i gładząc delikatnie jej wewnętrzną stronę.

- Lenora i ja przyjaźniliśmy się w dzieciństwie. Jej rodzice poznali moich, gdy kupili rezydencję sąsiadującą z naszą, by mieć letni dom, w którym można odpocząć od londyńskiego gwaru. Lenora i ja byliśmy jeszcze bardzo młodzi, ale naszym rodzinom zawsze marzyło się, byśmy zostali parą, gdy podrośniemy, choć żadne z nas nie było szczególnie zainteresowane takim scenariuszem. Radleyowie wysłali ją na jakiś czas do Londynu, ale ponieważ żaden kawaler nie przypadł jej do gustu, założyli, że to z powodu uczucia, jakie rzekomo żywiła do mnie. Bawiliśmy się razem za młodu i z pewnością darzyliśmy się sympatią, ale ona uważała mnie za ponuraka, mnie z kolei irytowały jej nieprzystające damie szaleństwa.

Nasi ojcowie zostali współnikami w interesach, postanowili wykupić udziały w firmie handlowej i razem zostali głównymi udziałowcami spółki. Niepisaną częścią ich umowy były zaręczyny dzieci. Wierzyli, że nas tym uszczęśliwią. To właśnie w trakcie tych negocjacji poznałem cię na przyjęciu u potwornej pani Ashby. Jej mąż interesował się naszym przedsiębiorstwem handlowym i oferował swoje usługi jako broker. Rodzice sądzili, że dobrym pomysłem będzie, jeśli pojawimy się razem na kilku przyjęciach, nawet u Ashbych, w ramach pewnego rodzaju prezentacji przyszłych narzeczonych. Już miałem powiedzieć wprost ojcu i matce, że na żadne zaręczyny nie wyrażę zgody, kiedy bez niczyjej wiedzy zjawiała się u mnie spanikowana Lenora.

To szaleństwo, które zawsze w niej wyczuwałem, zupełnie nią zawładnęło. Flirtowała nie tylko z żonatym aptekarzem, który

dostarczał jej do domu leki na męczące ją migreny, ale poznała również przemytnika działającego pod przykrywką karczmarza. Tu dreszcz emocji okazał się pokusą nie do opanowania, więc wdała się w romans i z nim. Wreszcie zaszła w ciążę, ale nie była pewna, który z kochanków - aptekarz czy przestępca - jest ojcem. Zresztą, nie miało to znaczenia, gdyż niezależnie od tego nieślubna ciąża okrywała ją nieprawdopodobną wręcz hańbą.

Błagała mnie, bym zareczył się z nią i ożenił, by ocalić ją od śmiertelnego wstydu, a ja, głupi, zgodziłem się. Była moją przyjaciółką, w dodatku wyobrażałem sobie, że małżeństwo z nią będzie przynajmniej miłe i przyzwoite. W końcu znaleźmy się od bardzo dawna. Moje poczucie obowiązku wobec niej zwyciężyło. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że całe moje jestestwo zapłonie uczuciem do pewnej ślicznej, nieznośnej lalkarki z ulicy Oxford.

Z początku rzeczywiście traktowaliśmy się z szacunkiem, a związek nasz był platoniczny we wszelkich aspektach. Po kilku miesiącach jednak Lenora poroniła. Była niepokieszona i wkrótce zaczęło przeszkadzać jej wszystko co robiłem ja lub służba. Zdarzało się jej ciskać książkami i porcelaną lub okładać po uszach pokojówki za nic nieznaczące przewiny.

Z upływem czasu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Nie tylko stała się okrutna dla wszystkich wokół, ale zaczęła wdawać się w zupełnie jawne romanse z każdym, kto stanął jej na drodze, od chłopców na posyłki po arystokratów. Zyskałem sobie miano Rogacza z Kentu. Nie chciałem jednak zdradzać prawdy, więc podtrzymywałem wersję, w której to mój brak uczuć zepchnął ją na złą drogę.

Nie miałem pojęcia, jak uspokoić Lenorę. Powoli traciła kontakt z rzeczywistością. Nie była już w stanie wystąpić w roli gospodyni w naszym domu, gdyż upijała się szybko, po czym próbowała zaciągać mężów zaproszonych pań do sypialni gościnnych, pod nosem ich własnych żon! Hevington stawało się miejscem nie do wytrzymania.

Kupiłem dom w Londynie i usiłowałem nakłonić ją, by przeniosła się tam choć na krótko, by wypoczęła i pozbiierała

myśli. Zanim zdążyłem ją tam zawieźć, zostawiła mnie, odchodząc z jednym z lokajów. Biedny chłopak. Zamieszkali razem u jego rodziców, otrzymawszy moje serdeczne błogosławieństwo, i Lenora wkrótce znów zaszła w ciążę. Jej matka i ojciec omal nie dostali apopleksji z wściekłości.

Z radością przystałbym na rozwód, gdyby tylko wiedziała, że znajdzie szczęście u boku kogoś innego, ale nie, nie prosiła o to. Zamiast tego obrażała mnie z daleka, wysyłając okrutne listy i „przypadkowo” wpadając na mnie w kościele lub na rynku, za każdym razem wykorzystując sytuację, by mnie ośmieszyć.

Claudette przerwała opowieść:

- Czy Lenora wiedziała, że uratowałeś mnie od ataku ptaka w Leadenhall?

- Nie, moje uczucie do ciebie utrzymywałem w ścisłej tajemnicy, choć sądziłem, że może przynajmniej ty jedna je rozumiesz. - William spojrzał na nią z wyczuwalnym w spojrzeniu pytaniem.

Dziewczyna przygryzła wargę.

- Tak, wiedziałam o nim, lecz... ignorowałam je. Zaśmiał się krótko.

- Rzeczywiście. Gdyby Lenora ignorowała mnie choć w połowie tak skutecznie... Gdy nadszedł czas, poród ciągnął się bardzo długo. Akuszerka wezwała lekarza, a ten stwierdził, że dziecko odwrócone jest tyłem. Umarły obie, Lenora i jej córeczka. Pępowina owinęła się dziecku wokół szyi, dusząc je, a matka zmarła z nadmiernej utraty krwi.

- Rozumiem - rzekła Claudette ledwo dosłyszalnym szeptem.

Szybko zakończył opowieść.

- Rodzice pochowali je obie w rodzinnej krypcie, a mój lokaj zniknął, nie informując nawet rodziny, dokąd się wybiera. Czekałem wystarczająco długo - cały uznany okres żałoby po mojej zmarłej żonie - ale nie zamierzam już dłużej zwlekać. Claudette Laurent, proszę, byś wyraziła zgodę, abym zabiegał o ciebie. Otwarcie i we właściwy sposób.

Czy naprawdę to powiedział? Szczerze? Staranie się o rękę rzemieślniczki przyniesie mu z pewnością tylko hańbę. Jego rodzina liczyła się w towarzystwie. Jego znajomi należeli bez wątpienia do najwyższych sfer i wykluczą ją ze swych kręgów. Wreszcie zostanie zmuszony, by poślubić właściwą sobie rangą angielską damę, taką jak Lenora Radley. Po co wkładać serce w zaloty mężczyzny, któremu potrzebne odpowiednie małżeństwo? Jej serce zostanie złamane przez tego człowieka o silnych dłoniach i mocnym, lojalnym duchu. Czy nie wystarczy, że już raz pękło z powodu Jeana-Philippea?

„Czy odważę się zaryzykować, skoro wreszcie doprowadziłam swe życie do punktu bezpieczeństwa i wygody?”

- Panno Laurent, chciałbym odgadnąć pani myśli.

- Myślę, że potrzebuję powietrza.

Odsunął się od stołu i pomógł jej wstać. Regulując pospiesznie rachunek, wyprowadził ją na zewnątrz.

- Czy dobrze się pani czuje? Wezwać lekarza? - pytał, a w jego oczach malowały się niepokój i troska.

- Nie, potrzebowałam tylko odetchnąć świeżym, nocnym powietrzem, by oczyścić umysł.

Rozpoczęli niespieszny spacer ku mieszkaniu Claudette. Po raz pierwszy to ona wyciągnęła rękę, by wtulić ją pod jego ramię. W świetle księżyca dostrzegła uśmiech, który przemknął po jego obliczu. Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Panie Greycliffe, zgadzam się na pańskie starania, ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, musi pan zdawać sobie sprawę, że mój warsztat stanowi dla mnie największą wartość i że nigdy go nie porzucę. Po drugie, pańscy przyjaciele

1 znajomi nigdy mnie na zaakceptują, wobec czego pod żadnym pozorem nie będę przebywała w ich towarzystwie.

- Czy to już wszystkie pani żądania?

- Ależ... tak, sądzę, że tak. Czy nie jest pan zły? Nie ma pan ochoty natychmiast mnie odrzucić?

Roześmiał się i ruszyli dalej w kierunku jej kamienicy. Claudette spostrzegła, że Béatrice zostawiła dla niej w oknie świecę. William przyciągnął Claudette do siebie, gdy podeszli do drzwi.

- Panno Laurent, przyjmuję pani warunki kapitulacji. Mam nadzieję, że może z czasem przekona się pani, że moi znajomi nie są tak nikczemni, za jakich ich pani uważa, jeśli tylko da im pani szansę tego dowieść. Obecnie pozostaje już tylko sprawa przypieczętowania naszej umowy.

Zbliżył do niej gładko ogoloną twarz, by złożyć na jej ustach pierwszy pocałunek. Był miękki i delikatny, a jednak przebijała z niego ukryta tęsknota i pragnienie. Czowała, jak jego męski zapach otula ją całą, jak chroni ją przed resztą świata. „Claudette Laurent - odezwał się głos gdzieś w zakamarkach jej umysłu - ziemia znów wstrzymała bieg”.

i LIPCA 1788 MARIA ANTONINA KRÓLOWA FRANCJI SPODZIEWA SIĘ PANI OBECNOŚCI W WERSALU. ZASZCZYT SPOCZAŁ NA PANI, GDYŻ KRÓLOWA WYRAZIŁA ZADOWOLENIE Z LALEK ZE SKLEPU LALKARSKIEGO C. LAURENT I ŻYCZY SOBIE POZNAĆ WŁAŚCICIELKĘ. MOŻE PANI ZOSTAĆ PRZEDSTAWIONA KRÓLOWEJ 14 LIPCA W WERSALU. PANI ESKORTĄ PRZY WEJŚCIU DO PAŁACU BĘDZIE J.P. RENAUD. ZAŁĄCZONE ZAPROSZENIE ZAPEWNI PANI WSTĘP NA PAŁACOWE ZIEMIE.

Claudette z niedowierzaniem przeczytała zaproszenie i towarzyszący mu list. Ona - przedstawiona królowej Francji? Ach, gdyby tylko tata mógł to zobaczyć. Lecz, co ważniejsze, kim był J.P. Renaud? Czy to być może...?

ROZDZIAŁ 18

Londyn, 12 lipca 1788. Co, na miłość boską, wkłada się na spotkanie z królową Francji? Claudette kończyła przygotowania do przeprawy przez kanał La Manche. Jej sypialnia zasłana była sukniami, trzewikami, a nawet sztukami bielizny. Claudette miała na sobie niedopięty strój podróżny i była boso.

W progu stanął pan Greycliffe, kręcąc głową na widok tego rozgardiaszu.

- Kochanie, zakładam, że to tylko krótka wycieczka, nie przeprowadzka do Wersalu? - zauważył.

- To nie błahostka, Williamie. Maria Antonina ma reputację najmodniejszej kobiety naszych czasów. Nie mogę stanąć przed nią ubrana jak flejtuch.

- Claudette, nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek miał cię tak nazwać, gdy włożysz to. - Wyciągnął ku niej szmaragdową suknię.
- Jesteś piękna i wszystko nosisz z niezwykłą gracją.

- Williamie, uwielbiam wiarę, którą we mnie pokładasz, ale to naprawdę poważna sprawa. Chcę wyrzucić na królowej jak najlepsze wrażenie, przynosząc tym samym jeszcze więcej chwały sklepowi. Czy zdajesz sobie sprawę, że aprobata ze strony Marii Antoniny może zapewnić nam zamówienia od całego francuskiego dworu? Może nawet mogłabym przeprowadzić się z powrotem do ojczyzny, gdyby miało to oczywiście przynieść korzyść naszym interesom.

- Co takiego? Nie wspominałaś o tym wcześniej. Claudette, czy poważnie rozważałabyś opuszczenie mnie? Porzuciłabyś Anglię i życie, które tu dla siebie ułożyłaś? Wszak ja jeszcze... -urwał.

Włożyła do kufra suknię, którą jej podał, celowo nie podnosząc głowy, by uniknąć spojrzenia mu w oczy.

- Sama nie wiem. Paryż był mi domem przez całe dzieciństwo.
- Twierdziłaś jednak, że po pożarze nie zostało tam dla ciebie nic.
- Tak, ale...
- Czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

Zakrzętnęła się przy bagażu, zamykając kufer i dociągając skórzane paski, zanim odważyła się podnieść wzrok na Williama wpatrującego się w nią ze śmiertelną powagą.

- Muszę udać się do Paryża, by przekonać się, czy wywoła we mnie pragnienie powrotu. Nie umiem ci w tej chwili wyjaśnić swoich uczuć. Proszę, zrozum, że nie ma to nic wspólnego z tobą czy z życiem, jakie wiodę tu w Anglii.

- Niczego nie rozumiem. - Patrzył na nią wyczekująco. Nie doczekawszy się od niej odpowiedzi, wyprostował się sztywno.

- Dobrze więc, Claudette. Wrócę za trzy godziny, by odwieźć cię do portu. - To rzekłszy, odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju. Po chwili dobiegło ją trzaśnięcie frontowych drzwi, po czym ujrzała z okna, jak wydaje polecenia stangretowi. Powóz ruszył ostro, ze stukotem odjeżdżając w dal.

Nietrudno było zgadnąć, że zaraz do sypialni wpadnie Béatrice.

- Claudette, dlaczego William wyszedł w takim pośpiechu? Sądziłam, że spędzicie dziś czas razem, a potem odwiezie cię na statek.

- Wyznałam mu, że być może przeprowadzę się z powrotem do Francji, gdyby okazało się, że dla naszego sklepu jest to wskazane posunięcie.

Oczy Béatrice zaokrągliły się z przerażenia. Niemal słowo w słowo, niczym papuga, powtórzyła kwestię Greycliffe'a:

- Masz na myśli opuszczenie Anglii? Co z twoimi pracownikami? A ja i Marguerite? Claudette, nie!

Claudette natychmiast pożałowała, że podzieliła się z przyjaciółką treścią rozmowy z Williamem. Delikatna natura Béatrice mogła załamać się pod wpływem tak niepokojących wieści, szczególnie pod jej nieobecność.

- Béatrice, nie zaprzataj sobie tym głowy. Z pewnością to wszystko wina nerwów. Bardzo przeżywam powrót w nasze ojczyście strony i sama już nie wiem, co mówię.

Przyjaciółka przez dłuższą chwilę spoglądała na nią badawczo.

- Chodzi o tego Jeana-Philippe'a, prawda? O te zaręczyny, o których opowiadałaś mi w czasie naszego koszmarne rejsu z Francji. Pragniesz go odnaleźć!

Claudette zdradziła się milczeniem. Béatrice znów szerzej rozwarła oczy.

- Och, biedny William! Czy powiedziałaś mu o tym? Nie, widzę, że oszczędziłaś mu prawdy. Claudette, nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Claudette zaprzeczyła wyzywająco.

- Nie bądź niemądra. Jadę do Paryża, by poznać Marię Antoninę, królową Francji, a jeśli szczęście mi dopisze, uda mi się ją przekonać, by zakupiła od nas więcej lalek. Postaram się też zrobić doskonałe wrażenie na dworze, tak by cała obecna tam szlachta wysyłała zlecenia właśnie mnie. Byłabym ci dozgonnie wdzięczna, gdybyś pomogła mi przywdziać kostium na podróż, a zapomniała już o tych bzdurach na temat moich dzieciennych zaręczyn. - Odwróciła się do przyjaciółki plecami, by nie patrzeć jej w oczy.

Béatrice drżącymi palcami zapięła haftki z tyłu jej sukni

1 w milczeniu leciutko pchnęła Claudette na łóżko, by usiadła. Przekopała się przez stosy ubrań, by odszukać pantofelki, które dziewczyna na ogół nosiła z kostiumem. Uklękła i wsunęła obuwie na stopy przyjaciółki, po czym spojrzała na nią z wyrazem głębokiego żalu.

Claudette przeszło poczucie winy. Dlaczego życie było tak pogmatwane? Najpierw walczyła, by wygasić swe uczucia do Jeana-Philippe'a, a potem na siłę wypierała Williama ze swych

myśli. Lecz on ponownie wkroczył w jej życie, w dodatku z rozmachem, a ona pozwoliła się porwać jego uczciwości, niezłomności, oraz - przede wszystkim - swym własnym odurzonym zmysłom, które brały ją we władanie, gdy tylko był blisko.

A teraz, być może, na scenę wraca Jean-Philippe, a ona, niczym gnany wiatrem jesienny liść, pozbawiony władzy nad własnym losem, miała pofrunąć do Francji, by przekonać się, co ją tam czeka.

Czy niszczyła właśnie kruchą więź, która zaczęła łączyć ją i Williama, ruszając w pogoń za zjawą? „Czy nadal jestem idiotką?”

W oczach Claudette niespodziewanie zaszklily się łzy.

- Och, Béatrice, jesteś najbliższą mi na całym świecie przyjaciółką i nigdy nie dopuściłabym się niczego, co mogłoby cię zranić. Obiecuję, że wrócę. W końcu, czymże byłby Sklep z Modnymi Lalkami C. Laurent bez Béatrice du Georges? -Rzuciła się Béatrice na szyję i przywarły do siebie w mocnym uścisku.

-Bła gam, Claudette, nie zrób niczego nierozsądnego, będąc daleko. William tak bardzo cię kocha. Ja i Marguerite również.

- Głupiutka Béatrice. Wracajmy do sklepu. Chcę się jeszcze upewnić, że wszyscy pracownicy zrozumieli moje wskazówki i że są świadomi, iż na czas mojej nieobecności to ty przejmujesz dowodzenie.

William zjawił się jakiś czas później ze swym powozem i stangretem, który załadował bagaż Claudette, podczas gdy Greycliffe w milczeniu eskortował ją do pojazdu, kłaniając się Béatrice, która stała jeszcze na półpiętrze, gdy schodzili po schodach.

- Na Lady of York - William podał nazwę statku, stukając w sufit powozu. Meandrowali ulicami Londynu w drodze do portu. Siedzieli bez słowa, ona wpatrzona w świat przesuwany się za oknem, on przenosząc spojrzenie z podłogi na nią, po czym wbijając je z powrotem w stopy.

Wreszcie odezwała się:

- Williamie, przysięgam Béatrice, że wrócę, i tobie składam taką samą obietnicę.

- Odczuwam ulgę, słysząc to, ale i obawę, jeśli okazało się nagle, że znalazłaś jakiś istotny powód, by zostać we Francji.

Poczuła się nieswojo pod jego przenikliwym spojrzeniem, więc wbiła wzrok w spoczywające na kolanach dłonie.

- Nie - szepnęła. - Jestem pewna, że nic tam na mnie nie czeka.

Gdy dotarli już do przystani i zbliżali się do podjazdu na statek, William przesiadł się, zajmując miejsce obok Claudette. Czule ujął palcami jej twarz i odwrócił ku sobie, kładąc na jej czole delikatny pocałunek.

- Kocham cię, Claudette Renée Laurent. Będę odliczał godziny do twojego powrotu.

Claudette zadrżała na myśl o opuszczeniu go choć na chwilę. Nadal trzymając w dłoniach jej twarz i wpatrując się w jej kobaltowe oczy, jak gdyby chciał w nich wyczytać ukrytą w jej sercu tajemnicę, nachylił się, by wargami dotknąć jej ust w słodkim pocałunku. Trwał on raptem kilka sekund, lecz wystarczył, by przekazać cały jego ból i niepokój, a także wielką namiętność, którą skrywał pod maską opanowania.

- Jesteśmy na miejscu, *sir*. Zaniosę na pokład bagaż panny Laurent, a potem wrócę do powozu i będę czekał na pana.

- Świetnie, dziękuję.

William troskliwie pomógł Claudette wysiąść, po czym niespiesznie ruszyli ku trapowi. Przez przystań przelewała się taka fala podróżnych, kupców i pracowników portowych, jaką pamiętała sprzed siedmiu lat, gdy po okropnej podróży dotarła w nieznaną. Było teraz równie brudno, jak wtedy - zdechłe ryby i inne morskie zwierzęta rozwleczone po ziemi i bezpańskie psy węszące przy tych potencjalnych ucztach. Smród przyprawiał o mdłości, więc przytknęła do nosa chusteczkę. Odczuła ulgę, nie dostrzegając żadnych śladów prostytutki, choć może następna dostawa naiwnych, niespodziewających się krzywdy dziewcząt po prostu jeszcze nie dotarła. Na samo

wspomnienie tamtych dni przeszedł ją lodowaty dreszcz, a przecież nie tak dawno opowiadała o wszystkim Williamowi w czasie ich zwyczajowych już pogawędek w gospodzie, dzięki którym coraz bliżej się poznawali.

Wyczuwając jej niepokój, William rzekł wesołym tonem:

- Oto jesteśmy, kochana moja. Nadszedł czas, byś wyruszyła po swą wielką przygodę i poznała królową Francji. -Ofiarował jej jeszcze jeden, przelotny pocałunek. - Będę na ciebie czekał.

Oczy Claudette wypełniły się łzami, więc odwróciła się szybko i niemal wbiegła po trapie na pokład.

Przeprawa przez Kanał odbyła się bez niespodzianek. Gdy Claudette dotarła do Calais, spotkała przypadkiem inną pasażerkę, która również planowała dalszą podróż do Paryża, więc wspólnie opłaciły pojazd, by dotrzeć do celu.

Nowa towarzyszka była w średnim wieku. Prosty strój opinał jej nazbyt obszerną tuszę. Nazywała się *madame* Junesiere i nie kryła wrażenia, jakie zrobił na niej fakt, że Claudette została zaproszona przed oblicze królowej.

- *Chérie*, zdradź mi, czego dokonałaś, żeś przyciągnęła uwagę Marii Antoniny?

- Jestem lalkarką. Królowa posiada już kilka moich wyrobów. *Madame* Junesiere zdawała się wstrząśnięta.

- Parasz się rzemiosłem? Jakież to okropne. Twój mąż na to pozwala?

- Nie jestem zamężna.

- Dobrze więc, twoi rodzice na to pozwalają?

- Zginęli w pożarze kilka lat temu. Ojciec był lalkarzem i przekazał mi swój kunszt. Po śmierci rodziców wyjechałam do Anglii i tam założyłam sklep.

Towarzyszka pokręciła głową z dezaprobatą.

- *Chérie*, to nie przystoi, by śliczna młoda kobieta brudziła sobie ręce pracą. Powinnaś znaleźć sobie męża, najlepiej miłego Francuza, i zająć się najwyżej produkcją dzieci, nie lalek.

Claudette uśmiechnęła się z żalem i zastanowiła, czy słowa nowej znajomej nie okażą się prorocze. Co będzie, jeśli odnajdzie Jeana-Philippea? Czy ożenił się już? A jeśli nie, czy nadal ją kocha? Czy miała przenieść do Francji cały warsztat i sklep? A może przyjdzie jej porzucić wszystko, by wyjść za mąż za utraconą miłość i wydać na świat jego potomstwo? Poczęła odbudowywać w pamięci jego wizerunek. Niemal czuła na sobie uścisk jego ramion, tak jak wtedy, gdy spacerowali wąskimi alejkami w pobliżu domu. Myśli poniosły ją jednak ku Williamowi. Gryzło ją sumienie, że nie była z nim szczerą. „Nie mogę jednak teraz skupiać się na nim - zdecydowała. - Muszę skoncentrować się na spotkaniu z królową i odkryciu, czy Jean-Philippe żyje”.

Nawałnicę myśli przerwała jej *madame* Junesiere.

- Zbliżamy się do miasta. Ten pojazd to najgorsza namiastka środka transportu, jaką kiedykolwiek podróżowałam. Kości chrupią mi na każdym kamyczku. Może zatrzymamy się na noc w zajezdzie, a rano wynajmiemy porządny powóz?

Claudette zgodziła się i panie spędziły wieczór w przyjaznym milczeniu, nim udały się na spoczynek. Z samego rana zorganizowały wygodniejszy transport i kontynuowały podróż. Gdy dotarły do Paryża, pierwsza wysiadła *madame* Junesiere, gdyż dom jej córki, do której jechała, by oczekiwać pierwszego wnuka, był po drodze.

- *Au revoir, mademoiselle* Laurent. I niech pani pamięta moją radę. Proszę zająć się prawdziwymi dziećmi, nie tymi z drewna.

- *Merci, madame* Junesiere. Było mi bardzo przyjemnie podróżować z panią.

Nareszcie sama, po raz pierwszy od zejścia z pokładu statku, Claudette pozwoliła sobie odsunąć myśli o swych kłopotach z mężczyznami i poddać się radości spotkania z królową. Jaki dumny byłby tata, gdyby dożył tego dnia! Ona, malutka Claudette Laurent, oficjalnie dopuszczona przed oblicze najważniejszej osobistości wśród europejskich elit. Z wyjątkiem króla Ludwika XVI, rzecz jasna.

Powóz mknął wzdłuż frontu Wersalu i Claudette aż westchnęła z podziwu na widok jego rozmiarów i piękna. Stangret zatrzymał się, by przepuścić ruch na Avenue de Paris, co pozwoliło pasażerce przyjrzeć się pałacowi. Widok częściowo przysłaniała wysoka brama z kutego żelaza, ale można było dostrzec wejście do wspaniałej budowli. Z parteru i dwóch kondygnacji wyglądały wysokie okna. Te na parterze i pierwszym piętrze zwieńczone były palladiańskimi łukami. Trzeci poziom zdobiły też kolumny rozłożone równomiernie w grupach po osiem. Nawet z daleka widoczna była linia rzeźb ciągnąca się ponad trzecią kondygnacją. Pałac zdawał się być nie jednym budynkiem, lecz wielkim domem z wieloma skrzydłami, zarówno dołączonymi do niego, jak i stojącymi osobno. Zbudowano go z beżowego kamienia, ale lśnił w słońcu jak czyste złoto. Był to z pewnością zamierzony efekt planu Ludwika XIV, gdy dokonywał przebudowy pałacyku myśliwskiego w ten potężny pomnik ku czci samego siebie i Francji. „Nic dziwnego, że nazywano go Królem Słońce”, myślała. Na okrągłym placu przed pałacem stało wiele powozów. Claudette z trudem mogła uwierzyć, że i ona zajedzie tam następnego dnia.

Powóz szarpnął i ruszył dalej, skręcając za róg, tak że straciła pałac z oczu. Claudette rozparła się wygodniej na siedzeniu i przymknęła powieki, wyobrażając sobie, co będzie czuła, gdy przedstawią ją jutro królowej. Przejechali jeszcze kilka przecznic, nim dotarli do Hôtel du Grand Maître gdzie, jak zapewnił ją stangret, zatrzymywało się wielu zaproszonych do Wersalu gości. Zapłaciła mu i poczekała, by upewnić się, że jej bagaże trafią do pokoju, po czym weszła do środka i natychmiast poprosiła, by przygotowano jej kąpiel.

Czekając w elegancko urządzonym pokoju, aż dostarczą jej wannę, Claudette wyjmowała z włosów spinki. Na przykrytym niebiesko-złotą narzutą łóżku leżało kilka wypchanych pierzem materacy. Toaletka z lustrem służyła również za stolik nocny. W jednej z licznych szuflad biurka znalazła cudny lniany papier listowy. Ściany pokryte były biało-niebieskim

adamaszkim, a podłogę zdobiły dywany z Aubusson. Poczowała, że oto zaczyna smakować dworskiego życia. Zaraz napisze do Williama i Beatrice, by opowiedzieć, jak piękny jest hotel. Pukanie do drzwi zawiadomiło ją, że przyniesiono wannę.

Gdy służący wyszli, ustawiwszy wannę pośrodku pokoju, Claudette zsunęła zakurzony kostium podróżny i wśliznęła się do ciepłej wody z pianą, by zażyć długiej kąpieli.

Następnego ranka zbudziły ją promienie wlewające się przez szyby wysokich okien. Wstała, owinęła się szalem, otworzyła okno i wychyliła się, by zażyć słońca. Uderzyła ją kakofonia dobiegająca z ulicy. Zdziwiła się, że nawet poza centrum Paryża odległe odgłosy miasta - turkot powozów sunących po brukowanych ulicach, pokrzykiwanie ulicznych handlarzy, szczekanie, rżenie i wycie zwierząt - potrafiły tak mocno oddziaływać na zmysły. Ale cóż z tego, dziś stanie przed obliczem królowej! I może, tylko być może, ujrzy znów Jeana-Philippea.

Delikatne pukanie do drzwi wyrwało ją z rozmarzenia. Na zewnątrz stała młodziutka pokojówka z tacą w rękach.

- *Madame*, przyniosłam pani śniadanie - odezwała się nieśmiało, podnosząc posiłek w górę, jak do inspekcji. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Ciemne włosy obcięte były byle jak, jak gdyby ktoś ciachał na oślepa, a jej szare oczy wзираły z chudej, bladej twarzyczki jak dwie wodniste kulki. Claudette miała wrażenie, że do pokoju wsunął się właśnie mały, zgubiony kotek.

- *Merci*. Postaw je, proszę, na biurku. Jak ci na imię, maleńka?

- Jestem Jolie.

- Dobrze, Jolie. Czy jesteś córką właściciela zajazdu?

- Nie, *madame*, jestem sierotą. Mama i tata zmarli na febrę. Mój wuj Bernard jest tu właścicielem.

Claudette zalała falą współczucia dla dziewczyny, w zasadzie jeszcze dziecka.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście.

Osiemnaście! Tylko o pięć mniej od Claudette. Najwyraźniej karczmarz nie karmił jej najlepiej.

- Jolie, czy chciałabyś zarobić trochę dodatkowych pieniędzy?

Szare oczy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, zrobiły się jeszcze większe.

- O, tak, *madamel* W czym mogłabym pani służyć?

- Jolie, nazywam się Claudette Laurent i jestem lalkarką. Mam dziś stanąć przed królową, ale nie mam nikogo, kto pomógłby mi się ubrać i uczesać. Czy mogę na ciebie liczyć?

- Och, tak, *madamel* Królowa? Oj, to zrobię z pani piękność! - Orientując się, że popełniła gafę, natychmiast próbowała się ratować. - To znaczy, pani już jest bardzo ładna. Chodziło mi o to, że postaram się podkreślić wszystkie atuty pani urody.

Claudette uśmiechnęła się.

- Spokojnie, Jolie, absolutnie nie czuję się urażona. Zrób, co masz zrobić, a potem wróć tu, by mi pomóc. Muszę wyjść za dwie godziny.

Jolie czmychnęła z pokoju, a Claudette zasiadła do pożywnego śniadania złożonego z omletu, bułek, sera i kawy. Gdy kończyła jeść, zjawiała się z folie. Przyglądając się nowej pomocnicy stojącej przed nią z rękami pełnymi przyborów, zastanowiła się, czy ten biedny, zagubiony kotek z kosmykami włosów wymykającymi się w nieładzie spod czepka, może rzeczywiście pomóc jej przy toalecie. Szybko przekonała się jednak, że złożenie propozycji Jolie było właściwym posunięciem. Dziewczyna dosłownie zaatakowała kufry Claudette, wyjmując z nich suknie, utyskując nad zagnieceniami, które utworzyły się od zbyt długiego przechowywania w zamknięciu, i pytając, dlaczego poszczególne elementy odzieży nie są przełożone bibułą. W odpowiedzi na pytający wzrok Claudette, wyjaśniła:

- Spędziłam kilka miesięcy na służbie u pewnej księżnej, która mieszkała w zamku nieopodal miasteczka, gdzie stoi

dom moich rodziców. Gdy zmarł jej mąż, sprzedała posiadłość i przeprowadziła się do rodziny w Avignon, a ja wróciłam pod ojcowski dach. Ale zapewniam panią, że nauczyłam się tam wystarczająco dużo, by pomóc *madame* Claudette przyćmić wszystkie piękności na dworze.

- Obawiam się, że to nieosiągalny cel, Jolie, bierzmy się jednak do działania, bym przynajmniej wyglądała przyzwoicie.

Posadziwszy Claudette przed lustrem toaletki, Jolie wydobyła z jej bagażu pudełko z kosmetykami. Z zaskakującą wprawą nałożyła róż, cień do powiek oraz szminkę. Następnie odkręciła niewielki słoik i nałożyła sobie na palce kleistą substancję, którą wtarła we włosy Claudette. Potem utapirowała jej loki tak, że ich właścicielka zyskała pewność, iż nie zmieści się w drzwiach.

- Jolie, co to za zapach?

- Ach, brakowało mi pomady, niezbędnej by utrzymał się puder, więc musiałam zastąpić ją czymś z kuchni. Ale dodałam perfum, *madame*, żeby zamaskować nieprzyjemną woń.

Jolie położyła na głowie Claudette małą podkładkę, wokół której zaczesła jej włosy, wiążąc je za pomocą kilku drucików. Gdy były już sztywno upięte, Jolie przeszukała swoją torbę z akcesoriami. Wyjmowała z niej przeróżne przedmioty, najwyraźniej skonfiskowane z kuchni i innych pomieszczeń hotelowych, i wplatała je w przedziwny kolaż na głowie Claudette. Pojawiła się tam sporej wielkości szpula nici, fragment ubranka do chrztu, para okularów, a nawet rączki od nożyczek. Wszystko to wyglądało tak, jakby jakimś cudem przycupnęło na górze z jej włosów, choć w rzeczywistości każda z tych rzeczy była przymocowana szpilkami do podkładki.

- Jolie, nie pojmuję, co ma przedstawiać to uczesanie.

- To moda wprowadzona przez królową Marię Antoninę. Chodzi o to, by dać się opisać koafiurą. Pani jest lalkarką, więc ma pani na sobie elementy opowiadające o pani rzemiośle.

- Martwię się jednak, że kiedy wstanę, ta góra na głowie mnie przeważy! Będiesz musiała przyjść tu, kiedy wrócę, by doprowadzić moje włosy z powrotem do normalności.

- Naturalnie, *madame*, będę tutaj. Ale nie, nie, proszę jeszcze nie wstawać, jeszcze nie skończyłam. Proszę, tej pufy użyję do przypudrowania pani włosów. - Wokół ramion Claudette rozpięła pas tkaniny i podała jej maseczkę.

- Proszę przyłożyć to do ust, a ja zacznę.

Zza maski Claudette słyszała, jak Jolie kaszle od wdychanego pudru. Zdała sobie sprawę, że bycie modną musi być głównym dworskim zajęciem.

- *Voild, madame*, toaleta zakończona.

Claudette odsunęła maseczkę sprzed twarzy i przejrzała się w lustrze. Wyjrzała na nią zupełnie obca kobieta. Kosmetyki nadały jej wytworności, o którą sama siebie nie podejrzewała, a upudrowana fryzura, biała jak śnieg z wyjątkiem wplecionych we włosy przedmiotów, była... cóż, William zapłaciłby pewnie grube pieniądze, by zobaczyć coś takiego.

- No dobrze, ale co powinnam włożyć?

- *Madame*, wybrałam pani ciemnoniebieską suknię, tę z bufiastymi rękawami ozdobionymi koronką. Dodałabym jednak do niej różową halkę z tej drugiej sukni. Jeśli nałożymy trochę różu na pani atłasowe pantofle, to będą miały do niej bardzo zbliżony odcień. Te pończochy nie są z jedwabiu, ale jeśli nie podniesie pani spódnicy zbyt wysoko podczas ukłonu, to nikt nie zauważy. Od koszuli nocnej odpruję kokardkę, o, i wystarczy kilka szwów, a zdobić będzie przód pani sukni.

Claudette kiwała głową, aprobując sugestie Jolie, i stała cierpliwie, podczas gdy młoda asystentka dwoiła się i troiła, ubierając ją. Claudette czuła z całą pewnością, że pod ciężarem dzieła Jolie nie będzie w stanie zrobić kroku ani tym bardziej złożyć ukłonu królowej.

- Wygląda pani jak z bajki, *madame*. Królowa będzie pod wrażeniem.

- Cóż, sprawdźmy najpierw, czy uda mi się w ogóle do niej dotrzeć. - Poruszyła się powoli. - Zostań tu jeszcze, Jolie, a ja poćwiczę przed tobą ukłon. - Starając się utrzymać głowę w pionie, Claudette schyliła się do ziemi, dbając o to, by nie odsłonić spod spódnicy więcej niż noska bucika.

- *Madame*, to było doskonale! - Jolie zaklaskała. Tak naprawdę nigdy nie była świadkiem spotkania z królową i nie miała pojęcia o poprawnym ukłonie, ale chciała podtrzymać Claudette na duchu.

- Miejmy taką nadzieję. A teraz, Jolie, ostatnie twoje zadanie. Znajdź kogoś, kto wynajmie mi powóz, który powiezie mnie do pałacu.

Dworskie karoce są z pewnością wyższe, myślała Claudette, siedząc niemal na podłodze, by utrzymać głowę w pozycji pionowej i nie zahaczyć fryzurą o sufit powozu. Szybko jednak zapomniała o niewygodach, gdyż pojazd sunął rażno Avenue de Paris w kierunku cudnego Wersalu. Mijali inne powozy zmierzające w tamtą stronę. Musiały należeć do ludzi z najwyższych sfer. Niektóre miały misternie rzeźbione, pozłacane szprychy, inne fantastyczne sceny wymalowane na ściankach. Na dachu jednej z karoc Claudette spostrzegła nawet pozłacanego, rzeźbionego konika. Tylko raz w życiu, wtedy, gdy lata temu po raz pierwszy ujrzała delfinę, dane jej było oglądać taką świetność w środkach transportu. Cóż, nigdy wcześniej nie zapraszano jej do Wersalu.

Przy żelaznej bramie prowadzącej na wykładany marmurem dziedziniec jej powóz został zatrzymany przez pałacowego strażnika. Przysłuchiwała się wymianie zdań ze stangretem.

- Co was sprowadza?

- Moja pasażerka mówi, że ma audiencję u królowej.

- Taak? Ciekawe. Kim ona jest?

- Skąd mam wiedzieć? Nie przesłuchuję swych klientów, *mon ami*, staram się tylko, by otrzymali dobrą usługę za to, za co mi płacą.

Rozległo się ostre pukanie do drzwiczek.

- Dokumenty, proszę.

Claudette otworzyła strażnikowi ubranemu w wyszywaną czerwoną marynarkę i dopasowane bryczesy. Włosy miał tak

samo przyprószone bielą jak ona. Spojrzał znad długiego nosa na dziewczynę, skuloną na podłodze w trosce o fryzurę, i potrząsnął głową. Doprawdy, te kobiety są śmieszne.

- Proszę, *monsieur*, oto list z zaproszeniem od królowej. Obejrzał wręczony mu papier z podejrzliwością człowieka,

którego nieraz naciągacze próbowali oszukać podrobionymi dokumentami, byle tylko dostać się do królewskiej pary.

- Hm, wszystko wydaje się w porządku, ale nie może pani wjechać przez tę bramę, jest zarezerwowana dla szlachty. - Zatrzasnął drzwiczki i zwrócił się do stangreta ze wskazówkami:

- Jedźcie wzdłuż frontowej ściany pałacu aż do kolejnej bramy ze strażnicą. Pokażą wam boczny wjazd.

Znaleźli odpowiednią bramę, gdzie kolejny strażnik zbadał jej zaproszenie. Tym razem Claudette wyjęła również list, w którym wspomniano pana „J.P. Renaud”.

- Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, gdzie szukać *monsieur* Renauda? Ma eskortować mnie do pałacu, a ponadto zdaje mi się, że może być przyjacielem, którego od dawna szukam.

Ten strażnik był równie sceptyczny jak poprzedni. Westchnął ciężko, po czym podszedł do kolegi po fachu i zaczął mu przekazywać jakieś instrukcje.

- *Madame*, proszę wysiąść tutaj.

Claudette zapłaciła stangretowi i podążyła za pracownikiem pałacu do stróżówki, ostrożnie stąpając po wysypanej żwirem ścieżce, by nie wzniecić kurzu, który zabrudziłby jej suknię. Dał znak, by zaczekała, po czym wrócił do swoich obowiązków. Pozostawiona sama, Claudette przemierzała pokój tam i z powrotem, poruszając się tak szybko, jak pozwalała jej trzęsąca się na głowie fryzura. Czy popełniła głupstwo, prosząc o wezwanie pana Renauda? Pewnie to nie Jean-Philippe. Dlaczego nie potrafiła zadowolić się spotkaniem z najświetniejszą królową Europy?

Nagle drzwi stanęły otworem, a Claudette aż zakrztusiła się z wrażenia. Postarzał się, wyglądał na przemęczonego, ale, o tak, niewątpliwie był to Jean-Philippe.

Zanim zdołała wykrztusić choć słowo, rzucił się przed nią na kolana, chwycił obie jej dłonie i zasypał je pocałunkami.

- Moja miła gołąbeczko, bałem się mieć nadzieję, że to ty będziesz zaproszoną przez królową lalkarką, a jednak to prawda! Chyba że wzrok mnie myli?

Claudette napawała się jego widokiem. Ciemne, falujące włosy leciutko połyskiwały srebrnymi nitkami siwizny. Był niewiele starszy od niej, ale wokół oczu widać było oznaki znużenia. Ani siwe włosy, ani widoczne zmęczenie nie przyćmiły jednak jego męskiego czaru. Zastanawiała się, co się działo z nim przez tych parę lat.

Zaśmiała się lekko.

- Nie, Jeanie-Philippie, wzrok masz ostry jak zawsze. Nie byłam pewna, czy to ty wysłałeś mi list ze wskazówkami dotyczącymi mojej wizyty.

- Byłem pewien, że jeśli to będziesz ty, to spytasz o mnie, gdy tylko się zjawisz. Och, Claudette, jakże mnie cieszy twój widok! Osobiście zaprowadzę cię do królowej. Nawiasem mówiąc, twoje uczesanie zostawia w tyle fryzury wielu pań na dworze.

Wyciągnęła rękę i nieśmiało poklepała koafiurę.

- Nie znam się na stylu dworskim, ale moja nowa pomocnica, Jolie, upierała się, że takie włosy to ostatni krzyk mody w pałacu.

Obszedł ją w koło, zatrzymując się tylko raz, by pocałować ją przelotnie w kark. Ogarnęło ją zapomniane dawno, lecz jednak znajome ciepło.

- W zasadzie się nie pomyliła, choć akurat dziś królowa jest w swoim Hameau. Chodźmy.

Bez słowa wyjaśnienia na temat tego, czym jest Hameau ani jaki związek jego istnienie ma z wyglądem Claudette, wyprowadził ją ze stróżówki i zaprosił do jednego z wymyślnych, pozłacanych powozów, które widziała wcześniej w drodze do Wersalu. Była zaskoczona wyszukanym wystrojem wnętrza, dorównującego pięknemu zewnątrz pojazdowi. Było tu o wiele przestronniej niż w jakimkolwiek innym powozie, którym

dotąd podróżowała, siedzenia obite były czerwonym zamszem, a sufit zdobiło malowidło przedstawiające dwoje kochanków w ogrodzie. Olbrzymia fryzura Claudette bez trudu zmieściła się w środku. Jean-Philippe zajął miejsce naprzeciwko niej.

Powóz potoczył się żwirowaną dróżką biegnącą za pałacem wzdłuż kanału wodnego, z którego w równych odległościach wystawały tryskające wodą delfiny i marmurowe panny.

- To niesamowite - zachwyciła się Claudette.

- Życie dworskie jest ciekawe, prawda?

- To coś więcej... Zapiera dech w piersi. Pałac, ten powóz, i ty, siedzący naprzeciw... Ja chyba śnię!

Błysnął w uśmiechu pięknymi białymi zębami.

- Nie budźmy się z tego snu. Nie nosisz obrączki. Wyszłaś za mąż, turkaweczko?

- Nie, jeszcze nie, choć jest ktoś, kto stara się o moją rękę. A ty?

- Nie. Przez długi czas uważałem, że nadal jesteście zaręczeni. Nie udało mi się jednak dowiedzieć, czy żyjesz, i powoli straciłem nadzieję. Kilka pań na dworze dawało mi do zrozumienia, że są zainteresowane moją osobą, ale to takie głupie gaśki, że nie potrafię traktować ich poważnie. Jest zatem wciąż szansa dla nas. Nalegam, byś pozwoliła się zaprosić na kolację i przejażdżkę po Paryżu po spotkaniu z królową.

- Bardzo chętnie.

Powóz zatrzymał się. Jean-Philippe wyskoczył na ziemię i pomógł wsiąść Claudette. Omal nie krzyknęła z wrażenia, rozejrzawszy się wokół. Wyjechali poza przepych Wersalu i stali na obrzeżach czarownej maleńkiej osady na brzegu jeziora.

- Jeanie-Philippie, gdzie jesteśmy?

- To jest właśnie Hameau królowej. Kazała je zbudować wyłącznie dla własnej przyjemności. Prace zakończono trzy lata temu. Doliczysz się tuzina budynków, a wszystkie zrobione są na wzór wiejskich chat. Nie daj się jednak zmylić pozorom. Wnętrza są starannie udekorowane. Widzisz tamte dwa domki, połączone drewnianą galeryjką? To tak zwany Dom

Królowej, skąd obserwuje, jak służba wykonuje prace gospodarskie.

Claudette zauważyła, że budynki zrobione są z ciosanego kamienia, dachy kryte są strzechą, a z przodu znajdują się drewniane ganki. Najwyraźniej była też i w pełni funkcjonująca farma. Zwierzęta gospodarskie przechadzały się luźno, wiele z nich w wysadzanych drogimi kamieniami wstążkach na szyjach. Bluszcz wspinał się po murach budynków, sumiennie przysłaniając okna i rynny pysznymi liśćmi. Ze skromnością domków kontrastowali elegancy ludzie spacerujący po Osadzie. Choć ich stroje były proste, to jednak nosili się jak elita francuskiego społeczeństwa. Pośrodku gromadki osób, na obitym szkarłatnym pluszem taborecie, siedziała Maria Antonina. Odziana była skromnie - w muślinową sukienkę i niczym nieozdobiony biały czepek. Nie miała żadnych klejnotów ani symboli władzy, a mimo to szumiało tu jak w ulu, bo dworzanie roili się wokół niej jak pszczoły wokół kwiatu, czekając na znak aprobaty czy choćby najmniejszej uwagi.

- Chodź, przedstawię cię teraz. To szczęście, że przybyłaś właśnie dziś. Królowa jest dużo mniej oficjalna w Hameau niż w pałacu.

Claudette wzięła Jeana-Philippea pod ramię i dała się poprowadzić do brzęczącego ula.

- Wasza Wysokość, pozwolisz, że zaprezentuję Claudette Laurent, francuską emigrantkę do Anglii i lalkarę o niezwykłym talencie. - Zrobił krok do tyłu i wmieszał się w tłum widzów.

Królowa spojrzała na nią i Claudette w głębi niebieskich oczu natychmiast wyczytała, że popełniła ogromny błąd. Jej fryzura nadawałaby się może na zgromadzenie w Wersalu, ale nie tu, gdzie Maria Antonina najwyraźniej udawała, że wiedzie proste życie. Nawet suknia Claudette była zbyt fikuśna jak na sielską scenerię. Obecne dworki patrzyły na nią i słyszała, jak śmieją się, zasłaniając usta dłońmi. Zanim królowa zdołała przyjrzeć się jej twarzy o czerwonych policzkach płonących wstydem, Claudette skłoniła się głęboko, tak jak ćwiczyła

przed Jolie raptem kilka godzin wcześniej, bacząc, by nie pokazać zgromadzonym swych niegodnych dworu pończoch. Podniosła się, gdy królowa rzekła:

- Witamy cię, panno Laurent, w naszej skromnej wiosce. Wiedz, proszę, że unikamy tu przepychu, choć w Anglii mogłaś słyszeć plotki głoszące coś zgoła przeciwnego. W przyszłości nie poświęcaj tyle uwagi swemu wyglądowi.

Claudette odważyła się spojrzeć na władczynię i dostrzegła, że jej niebieskie oczy lśniły sympatią. Twarz o brzoskwiniowej cerze była nieco pełniejsza niż wówczas, gdy dziewczyna widziała ją na drodze w Saint-Denis. Claudette poczuła ulgę, choć jedna z dam stojących nieopodal rzuciła scenicznym szeptem:

- Ciekawe, czy małej lalkareczce wydaje się, że jest już wielką księżną? - Po czym rozległo się więcej chichotów.

- Cisza! Nie pozwolę drwić z naszego gościa. Proszę, podejdź, kochana. Usiądź przy mnie i opowiedz o swej pracy nad lalkami. *Madame Victoire*, niech pani wykorzysta swój cięty język, by zawołać panie Bertin i Grosholtz. Niech się do nas przyłączą. Pozostali mogą się rozejść do własnych zajęć.

Grupa otaczająca królową rozeszła się z wyjątkiem dwóch osób, kobiety i mężczyzny, którzy zostali przy jej boku. Ona była jedną z najpiękniejszych istot, jakie Claudette w życiu widziała. Miała wielkie, uduchowione oczy, co nadawało jej wyrazu absolutnej czystości. Prosta sukienka z koronką przy dekolcie i słomkowy kapelusz przybrany różami utwierdzały tylko wizerunek niewinnej młodej dziewczyny. On był jej męskim odpowiednikiem - niezwykle przystojny, choć Claudette miała wrażenie, że również bywały w świecie i doświadczony. Patrzył wprost na nią, a jego czar, duże błyszczące oczy, wysokie czoło i łobuzerski uśmiech wprawiły ją w osłupienie. Znała go. Było to hrabia, ten, który odwiedził jej sklep i złożył pierwsze zamówienie na lalki dla królowej. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Królowa przedstawiła kobietę w kapeluszu z różami jako swoją bliską przyjaciółkę, *princesse* de Lamballe. Urodzona jako Marie-Thérèse Louise de Savoie-Carignan, była w połowie

Włoszką, w połowie Niemką, jej matka była bowiem niemiecką księżniczką. Została wdową w wieku lat osiemnastu, po przedwczesnej śmierci swego rozwiązłego młodego męża, jedyne go syna słynącego ze swej hojności księcia de Penthièvre. Teraz skupiała się na byciu oddaną synową pogrążonego w rozpaczki księcia. On sam był wnukiem Ludwika XIV - jego ojciec pochodził co prawda z nieprawego łoża, lecz został usynowiony przez króla. Maria Antonia poznała *princesse* podczas swej przedślubnej podróży do Francji.

- Wasza Wysokość, wtedy poznałaś i mnie.

- Doprawdy, *mademoiselle* Laurent? Jak to możliwe? Claudette opowiedziała, jak wiele lat wcześniej wraz z Jean

-Philippeem zatrzymali królewski orszak. Królowa uradowała się, że oto udało jej się ponownie spotkać jedną z pierwszych znajomych we Francji i udała żal, że Jean-Philippe nic o tym nie wspomniał.

- A oto mój bardzo wyjątkowy przyjaciel hrabia Axel Fersen. - Maria Antonina spojrzała na niego i Claudette dostrzegła, jak ukradkiem ściska jego ramię.

- *Mademoiselle* Laurent i ja mieliśmy już okazję się poznać, Wasza Wysokość, gdy dokonywałem zamówienia na twą pierwszą lalkę w sklepie tej oto panny. - Wiele można było wywnioskować ze sposobu, w jaki wymówił „Wasza Wysokość”. W jego ustach brzmiało to jak pieszczota.

- Proszę opowiedzieć nam, *mademoiselle* Laurent, o swym pochodzeniu, o pani historii sprzed naszego szczęśliwego spotkania. *Monsieur* Renaud twierdzi, że pani ojciec był lalka-rzem niemałej renomy w czasie panowania poprzedniego króla. Dlaczego opuściła pani Francję?

Claudette opisała wówczas królowej i jej przyjaciółom pożar, który zniszczył całą dzielnicę i pozbawił życia jej rodziców. Powiedziała o wynikłej stąd podróży do Anglii, by zacząć wszystko od nowa. *Princesse* de Lamballe wdychała ze współczuciem, motywując królową do zadawania Claudette szczegółowych pytań. Dziewczyna mówiła więc o tym, jak otarła się o prostytutkę w drodze na Wyspy, o służbie u Ash

bych, a wreszcie - o otwarciu warsztatu lalkarskiego. William ani razu nie pojawił się w jej opowieści.

Gdy Claudette kończyła swą historię, królowa dała sygnał członkowi świty, który pospieszył wykonać jej polecenie. Wymieniła z Fersenem spojrzenie, łączące w sobie intymność i zrozumienie. Na kilka chwil uwaga Marii Antoniny przeniosła się z lalkarki na mężczyznę, który od czasu do czasu dotykał włosów lub ramienia królowej w sposób, który Claudette wydawał się niestosowny, ale przecież nie znała się na dworskiej etykietce.

Wykorzystała chwilę, by rozejrzeć się wokół. Nie dostrzegła Jeana-Philippea, było natomiast tłoczno od dworzan. Niektórzy przyglądali się jej ze współczuciem, inni z rozbawieniem, lecz większość kierowanych ku niej spojrzeń wyrażała pogardę. Pewien dżentelmen, odziany w strój w kolorze zakurzonej zieleni, przypominający starą skorupę żółwia, popatrzył wprost na nią, zmarszczył czoło, po czym przeniósł wzrok na pastwiska, a później znów na Claudette, tym razem patrząc znacząco.

Powiodła wzrokiem ku pastwiskom i ujrzała coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. W polu pracowała grupka pastuszków i mleczarek ubranych w nieskazitelne mundurki. A więc to chciał jej przekazać swoim spojrzeniem. Uważał, że pasowała tam, a nie do ludzi jemu równych, a już na pewno nie do królowej. Westchnęła. Ten motyw uparcie powracał w jej życiu. Tak naprawdę nigdzie nie była mile widziana.

- A, *mademoiselle* Laurent, oto dwie z mych dam dworu, które chętnie nadstawią ucha, by posłuchać o twym rzemiośle. Poznaj, proszę, *madame* Rose Bertin. Jest moją krawcową i chciałabym, by uczestniczyła w przyszykowaniu stroju dla mojej nowej lalki. Pragnęłabym, by pani wykonała - zerknęła z miłością na *princesse* - postać mej przyjaciółki, najdroższej mi na całym świecie.

Księżnej de Lamballe ze wzruszenia zaparło dech w piersiach, po czym skłoniła się głęboko, dziękując za zaszczyt, który ją spotkał. Claudette nie miała jednak czasu, by przejąć się powagą powierzonego jej zadania, gdyż *madame* Bertin ze zniecierpliwieniem przytupywała nogą.

Stojąca przed nimi kobieta miała rumianą, pełną twarz i spoglądała z wyższością na młodkę, którą najwyraźniej gardziła ze względu na niskie pochodzenie. Ciekawe, czy królowa ma coś do powiedzenia w kwestii swego ubioru, skoro ma za krawcową taką heterę. Claudette już pochylała się w ukłonie dla Rose Bertin, ale Maria Antonina powstrzymała ją.

- To nie jest konieczne, moja droga - powiedziała przyjaznym tonem. - A oto *madame* Marie Grosholtz. Jest nauczycielką malarstwa mojej szwagierki *madame* Elisabeth. Jest pod wrażeniem twych lalek, procesu ich powstawania. *La*, mnie cieszy trzymanie w ręce gotowej figurki. Proszę, opowiedz paniom Bertin i Grosholtz więcej o swojej pracy.

Maria Antonina odwróciła się do Axela Fersena i Claudette zrozumiała, że to koniec jej audiencji u królowej. Przy jej boku pojawił się znów Jean-Philippe i razem dołączyli do Rose Bertin i Marie Grosholtz, by omówić plan nowej królewskiej lalki. Rose natychmiast poinformowała, że sama zajmie się sprawą stroju figurki, tak aby była w stylu najelegantszej sukni królowej i że z pewnością Maria Antonina życzyłaby sobie, by sprowadzić więcej błękitnego jedwabiu, która niedawno odkryła. Nie było najmniejszej potrzeby, by Claudette uczestniczyła w szyciu. Niewątpliwie ona, Rose Bertin, krawcowa najświetniejszego dworu w Europie, potrafi sprostać ubraniu - co to za pomysł! - lalki, dziecięcej zabawki. Na szczęście *madame* Bertin odmaszerowała wkrótce, gderając pod nosem na temat głupich zabawek i królewskich zachcianek, pytając retorycznie, dlaczego czas królewskiej krawcowej marnuje się na takie głupstwa. Claudette miała wówczas możliwość porozmawiania z Marie Grosholtz.

Marie była filigranową osobką o haczykowatym nosie i szeroko rozstawionych, mrugających często oczach. Przywodziła na myśl ptaka kręcącego główką tam i z powrotem, przyglądającego się bystro każdemu, na kim akurat skupiał wzrok. Claudette od razu poczuła sympatię do młodej kobiety, niewiele starszej od niej samej.

Marie wyjaśniła jej, że zaproszono ją do Francji przed kilku laty na prośbę *madame* Elisabeth, siostry króla, a teraz miała już własne mieszkanie w Wersalu, a jej zadanie polegało na czuwaniu nad edukacją artystyczną pańienki. Marie była utalentowaną rzeźbiarką w wosku. W swoim ojczystym Strasburgu pobierała nauki u mistrza - doktora Philippea Curtiusa. Wykonali razem woskowe figury tak sławnych osób jak Wolter czy Amerykanin Benjamin Franklin, a ludzie byli nimi tak zaintrygowani, że chętnie płacili niemałe sumy, by ujrzeć reprezentacje osób, których nie mieli raczej szans zobaczyć na żywo. Miłością Marie była rzeźba, nie malarstwo, a lalkarstwo pociągało ją, gdyż łączyło w sobie obie sztuki.

Claudette opowiedziała Marie wszystko o procesie tworzenia lalki. Najpierw mówiła dość oględnie, ale potem, gdy wielkie oczy rozmówczyni mrugały szybko ze zrozumieniem, zagłębiła się w szczegóły, opisując swe wzory i kompozycje. Marie co chwilę przerywała, zadając pytania.

- A co, jeśli nie masz owczej wełny na włosy? Czy runo lub futro innych zwierząt też się nada? Skąd bierzesz narzędzia do strugania? Czy sama wykonujesz stroje lalek?

Claudette odpowiadała na pytania tak szybko, jak potrafiła, a jednocześnie czuła, że coraz bardziej lubi swą wielce inteligentną rozmówczynię.

Marie opowiadała też z ożywieniem o własnej pracy na dworze. Nie miała arystokratycznego pochodzenia, więc wielkim szczęściem było dla niej, że wybrano ją jako królewską nauczycielkę sztuki. Miała jednak nadzieję, że wróci kiedyś do rzeźby.

Nagle okrzyk królowej przerwał ich rozmowę. Podniosły głowy i ujrzały kobietę prowadzącą ku Marii Antoninie garbate dziecko, któremu najwyraźniej pobyt na powietrzu nie sprawiał przyjemności. Królowa zerwała się z miejsca i podbiegła do chłopca, by go przytulić. Dała znak opiekunce, by wezwała Marie i Claudette.

- *Pardon*, pani jest lalkarką, *oui*⁷.

- Owszem - odparła zbita z tropu Claudette. Kobieta była bogato ubrana, jednak królowa traktowała ją jak służącą.

- Jej Wysokość życzy sobie, by poznała pani jej syna.

Claudette poszła za nią, z Marie tuż za plecami. Jean-Philippe przeniósł się w cień drzew, by na nie zaczekać. Marie szepnęła:

- To markiza de Tourzel, jedna z dam dworu, ale bardzo oddana delfinowi i spędza większość czasu w bawialni. To ją powinni mianować guwernantką, nie księżną de Polignac.

Wszystkie te tytuły i nazwiska mieszały się Claudette w głowie. Jak miała je spamiętać?

Królowa grała w łapki z synkiem. Mina dziecka odzwierciedlała męczący je, fizyczny ból.

- A, *mademoiselle* Laurent, poznaj mego ukochanego synka Ludwika Józefa.

Chłopczyk silił się na uśmiech, by sprawić przyjemność matce.

- *Bonjour, mademoiselle.* - Odwrócił się do królowej z pytaniem:
- Mamo, czy mogę pójść z powrotem do siebie?

- Oczywiście. *Madame* Tourzel, proszę zaprowadzić delfina do jego komnaty. Proszę przypilnować, aby podano mu środek uśmierzający ból.

Królowa patrzyła z miłością na odchodzące dziecko.

- Czyż nie jest najśliczniejszym chłopczykiem? Ostatnio ma się nie najlepiej, ale jestem pewna, że to przemęczenie i trzeba mu tylko odpoczynku.

Claudette zgodziła się oczywiście, że królewski synek jest wielce przystojny, choć w istocie sprawiał wrażenie, że jest w bardzo złym stanie. Wróciły z Marie Grosholtz do rozmowy o rzemiośle i sztuce.

Kilka godzin później spacerowały we dwie po Hameau, trzymając się pod rękę. Zebrały kwiaty, po czym wplotły je we włosy. Pukle Claudette uczesane już były skromnie dzięki Marie, która pozbawiła ją sztywnej fryzury. Rozmawiały z przejęciem o projekcie, nazywając go Lalką de Lamballe. Marie posłała do pałacu po papier i atrament i we dwie szkicowały wzór za wzorem, na zmianę śmiejąc się do rozpuku lub grymasząc nad swoimi projektami.

Dopiero Jean-Philippe, który podszedł i pociągnął ją leciutko za rękaw, uświadomił Claudette, ile czasu minęło. Zapadał już zmierzch i w Hameau rozbłysły pochodnie ustawione w równych odstępach, tak by najlepiej oświetlić kryty strzechą dom, jezioro, a nawet pasące się owce, które czekały, aż ktoś odprowadzi je do obory. Claudette znów wstrzymała oddech, patrząc na skandalicznie kosztowną prostotę tego wszystkiego. Niewielka wioska, ale ile płacić musieli podatnicy, by utrzymać stada owiec udekorowanych wysadzonymi rubinami wstążkami zawiązanymi na szyjach, i to tylko po to, by zdobiły krajobraz?

Jean-Philippe wziął Claudette pod ramię i troskliwie poprowadził ją z powrotem przed oblicze królowej. Dygnęła znów, chwając piękno Hameau, i zapewniła, że lalka zostanie wykonana w jak najkrótszym czasie. Wycofała się ponownie kłaniając, zgodnie z wymogami dworskiej etykiety, której nawet w sielskiej atmosferze nie można było całkowicie pominąć. Jean-Philippe odprowadził ją do powozu, przykrywając jej dłoń ręką, gdy szli, złączeni ramionami.

- Jeanie-Philippie, widziałam na pastwiskach bardzo elegancko ubranych chłopów, ale wydawało mi się, że niezbyt ciężko pracują.

- To właśnie służący, o których ci mówiłem. Królowa zatrudnia ich, by obserwować, jak wykonują różne zajęcia na farmie, w te dni, gdy odwiedza Hameau. Mają być obecni, gdy przyjeżdża do swej chatki, ale nie chce, żeby się zabrudzili, bo to zepsułoby idealny obraz.

- To kto w rzeczywistości dba o zwierzęta? - Królowa Francji zaczynała wprawiać ją w osłupienie.

- Gdy ona wraca do pałacu, zjawiają się prawdziwi rolnicy. Zajmują się karmieniem, sprzątają stajnię i oborę.

- Rozumiem - rzekła, w istocie nie pojmując wcale. Tak czy owak, monarchini traktowała ją bardzo uprzejmie. Na pewno lepiej niż większość osób z wyższych sfer.

Wsiadła do pojazdu, oparła się o zagłówek, przymknęła oczy i westchnęła z zadowoleniem. Gdy uchyliła powieki, zobaczyła, że Jean-Philippe przygląda jej się z wyraźną tkliwością.

- Claudette, mam ci tyle do pokazania, póki tu jesteś. Muszę pokazać ci, jak bardzo nadal cię kocham. Twoje dni w Paryżu będą niezapomnianym przeżyciem.

William kończył śniadanie, gdy służący przyniósł mu srebrną tacę z pocztą. Przerzucił ją szybko, szukając listu od Claudette. Nie znalazłszy koperty adresowanej jej ręką, odłożył na bok wszystko z wyjątkiem „Le Journal de Paris”, najprzedniejszego z francuskich dzienników. Zanim gazeta docierała do jego domu, wiadomości były już zdezaktualizowane, ale czytanie dawało mu szansę na wgląd w wydarzenia na Kontynencie, a także możliwość podszlifowania francuskiego. Claudette unikała używania ojczystego języka ze względu na podłe traktowanie, które spotykało ją nieraz z powodu jej narodowości, więc nie namawiał jej na wspólne ćwiczenie francuskiej mowy. Potrząsnął głową i uśmiechnął się. Tak jakby ktoś, słysząc ten jej czarowny akcent, mógł mieć wątpliwości co do jej pochodzenia.

Przejrzał kartę z wiadomościami towarzyskimi. Przewracając stronę, dostrzegł nagłówek dotyczący spotkań rodziny królewskiej w Wersalu. Wiodąc palcem po kolumnie druku, wreszcie przy końcu trafił na wzmiankę o niej.

Maclemoiselle Claudette Laurent, niegdyś mieszkanka Paryża, obecnie Londynu, przedstawiona królowej rankiem czternastego lipca, w towarzystwie Jeana-Philippea Renauda.

Zmarszczył brwi. Kim był ten typ, Renaud? Pewnie jakiś dworzanin eskortujący podróżującą samotnie kobietę przed oblicze najsłynniejszej kobiety w Europie. W ciągu dnia, w natłoku zajęć, udało mu się odpędzić złe myśli. Występował w roli mediatora w konflikcie pomiędzy lokalnym wytwórcą

siodeł i jednym z jego klientów, który twierdził, że dostarczona niedawno uprząż była złej jakości i w związku z tym nie do przyjęcia.

Kilka dni później dotarł wreszcie długo wyczekiwany list od Claudette. Zdawała w nim relacje ze swych odwiedzin u Marii Antoniny i ze szczegółami opisywała ogrody wersalskie, najnowsze paryskie trendy w modzie, a także przeróżne pyszności, o których istnieniu zdążyła zapomnieć, mieszkając w Anglii.

... a teraz spotykam się z paniami Grosholtz i Bertin, nauczycielką sztuki i krawcową królowej - robimy plany nowej lalki dla Marii Antoniny. Uczestniczyłam w kilku wieczorkach i jestem, mówiąc szczerze, zafascynowana tutejszym wirem życia towarzyskiego. Bogaci spędzają czas tak, jakby nie obawiali się nadejścia jutra.

Dalej podawała mu informacje na temat statku, którym zamierzała wrócić. Do listu dołączyła gałązkę jaśminu, którą odłamała pod wpływem impulsu w pałacowym ogrodzie.

Bywała na wieczorkach? Z kim? Niemożliwe, by hasała po Paryżu sama. Czy ktoś inny prowadził ją w *contredanse allemande*⁷.

William chrząknął z dezaprobatą i poszedł do gabinetu, by odpisać. Starał się nie rozwlekać listu. Pokrótkce opowiedział o klaczy, która oźrebiła się w Hevington, i życzył Claudette bezpiecznej podróży w drodze powrotnej przez morze. Podpisał się jako „jej wierny sługa, William”. Dawanie jej rad, by nie wdawała się w zbyt bliskie kontakty z tymi lubieżnymi Francuzami, nie przyniosłoby żadnego rezultatu. Potrafiła być piekielnie uparta.

Nie zmruży oka, zanim Claudette nie wróci do domu.

ROZDZIAŁ 19

Jean-Philippe stawił się w hotelu Claudette wczesnie następnego ranka i kilka razy później, by zabierać ją na coraz to nowe zabawy i rozrywki. W dzień spacerowali po ogrodach publicznych w Wersalu, o zmierzchu podziwiali ulicznych artystów, a nocą wybierali się do opery. Jean-Philippe nie przestawał jej zaskakiwać prezentami - to powóz pełen kwiatów, to sznur pereł podany wraz z deserem w eleganckiej restauracji, to znów porcelanowa szkatułka z wizerunkiem cherubin-ków czekająca na nią w pokoju. Nigdy nie wiedziała, jakiego cudnego podarunku się spodziewać.

Codziennie rozmawiali o tym, co wydarzyło się w trakcie ich rozłąki. Jean-Philippe zakończył naukę u *monsieur* Camaina, który przyjął jego rodzinę do siebie po pożarze. Mistrz chciał, żeby chłopak pracował u niego jako ślusarz, ale Jeanowi-Philippe'owi zależało jedynie na zdobyciu wiedzy, nie na zatrudnieniu przy wymagających skupienia, metalowych mechanizmach. Ku przerażeniu ojca Jean-Philippe uprosił Gamaina by, wykorzystując swoją pozycję królewskiego ślusarza, pomógł mu zdobyć posadę na dworze Ludwika XVI. Chciał na własne oczy obejrzeć wszystkie te ekstrawagancje, o których słyszał, terminując u majstra.

Claudette wypytała go o to.

- I jakie jest twoje zdanie? Wersal jest oczywiście cudowny, ale czy sądzisz, że królowa jest winna temu, o co ją oskarżają? Jest chciwą rozrzutnicą? Mnie wydała się niezwykle miła i bezpretensjonalna.

- Cóż, z całą pewnością król jest *imbécile*. Byłby szczęśliwszy w roli ślusarza u Gamaina niż jako monarcha Francji. Co

dzień jeździ na łowy, albo bawi się jakimiś mechanizmami. Byle tylko nie zasiadać z doradcami i nie podejmować decyzji. Co do królowej, nie podobają mi się jej austriackie maniery, choć przypuszczam, że rzeczywiście nie brak jej uprzejmości. Jest utracjuszką, tak jak wszyscy jej dworzanie, co uważam za hańbę w przypadku władczyni stojącej na czele narodu w większej części przymierającego głodem. Ponadto mówią, że dopuszcza się aktów nierządu z księżną de Polignac i *princesse de Lamballe*.

- *Princesse !* - Claudette była wstrząśnięta. - Ale przecież to nie z nimi królowa... - urwała. Skąd ona, byle londyńska łalkarka, mogła mieć pewność, że Maria Antonina była związana z Axelem Fersenem? - To przecież... nie brzmi jak coś, do czego królowa byłaby zdolna - dokończyła nieprzekonywająco. Na szczęście Jean-Philippe nie zwrócił uwagi na jej słowa.

Claudette opowiedziała mu o tym, jak rozpaczliwie go szukała, o podróży do Anglii, służbie u Ashbych i założeniu własnego sklepu. Nie wspomniała o Williamie Greycliffie. Jean-Philippe ryczał ze śmiechu, słuchając o jej ostatecznej potyczce z panią Ashby.

- Och, kochana moja, jesteś prawdziwie niezależnym duchem z wrodzonym szacunkiem dla praw człowieka.

Pewnego popołudnia, gdy popijali syrop owocowy przy ustawionym na powietrzu kawiarnianym stoliku, Jean-Philippe wręczył Claudette śliczny podarunek - pudełko kandyzowanych główek kwiatowych, z których każda posypana była cukrem innego koloru. Pochylił się ku niej, by słyszała jego głos w ulicznym zgiełku, w którym dominował turkot dorożek oraz okrzyki dorożkarzy walczących o pierwszeństwo. Dziewczyna nie była pewna, które miasto - Paryż czy Londyn - było gorsze pod względem hałasu. Z pewnością w obu nie brakowało indyczących się dorożkarzy.

- Claudette, odnalezienie cię jest dla mnie nieprawdopodobnym szczęściem. Czy wierzyłaś, że jeszcze kiedyś los splącze nasze ścieżki? Przeniesiesz się do Paryża jak najprędzej, byśmy zaraz mogli się pobrać.

Zawahała się.

- Jeanie-Philippie, w Londynie czekają mnie pewne zobowiązania. Mój sklep...

Machnął ręką.

- Tu również możesz tworzyć lalki. W końcu królowa jest twoją najważniejszą klientką. Twoje miejsce jest tu, przy mnie.

- To wszystko jest... bardzo niespodziewane.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że masz jakieś wątpliwości? Claudette, nadal jesteśmy zaręczeni! Spójrz. - Wyjął z kieszeni dwa maleńkie pudełeczka na biżuterię. Otworzył jedno z nich. Wewnątrz znajdował się medalion, który kiedyś mu ofiarowała.

- Czy masz jeszcze swój pierścionek?

Sięgnęła do torebki i pociągnęła nitki kilku szwów, które zrobiła w podszewce. Z tajemnego schowka wydobyła pierścionek i pokazała go Jeanowi-Philippe'owi.

- Nosisz go przy sobie, ale nie na palcu? Kiedy go zdjęłaś?

- Gdy zdałam sobie sprawę, jak trudne będzie dla mnie życie u Ashbych, zaczęłam się martwić, że któraś ze służących mogłaby mi go ukraść. Zaszłam go więc tutaj, by był bezpieczny. A kiedy już opuściłam ten dom, założyłam pewnie, że niemądrze będzie nosić go w warsztacie.

- Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś o nim. I o mnie.

- To nieprawda! Jeanie-Philippie, całe wieki usychałam z tęsknoty do ciebie!

- Ale w pewnej chwili przestałaś. Dla mnie nic się nie zmieniło, Claudette, lecz być może dla ciebie tak. Widzę, że będę musiał solidniej zapracować sobie na twoją rękę. - Oparł się na krzesło i wepchnął oba pudełeczka z powrotem do kieszeni, nie pokazując dziewczynie zawartości drugiego z nich.

Tej nocy Claudette wróciła do hotelu z burzą myśli w głowie. Gdzie w końcu było jej miejsce? Czy była nadal Francuzką, czy może już Angielką? Czy wszystkie uczucia, które żywiła do Jeana-Philippe'a rzeczywiście wygasły? I ten list od Williama - oschły, bezosobowy. Czy uraziła go bardziej, niż myślała, wyjeżdżając do Francji? Czy powita ją z otwartymi ramionami, gdy wróci do domu? Gdzie jest jej dom?

Jolie, która zjawiała się wieczorem, by rozebrać ją i rozczesać jej włosy, zauważyła, że *madame* jest niezwykle milcząca. Claudette posłała jej słaby uśmiech i zapewniła, że po prostu ma za sobą długi dzień. Pokojówka pokręciła głową, ale nic nie odrzekła.

Co dzień rano do pokoju Claudette trafiały liściki wyrażające głęboką i niezachwianą miłość Jeana-Philippea do niej. Następnego ranka namiętny ton wiadomości wzmógł się jeszcze.

Najmilsza Gołębeczko!

Czy pamiętasz, że tak właśnie nazywałem Cię, gdy mieliśmy po lat kilkanaście! Nadal myślę o Tobie jak o mej słodkiej ptaszynie, która potrzebuje, bym się o nią troszczył i dbał. Gdy wrócisz do Paryża na stałe, przekonasz się, jakim dobrym mężem będę dla Ciebie. Porzucę w końcu służbę na dworze, by założyć własne przedsiębiorstwo. Nie będziesz już musiała harować nad laleczkami. Gdy osiągnę sukces, daruję Ci luksus wychowywania wszystkich naszych dzieci, gdyż zapewnię nam wygodny dom. Oboje tego właśnie pragniemy, Claudette. Na kiedy możemy wyznaczyć datę naszego ślubu?

Twój aż do śmierci Jean-Philippe

„Czy tego właśnie chcę?“, rozmyślała. Porównywała życie, które wiodła w Anglii, z tym, jakie mogłoby stać się jej udziałem we Francji. Och, mieszkać znów w ojczystym kraju, posługiwać się ukochanym językiem i cieszyć współpracą z dworem Burbonów. Wtem jednak stanęła jej przed oczami twarz Williama, a wspomnienie jego pocałunków i męskiego sposobu bycia sprawiły, że znów zaczęła się wahać.

Tego ranka Claudette jak zwykle dokonała porannych ablucji z pomocą Jolie, która szybko stawała się jej niezbędną. Napisała naprędce liściki do Rose Bertin i Marie Grosholtz

z kilkoma pomysłami na zamówioną lalkę i pytaniem o możliwy termin spotkania. Jolie przejęła listy i obiecała wręczyć je posłańcowi. Po szybkim śniadaniu w towarzystwie innych podróżnych spotkała się w holu z Jeanem-Philippeem.

- Mam dziś dla ciebie niespodziankę, Claudette. - Jak co dnia, miał dla niej niewielki, mocno pachnący bukiet kwiatów.

Każdy dzień przynosił jakąś nowość, więc coraz trudniej było zrobić na niej wrażenie.

- Znowu, Jeanie-Philippe? Jak to możliwe, że we Francji zostało jeszcze coś, czego mi dotąd nie pokazałeś?

- To coś zupełnie nowego, ale sądzę, że wielce cię zadowoli.

Poprowadził ją znów do jednego z pałacowych powozów. Tym razem był to pojazd w kolorze różowym, o połączonych kołach i scenie polowania wymalowanej na drzwiczkach. Claudette szybko przyzwyczajała się do takich luksusów i przyjemności. Czuła, że musi czym prędzej wracać do Anglii, by świetność francuskiego dworu i radość przebywania w ojczyźnie nie przewróciły jej w głowie. Jeszcze trochę, a nie będzie potrafiła wyjechać...

- Jeanie-Philippe, czy znów jedziemy do Wersalu? - spytała, gdy podjeżdżali pod pałacowe bramy.

- *Oui*, lecz odwiedzimy miejsce, którego jeszcze nie widziałaś. - Dał sygnał strażnikowi, by wpuścił ich do środka. Powóz sunął wzdłuż Grand Canal. Claudette wydawało się, że woda ciągnie się w dal bez końca. Podzieliła się swym wrażeniem z Jeanem-Philippeem.

- Właśnie tak - odparł. - Król Słońce kazał tak zaprojektować kanał, by jego koryto rozszerzało się, odchodząc od pałacu. W ten sposób, gdy patrzy się na niego od głównego budynku, wydaje się równie szeroki na całej swej długości. Muszę przyznać, że to całkiem sprytne posunięcie.

Jechali dalej w zgodnym milczeniu. Jean-Philippe położył rękę na dłoni Claudette, a ona nie odrzuciła jego ciepłego dotyku.

Powóz zatrzymał się przed dwupiętrowym marmurowym budynkiem w kształcie sześcianu. Był to karzełek w porównaniu z głównym pałacem, ale i tak stanowił cudo, którego większość obywateli Francji nie umiałaby sobie nawet wyobrazić. Krzewy zasadzone w ogromnych donicach zdobiły parapety parterowych okien.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- To Petit Trianon. To drugi, poza Hameau, projekt królowej. Wydaje na niego ogromne kwoty, przemalowując wnętrza, dekorując, wykańczając. - Pokręcił głową z cierpką miną. - Otrzymałem specjalne pozwolenie, byś mogła tu przyjechać i obejrzeć osobistą kolekcję lalek królowej. Nawet król musi ubiegać o zgodę, by wstąpić w te progi. To dom królowej przeznaczony tylko dla niej i jej przyjaciół.

- Och! - Claudette pisnęła z radości. Z rozpędu pocałowała Jeana-Philippea w policzek, po czym, zawstydzona, zeskoczyła na ziemię, nie czekając, aż pomoże jej wstać.

- Czy królowa tu jest?

- Nie, przyjmuje dziś oficjalnych gości z Austrii. Poza kilkoma strażnikami nie ma tu nikogo.

Gdy znaleźli się wewnątrz Petit Trianon, umeblowanego w sposób równie wyszukany jak wielki pałac Ludwika XVI u początku Grand Canal, Jean-Philippe oprowadził Claudette po komnatach. Ich podłogi zdobiły grube, bogato zdobione dywany, w oknach wisiały błękitne kotary kapiące od złotych haftów, a ściany oklejono ręcznie malowanymi tapetami. Meble były pozłacane i bogato rzeźbione, a na ich powierzchniach rozstawiono najdelikatniejszą porcelanę oraz inne bibeloty.

- Ludwik XV wybudował to dla swej kochanicy, *madame du Pompadour* - wyjaśniał Jean-Philippe. - Zmarła, zanim dzieło dokończono, więc ofiarował je jej następczyni, *madame du Barry*, którą obecna królowa gardzi, mimo że opuściła pałac w dniu śmierci starego króla. Nasz panujący właśnie Ludwik dał go w prezencie Marii Antoninie, gdy wyniesiono go na tron. Miała dziewiętnaście lat, gdy weszła w posiadanie tej perełki.

W jednym z saloników Claudette zauważyła, że część desek podłogowych wyjęto, tworząc sporych rozmiarów otwór w parkiecie. Spytała o to.

- Ach, królowa kazała zamontować specjalny mechanizm umożliwiający służącym załadownie stołów jedzeniem w piwniczce, po czym zastawione stoły zostają wciągnięte bezpośrednio na górę, by cieszyć wyjątkowych gości. Po każdym posiłku meble zjeżdżają z powrotem na dół, a podłoga wraca na swoje miejsce.

Claudette patrzyła ze zdziwieniem.

- Ale po co?

- Aby pomieszczenie mogło być wykorzystywane w innych celach, nie będąc zablokowane potężnym stołem jadalnym. I po to, by służba pozostawała niewidzialna.

Claudette znów przyszło na myśl, że w osobie francuskiej królowej jest niemało sprzeczności. Potrafiła być niezmiernie miła i szczerą wobec zwykłej prostaczki, takiej jak ona, Claudette. A znów za chwilę, chyba przekonana o własnej świetności, beztrąsko wydawała olbrzymie sumy pieniędzy pochodzących od podatników na zachcianki. Najwyraźniej nie pojmowała, że utrzymanie jej „skromnego” życia było ogromnym obciążeniem dla państwowej kiesy.

Wreszcie trafili do jednej z prywatnych komnat królowej, kryjącej jej kolekcję lalek. Stały wszędzie, wypełniając regały rozciągające się od podłogi po sufit. Wyglądało to tak, jakby zastępy lalek próbowały sięgnąć nieba, i w rzeczy samej na suficie wysokiego na sześć metrów pokoju wymalowano pierzaste chmurki, ptaki i cherubinki o pyzaty, rumianych buziach spoglądające w dół na gości. Każda lalka miała własną małą, zaokrągloną platformę przymocowaną do ściany. Podstawki te były połączane, tak jak dwadzieścia cokołów sięgających po pierś dorosłego człowieka, rozstawionych po całej powierzchni pomieszczenia. Piedestały te były najwyraźniej zarezerwowane dla ulubienic królowej. Jeden, stojący pośrodku pokoju, szczególnie rzucał się w oczy - był pusty. - Dlaczego tu nic nie stoi? - spytała.

- Sądzę, że czeka na lalkę przedstawiającą *princesse* de Lamballe. Nie wątpię, że Maria Antonina urządzi z przyjaciółmi przyjęcie na jej cześć.

- Cóż, bycie docenioną przez królową Francji to zaszczyt dla mnie i mojego warsztatu.

Jean-Philippe skrzywił się, ale nie wszczynał dyskusji.

Z sali z lalkami wyszli wprost na dwór, na przechadzkę. Okalające Petit Trianon ogrody urządzone były wbrew formalnemu francuskiemu stylowi. Projektujący je architekt wprowadził ścieżki i strumienie meandrujące wśród wzgórz. Kwitnące krzewy posadzono z rozmysłem na tle drzew o zwisających wdzięcznie gałęziach, dobierając rośliny tak, by pasowały do siebie kolorystycznie, ciesząc oko eksplozją barw.

W całym ogrodzie zachowano wygląd zadbany, lecz naturalny. Ze szczytu jednego ze wzgórz Claudette dostrzegła tereny należące do Hameau.

Stojąc tuż przy niej, wpatrując się w odległą wioskę królowej, Jean-Philippe powiedział:

- Niektórzy nazywają Petit Trianon „Małym Wiedniem”. Uważają, że Maria Antonina próbuje wprowadzić tu obcy dwór.

- I ty w to wierzysz? Ja nie. Według mnie królowa jest Francuzką w każdym calu. Pamiętasz, jak wyraźny był jej akcent, gdy spotkaliśmy jej orszak lata temu? Teraz w jej mowie nie ma nawet cienia austriackiego brzmienia. Zdaje się szczerze oddana swojej rodzinie i tutejszym przyjaciołom.

Wzruszył ramionami.

Wspólny wieczór zakończyli kawą i ciastkami, a Jean-Philippe śmiał się, że Claudette jednak polubiła gorzki napój.

Marie Grosholtz, w odpowiedzi na liścik Claudette, zorganizowała spotkanie z udziałem lalkarki, *madame* Bertin, *princesse* de Lamballe oraz siebie samej. Dowiedziawszy się o planowanym zebraniu, królowa zaprosiła je do Petit Trianon, by

tam spędziły z nią dzień. Claudette czuła się uprzywilejowana, mogąc oglądać Marię Antoninę jeszcze bardziej odprężoną niż podczas wizyty w Hameau. Królowa ubrana była skromnie, lecz elegancko w ciemnoniebieską sukienkę z białym fartuszkim i względnie niewyszukany kapelusz w kształcie pufy, z pojedynczym piórem wetkniętym weń ku ozdobie. Nie miała na sobie biżuterii z wyjątkiem lśniącej na jej szyi obróżki z szafirem otoczonym brylantami.

Gdy Claudette zdobyła się na odwagę i wyraziła swój podziw dla prostoty, a zarazem uderzającego piękna naszyjnika, Maria Antonina chwyciła go lekko ręką i rzekła:

- Dziękuję, *mademoiselle* Laurent. To podarunek od bliskiego przyjaciela. - Policzki zaróżowiły jej się, gdy to powiedziała, i szybko zmieniła temat na postępy w procesie tworzenia lalki.

Z ciekawością przyglądała się, gdy Claudette przez godzinę mierzyła *princesse*, odnotowując najdrobniejsze szczegóły koloru jej włosów i oczu, a nawet kształt palców. Wszystkie spostrzeżenia zapisywała w notesiku. W odpowiedzi na pytania Marii Antoniny lalkarka wyjaśniała, że zebrane miary umożliwią jej stworzenie lalki, która będzie po najmniejszy paluszek idealnie proporcjonalna w stosunku do modelki.

- Ach, Thérèse! - wykrzyknęła królowa. - Lalka będzie dokładną miniaturą twojej osoby! - Zaklaskała z radości.

Władczyni kazała dostarczyć kosze piknikowe w porze obiadu. Zjadły w Świątyni Miłości, okrągłej altanie na szczycie jednego ze wzgórz wchodzącego w skład krajobrazu Petit Trianon. Kosze zawierały tyle pyszności, że Claudette miała okazję kosztować delicji, o których nigdy w życiu nawet nie słyszała. Elegancko ubrani służący podsuwali nadziewane przepiórki w galarecie, węgorza z truflami, pieczone skowronki w cieście, pstrąga w sosie pomidorowo-czosnkowym, duszoną gęś oraz sałatkę z filetów ze szczupaka i ostryg.

Claudette spróbowała wszystkiego z wyjątkiem węgorza, który na jej gust pływał w zbyt gęstym sosie. Ciepłe dania podsumowały wybournym bordo.

Myślała, że posiłek już skończony, ale ledwo służba zdążyła usunąć półmiski, oto zjawily się talerze pełne babeczek, brzoskwiń w słodkiej śmietanie, sernika migdałowego i tarty.

Claudette czuła, że fiszbin w jej gorsiecie zaraz pęknie. Szczerze zdziwił ją komentarz królowej, która rozparłszy się wygodnie na kilku warstwach miękkich pierzynek, pochwaliła skromność posiłku.

- Co za ulga nie być obarczoną *service à la française* - westchnęła, klepiąc się po brzuchu. - Szkoda, że każdy posiłek nie może być tak bezpretensjonalny.

Marie Grosholtz dostrzegła zmieszana minę Claudette, więc nachyliła się do niej i wyjaśniła:

- Na ogół na dworze podaje się obiad w trzech turach: przystawki, danie główne oraz wyroby cukiernicze. Każda tura to nawet trzydzieści dań godzinami wjeżdżających na stół.

Claudette pokręciła głową z niedowierzaniem. Nic dziwnego, że królowa przybrała na wadze, odkąd zjawiała się we Francji jako wiotka panna młoda.

Odpooczywając po posiłku, cztery damy gawędziły, mówiąc o ludziach i wydarzeniach, które Claudette były obce, ale czerpała przyjemność z samej obecności w tym miejscu i możliwości słuchania tych miłych głosów. Przymknęła oczy i odchyliła się, opierając o jeden z filarów altany. „Jak to możliwe, że mała, osierocona lalkareczka trafiła na piknik z najświetniejszą królową Europy?”

Wtem wyprostowała się, rozbudzona. Tak, była sierotą, ale dopiero tu, we Francji, znów to poczuła. Anglia stała się jej schronieniem, miejscem, gdzie odniosła sukces i odnalazła przyjaźń. I miłość. Czas zdecydować, gdzie jest dom.

Domem była Anglia.

Żegnając się z paniami, Claudette obiecała, że rozpocznie prace nad Lalką de Lamballe, gdy tylko zsiądzie ze statku w Londynie. Królowa odparła, że będzie jej wyglądać z niecierpliwością, gdyż nie może się doczekać, aż otrzyma figurkę i postawi ją na przynależnym jej piedestale w Petit Trianon.

A Claudette nie mogła się doczekać powrotu do Londynu. Czas spędzony we Francji był sielskim odpoczynkiem, ale zdała sobie sprawę, że to nie było to, czego chciała ani potrzebowała.

Potrzebowała Williama.

Po powrocie do hotelu Claudette rozpoczęła przygotowania do podróży. Jej statek odchodził za trzy dni. Tego wieczoru Jolie, która zjawiała się w jej pokoju z wazonikiem świeżo ściętych kwiatów, zastała ją z determinacją pakującą kufry. Z trudem próbowała zmieścić wszystkie podarunki od ciemnowłosego kawalera.

- Czy mogę pani jakoś pomóc?

Claudette przerwała pakowanie i rozejrzała się wokół po pobojuwisku.

- Zaiste, Jolie, jestem spragniona pomocy. Niezłomna dziewczyna zakasała rękawy i zabrała się do

przepakowywania dobytku swej dobrodziejki. Claudette uśmiechnęła się, słysząc, jak służąca cmoka, i widząc, jak kręci głowę nad wysokim stosem rzeczy, które systematycznie porządkowała, by spakować je na morską przeprawę. Pod wpływem impulsu Claudette spytała nagle:

- Jolie, co trzyma cię tu, w Paryżu?

- *Pardon*⁷ - dziewczyna podniosła głowę znad lusterka i szczotki z rączkami z kości słoniowej, które zawijała w bibułę.

- Sądzisz, że wujowi bardzo by cię brakowało, gdybyś stąd wyjechała? Czy nie zechciałabyś pojechać ze mną do Anglii i mieszkać u mnie jako moja pokojówka?

Olbrzymie oczy dziewczyny stały się jeszcze większe.

- *Madame* - rzekła głosem pełnym emocji - będę pani najwierniejszą służącą. Pani będzie najlepiej ubraną damą w całym Londynie. Ja będę...

Claudette wybuchnęła śmiechem.

- Jolie, dobrze wiem, że mogę na tobie polegać. Będziesz otrzymywała uczciwą zapłatę, dostaniesz wygodne łóżko

i nigdy, przenigdy nie będziesz musiała się martwić, że podniosę na ciebie rękę. Staniesz się mile widzianym członkiem naszego domu.

Okazało się, że wuj Jolie nie jest do pomysłu nastawiony aż tak entuzjastycznie jak bratanica, ponieważ właśnie tracił darmową pomoc domową. Wreszcie stanęło na tym, że Claudette zapłaciła mu pewną kwotę w gotówce, za którą zgodził się puścić dziewczynę w świat. Tak bardzo zajęty był liczeniem banknotów i chwaleniem się żonie dokonaną transakcją, że prawie nie zauważył odjazdu Jolie.

Ostatnią rzeczą, której Claudette musiała się podjąć przed wyjazdem, było napisanie bolesnego listu. Wysłała go przez kuriera, płacąc mu sowicie, aby dostarczył przesyłkę bez zwłoki.

Najdroższy Jeanie-Philippie!

Boję się nad tym, że muszę napisać do Ciebie ten list. Jestem świadoma, że Twym marzeniem jest, abym wróciła do „domu”, jak nazywasz Paryż, abyśmy mogli przywrócić do życia nasz związek taki, jakim był, gdy byliśmy nastolatkami, abyśmy się pobrali i mieli razem dzieci.

Jednakże zdecydowałam się wrócić do Anglii - na stałe. Przed podróżą do Paryża nie byłam pewna swoich uczuć w stosunku do ojczyzny, ale przekonałam się, że moje miejsce jest w Londynie, tam gdzie mój sklep i warsztat oraz ludzie, z którymi zawarłam przyjaźń.

Będziesz zawsze zajmował w moim sercu miejsce, które tęskni do dni niewinności i bez troski. Nigdy nie zapomnę tego, czym dla siebie byliśmy. Ufam, że mogę liczyć na Twą wyrozumiałość.

Nieustająca w przyjaźni Claudette

Ostatni list Williama był jeszcze bardziej zdystansowany niż poprzedni, w którym opisywał ożrebiecie klaczy. Może zbyt pewna była jego oddania? Jakakolwiek myśl o ponownym związaniu się z Jeanem-Philippeem bledła w porównaniu z przerażającą groźbą potencjalnego rozstania z Williamem.

Jedynym jej obecnym zmartwieniem był jak najszybszy powrót do domu.

Ku jej zdziwieniu Jean-Philippe czekał przed hotelem, by odwieźć je aż do Calais. Oczarowana Jolie szeroko otwartymi oczami przyglądała się przystojnemu mężczyźnie, podziwiając jego urodę i nienaganne francuskie maniery. Zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie zrobił na nowej służącej, którą Claudette zdawała się wysoko cenić, starał się być dla niej wyjątkowo uprzejmy. Niekończąca się podróż upływała w niezręcznej ciszy. Jolie nie spuszczała oczu z Jeana-Philippea, z kolei Claudette unikała jego spojrzenia jak ognia.

Gdy dotarli do portu, Jean-Philippe wysłał Jolie przodem na pokład, schlebiając jej zapewnieniem, że z całą pewnością dopilnuje wniesienia bagażu. Dziewczyna usłuchała bez słowa protestu. Gdy się oddaliła, Jean-Philippe wyjął z kieszonki kamizelki kartkę papieru, rozłożył ją i błagalnie wyciągnął w stronę Claudette.

- Z pewnością tak nie myślisz? - spytał. Zadrżały jej wargi.

- Tak, chcę wrócić do Anglii na dobre.

- To nie może być prawda. Claudette, należysz do mnie, do Francji. Rozumiem, że z rozpaczy wyruszyłaś na Wyspy, ale tam nie ma nic poza opijusami i pasterzami owiec. Nie ma sztuki, kultury, *savoir-vivre*! Jak to możliwe, że pragniesz spędzić tam resztę życia, z dala ode mnie?

Wbiła wzrok w ziemię. Nie mogła znieść poczucia winy.

- Ja... ja mam tam pewne zobowiązania. Nie tylko wobec sklepu, ale i ludzi... przyjaciół.

- Co to za przyjaciele?

- Pamiętasz, wspominałam ci o Béatrice, którą poznałam na statku w drodze do Anglii? Ona i jej córeczka mieszkają ze mną, pomagam im i je utrzymuję.

- I cóż z tego? Mogą przyjechać tu z tobą albo znajdą sobie inną dobrodziejkę tam, na miejscu.

Spojrzała mu w oczy i starała się powstrzymać głos od drżenia.

- Nie poprosiłabym jej o to. Tak czy inaczej, odkryłam tu, że wcale nie tęsknię za Francją.

Jean-Philippe zamrugał, nie dowierzając jej słowom.

- Co ty mówisz? Że teraz, gdy spędziłaś trochę czasu ze mną, swym narzeczonym, nie możesz się doczekać, by wrócić na tę jałową wysepkę po drugiej stronie Kanału?

- Nie, ja...

- Chodzi o tego angielskiego bydlaka, który chce cię poślubić, tak? Nieważne, rozedrę go na strzępy gołymi rękami za to, że śmiało rościł sobie do ciebie jakieś prawa. Szepnij tylko słówko, kochana.

- Jeanie-Philippie, to nie...

Ale on jednym ramieniem chwycił ją w pasie, drugą ręką przytrzymał jej głowę, i przyciągnął ją do siebie, składając na jej ustach pełen mocy pocałunek. Tym razem jednak jego dotyk nie był rozkoszą dla zmysłów. Gwałtowność gestu przeraziła ją. Językiem rozwarł jej usta, jak taranem usiłując zburzyć jej opory. Zaczął pojękiwać głośno.

Zaskoczona, Claudette z początku nie oponowała, ale szybko zdała sobie sprawę, że nie doczeka się delikatności. Próbowwała go odepchnąć, lecz nie poluzował uścisku, więc kopnęła go w piszczel, co zdziwiło go tak, że wypuścił ją z ramion.

- Claudette - szepnął, z trudem wydobywając głos z krtani. - Wybacz. Straciłem głowę.

- To nic. Słysząc już gwizd, czas na mnie.

- Najdroższa, proszę, zostań ze mną. Nie kończ tego w ten sposób.

Odwróciła się do niego plecami i ruszyła na trap, wycierając usta wierzchem dłoni, by zmazać to, co się przed chwilą wydarzyło.

- Claudette, nie przyjmuję twojej odmowy. Pewnego dnia do mnie wrócisz. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Będziemy...

Kolejnych słów nie usłyszała już, gdyż wsiadła na pokład statku, który miał ją zawieźć do Anglii, do Williama.

ROZDZIAŁ 20

Claudette postawiła przed sobą zadanie: oczyścić umysł, zapomnieć o wydarzeniach, do których doszło we Francji. Postanowiła wymyślić znak firmowy dla swych lalek. Ojciec nigdy nie opatrywał swoich wyrobów żadnymi symbolami, wierząc, że są rozpoznawalne dzięki wyjątkowej jakości i wzorom. Claudette pragnęła jednak, by klienci mogli od razu poznać jej dzieła po czytelnym znaku. Złotnicy posługiwali się takimi oznaczeniami, dlaczego więc lalkarka nie miałaby tego zrobić?

Odwiedzała dziesiątki sklepów, ukradkiem odwracając przedmioty, by spojrzeć na ich znaki firmowe przez maleńką lupę na ręczce z kości słoniowej, którą kupiła specjalnie w tym celu. Nabyła nawet kilka sprzętów, których oznaczenia szczególnie przypadły jej do gustu, między innymi srebrny nożyk do knotów, miedziany świecznik i bogato zdobiony zegar stołowy. Rozłożyła je na biurku w swym świeżo umeblowanym mieszkanku, by dokładnie je zbadać. Dodała też do nich cynowy pierścionek od Jeana-Philippea, gdyż zauważyła, że i on ma na sobie malutki znak.

Dokładnie przeanalizowała wszystkie wzory, po czym wzięła się do szkicowania projektu własnego znaku. Zdecydowała się wreszcie na kwadrat o lekko zaokrąglonych kątach, podzielony na cztery równe części. W górnych ćwiartkach znalazły się litery „C” i „L”, a w dolnych - „M” i „L”, reprezentujące „Modne Lalki”. W dolnym prawym rogu dorysowała też maleńką twarzyczkę.

Przekazała projekt Rogerowi, by poeksperymentował z nim zarówno w wosku, jak i w drewnie. Gdy doświadczenia się powiodły, poinstruowała pracowników, by żadna lalka nie

opuściła już warsztatu bez znaku firmowego. Przedmioty, których symbole posłużyły za inspirację, pozostawiła na biurku. Wszystkie z wyjątkiem pierścionka od Jeana-Philippea, który zaszyła w wyściółce rzadko używanej torby.

Ukrycie pierścionka było jej sposobem na pogrzebanie przeszłości. Gdy zsiadła ze statku, William przywitał ją chłodno, a pocałunkowi, którym obdarzył ją na powitanie, brak było entuzjazmu. Jego opór stopniał jednak w ciągu kilku tygodni. Claudette aż kipiała z zapału, by rzucić się w wir pracy nad najważniejszym w jej życiu zamówieniem i ten widok ocieplił jego uczucia, burząc mur rezerwy narosły podczas jej nieobecności.

Pierścionek nie mógł ujrzeć światła dziennego. Nie wolno było dać Williamowi powodu, by wątpił w jej lojalność.

Poukładała sobie wszystko w głowie, była też przekonana o słuszności decyzji pozostania w Anglii z Béatrice i Williamem, więc mogła spokojnie rozpocząć prace nad Lalką de Lamballe.

Listy, szkice i akcesoria przebywały drogę tam i z powrotem przez Kanał, gdy Claudette, Marie Grosholtz i Rose Bertin kontynuowały współpracę. Marie namalowała oddającą najdrobniejsze szczegóły miniaturę *princesse* de Lamballe, by Béatrice mogła dysponować modelem, z którego czerpałaby wiedzę konieczną do właściwego ustalenia koloru twarzy lalki. Claudette zapomniała o uwagach *madame* Bertin dotyczących stroju. Zasugerowała krawcowej, by wybrała którąś z twarzowych kreacji z szafy *princesse* i przesłała ją do warsztatu, co umożliwiłoby wykonanie repliki. Doczekała się od krawcowej natychmiastowej - i surowej - nagany.

Mademoiselle *Laurent*!

Żałuję, lecz muszę panią poinformować, iż pod żadnym pozorem suknia, która była noszona w obecności Jej Wysokości więcej niż raz, nie może służyć jako wzór dla Lalki de Lamballe. Jako zaufana doradczyni królowej mam za zadanie dopilnować, by żadne stroje nie uraziły jej zmysłu estetyki. Używana suknia,

szczególnie jeśli nie była szyta pod moim profesjonalnym nadzorem, jest absolutnie niegodnym strojem dla lalki.

Sama zaprojektuję ubiór, który będzie schlebiał urodzie princesse i kolorystycznie odpowiadał gustom królowej. Uszyję go, a następnie zlecę mademoiselle Grosholtz, by wykonała portret ubranej weń princesse. Wyślemy Pani ów wizerunek razem z wystarczającą ilością tkaniny, koronek i lamówki, by uszyć mniejszą wersję. Uprzejmie proszę stosować jedynie materiały otrzymane ode mnie, nie zastępując ich przypadkiem gorszymi jakościowo tkaninami angielskimi.

Z poważaniem Rose Bertin

Claudette uniosła brwi nad apodyktycznym liścikiem *madame Bertin*.

- Ciekawe, czy królowa wie, że jej minister mody mianowała się również ogólnym zarządcą? - rzekła, kierując pytanie w próżnię i składając list, by schować go do szufladki biurka, gdzie przechowywała wszystkie dokumenty związane z zamówieniem. Rose Bertin była już znana - dobrze i źle - w Anglii w równym stopniu jak we Francji i niektóre damy zamawiały suknie w Paryżu właśnie u niej. Gdyby tylko Angielki wiedziały, że zlecenie złożone u madame Bertin równało się paktowi z tyranem, pewnie poważniej przemyślałyby sprawę.

Przede wszystkim trzeba było zdecydować, z czego zrobić lalkę. Wosk czy drewno? Figura z wosku byłaby delikatniejsza w dotyku, a jej powierzchnia lepiej przypominałaby ludzką skórę, aczkolwiek był to jeszcze stosunkowo nowy materiał w lal-karstwie i jego trwałość pozostawiała wiele do życzenia. Na niektórych lalkach z kolekcji Marii Antoniny pojawiły się już nacieki i wyżłobienia. Drewno było wytrzymałe, lecz wyglądało sztywno, a wystrugane w nim twarze były bez wyrazu. Ta lalka musiała być idealna, bez skazy. Miała wszak dać dowód kunsztu lalkarki. Po konsultacji z Rogerem Claudette zdecydowała się na

drewno. Lalka miała być większa niż standardowe lale, więc dołożą wszelkich starań, by wystrugać jej rysy tak, by w niczym nie ustępowała figurom woskowym.

Claudette zrezygnowała z dębiny, z której na ogół wykonywali lalki, na rzecz wysokogatunkowego klonu. Drewno to miało wyjątkowy, jasnokremowy kolor, było odporne na gnicie i szkodniki, a jednocześnie łatwe w obróbce. Kosztowało ją dwakroć więcej niż francuski dąb, ale nie był to czas na oszczędności.

Roger Hatfield był już wówczas prawdziwym mistrzem w obróbce drewna i to jemu Claudette powierzyła surowe klonowe klocki, by je ręcznie okorował, dopilnował kilkutygodniowego sezonowania, a wreszcie wygładził piaskiem. W przypadku zwykłej lalki jedynie głowa, ręce i nogi wykonane były z drewna. Korpus robiono z lnianego worka wypchanego trocinami lub słomą. Tym razem Claudette uparła się, by całe ciało lalki wyrzeźbione zostało z drewna. Roger spędził dwa tygodnie nad kawałkami klonu, by - korzystając ze szczegółowych miar i wskazówek - upewnić się, że miniaturowa *princesse* jest idealnie proporcjonalną repliką żywej modelki. Powstała figurka miała ponad pół metra wysokości.

Claudette chciała, by Roger w ciszy i spokoju pracował nad klonowym klockem, więc urządziła mu niewielki kącik, w którym mógł strugać na osobności. Tylko ona zaglądała do niego co trzy, cztery dni, by sprawdzić postępy jego działań. Podczas jednej z takich wizyt zastała u stóp Rogera dwunastoletnią Marguerite zasypującą mężczyznę pytaniami.

- A co się stanie z wiórkami drewna? A co, jeśli się pan pomyli? Jakiego koloru będzie miała oczy? A czy mogę zobaczyć jej ręce, gdy już pan skończy?

Roger, człowiek cierpliwy, starał się odpowiadać na jej pytania, nie odrywając się od pracy.

- Marguerite! - krzyknęła Claudette. - Pan Hatfield nie może się skupić, gdy tak zadreczasz go na śmierć. Zostaw go w spokoju!

- Ale ciociu Claudette - protestowała dziewczynka wyprowadzana na siłę z pomieszczenia - ja się tylko chciałam do -wiedzieć.

Przyzwyczała się zwracać do Claudette per „ciociu”, zapewne próbując w ten sposób zrekompensować brak rodziny. Miała tylko matkę. Sama będąc sierotą, Claudette lubiła, gdy dziewczynka tak do niej mówiła. Nie potrafiła też gniewać się na Marguerite, która miała delikatną urodę matki, lecz charakter z żelaza. Trudne dzieciństwo spowodowało, że wyrosła na osobkę niezależną i pewną siebie. Beatrice żartowała czasem, że ich spotkanie nie było przypadkowe. Marguerite mogła śmiało uchodzić za córkę Claudette.

A teraz dziewczynka rwała się do lalkarstwa. Może najwyższy czas pomyśleć o przyuczeniu jej?

- Jeśli naprawdę jesteś ciekawa, pozwolę ci obserwować, a nawet pomagać przy pracy nad Lalką de Lamballe, musisz jednak obiecać, że Rogera Hatfielda zostawisz w spokoju.

Marguerite pocałowała ją w policzek.

- Daję słowo, daję słowo, ciociu Claudette!

Lalkarka zaczęła więc z uwagą prowadzić dziecko przez wszystkie decyzje, które trzeba podjąć przy produkcji lalki, tłumacząc każdy krok. Ciekawość Marguerite przewyższała znacznie zainteresowanie rzemiosłem, które prezentowała jej mama, postrzegająca lalkarstwo przede wszystkim jako źródło dochodu. Dziewczynka spijała z ust mistrzyni każde słowo, a jej nieustający potok pytań przenosił Claudette do czasów jej własnego dzieciństwa, gdy równie żarliwie wypytywała tatę. Odkrywała w Marguerite pokrewną duszę.

Gdy nadszedł czas osadzenia oczu lalki, Claudette posłała po dwa identyczne szafiry z osobistej kolekcji królowej i bezzwłocznie otrzymała je z rąk królewskiego kuriera. Roger wydrążył małe oczodoły, na tyle głębokie, by umieścić w nich kamienie wraz z odrobiną wosku. Dodatkowo szafiry zabezpieczono klejem z końskiej sierści. Kolejna przesyłka z francuskiego dworu zawierała wykładane atlasem pudełeczko. Oprócz brylantowych kolczyków znajdował się w nim

odręczny liścik pisany przez samą Marię Antoninę, która prosiła, by biżuteria owa ozdobiła lalkę, gdyż jest to dokładna kopia podarunku ofiarowanego przez nią przyjaciółce.

Beatrice własnoręcznie mieszała barwniki i rozcieńczalnik, by pomalować twarz lalki, jej usta, brwi i paznokcie. Claudette głośno wyrażała obawy i wątpliwości co do odcienia cery, barwy warg i intensywności rumieńców lalki, dopóki sfrustrowana Beatrice nie wyrzuciła z pracowni wszystkich z wyjątkiem Marguerite, zabraniając komukolwiek wstępu, zanim ukończy dzieło. Owoc jej trudów był dokładnie taki, na jaki liczyła Claudette - subtelne kolory wiernie oddawały wygląd *princesse*.

Na czubku głowy lalki Claudette przymocowała włosy, pochodzące z jej własnej głowy, przypudrowane przez Marguerite i przyszyte do lnianego czepeczka przyklejanego do skalpu.

Dwa miesiące po otrzymaniu listu od Rose Bertin Claudette dostarczono niewielki kuferek, w którym znalazła ręcznie zszytą książkę, złożoną z kilku grubych stronic. Opatrzona były nagłówkami: „Gorget”, „Rękawy”, „Halka” i tak dalej, a do każdej z nich przypięto próbki tkanin i lamówek w odcieniach różu i kremu. Przesyłka zawierała również obiecane tkaniny, starannie owinięte bibułą. Na dnie kuferka znajdował się też portret *princesse* w nowej sukni wykonany przez Marie farbą olejną na płótnie. Agnes odłożyła na bok wszelkie inne prace, by zająć się strojem Lalki de Lamballe. Każdego wieczoru przykrywała swoją pracę muślinem, by zapobiec jakimkolwiek zabrudzeniom. Gdy suknia i odzież spodnia były już gotowe, pozostawało wykroić buty i rękawiczki z kozłej skóry i przymocować je do figurki. Agnes przygotowała jeszcze maleńką chusteczkę obszytą koronką. Wyhaftowała na niej inicjały „M.A.” i przywiązała ją cieniutką pętelką do nadgarstka lalki. Ostatnią rzeczą było wydrążenie znaku firmowego Claudette na drewnianym karku.

Efekt zapierał dech w piersi. Niemal siedemdziesięciocentymetrowa lalka umieszczona została w drewnianym pudełku wyłożonym aksamitem w kolorze głębokiego błękitu.

Wyglądała jak żywa. Claudette, Beatrice, Marguerite, trzech pracownicy warsztatu oraz mały Joseph Cummings stanęli razem nad swym wspólnym dziełem, szczerze przejęci z podziwu. Na drewnianej główce spoczywał modny francuski kapelusik z różowego atłasu z bladoniebieskim akcentem w postaci wstążki, za którą zatknięto piórko młodego strusia. Złote loki Claudette, przypudrowane na biało, zaczesano do góry i zabezpieczono pod nakryciem głowy. Oczy z klejnotów lśniły, łobuzersko wpatrując się w grupę lalkarzy, a po umalowanych usteczkach błąkał się uśmiech aprobaty. Nawet brylantowe kolczyki zdawały się zadowolone z nowego, stałego miejsca pobytu.

Suknia Lalki de Lamballe złożona była z atłasowej powłoki w różowo-kremowe pasy i kremowej, haftowanej halki z adamaszku. Kokardy i koronki były wszędzie - przy dekolcie, łokciach i spodzie sukni. Drobne perełki naszyto we wzór lilii na skórkowe rękawiczki i trzewiki na wysokim obcasie.

Claudette dołączyła do lalki liścik do królowej:

Wasza Najłaskawsza Królewska Mość! Proszę przyjąć lalkę obrazującą najbliższą przyjaciółkę Waszej Wysokości, princesse de Lamballe. Dołożyłam wszelkich starań, by stworzyć figurę tak dokładną i piękną, by godna była obecności Waszej Wysokości. Było dla mnie ogromną radością móc wykonać zlecenie dla Waszej Królewskiej Mości.

Uniżona sługa Claudette Lament

Pudełko przewiązano niebieską aksamitną wstążką, dopasowaną do jego wyściółki, i wręczono nadwornemu kurierowi, by bezzwłocznie doręczył je do Wersalu.

ROZDZIAŁ 21

Londyn, lipiec, rok 1789. Béatrice weszła do saloniku, lekko oklepując twarz chusteczką. Gdyby nie piekielny upał, Claudette podejrzewałaby ją o gorączkę.

- Ależ dzisiaj ciepło, chyba chwilkę odsapnę. Marguerite, kochanie, tak, pójdziemy kupić więcej wstążek do włosów, tak jak obiecałam... Ach, Claudette, mam tu listy do Ciebie. Marguerite, usiądź i poczytaj mi troszkę, a ja poleżę spokojnie - trajkotała Béatrice, głosem zmęczonym, lecz pogodnym, znikając w swoim mieszkaniu.

Claudette szybko przejrzała korespondencję. Wtem rzuciła jej się w oczy kwadratowa koperta zaadresowana wyglądającym znajomo, pochyłym pismem. Odsunęła na bok pozostałą pocztę i otworzyła list.

Curtius House, Paryż, 10 lipca 1789

Najdroższa Claudette!

Żywię nadzieję, że list ten szczęśliwie do Ciebie dotrze. Paryż stał się miastem niepokoju i staramy się nie wychodzić, jeśli nie jest to konieczne. Znalazłam wiarygodnego kuriera, by zaniósł Ci tę wiadomość - za horrendalną cenę, ale taki jest obecnie stan rzeczy we Francji. Czeka tu już, aż skończę pisać.

Lalka de Lamballe dotarła do nas w najlepszym możliwym momencie, gdyż ostatnimi czasy cały pałac spowity jest w żalu. Ukochany syn królowej, Ludwik Józef, zmarł w zeszłym miesiącu w młodym wieku lat siedmiu. Biedne dziecko było tak zdeformowane i chorowite, że wszyscy domyślaliśmy się, iż nie dożyje dorosłości. Nie spodziewaliśmy się jednak, że pożegnamy go

tak wcześnie. Rodzice delfina byli niepokieszeni w bólu. Jej Wysokość zamknęła się w swej komnacie na dwa dni, wpuszczając jedynie princesse. Nawet hrabiemu nie otwierała drzwi. Gdy dostarczono paczkę od Ciebie i delikatnie namówiono królową, by zajrzała do środka, czułam, że wreszcie mamy coś, co choć trochę nadkruszy mur, który wyrósł wokół jej serca. Gdy uniosła lalkę z aksamitnego posłania - roześmiała się, a potem przytuliła do siebie, jakby to było niemowlę. Princesse wydaje się wręcz zażenowana stopniem podobieństwa pomiędzy nią a figurką. Królowa dała lalce na imię Józefina, na pamiątkę nieodżałowanego synka, i nosi ją wszędzie ze sobą, nawet publicznie, co oszczercza prasa odnotowuje jako niepodważalne dowody na niezdrowe stosunki, które Maria Antonina rzekomo utrzymuje z princesse. Królowa, rzecz jasna, nie zniża się do komentarzy na ten temat, ale pomówienia te są dla niej bardzo bolesne. Nowa lalka wspaniale sprawdza się w roli pocieszycielki, odciągając uwagę królowej od trosk.

Powoli odradza się jej zainteresowanie otaczającym światem i od czasu do czasu godzi się nawet na podestanie sobie tacy zjedzeniem. Król, choć zgębiony śmiercią syna i z innych przyczyn, raduje się, widząc poprawę u Jej Wysokości, szczególnie że słucha już tylko jej rad, jeśli oczywiście pytają o zdanie.

Jak już wspomniałam, we Francji wre. Poza długami, które uzbierały się przez ostatnie stulecie wojen, mieliśmy w tym roku niezwykle ubogie plony. Wiesz, że nie mam serca do polityki, ale siłą rzeczy słyszę plotki krążące po dworze, a ludzie mówią, że Jego Wysokość w dużej mierze wykluczył klasę średnią z jakichkolwiek politycznych wpływów. Grupa ta, w połączeniu z chłopstwem, cierpi z powodu naszej podupadającej gospodarki i żywi żal do arystokracji. W rewolucji brytyjskich kolonii widzą model do naśladowania, niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Na początku roku król nałożył podatek na szlachtę, w celu opanowania kryzysu finansowego. Ruch ten spotkał się jednak z protestem zainteresowanych, co zmusiło króla do zwołania w Wersalu Stanów Generalnych - po raz pierwszy od roku 1614.

Spotkali się w maju i od razu wybuchł spór o to, czy trzy stany mają dyskutować i głosować wedle pewnej hierarchii - dając arystokracji i klerowi stałą większość w stosunku do burżuazji -czy jako gremium. Sprawę rozstrzygnięto, gdy trzeci stan na odrębnym spotkaniu (w sali do gry w piłkę, wyobraź sobie!) mianował się Zgromadzeniem Narodowym. Poprzysięgli się nie rozwiązywać, dopóki nie zostanie podpisana nowa konstytucja. Król poddał się i nakazał pozostałym stanom przyłączyć się do Zgromadzenia.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Nie istnieje temat, w którym trzy stany zgodziłyby się ze sobą. Od wielu już dni trwają na ulicach zamieszki.

Jak widzisz, Jego Wysokość atakowany jest ze wszystkich stron. Chłopi, klasa średnia, kler oraz arystokracja - wszyscy nim gardzą. Czym taki dobry człowiek zasłużył sobie na tak wielką niechęć? Mam przecucie, że wydarzy się coś strasznego, ale staram się zachować spokój i pogodę ducha, a także wiarę, że wszystko obróci się jeszcze na dobre. Cieszę się, że królowa odnalazła radość w cudzie z drewna, tkaniny i farb, który stworzyłaś.

Mam nadzieję, że dane nam będzie się zobaczyć, gdy sprawy tu ucichną. Tymczasem spróbuję nakłonić Jej Wysokość, by pozowała do portretu z lalką, a jeśli się uda, namaluję też miniaturę dla Ciebie.

Twa oddana przyjaciółka Marie Grosholtz

Claudette powoli złożyła list. Biedna królowa, tak udęczonej, odizolowana w swych komnatach! A król! W jakim strasznym stanie był ten nieszczęsny kraj. Skąd sączyły się przepelniające poddanych wściekłość i nienawiść? Czy rzeczywiście król był winien niedoli Francji, czy może sam był ofiarą politycznej niestałości? A Marie, zawsze taka praktyczna, skupiona na pracy, teraz lała łzy nad losem swych monarchów.

Claudette pokazała list Williamowi. Z powagą pokiwał głową.

- Tak, sytuacja we Francji pogarsza się z dnia na dzień. Wiem, jak bardzo kochasz królową, ale musisz być świadoma, że ona i król Ludwik mogą wkrótce stracić tron...

- Williamie, nie!

- Zostaną też pewnie wygnani. Lud tam zwariował, Claudette - rzekł, obejmując ją ramieniem i całując w czubek głowy. - To może nie skończyć się dla nich najlepiej. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie mogę w to uwierzyć. To król i królowa! To prawowicie namaszczeni monarchowie, którzy otrzymali władzę od Boga! To niemożliwe, by wypędzono ich z własnego kraju jak jakichś złoczyńców!

Następny pocałunek spoczął na jej czole.

- Kochana moja, nadciąga czas, kiedy naprawdę mogą zostać potraktowani jak przestępcy.

ROZDZIAŁ 22

Londyn, 25 lipca 1789. Siedzieli zgodnie przy podwójnym biurku w domowym gabinecie Williama. Claudette pochylona nad swą księgowością, William przeglądający stertę korespondencji.

- Otrzymałem zaproszenie do Knole. - Postukał palcem w kopertę o przełamanej pieczęci z czerwonego wosku. - Dorset urządza prośzoną kolację z okazji powrotu do domu ze stanowiska ambasadora Wielkiej Brytanii na dworze Ludwika XVI. Claudette, chciałbym, abyś mi towarzyszyła.

Spojrzała na niego ostro znad rachunków.

- Williamie, nie. Twój znajomi gardzą mną, ponieważ jestem Francuzką, i to o niższym statusie społecznym od nich. Nie mogłabym odnaleźć się w ich towarzystwie.

- Wydaje im się, że mogą patrzeć na ciebie z góry, ale tylko dlatego, że nie znają cię tak dobrze jak ja. To okazja, by wyprowadzić ich z błędnego wrażenia.

Odwróciła się do swoich ksiąg.

- Nie pójdę tam. William zachichotał.

- Pierwszą twoją cechą, jaką poznają, to niepokonany upór.

Parę dni później spacerowali po Hevington nad brzegiem stawu, który William kazał niedawno stworzyć w odległym zakątku swej posiadłości. Zatrzymali się na kamiennym mostku rozpiętym nad jednym z kilku strumieni przecinającymi teren. Bieg potoku zmieniono, by woda zasilała nowy zbiornik. William oparł łokcie o barierkę i wpatrywał się w krajobraz.

Claudette wsunęła dłoń w zgięcie jego ręki i oparła się o jego ramię, przymykając oczy i ciesząc się jego ciepłem oraz szumem płynącego pod nimi strumyka. Jej uszu dobiegało ciche rzenie i parskanie pasących się nieopodal klaczy. William przerwał sielankową ciszę.

- Zależy mi, żebyś zrobiła to dla mnie.

- Mm, co takiego miałabym zrobić?

- Pragnę, byś towarzyszyła mi w Knole. Możesz udać się przedtem do któregośkolwiek krawca chcesz, a mnie niech przyślą rachunek.

Jego prośba natychmiast wytrąciła ją ze spokojnego nastroju.

- Williamie, nie mogę. Param się rzemiosłem. Będą mi bez przerwy dokuczać. Pamiętam jak dziś, jak pewien arystokrata drwił ze mnie bez końca. - Starła się zatuszować wzrastającą w niej panikę, żartobliwie uderzając go w ramię.

- Jeśli ktoś zadrwi z ciebie, to tylko po to, by ukryć wielki podziw, jaki w nim wzbudisz. Tak było z tym arystokratą.

Spuściła wzrok.

- Nie mogę - powtórzyła szeptem. - Tam będzie tysiąc pań Ashby.

- Claudette, spójrz na mnie. Poradziłaś sobie z Maude Ashby nad wyraz zręcznie i nie przejmowałaś się wówczas jej szacunkiem do swej osoby. Królowa Francji gościła cię u siebie na prywatnym pikniku. Pragnę pokazać gościom Dorseta twój cudny urok i inteligencję, a między wierszami niech wyczytają, że mogą iść do diabła ze swoimi uprzedzeniami.

- Naprawdę myślisz, że sobie poradzę?

- Głuptasku. - Pocałował ją w usta. - Ze mną poradziłaś sobie wybornie.

Rezydencja Knole, Kent, sierpień 1789. Anglicy obserwowali sprawy międzynarodowe z zaciekawieniem, lecz i skrepowaniem. Choć buntujący się Francuzi zachowywali się, jak zwykle, jak nieokrziesani prostacy, wśród angielskiej elity nie gasła

fascynacja wszystkim, co pochodziło z Francji - modą, jedzeniem, winami oraz manierami. Atak na Bastylię przeprowadzony 14 lipca wstrząsnął Europą. W słynnym więzieniu, które stało się zniechęconym symbolem dyktatury, przetrzymywano mnóstwo więźniów, a żaden nie był związany z polityką. Tłum, sfrustrowany rosnącymi cenami chleba i brakiem zgody ze strony króla na spełnienie swych żądań, wybuchł w ten letni dzień marszem na Bastylię.

Wzburzeni goście zasiedli do kolacji, a trzeci książę Dorset, ze swą skandaliczną włoską kochanką u boku, snuł opowieści o zbuntowanym kraju. Jego ucieczka z Paryża była tak niespodziewana, że trzeba było zawrócić z drogi angielski zespół krykiecistów, którzy zdążyli zebrać się w Dover, by wyruszyć na zorganizowany przez samego księcia mecz we francuskiej stolicy. Gładząc piękne, lśniące włosy swej ukochanej Giovanni Baccelli, kobiety cudnej urody, lecz niekonwencjonalnych obyczajów, którą poznał jako sławną baletnicę, książę stwierdził:

- Francuzi nie mają żadnych skrupułów. Proste handlarki z targu maszerują z widłami i pochodniami, grożąc ludziom wyższych klas. W tym dzikim kraju brak hierarchii i poszanowania dla tradycji i rad będę, jeśli moja noga więcej tam nie postanie.

- Ale, mój panie - spytał któryś z gości - czy to prawda, że wielu naszych rodaków udaje się do Paryża specjalnie po to, by stać się świadkami owych przemian?

- Niestety tak. Zdaje się, że ludźmi owładnęło szaleństwo. Rzucili się na Kontynent, by znaleźć sobie okruch murów Bastylii i przywieźć go do domu jako *souvenir* z podróży. W dodatku wycieczka nie byłaby udana, gdyby nie nocleg w pobliżu Wersalu, by choć w przelocie ujrzeć tego gamonia, króla Ludwika, i jego dziwkę. Możemy przeżywać swojego króla Starym Szatanem, ale wraz z królową potrafili jakoś zapewnić krajowi gromadkę potencjalnych następców tronu i królewien, o których rękę ktoś kiedyś się postara. Wiedzą też, jak się zachować, by nie znaleźć się na językach całej Europy.

Ogólny pomruk poparcia dla jego słów popłynął znad mahoniowego stołu zastawionego niezliczonymi półmiskami z jedzeniem, eleganckimi świecznikami, bujnymi ozdobami z kwiatów oraz słodkościami.

- A czy słyszeliście, że ta dziwna rzeźbiarka, którą zatrudniła Maria Antonina, Marie Gershon, Groton, tak jakoś... została zmuszona, by wykonać maskę pośmiertną naczelnika więzienia *monsieur de Launay* po tym, jak zabił go tłum? Tylko Francuzi mogliby wymyślić coś równie odrażającego!

Claudette wzięła gwałtowny wdech i drżącą ręką wylała kilka kropli wina z czarki na talerz. Biedna Marie! Goście przenieśli na nią spojrzenia. Niektóre były pełne współczucia, inne obrzydzenia. Usłyszała, jak jeden z panów szepcze do sąsiada:

- Wyobrażasz sobie? William Greycliffe pod ramię z paryżanką! Po tym, co przeszedł z tą całą Radleyówną, teraz jeszcze to. A jeśli poślubi tę małą ladacznicę, a ona zacznie sypać bachorami, angielskie wzgórza zaroją się od fanatycznych rewolucjonistów! Nie, ja tego nie zdzierzę. - Słuchacz zgodził się, kiwając głową z mądrą miną. Claudette czuła, że policzki jej płoną. William delikatnie ścisnął jej dłoń i ledwo widocznie pokręcił głową, dając jej do zrozumienia „nie”. Claudette zacisnęła zęby i gotowała się z wściekłości.

Tymczasem książkę kontynuował.

- Zgromadzenie Narodowe zostało już uznane i przyjęło Deklarację Praw Człowieka i Obywatela, co znaczy, że władza znalazła się w rękach narodu, a nie Boga. Dla mnie to naród głupców. - Goście wybuchnęli śmiechem.

Później panowie udali się do wyłożonej boazerią biblioteki, a kobiety zebrały się w głównej sali, by oddać się grze w karty i popijać sherry z miniaturowych kryształowych kieliszków. Było to największe pomieszczenie, w jakim Claudette zdarzyło się przebywać. Rozległy gipsowy fryz zdobił unoszący się na siedmiu metrach sufit, a ściany do połowy wysokości pokryte były ciemną, dębową boazerią. Jedna ze ścian u szczytu sali wyłożona była bogato rzeźbionymi panelami.

Widniały na nich wyryte w drewnie baranie łby, lwy, herby i kratownice, przy czym była to robota tak misterna, że Claudette zagapiła się, jak czynili to nieraz klienci w jej sklepie. Na innej ścianie królował kominek z paleniskiem wyższym niż którakolwiek z obecnych dam i obszerniejszym niż klitka, w której Claudette mieszkała w domu Ashbych. Dotąd uważała dom Williama za ekstrawagancki i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w porównaniu z sąsiadami i innymi arystokratami żył bardzo skromnie, choć nie aż tak skromnie jak „małe ładaczniczki”. Zmrużyła oczy, nie mogąc wyrzucić z pamięci bolesnych słów.

Gdy stała tak, zapatrzona w przepych pokoju, inne kobiety zasiadły przy stolikach do gry. Żadna z pań nie zwróciła na nią uwagi, żadna nie zaprosiła Claudette, by się przysiadła. Giovanna, widząc dyskomfort, jaki dziewczyna odczuwała w gronie pań z towarzystwa, pospieszyła ku niej z wyciągniętymi ramionami.

-Najdroższa signorino Laurent, czy mówiłam już, jak śliczną ma pani suknię? Podkreśla te pani świetliste niebieskie oczy. Doprawdy, zazdrość mnie zżera! - Potem ściszyła śpiewny głos i dodała teatralnym szeptem:

- Niech się im pani nie da zastraszyć. Większość z nich zdana jest na swoich mężów i jest im idealnie posłuszna. Rzadko mogą wyjść z domu bez pozwolenia! Nie są takie jak pani i ja, prawda? - Giovanna posłała jej uśmiech, lecz Claudette zjeżyła się na sugestię, że obie są nałożnicami. - Moja droga, nie, miałam tylko na myśli, że towarzystwo odrzuca nas wyłącznie z powodu naszego urodzenia. Czy wie pani, że nazywają mnie „ta Baccelli”? To brzmi, jakbym była posągiem, nie człowiekiem, czyż nie? Poznałam księcia po jednym z moich występów w Kings Théâtre w Haymarket. Nie zależało mi wcale na wplątaniu się w związek z jakimś nadętym zarozumiałcem. Miałam pieniądze, dom i pod dostatkiem swobody. Ale czy można przewidzieć wybryki serca? I tak to - „ta Baccelli” splotła dłonie, po czym, jak na scenie, rozwarła szeroko ramiona - żyję sobie teraz w Knole z ukochanym

i z naszym synkiem Johnem Frederickiem. Towarzystwo zaakceptowało mnie wreszcie, bo wiedzą, że on nigdy się ze mną nie ożeni. W końcu będzie musiał znaleźć sobie przyzwoitą małżonkę, by doczekać się prawowitych spadkobierców, a mnie odeśle do jakiejś odległej posiadłości z odpowiednią pensyjką. - Giovanna znów złączyła dłonie, tragicznie wzruszając ramionami. - Cóż, i tak będą mówić, że wiele osiągnęłam, jak na nędznie urodzoną, włoską baletnicę. Pani natomiast, panno Laurent, jest na swój sposób skandalem. Lalkar-ka o ugruntowanej w Londynie sławie, kobieta posiadająca majątek, którego nie otrzymała w spadku... Jest pani czymś niesłychanym wśród angielskiej elity. A do tego kobieta, od której zalatuje francuszczyzną! To nie nienawiść czują do pani, to zazdrość. Proszę wykorzystać to na swoją korzyść, signorino Laurent. Niech pani pomoże kobietom wyrzeć poza mur zbudowany z ich własnych małżeństw i dostrzec, że w nich również drzemie potencjał.

Giovanna szybko pocałowała Claudette w policzek i poprowadziła ją do jednego z większych stołów, jednocześnie zwracając się do damy, która piastowała dominującą pozycję w grupie.

- *Lady Bewley*, czy była pani oficjalnie przedstawiona signorinie Laurent, ukochanej naszego signora Greycliffe a?

Zagadnięta zeszywniała nieco, lecz nie zapomniała o stosownych manierach.

- Wydaje mi się, że nie miałam, hm, przyjemności poznać pani, panno Laurent. - Obdarzyła Claudette ledwie zauważalnym skinieniem głowy, jakby wyraźniejszy gest mógł zasugerować, że istotnie jest jej przyjemnie.

Giovanna rzuciła jej pełne otuchy spojrzenie, więc Claudette odparła:

- *Lady Bewley*, jestem zaszczycona mogąc być tutaj. Z panią. Tego wieczoru. - Po sali przebiegł szmer rozbawienia z powodu jej ugrzecznoniego tonu. Doprawdy, to było zupełnie jak na przyjęciu u Ashbych, z tą różnicą, że nie wypadało jej skryć się w bibliotece.

Po chwili niezręcznej ciszy Giovanna rzuciła różnym głosem:

- Signorina Laurent miała wiele ciekawych przygód. Proszę, moja droga, opowiedz nam o swej wstrząsającej ucieczce z Paryża do Londynu.

Skąd Włoszka tyle o niej wiedziała?

Pomijając informacje o Jeanie-Philippie, Claudette znów wdała się w opowieść o pożarze i o tym, jak pasażerki statku do Anglii otarły się o prostytutkę. Przy stole słychać było „ochy” i „achy” pań. To, co mówiła, było niewyobrażalne. Wiadomo było przecież, że kobiety zostawały pannami lekkich obyczajów ze względu na niskie urodzenie, nikt im nierządu nie nakazywał. Uwaga wszystkich kobiet na sali zwrócona była teraz na Claudette. Mówiła o służbie w bogatym domu, gdzie była maltretowana przez chlebodawczynię, dla której liczyło się tylko zdobywanie kolejnych szczebli drabiny społecznej. Nie pominęła nawet opisu sytuacji, w której musiała odegrać rolę osobistą służącą przed panią Emily Harrison. Claudette sama tak bardzo zaangażowała się w swą opowieść, że odgrywała pewne sceny, naśladując ich bohaterów. Wkrótce po pokoju niosły się takie salwy śmiechu, że panowie przysłali służącego, by sprawdził, czy wszystko w porządku.

- Dość! - przerwała nagle *lady* Bewley, krztusząc się ze śmiechu.

- Proszę powiedzieć, kim była ta jędza!

Wahając się nieco, Claudette wyznała jednak, że chodzi o Maude Ashby, z domu Carter. *Lady* Bewley zaklaskała z radości w okryte rękawiczkami dłonie.

- Tak myślałam, że mówi pani właśnie o niej. Maude Ashby od lat puka do drzwi angielskiej elity. Z tej kobiety sączy się istny jad! Zawsze ignorujemy jej zaproszenia. Jestem pod wrażeniem, że wyrwała się pani z jej szponów. Nie mam pojęcia, dlaczego pan Greycliffe uczęszcza na te jej przyjęcia. Choć... cóż, w końcu poznał tam swoją pannę Laurent, czyż nie? - Przechyliła głowę, przyglądając się Claudette, ale nie było w niej już poprzedniej wrogości. - Z pewnością w niczym nie

przypomina pani Lenory Radley. Bije od pani ciepło. Może przyłączy się pani do nas? Gramy w wista.

Rozmowa zeszła teraz na temat rewolucji we Francji. Panie, zaopatrzone jedynie w wiedzę pochodzącą od mężów i z plotkarskich pism, były przekonane, że Maria Antonina jest zdeprawowaną nierządnicą, a tym samym źródłem wszelkich nieszczęść dotyczących Francję. Bardzo delikatnie Claudette opowiedziała im o swym spotkaniu z władczynią w poprzednim roku i przedstawiła swoje zdanie, że królowa została bardzo skrzywdzona przez lud. Może nie udało jej się przekonać zgromadzonych o niewinności Marii Antoniny, ale wszystkim zaimponowało to, że Claudette знаła królową osobiście. Zanim mężczyźni przyszedli po swe partnerki około północy, Claudette zdążyła przegrać z kretesem w karty, ale również zebrała nie mniej niż trzy zaproszenia na herbatę, obietnicę od *lady* Whittington, że odwiedzi ją w sklepie, a także zamówienie od *lady* Bewley na „jedną z tych słynnych *grandes Pandores*, o których wszędzie głośno”.

Żegnając się z Claudette, Giovanna ucałowała ją w policzek i wyszeptała do ucha:

- Widzisz, kochana? Teraz widzą w tobie bohaterkę i przekonają mężów, że możesz stać się jedną z nich. Wyjdź za swojego Williama Greycliffa, który bardzo cię kocha, i bądź równie szczęśliwa jak ja, a nawet bardziej, gdyż nie będzie ci groziła odprawa. Jestem pewna, że pozwoli ci zajmować się dalej twymi lalkami.

W powozie, w drodze powrotnej do Hevington, Claudette była milcząca i zamyślona. Gdy William odprowadził ją do pokoju gościnnego i skłonił się na dobranoc, bez słowa przyciągnęła go do siebie i utonęła wraz z nim w głębokim pocałunku. Gdy odchodził korytarzem, odwrócił się jeszcze, by rzucić jej zdziwione spojrzenie. Posłała mu uśmiech pełen zadowolenia. Może rzeczywiście nadszedł czas, by przestać walczyć z myślą o wspólnym życiu z Williamem.

Curtius House, Paryż, 8 września 1789 Kochana Claudette!

W Paryżu wybuchł szal. Nie da się już nawet przejechać jednej przecznicy powozem, by nie natrafić na wściekły tłum maszerujący w tę czy inną stronę, wniebogłosy domagający się zemsty na nieznanym sprawcy czy terroryzujący właściciele sklepów przez rozbijanie okien, kradzież towarów oraz groźby zhańbienia ich żon i córek.

Pewnie dotarły do Ciebie słuchy o motłochu szturmującym Bastylię dwa miesiące temu. Podeszli uzbrojeni w widły i pochodnie i zażądali wypuszczenia więźniów. Więźniów! Było tam zaledwie kilku wariatów, ale dla tłumu był to symbol oporu przeciwko reżimowi. Naczelnik de Launay dzielnie próbował odwieść lud od ich działań, ale został rozszarpany na kawałki. Przynieśli go potem do mnie - do mnie! - i zmusili, bym wykonała maskę pośmiertną nieszczęsnego.

Trzęsę się cała na najcichszy dźwięk otwieranych drzwi, a ręka drży mi przy każdym stawianym słowie. Komnatę opuszczam tylko w razie najwyższej konieczności. Może i ja tracę już rozum?

Najdroższa Claudette, wiem, że znalazłabym pocieszenie w liście od Ciebie. Od pewnego czasu nie mieszkam już w Wersalu, lecz u mego wuja Philippe'a Curtiusa. Nalegał, abym zrezygnowała ze służby u madame Elisabeth, co z żalem uczyniłam. Mieszkam i pracuję teraz w pracowni wuja, gdzie bezpieczniejsza jestem chyba niż w Wersalu. Być może niedługo i ja będę zmuszona, jak wielu innych przede mną, opuścić Francję i uciekać w nieznaną.

Twoja przyjaciółka Marie

Pomimo targających Francją wstrząsów Claudette nadal otrzymywała od Marii Antoniny zamówienia na lalki, z tym że królowa prosiła o prostsze, tańsze wersje. Zlecenia te wykonywano oczywiście z taką samą starannością jak pierwsze i za każdym razem wysyłane na francuski dwór lalki spoczywały wygodnie w wyłożonych atlasem pudełkach przewiązanych dopasowaną kolorystycznie atlasową wstążką.

ROZDZIAŁ 23

Wersal, 2 października 1789. Ludwik wszedł do komnaty żony, szorstkim tonem odsyłając wszystkich z wyjątkiem najbliższych członków świty.

- Słyszałaś, co teraz pisze ten diabeł? - spytał, wymachując gazetą przed siedzącą przy pięknie złoconym biurku królową.

Maria Antonina, która przywykła już do napastliwych prasowych krytyk, machnęła lekceważąco ręką, nie odkładając nawet pióra. Król nalegał jednak, by przeczytała tekst, i usiadł naprzeciwko niej. Była w połowie pisania listu do wierzyciela. Położył dziennik wprost na papeterii, wbijając w małżonkę spojrzenie wylupiastych oczu.

Tylko nie Marat, nie znów. Z niesmakiem położyła rękę na najświeższym wydaniu „L'Ami de Peuple”. Jak zwykle wydarzenia poprzedniego wieczoru przekrecone zostały w coś szkaradnego.

Zeszłego wieczoru w domu *madame* Deficyt odbyła się orgia, podczas której trójkolorowa rozeta, symbol rodzącej się niepodległości i wolności naszego kraju, została zdeptana. Czy to nie arystokraci, z królem i królową na czele, ponoszą odpowiedzialność za brak chleba na naszych stołach? Czy burzymy się w walce o chleb, czy też z rozpaczy nad hipokryzją upadającej monarchii?

Maria Antonina odłożyła gazetę.

- Nie mogą zostawić nas w spokoju? Właśnie wczoraj myślałam, że odzyskujemy przychyłość ludu.

Poprzedniego wieczoru urządzili w pałacowym teatrze bankiet na cześć regimentu z Flandrii przywiezionego z Douai do Wersalu. Zaproszono wielu gości, łącznie z hrabią Fersenem. Mając przy boku króla, Maria Antonina przywitała Axela z oficjalnym dystansem, lecz ani na chwilę nie spuszczała go z oka.

Była ciasno związana gorsetem sukni w ulubionym odcieniu bladego błękitu. Kreacja była obszerna, z górą zdobioną sznurami drobnych pereł. Podobne klejnoty wpleciono we włosy królowej, które przy tej okazji zaczesano w miarę nisko i skromnie. Z rękawów, przy łokciach, spływały delikatne koronki. Dekolt sukni obszyty był futrem z gronostaja, a wycięty na tyle głęboko, by odsłonić wspaniałą turkusowy naszyjnik zdobiący niemal przezroczystą skórę władczyni. Odważyła się założyć najnowszy podarunek w obecności króla, gdyż nie zwracał na ogół uwagi na jej osobiste ozdoby. We wzroku Fersena wyczytała jednak szczery zachwyt, a gdy się jej kłaniał, spostrzegła, jak puszcza do niej oko, zanim odsunął się przed kolejnym z gości składającym hołd królewskiej parze.

Później tego wieczoru król i królowa przedstawili gościom młodego Ludwika Karola, od śmierci starszego brata noszącego tytuł delfina. Cała rodzina królewska stanęła razem, odziana w błękity i koronki. Rozległy się radosne okrzyki i wiwaty, a muzycy uderzyli w rojalistyczną nutę. W entuzjazmie uwielbienia dla monarchów zgromadzeni rzucili na ziemię nową trójkolorową rozetę Paryża i poczęli deptać ją na znak lojalności w stosunku do króla i jego małżonki. Grajkowie byli tak zafascynowani sceną patriotyzmu rozgrywającą się przed ich oczami, że peruki aż pozsuwały im się z głów, gdy z zapalem odgrywali melodie ku chwale rządzących.

Już tak dawno nikt im nie wiwatował, że królowa z całych sił musiała powstrzymać się od łez. Wczesnym świtem, leżąc w ramionach Fersena w jego tajemnej komnacie w pałacu, zdradzała mu, jakie szczęście i wdzięczność czuła z powodu owacji ze strony bankietowych gości. Gładził jej włosy i słuchał radosnego szczebiotu, dopóki pozycja słońca na niebie nie

podpowiedziała jej, że czas wśliznąć się z powrotem do swej komnaty, zanim damy dworu zjawią się ją budzić.

Wieczór był wspaniałym sukcesem, długo oczekiwaną ulgą po ostatnich wydarzeniach. We wrześniu omal nie powieszono pewnego piekarza, ponieważ rzekomo sprzedawał bogatym klientom lepsze bochenki chleba niż mniej zamożnym kupującym. Wściekłość ludu była szokiem dla króla i królowej, gdyż żyjąc w izolacji Wersalu, polegali wyłącznie na wieściach przynoszonych im przez ministrów - przebiegłych intrygantów. Fersen stanowił wiarygodne źródło wiedzy, lecz nie zawsze był dostępny. Król zdawał się akceptować hrabiego jako bliskiego przyjaciela rodziny, nie wnikając zbyt w jego relacje z królową. W zamian Szwed publicznie zachowywał rezerwę i starał się nikomu nie rzucać w oczy.

Mimo że go zaakceptował i pomimo wiarygodnych raportów hrabiego, Ludwik nie potrafił zmusić się do przyjmowania od niego rad. Ani od królowej. Także od ministrów, których swą nieustępliwością doprowadzał do rozpacz. Jego upór znany był na całym dworze. Maria Antonina regularnie usiłowała ubłagać go, by poszedł na jakieś ustępstwa wobec Zgromadzenia Narodowego, byle tylko nastął pokój. Na próżno. Ludwik odmawiał, twierdząc, że zasiada na tronie, wypełniając prawo boże i że nie podlega żadnemu ciału rządzącemu. Spór między królem a rządem trwał więc dalej, ani trochę nie tracąc na sile.

Piątego października gromada kobiet zebrała się przed siedzibą Zgromadzenia Narodowego, gdyż po raz kolejny na półkach w piekarniach nie znalazły chleba.

- Jak to być może, że w Wersalu odbywają się bankiety, a my chodzimy głodni? - pytały niczym echo oszczerstw Marata.

Rząd nie potrafił udzielić im wsparcia, więc rozwścieczone niewiasty wdarły się do wewnątrz, kradnąc kilka muszkietów i pewną kwotę z kiesy miasta, po czym, w porywie zuchwałości, ruszyły tłumnie na Wersal, „zobaczyć, co poradzi król”.

Maszerując przez miasto, poszerzały szyki o nowe ochotniczki. Niektóre szły w imię sprawy, inne chciały zaspokoić ciekawość, jeszcze inne liczyły na wymierne korzyści, które mogła przynieść ta awantura.

- Dawać tu piekarza, żonę piekarza i syna piekarza! - skandowały, przekonane, że to król zarządza dostawami pieczywa. „Do Paryża! Do Paryża!” Tłum gęstniał i stawał się coraz mniej przewidywalny, wciągając w swe szeregi nawet neutralnych gapiów. Markiz La Fayette, szef Gwardii Narodowej, chciał powstrzymać marsz, lecz mając na względzie przede wszystkim własną reputację, obawiał się użyć siły wobec hordy kobiet. Wreszcie jego ludzie wymogli na nim, by czym prędzej udał się do Wersalu, aby ochronić jego mieszkańców i sprowadzić króla do Paryża, chociażby dla jego własnego bezpieczeństwa.

Tymczasem Ludwik był na jednym ze swych częstych polowań, a Maria Antonina spędzała dzień w Petit Trianon z Axelem, grając w karty, jedząc obiad w swym prywatnym saloniku i przechadzając się po wypielegnowanych ogrodach, powoli tracących letni przepych. Właśnie podziwiali jej nowe lustra buduarowe wyposażone w niezwykle ruchome mechanizmy, gdy do pokoju wpadł bez tchu służa z głównego pałacu.

- Wasza Wysokość - skłonił się, czerwony na twarzy z wysiłku - szybko, musisz wracać do pałacu, Pani. Zmierza na nas motłoch z Paryża, i chcą zrobić krzywdę Tobie, Pani, i królowi.

- Jak to, zrobić nam krzywdę?

- Yy... kobiety są wściekłe i skandują, że... że zamierzają... - nie mogły mu przejść przez gardło te słowa.

- Kobiety? Przekupki? Przyszły tu z Paryża? Naprawdę? - Maria Antonina była bardziej zaintrygowana niż przestraszona.

- Tak, Pani, i słyszałem, że mają zamiar... mają... zamiar... obciąć Ci głowę, Pani.

To poderwało królową do działania. Po krótkiej sprzeczce z Axelem - on upierał się, że zostanie jej bronić, ona rozkazała mu opuścić teren pałacu - poleciła służącemu, by podstawiono powóz, który odwiózłby Fersena do jego wynajętej

w mieście kwatery. Sama podkasła suknię i pobiegła wzdłuż Grand Canal z powrotem do głównego budynku. W pałacu panował rozgardiasz. Służba w panice przemierzała schody w górę i w dół, a w kątach siedziały kobiety, płacząc żałośnie.

- Gdzie król? I dzieci?

Markiza de Tourzel wkroczyła do holu, w którym królowa stała sama, ignorowana przez biegających w chaosie podwładnych.

- Wasza Wysokość! *Mon Dieu*, wróciła Pani. Jego Wysokość również jest już w drodze, jedzie z polowania.

- Co z delfinem i *Princesse Royale*?

- Są w twej komnacie, Pani.

Popędziły obie na górę do *grand appartement de la reine*, przemierzając salkę królewskiej straży przybocznej, przedpokój, salon dam dworu, aż wreszcie dopadły drzwi sypialni. Przerażone dzieci skuliły się na ogromnym, spowitym jedwabiem łożu z baldachimem, ozdobionym koroną pawich piór pośrodku olbrzymiej komnaty matki. Wyglądały jak maleńkie, trzęsące się myszki. Maria Antonina porwała je w ramiona i tuląc, zapewniała, że wszystko będzie dobrze.

Król zjawił się w pałacu około piętnastej, spocony i przesiąknięty zapachem konia. Nastąpiły pełne nerwów dyskusje, jak poradzić sobie z nadciągającą inwazją. Radzono rodzinie królewskiej, by uciekała z pałacu, ale Ludwik, który zawsze rozważał wszystko po wielokroć i któremu nie uśmiechało się zostać zbiegiem, nie potrafił się zdecydować. Kilku doradców wysunęło propozycję, by chociaż królową z dziećmi ukryć, dla ich bezpieczeństwa, w pałacu Rambouillet. Na to nie zgodziła się z kolei Maria Antonina, oznajmiając wyraźnie, że jej miejsce jest przy boku męża. Impas trwał i nie udało się podjąć decyzji. Tłum dotarł do bram.

Rzęsista ulewa przemoczyła maszerujących do suchej nitki, lecz wcale nie ostudziło to ich gniewu. Przeciwnie, wrzaski wzmogły się jeszcze.

- Nadziejemy głowę królowej na miecz! Zrobimy rozetki z jej trzewi!

Wkrótce tłum kobiet stanął przed bramami Wersalu, ociekając wodą i wykrzykując epitety o członkach rodziny królewskiej. Początkowy plan polegający na tym, by zapytać króla, jak zaradzić brakowi chleba, odszedł w niepamięć, zastąpiony żądzą przetransportowania monarchy do Paryża.

Rodzina królewska udała się tej nocy na spoczynek, który nie miał być spokojny, choć Gwardia Narodowa pełniła wartę. Jak zwykle, przestrzegając dworskich obyczajów, król i królowa spali w oddzielnych komnatach, umiejscowionych jedna nad drugą. Kilka lat wcześniej Ludwik kazał jednak połączyć pokoje tajemną klatką schodową, by zachować więcej prywatności. Tłum tymczasem gęstniał przed bramami, pałac pochodnie i wymachując złowrogo zdobyczną bronią - kradzionymi muszkietami, pikami, a także kijami od mioteł. Gdzieś połykiwały pistolety, a nawet niewielka armata. O czwartej nad ranem 6 października śpiących obudziła wybuchła w pałacu wrzawa.

- Co to? - spytała królowa, rozczochrana i zaspana po kilku godzinach przerywanego snu. Usiadła w łóżku, otulając się koszulą nocną. Jedna z dam dworu, niejaka *madame* Auguie, wybiegła na korytarz, by sprawdzić, co się dzieje i już po kilku minutach wróciła przerażona.

- Moja pani! Kobiety z targu! Dostały się do pałacu przez niezamkniętą bramę i wszędzie szukają Waszej Wysokości! Proszę się prędko ubrać!

Na francuskim dworze wykonanie tego polecenia graniczyło z niemożliwością, ponadto żadna monarchini nie byłaby w stanie ubrać się sama, choćby nawet bardzo się starała. Przyodzianie się wymagało godzin przygotowań, po czym trzeba było zapiąć tuziny guziczków, zawiązać tyleż koronek, nie wspominając już o gorsetach, halkach, pończochach i innych elementach stroju. Zdenerwowane damy dworu walczyły teraz z ubiorem królowej, jednocześnie starając się włożyć i własne suknie. Słysząc było zbliżające się do komnaty głosy, aż po chwili pod drzwiami pokoju straży rozległo się dudnienie i krzyki. *Madame* Auguie wybiegła do zewnętrznej komnaty

i zabarykadowała drzwi, by jak najdłużej wytrzymały napór napastników. Królowa wraz ze świtą wyśliznęła się tajemnym wyjściem obok łoża z baldachimem i umknęła na górę, do komnat króla. Powiewała za nią niedopięta halka, a i wiele innych haftek oraz zapinek wymagało jeszcze uwagi.

Ledwie ukryte drzwi zamknęły się za uciekinierami, do sypialni monarchini wdarł się tłum kobiet. Zabiły dwóch strażników, a teraz zawyły z wściekłości, nie mogąc odszukać głównego obiektu swej nienawiści. Porwane gniewem, wbiły piki w luksusowe łoże, by upewnić się, czy królowa nie schowała się w środku. Lalka de Lamballe leżała na krzeselku obok łóżka i spadła na podłogę, nie odnosząc szwanku, lecz wtaczając się pod olbrzymi materac, podczas gdy przekupki dokonywały aktów wandalizmu. Gdy poradziły sobie z łóżkiem, porozbijały pozłacane panele na ścianach i obróciły w drzazgi wszystkie drzwi, jakie udało im się znaleźć. Wyładowawszy agresję w sypialni królowej, wróciły na zewnątrz, by dołączyć z powrotem do tłumy zebranego teraz przed balkonem komnaty króla.

W komnacie króla Maria Antonina zastała dzieci kulące się przy ojcu i panu La Fayette. Chyba po raz pierwszy zachowanie króla było logiczne i celowe. Odbyto błyskawiczną naradę dotyczącą podjęcia dalszych kroków. Ludwika zbudzono w środku nocy żądaniem, by spotkał się z reprezentantkami kobiet. By uspokoić otaczające go, kipiące ze złości paryżanki, zgodził się rozważyć powrót do stolicy, by stamtąd rządzić. Były usatysfakcjonowane, a nawet zadowolone ze złożonego przez króla zobowiązania, lecz pozostały motłoch, nadal spragniony zemsty, nie przerywał plądrowania pałacu.

Maria Antonina była przerażona, słysząc, że mąż przystał na żądania kobiet. Opuszczenie Wersalu pod jakimkolwiek pozorem uważała za bardzo niebezpieczne. Tak czy inaczej, musieli najpierw poradzić sobie z tłumem pod oknami.

Ustalili, że najpierw na balkon wyjdzie król, by powitać poddanych. Królowa usłyszała, jak lud wiwatuje: „*Vive le roi!* Niech żyje król!” Czerpiąc z tych głosów odrobinę otuchy,

wzięła dzieci za rączki i poszła dołączyć do męża. Wściekły tłum zawył jednak: „Żadnych dzieci! Żadnych dzieci!”.

Ludwik Karol i Maria Teresa, przerażeni dotychczasowymi wydarzeniami, zostali natychmiast odprowadzeni przez służbę. Maria Antonina, choć blada i w wielkim strachu przed możliwym zamachem na jej życie, stała niezłomnie przy boku męża, a nawet dygnęła przez zebrany ludem. La Fayette, cieszący się popularnością wśród ludzi, dołączył do królewskiej pary i pocałował królową w rękę na znak swego oddania i by pokazać, że pozostaje ona pod jego osobistą opieką. Wszystko na nic. Lud domagał się, by rodzina królewska przeniosła się do stolicy.

„Do Paryża! Do Paryża!” - niósł się ich wrzask. Padały obrzydliwe obelgi pod adresem królowej, mieszając się z żądaniami, by król opuścił Wersal. Maria Antonina zwróciła się do męża i w milczeniu skinęła głową na znak, że nie mają wyboru i muszą przychylić się do woli tłumu. Pojadą do Paryża i zamieszkają w Tuileries, pałacu, który od ponad stu lat nie widział monarchy.

Pozwolono im się napędce spakować. Damy dworu i służki królowej miotały się po jej zdewastowanych komnatach, wrzucając do kufrow tylnych ubrań, biżuterii i osobistych drobiazgów, ile zdołały zebrać pod presją czasu. Pewna rozgarnięta służąca zajrzała pod zdewastowane łóżko, by sprawdzić, czy nie zostało tam nic cennego, i wydobyła Lalkę de Lamballe. Rodzina królewska przeszła pod eskortą do oczekującego powozu, który zawiózł ją powoli do Paryża. Jechali pośród hałastu przemierzającej drogę powrotną na piechotę. Na końcu tego dziwnego konduktu niesiono głowy zabitych w pałacu strażników nadziane na piki jako symbol zwycięstwa tłumu.

Axel Fersen z niepokojem wpatrywał się w list potajemnie przesłany mu przez królową przebywającą obecnie w pałacu Tuileries. Razem z królem byli więźniami w swym nowym domu - rezydencji, z której rodzina królewska nie korzystała od

czasu, gdy Ludwik XIV opuścił ją pod koniec siedemnastego wieku. Z pewnością nie było to miejsce dla jego cudownej, urzekającej Antonii. Wkrótce zrobi coś, by ją uratować. Tylko co?

Jesienią roku 1789 Francja była pogrążona w chaosie. W październiku Zgromadzenie Narodowe podzieliło się na trzy grupy. Pierwsza z nich, „Patrioci”, znana też była pod nazwą Centrum, gdyż jej członkowie zasiadali pośrodku sali obrad. Ich przywódcą był La Fayette. Po ich prawej ręce zasiadali roj aliści, którym zależało na przywróceniu rządu do takiej formy, jaka funkcjonowała dotąd, pod władzą króla. Lewą stronę sali zajmowali ekstremalni rewolucjoniści zwani jakobinami, którym przewodził Maximilien de Robespierre. Grupa ta nie miała oporów przed użyciem siły w celu osiągnięcia radykalnych celów - równości dla wszystkich ludzi.

Nadszedł listopad i nowy rząd zajęty był opracowywaniem planów zarządzania krajem. Drugiego listopada Zgromadzenie Narodowe wzięło sprawy w swoje ręce i poczęło rozwiązywać problemy finansowe Francji. Przejęto ziemie kościelne, wydając *assignats*, pięcioprocentowe obligacje. Można je było wymienić na tereny zajęte przez rząd. Oburzyło to duchowieństwo i wywołał kolejne protesty ze strony niezadowolonych grup społecznych.

Wkrótce potem uchwalono konstytucję cywilną kleru, na mocy której, poza konfiskatą ziem kościelnych, Zgromadzenie zdecydowało, że księża wybierani będą przez lokalne zgromadzenia wyborcze, a biskupi i duchowni opłacani z rządowej kiesy. Aby ostatecznie pognać kler, postanowiono, iż zniesiona zostanie papieska jurysdykcja we Francji.

Nowy Rok zastał kraj pogrążony w chaosie i wrzeniu.

Hevington, 25 grudnia 1790. Claudette zamknęła sklep na cały bożonarodzeniowy tydzień, by dać swym pracownikom chwilę wytchnienia i czasu z rodzinami. Ona natomiast, wraz

z Béatrice, przyjęła zaproszenie Williama, by spędzić święta w Hevington. Pojechały tam razem z Marguerite najświetniejszym jego powozem, który wysłał po nie do Londynu. Przed rześcicie oświetlonym domem stało już mnóstwo innych pojazdów. William powitał je ciepło, po czym przedstawiał Claudette swym sąsiadom i wspólnikom. Państwo Bewley byli obecni, lecz brakowało księcia Dorset i uroczej Giovanny. William wyjaśnił szeptem, że naciskany przez rodzinę Dorset odprawił „tę Baccelli” i ożenił się niedawno z młodą dziedziczką, której nie cierpiał. Ku przerażeniu księcia Giovanna, pragnąc w ten sposób go ukarać, uciekła z hrabią Pembroke, bliskim przyjacielem rodziny. Książę zaniechał uczestniczenia w spotkaniach towarzyskich, zaszywając się w ponurym Knole.

- Biedna Giovanna! - zasmuciła się Claudette. - Tak bardzo kochała księcia i tak mi pomogła! Muszę napisać do niej, gdy tylko wrócę do Londynu.

Radosny i hałaśliwy obiad złożony z pieczonej gęsi, tart warzywnych, puddingu z brandy, kandyzowanych owoców oraz innych dań przyrządzonych z warzyw i owoców uprawianych w posiadłości Greycliffa oraz hodowanych tam zwierząt, zakończono wiekowymi butelkami bordo z piwniczki gospodarza. Następnie goście przeszli do sali muzycznej, gdzie *lady* Taka-czy-inna usiadła przy fortepianie. Tym razem Claudette bez trudu wśliznęła się w ramiona Williama, by zatańczyć z nim menueta. Po raz pierwszy czuła się w jego towarzystwie -i w jego życiu - zupełnie swobodnie.

Béatrice wcześniej udała się na spoczynek, gdyż żołądek dokuczał jej z powodu zbyt obfitego posiłku. Marguerite została na przyjęciu, wniebowzięta możliwością brania udziału w spotkaniu tylu dorosłych. Ćwiczyła z boku taniec, robiąc kroki w przód i w tył, wirując sama ze sobą, aż wreszcie zauważył ją któryś z gości i zaprosił na parkiet.

Balowali do wczesnych godzin porannych. Gdy wreszcie drzwi zamknęły się za ostatnim z zaproszonych, a śpiąca Marguerite podreptała do swej sypialni, William poprosił Claudette, by towarzyszyła mu do północnego skrzydła domu, gdyż

chciał zasięgnąć jej opinii w pewnej kwestii. Zaintrygowana, przyjęła jego dłoń i pozwoliła się poprowadzić do pomieszczenia, do którego nigdy wcześniej nie zaglądała. Otworzył przed nią drzwi, zaskakując ją widokiem wnętrza lśniącego światłem tuzinów świec ustawionych na stolikach wokół niewielkiego pokoiku. Ich blask potęgowany był taflą lustra wiszącego nad kominkiem. Przy trzaskającym wesoło ogniu stał fotel, lecz nie było taki. Połączony we francuskim stylu, a miękkie siedzisko obszyte było błękitnym jak niebo brokatem. Wokół mebla rozrzucono róże i lilie, których cudna woń odurzyła dziewczynę.

Stała, oniemiała z wrażenia, dopóki William nie wziął jej za rękę i nie posadził w fotelu. Sam zajął miejsce u jej stóp.

- Claudette, czy byłaś szczęśliwa tutaj, dzisiaj?

- Oczywiście. Dlaczego miałoby być inaczej? Odpowiedział pytaniem.

- A moi znajomi? Czy nie odczuwasz już dyskomfortu w ich towarzystwie? Czy zdałaś sobie sprawę, że jesteś nie tylko im równa, ale jeszcze bardziej wartościowa?

- Chyba tak. Giovanna pomogła mi to zrozumieć. Ale co... Podniósł z posadzki czerwoną różę i śnieżnobiałą lilię i wyciągnął je w jej stronę. Wzięła je w dłonie i powąchała.

Uśmiechnął się.

- Pasują do siebie, prawda? Angielska róża i lilia Francji? Kiwnęła głową nadal niepewna, do czego zmierza. William ścisnął jej dłonie, w których nadal trzymała kwiaty.

- Kochana, serce moje, chciałbym, abyś została moją lilią tu, w Hevington, już na zawsze. Czy wyjdiesz za mnie?

- Och - wzięła głęboki wdech. - Och, och tak! Williamie, tak, po tysiącokroć tak! - Nachyliła się i oparła o niego, ale stracił równowagę i wylądowali oboje na zasłanej kwiatami podłodze. Śmiali się radośnie, wyjmując sobie wzajemnie płatki i łodyżki z włosów i ubrań. Claudette podniosła nieuszkodzoną lilię i wsparta na łokciu delikatnie trąciła Williama w nos.

- Wiesz, że jestem dziką lilią, nie odmianą szklarniową?
-droczyła się z nim.

Znów rozbrzmiał jego śmiech.

- Tak jakbym mógł znaleźć szczęście przy innej! Przyciągnął ją do siebie i zatonęli w długim pocałunku. Nie

wstawali z podłogi, leżąc w szczątkach kwiatów, aż ogień się wypalił, pozostawiając w kominku gasnący żar.

Gdy pokój począł się wypełniać światłem poranka, Claudette usiadła.

- Williamie, muszę cię o coś prosić.

- Naturalnie, czego tylko pragniesz - wymamrotał, otulony ciepłem pokoju, niewybudzony jeszcze z pysznego snu.

- Chciałabym, aby nasze zaręczyny jeszcze przez jakiś czas pozostały tajemnicą.

To natychmiast go otrzeźwiło. Aż usiadł z wrażenia.

- Dlaczego? Miałem nadzieję, że pobierzemy się jak najszybciej!

- Ja również niczego bardziej nie pragnę. Martwię się jednak o Beatrice. Wiesz, że jest ode mnie zupełnie zależna, mamy nawet połączone mieszkania. Sądzę, że byłaby zdruzgotana, gdybym zostawiła ją tak nagle. Lepiej byłoby, gdybym mogła solidniej podszkolić ją w zarządzaniu sklepem, a może nawet przekazać jej nad nim codzienną kontrolę, tak aby czuła się pewnie, gdy zostanie sama po naszym ślubie. Marguerite też wykazuje zainteresowanie warsztatem i chciałabym ją wdrożyć w sztukę lalkarską.

- Czy chcesz powiedzieć, że zrezygnujesz ze sklepu?

- Hm, na razie nie. Lecz pewnie mając wokół siebie wianuszek smyków, będę wołała, by obowiązki związane ze sklepem spoczywały na kimś, na kim mogę polegać. - Uśmiechnęła się do niego, a on podniósł się, podając jej rękę, by pomóc jej wstać.

- Cóż, moja przyszła *lady* Greycliffe, przystaję na twoje warunki. Lepiej chodźmy zjeść śniadanie, by już zacząć zbierać siły na czas, kiedy będziemy się starać o ten wianuszek smyków.

Tuileries, styczeń 1791. Gorączkowe pukanie, a po nim rozpaczliwy krzyk i szarpanie za klamkę pchnęły hrabiego Axela Fersena do drzwi. Wpuścił do środka królową, która natychmiast rzuciła mu się w ramiona. Zamknął drzwi błyskawicznym kopnięciem, by żaden ciekawski dworzanin czy strażnik nie zobaczył ich razem. Jego nowa kwatera w Tuileries została przygotowana w największej tajemnicy i niewielu wiedziało, że spędzał tu tyle samo czasu, ile w wynajętych pokojach w mieście.

- Antonio, co się stało?

- Och, Axel! To niesprawiedliwe, wszyscy mnie opuszczają! Co mam począć? - szlochała wtulona w jego ramię. Jej peruka była w nieładzie, a róz z policzków wcierał się właśnie w marynarkę Fersena.

- Antonio, spokojnie, opowiedz mi, co się wydarzyło. - Zaprowadził ją do obleczonej kremowym jedwabiem sofy. Bliźniaczy mebel znajdował się w komnacie królowej. Delikatnie podsunął jej chusteczkę i czekał, aż przestanie drżeć.

- Axel, ona odchodzi.

- Kto taki?

- *Madame Bertin*, moja krawcowa. Twierdzi, że nie zostanie ani chwili dłużej we Francji, w tym pałacu. Wyjeżdża, ale nie powie mi nawet dokąd. Błagałam, by została, ale zdaje się, że pozycja królowej Francji nic już nie znaczy. Prosiłam ją, obiecałam więcej pieniędzy, ale nie chciała słuchać. Oznajmiła, że wszystkie franki z królewskiego skarbcza nie zatrzymałyby jej tutaj, a zresztą, jak mówi, i tak nie mamy już nad skarbcem żadnej władzy. Axel, Axel, czy na całym świecie mam już tylko ciebie za przyjaciela?

Przyciągnął ją do siebie.

- Antonio, sympatia *madame Bertin* okazała się fałszywa, ale wiesz, że nasza przyjaźń na zawsze pozostanie szczerą. Poza tym to tylko szwaczka!

- Axel! To nadworna krawcowa. Wybiera wszystkie moje stroje. Bardzo na niej polegamy. Nie ma nikogo równego jej talentem i umiejętnościami w sprawach mody. I... pomimo jej przykrego zachowania, myślałam, że zależy jej na mnie.

- Już, już, nie lejmy łez. Masz mnie, będę zawsze przy tobie, cokolwiek się zdarzy. Proszę, weź czystą chusteczkę. Moje dzielne, słodkie kochanie. - Prawą dłonią ujął jej twarz. - Antonio, czas poważnie przyjrzeć się sytuacji, w której się znalazłaś. Życie twoje, a także króla i dzieci... Obawiam się, że znów jesteście w niebezpieczeństwie.

- Ależ Axel...

Nie przerywał mimo jej protestów.

- Musimy się przygotować na każdą ewentualność. Trzeba opuścić Francję. - Szeroko otworzyła oczy. - Próbowaliśmy już nakłonić króla do wyjazdu, ale musimy naciskać go jeszcze. Tylko chwilowo, dopóki nie przybędą wojska austriackie, które pomogą nam odzyskać władzę. Zaczniemy planować.

- Axel, nie mogę nawet podjąć takich rozważań. Jakże zawiedziona byłaby moja matka, gdyby żyła. Jakiego zawodu doznałaby na widok ulubionej córki, jej wielkiej nadziei na unię Austrii z Francją. - Łzy spływały jej po policzkach. - Jestem taka zmęczona. Wszyscy mnie nienawidzą.

- Zajmę się tym - uspokajał. - Zapewnię bezpieczeństwo tobie i całej rodzinie królewskiej. Nie martw się, Antonio, zostaw to mnie. - Uniósł jej brodę. - Spotkajmy się jutro. Przejdziemy się po ogrodach i porozmawiamy z dala od ciekawskich spojrzeń. Zgódź się.

Rzekomo zrozumiała i pyszna królowa Francji wytarła oczy chusteczką Fersena.

- Dobrze, jutro.

- Czy coś jeszcze, panie? - Sługa Fersena był już zmęczony niekończącym się wspieraniem kariery hrabiego, ale zachowywał klasę, nie okazując zniecierpliwienia. Wszystkie te tańce, maskarady, kolacje, polowania i inne rozrywki dworskie, obecnie zastąpione ukradkowymi schadzkami, szeptami w korytarzach i tajnymi wiadomościami. Wiedział, że tego popołudnia królowa spędziła godzinę sam na sam z Fersenem, który po jej wizycie pograżył się w myślach. Nie zwracał uwagi na nic, co

działo się wokół niego, ledwie tknął kolację. Ciekawość Luciena zgasła jednak tak szybko, jak się zapaliła. Lata spędzone na spełnianiu kaprysów arystokratów nauczyły go, że nie należało się dziwić niczemu.

- Nie, to wszystko na dziś, niech tylko przyślą mi trochę wina. Nie będę potrzebował niczego do jedenastej jutrzejszego rana.

Lucien wydał w myślach westchnienie ulgi. Będzie się mógł porządnie wyspać, choć dzielił pokój z trzema innymi służącymi. Dyskretnie zamknął za sobą drzwi, nie pozwalając, by cokolwiek poza cichutkim kliknięciem zamka zmąciło panującą w komnacie ciszę.

Fersen usiadł przy biurku, rozglądając się po niewielkim apartamencie. Pokój ukryty był za specjalnym panelem w ścianie, schowanym w cieniu długich schodów. Królowa zorganizowała mu tę kryjówkę na własne ryzyko, więc robił wszystko, by pojawiać się i znikać niepostrzeżenie. Jego osobisty sługa nie miał kłopotu z wmieszczeniem się w tłum służby w Tuileries. Choć otaczająca go przestrzeń była bardzo ograniczona w porównaniu z kwaterą, którą wynajął w mieście, to jednak urządzona bardzo gustownie, jak zwykle gdy głos decydujący miała Antonia. Pięknie wymalowane cherubinki, wpadające w chmury i wylatujące z nich, zdobiły sufit, a ściany wyłożono warstwą złota. W oknach wisiały zasłony w bladobłękitnym kolorze, ulubionej barwie królowej, a marmurowe posadzki pokrywał wspaniały wełniany dywan, w który miękko zapadały się stopy.

Mógłby pewnie później wśliznąć się, niezauważony przez nikogo, do jej komnaty, ale nie, nie odwiedzi jej dzisiaj. Potrzebował czasu do namysłu. Siedział nieruchomo za biurkiem, ze wzrokiem wbitym w wiszący naprzeciw portret starego Ludwika XI. Król-pajak - tak nazywano go w piętnastym wieku, w czasie jego rządów, po części dlatego, że miał brzuchate ciało osadzone na patykowatych nogach, lecz również ze względu na to, że wytrwale i niestrudzenie odbudowywał Francję po serii buntów wybuchłych za panowania jego ojca.

„A jak teraz uzdrowiłbyś kraj, Wasza Wysokość?”

Nagle pewien pomysł zakiełkował mu w głowie, jak gdyby stary król odpowiadał mu przez pokój i przez wieki. Opróżnił karafkę wina, którą dostarczono mu do komnaty, po czym wyjął z biurka papier oraz pióro i rozpoczął pisanie pierwszego z serii listów, które miały pomóc mu zrealizować lęgnący się w umyśle plan.

Maria Antonina zdążyła dojść do siebie przed rozmową z Fersenem następnego dnia. Spotkali się w części ogrodów Tuileries, gdzie wysoko wznosiły się żywopłoty. Stroje królowej były coraz bardziej sfatygowane, choć ona sama była nadal idealnie wypielegnowana. Rozpoznał suknię - jedną z jej ulubionych - przeznaczoną do noszenia w Hameau. Chusta, którą do niej zakładała, była gdzieś tam lekko naddarta. Nie troszczono się w odpowiedni sposób o jej garderobę. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi?

Spacerowali po terenach Tuileries, które w krótkim czasie odświeżono, doprowadzając je do przyzwoitości, tak aby przechodniom nie wydawało się, że rewolucjoniści przetrzymują rodzinę królewską w okrutnych warunkach. Niestety, wewnątrz pałacu nie przywrócono dawnej wspaniałości i pewnie nigdy miano jej już nie oglądać. Ogrody stały się więc oazą spokoju i wytchnienia dla Marii Antoniny -lecz nie dzisiaj. Fersen robił, co mógł, by zaciekać ją białymi liliami burbońskimi, które próbowały wypchnąć główki nad ziemię. Odparła, że najwyraźniej kwiaty mają więcej swobody niż ona, więc porzucił konwersację i szedł tylko przy niej w przyjaznym milczeniu, aż doszli do sporej fontanny, pośrodku której trzy duże kamienne delfiny z zapałem tryskały wodą. Usiedli na brzegu zbiornika, by szum wody zagłuszył ich rozmowę, uniemożliwiając podsłuchiwanie.

- Sądzę, że wiem, jak wy dostać cię z kraju i przemycić do Austrii, ale będziesz musiała przekonać króla.

- Axel, wiesz, że on nie przyjmuje rad od nikogo, a już na pewno nie ode mnie. Ponadto straciliśmy władzę nad skarbcem, więc jak moglibyśmy przedsięwziąć jakiegokolwiek kroki?

- Mógłbym zyskać dostęp do poważnych sum pieniędzy. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak to?

- Zaufaj mi, Antonio. Teraz najistotniejsze jest, byś namówiła króla na to, co sugeruję, a mianowicie przygotowanie rodziny do potajemnego opuszczenia pałacu. Spakujcie tylko to, co niezbędne, a kosztowności zaszyjcie w wyściółce ubrań. Stworzę dla was nowe tożsamości. Jak by ci się podobało bycie guwernantką?

Maria Antonina, która nigdy nie zajmowała pozycji innej niż arcyksiężna, delfina czy królowa, zaśmiała się.

- Musicie być gotowi wyjechać natychmiast na mój umówiony sygnał. Zapewnię wam przewodników, zaufanych ludzi, którzy doprowadzą was do granicy, a tam przekażą pod opiekę austriackich oficjeli.

Królowa dostrzegła słaby promyk nadziei. Może uda im się umknąć przed niebezpieczeństwem. Komu miała zaufać, jeśli nie hrabiemu Fersenowi, najprzystojniejszemu, najlojalniej-szemu mężczyźnie, który kiedykolwiek zdobył swym urokiem jej dwór?

Wstali i ruszyli razem w kierunku pałacu. Zabawili w ogrodach dłuższą chwilę, więc królowa musiała pokazać się w środku, zanim ktoś zauważył, że zniknęła.

- Jestem gotowa zgodzić się na twój plan, choć absurdem jest, żeby król z królową porzucali tron i wykradali się ze swego kraju pod osłoną nocy jak para zwykłych złodziei. Czy jacyś monarchowie w historii byli równie prześladowani przez pecha co my?

- Wkrótce będzie po wszystkim i spotkamy się w Wiedniu. Stamtąd będziemy planować, jak wraz z królem moglibyście odzyskać władzę nad rządem, gdy tu wkroczą już oddziały austriackie i ugaszą rewoltę.

Jakby w odzwieciu na jego słowa biednie ubrany, nieogolony mężczyzna szwendający się pod bramą zajrzał przez gałęzie

żywopłotu i dostrzegł spacerującą parę. Rozpoznał królową i począł szydzić z niej, krzycząc:

- Austriacka zdzira! Żona piekarza! Wiesz, co tu o tobie myślimy? - I oddał mocz na krzewy.

Maria Antonina pozornie go zlekceważyła, ale Fersen widział, jak zbieleły jej zaciśnięte wargi. Zaprowadził ją jak najspieszniej do najbliższego wejścia do pałacu skrytego przed wścibskimi spojrzzeniami niewielkim portykiem. Nim pozwolił jej odejść w głąb fortecy, służącej jej chwilowo za dom, oplótł ją ramionami i złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

- A teraz... *au revoir*, Antonio. W jej oczach zalśniły łzy.

- *Au revoir*, kochany. Mam nadzieję, że nie zegnamy się na zawsze.

Pałac Tuileries, czerwiec 1791. Ludwik od miesięcy wahał się, co należało uczynić. Królowa prosiła i błagała, by zgodził się na ucieczkę z kraju. Próbowwała nawet wypowiedzieć wojnę Austrii, wiedząc, że to zmusiłoby Austriaków, by ruszyli zbrojnie na Francję, co z kolei dałoby rodzinie królewskiej szansę na emigrację do Wiednia. Ruch ten poczytany został za zdradę, co pogorszyło tylko ich sytuację. Służący patrzyli na nich z ukosa i z celową opieszałością wykonywali każde polecenie. Marii Antoninie zdarzało się czekać godzinę na tacę ze śniadaniem, a nie miała siły zwracać nikomu uwagi. Zachowywała cichy, pełen godności spokój, by zatuszować rosnące w niej napięcie.

To Axel Fersen przekonał wreszcie króla do próby ucieczki. Powiedział Ludwikowi, że udało mu się zgromadzić znaczącą kwotę, korzystając z pomocy emigrantów mieszkających obecnie w Anglii. Ludwik wypytywał hrabiego uparcie, jakimi sumami dysponują i jak udało mu się zdobyć pieniądze w tak krótkim czasie, lecz Szwed wykręcał się od odpowiedzi. Maria Antonina, nie bacząc na podobne szczegóły, wsparła Fersena, uświadamiając królowi, że niewiele czasu zostało, jeśli chcieli

podjąć próbę wydostania się z kraju. Ludwik wyraził wreszcie zgodę, lecz plan i tak skazany był na niepowodzenie.

Wykorzystując pieniądze z tajnego źródła, Fersen zdobył powóz, który miał wywieźć rodzinę królewską i jej najbliższych dworzan przebranych za zwykłych podróżnych poza Tuileries i wprost do Austrii. Hrabia sam eskortowałby ich podczas wyjazdu z Paryża, a potem, korzystając z pomocy lojalnych obywateli, przebyliby drogę do granicy i poza nią.

Wyruszyli w największej tajemnicy około północy dwudziestego czerwca 1791 roku. Wśród grupy uciekinierów doszło do wybuchu paniki, gdy królowa nie zjawiała się w ustalonym miejscu - przy rzadko używanej pałacowej bramie - o wyznaczonym czasie. Przybyła spóźniona o kwadrans, tłumacząc, że najpierw nie mogła się pozbyć towarzystwa dam dworu, a potem, już w drodze, zorientowała się, że zostawiła na sofie Lalkę de Lamballe i musiała po nią wrócić. Axel skarcił ją za brak odpowiedzialności, po czym poprowadził rodzinę królewską do masywnego powozu utrzymującego w podróży równe tempo dziesięciu kilometrów na godzinę. Niestety, tragedia była nieunikniona. Doprowadził do niej szereg niefortunnych wypadków: pękła uprząż, zawiódł książę de Choiseul, który miał czekać na nich w miasteczku Somme-Vesle i użyczyć im zbrojnej eskorty do Austrii, a na jednym z postojów ktoś rozpoznał Ludwika. Niestety, zdradzał ich też sam powóz. Była to wspaniała karoca, idealna dla monarchów, lecz nie dla rodziny o skromnych środkach, za którą mieli uchodzić. Im bardziej oddalali się od miasta, tym bardziej rzucali się w oczy.

Wreszcie, niespełna siedemdziesiąt kilometrów od granicy austriackiej, w małej miejscinie o nazwie Varenne, dopadli ich rewolucjoniści. Odprowadzono ich do Paryża, gnając drwiącymi krzykami.

Prasa natychmiast sportretowała Ludwika jako bezradne prosię, któremu zależy tylko na jedzeniu. Królowa, która nigdy nie była zbyt popularna, teraz została dodatkowo obarczona winą za próbę ucieczki króla. Doczekała się karykatury w postaci harpii żądnej krwi ludu, którym włada.

Londyn, wrzesień 1791. Pewnego dnia przed sklep zajechał powóz, na którego drzwiczkach widniał herb dynastii Hanowerów. Wsiadł z niego chudy jegomość w peruce i okularach, ubrany z przesadną elegancją. Claudette powitała go wyćwiczonym we Francji ukłonem.

- Ekhem, tak - zaczął. - Przybywam z zamku Windsor. Mam dla pani zamówienie od Jej Wysokości Królowej Szarlotty. Królowa słyszała o pani - jak to je nazywają - „*grandę* panierkach”... i życzy sobie wejść w posiadanie jednej z nich.

- Proszę wybaczyć, *sir*, ale... co takiego?

- Nie znam dokładnej ich nazwy. Chodzi o te dorosłe figury.

- Tak, naturalnie. Będzie dla nas zaszczytem wykonać zlecenie Jej Wysokości. Czy lalka ma przedstawiać kogoś konkretnego?

Posłaniec zawahał się.

- Hm, cóż, w zasadzie nie ma być ona do użytku królowej. Pani zamawia ją z myślą o królu. Hm, cóż, jest to sprawa wysoce niezręczna - westchnął. - Cóż, zapewne większość ludzi w Anglii słyszała już o... dziwactwach Jego Królewskiej Mości, rozmowach prowadzonych z drzewami... i tym podobnych. Dobra królowa uważa, że taka figura mogłaby zapewnić, hm, towarzystwo Jego Wysokości, gdy ma on gorszy dzień.

- Rozumiem. Może więc *grande Pandore* przedstawiająca pana Pitta?

Twarz mężczyzny rozświetliła się cała.

- O, tak, to z pewnością wielce spodoba się królowej. Claudette wypisała potwierdzenie zamówienia i podała je

mężczyźnie. Zgodził się przysłać kogoś po odbiór lalki po upływie dwóch miesięcy.

Marguerite okazała się bardzo pomocna w przypadku tego zlecenia. Wpadła na pomysł, by Claudette poradziła się Marie Grosholtz w sprawie stworzenia jak najbardziej realistycznej woskowej twarzy, zdolnej przechytrzyć umysł króla i przekonać go, że jego przyjaciel i powiernik pan Pitt naprawdę jest

przy nim podczas tych ciężkich okresów, kiedy błąkał się gdzieś daleko od rzeczywistości.

I znów, jak za czasów gdy pracowały nad Lalką de Lamballe, Claudette i Marie wymieniały korespondencję. Rzeźbiarka krok po kroku prowadziła przyjaciółkę przez proces modelowania twarzy z wosku. Marguerite z zapałem włączała się w eksperymenty z topieniem wosku, lecz spod jej niedoświadczonych palców wychodziły najczęściej wielkie grudy i kluchy. Niezrażona niepowodzeniami wesoło ponawiała próby pod okiem ciotki Claudette. Béatrice cieszyła się, że córka odnajduje się w warsztacie lalkarskim i popierała jej zaangażowanie.

Nawet Williama zaintrygowało zlecenie wykonania *grande Pandore* mającej polepszyć samopoczucie króla i często odwiedzał sklep, by przyjrzeć się postępowi prac.

Ukończoną lalkę zawinięto w grubą czarną tkaninę, tak aby żaden przechodzień nie rozpoznał w niej pana Pitta, istniała bowiem obawa, że ktoś wówczas domyśliłby się, w jakim celu stworzono owego manekina. Aby dmuchać na zimne, królewscy posłańcy zjawili się po odbiór figury jeszcze przed świtem. Załadowali obleczonego całunem pana Pitta na specjalny wózek i zawieźli do jego nowej siedziby. Nikt się nie zorientował.

Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu niedługo po wykonaniu zlecenia Claudette otrzymała królewskie świadectwo wykonywania „lalek o niezrównanej jakości”. Pozwolono jej umieścić w witrynie herb dynastii Hanowerów.

- To już niedługo! - oznajmił William pewnego wieczoru, gdy spożywali kolację w gospodzie. - Nie każdy może się pochwalić znakiem Hanowerów. Wkrótce twój sklep będzie miał taką pozycję na rynku, że będziesz mogła oddać go pod opiekę Béatrice, a my wreszcie się pobierzemy!

- A właśnie, w tej sprawie... - zaczęła, odkładając widelec.

- O, nie, panno Laurent, już nie dam się dłużej zbywać! Przerzucę cię sobie przez ramię i sam zaniosę do pastora Daniela, jeśli zajdzie taka konieczność!

Uśmiechnęła się.

- Nie, nie trzeba. Zastanawiałam się tylko nad Marguerite. Wykazuje takie zainteresowanie lalkarstwem, że może to jej pieczy powinnam powierzyć warsztat i sklep.

- Ale co z Béatrice? Była twoją współpracowniczką w całym przedsięwzięciu od samego początku.

Claudette podniosła sztucce i przez chwilę dłużyła w resztkach cieleciny w śmietanie.

- To prawda i zawsze zamierzałam zostawić interes właśnie w jej rękach. Odnoszę jednak wrażenie, że wcale nie marzy o prowadzeniu sklepu i że będzie szczęśliwsza, widząc córkę w roli kierowniczkę. Pragnę więc powiedzieć, że potrzeba mi jeszcze odrobiny czasu, bym przed naszym ślubem mogła się upewnić, że podejmuję właściwą decyzję co do dzieła mojego życia.

- Dobrze więc. Odrobina czasu, tyle mogę ci ofiarować. Nie mogę się jednak doczekać, aż zamieszkaż ze mną w Hevington. I wiesz, mali Greycliffowie sami nie przyjdą na ten świat...

Claudette splonęła rumieńcem, słysząc, jak porusza taki temat w miejscu publicznym.

- Możliwe, że z początku będę musiała spędzać więcej czasu w Londynie... Tylko dopóki Béatrice i Marguerite nie poczują się swobodnie bez mego wsparcia.

Królewski certyfikat zwiększył sprzedaż pięciokrotnie, jako że wszyscy pragnęli robić zakupy tam, gdzie zaopatrywała się rodzina królewska. Wreszcie spełniała marzenie ojca, była bezpieczna, otoczona miłością Williama, miała wokół przyjaciół.

Nic złego nie mogło się już zdarzyć.

Axel Fersen wszedł do spowitej mrokiem komnaty i poprawił ściskany pod pachą pakunek, by zaryglować drzwi. Nie mógł sobie pozwolić na przypadkowe wtargnięcie sługi.

Złożył owiniętą szpagatem paczkę na biurku i zapalił lampę olejną, jedyny przedmiot stojący na bogato zdobionym, lecz pustym meblu.

Pakunek - wypukły i o nierównym kształcie - obwiązany był szpagatem. Trzeba będzie zganić dostawcę za niestaranne opakowanie. Zawartość wymagała skrzynki. Cierpliwie rozwiązywał węzły. Nagrodą po rozsypłaniu wszystkich było stwierdzenie, że towar dotarł do niego w nienaruszonym stanie. Dzięki Bogu, bo zdobycie go obarczone było wielkim ryzykiem. Rozpostarł idealnie wypielegnowane dłonie nad swym skarbem, czując, jak porywa go fala triumfu.

Uda się. Królowa będzie bezpieczna.

ROZDZIAŁ 24

Paryż, 15 kwietnia 1972. Celnicy dwoili się i troili, dokonując inspekcji pakunków i transportów przybywających do Paryża z odległych stron. Wszędzie panował chaos. Rzekomo prace miały na celu oszacowanie podatku, jakiemu podlegały przywożone towary. W istocie był to jednak skorumpowany system, gdzie urzędnicy kradli, cokolwiek wpadło im w oko, i przyjmowali łapówki od importerów, którym zależało, by ich towary uniknęły kontroli.

Inspektor Severin nie pełnił obowiązków na głównym piętrze. Miał wyjątkową pozycję. Ukryty w przestronnym pomieszczeniu z dala od zamieszania i zgiełku wykonywał konkretne, wymagające skupienia zadanie - przeglądał pudła i skrzynie zmierzające do którejkolwiek z królewskich rezydencji. Żmudne było badanie każdej paczuski w poszukiwaniu podejrzanych zapachów, wybrzuszeń czy dźwięków. Jeśli coś wydało mu się nie w porządku, miał to natychmiast zgłosić swemu przełożonemu, który z kolei bezzwłocznie powiadomiłby Robespierrea. Problem polegał na tym, że nikt dokładnie nie wyjaśnił mu, co było „w porządku”, a co nie. Jak dotąd przesyłki zawierały jedynie olbrzymie zwoje jedwabiu i atlasu, kilometry koronek i świeże owoce, na które przeciętny obywatel nie mógłby sobie pozwolić, nawet gdyby przeznaczył na nie całoroczny dochód. Inspektor Severin co jakiś czas uszczknął sobie trochę towaru, zakładając, że nikt nie spostrzeże drobnego braku. I tak zrzędliva żona urzędnika wzbogaciła się o porcelanową ozdóbkę, a ponury syn o drewnianą zabawkę. Kawałki znakomitych tkanin i lamówek inspektor odkładał dla swej kochanki Camille.

Severin nie był szczególnie oddany Robespierre'owi, przywódcy jakobinów i wschodzącej gwiazdzie Zgromadzenia Narodowego. Nie był też specjalnie przywiązany do uwięzionej królewskiej pary. W gruncie rzeczy w ogóle nie interesował się polityką. Był biurokratą skupionym tylko na awansie, wypatrującym, skąd powieje korzystny wiatr. Obecnie frakcja Robespierre'a zdawała się zajmować dominującą pozycję, więc inspektor miał nadzieję, że jego praca na rzecz Zgromadzenia zostanie odpowiednio uhonorowana. Kupi wtedy wiecznie niezadowolonej żonie, bezustannie psioczącej na brak rozwoju jego kariery, większy dom w mieście, może na rue Saint-Louisenlle. Severin zachichotał, planując, jak urządzi Camille w swoim dotychczasowym domu w pobliżu stanowiska celników, by móc odwiedzać ją bez trudu, dyskretnie i tak często, jak będzie miał na to ochotę, nie dając żonie żadnych powodów do podejrzeń.

Choć inspektor czerpał z pracy wymierne korzyści, był zawiedziony, że nie trafiło mu się dotąd nic na tyle ważnego, by nadawało się do zgłoszenia Robespierre'owi. Pochwała z jego strony mogła wiązać się z awansem, wyższą pensją, lepszym stanowiskiem. Na razie musiał jednak brnąć przez dni wypełnione węszeniem, grzechotaniem i macaniem. Wzdychając ciężko, sięgnął po kolejny pakunek.

Cóż, bez wątplenia kolejne niepoważne prezenty dla królowej, od równie niepoważnych przyjaciół-emigrantów, którzy czmychnęli z kraju przy pierwszych oznakach nadciągających kłopotów. Paczka była z Londynu i sporo ważyła jak na swój rozmiar. Potrząsnął nią lekko, na co pakunek odpowiedział dziwnym grzechotem. Może warto dokładniej się temu przyjrzeć.

Wewnątrz paczki znajdowało się długie pudełko przewiązane aksamitną wstążką. Rozwiązał ją i zdjął pokrywę... Znów jedna z tych piekielnych lalek, do których Maria Antonina miała taką słabość. Ubrana była w wyszukaną suknię, taką, którą Camille z pewnością nazwałaby „stylową”. Może by jej się spodobała? Obrócił lalkę, by obejrzeć ją ze wszyst-

kich stron, i nagle wysliznęła mu się z ręki. Uderzając o podłogę, figurka rozpadła się na dwie części - drewniana głowa oddzieliła się od reszty ciała i z wydrążonego korpusu lalki trysnęła kaskada rubinów, szafirów, brylantów i angielskich monet. Co takiego, u licha? Kosztowności były warte tysiące liwrów! W pierwszym odruchu rzucił się zbierać klejnoty i pieniądze, by ukryć je dla siebie. Lecz kiedy przyjrzał się dłoniom pełnym lśniących kamieni, zastanowił się. Jak miałby spieniężyć te skarby, nie wywołując w Paryżu zdziwienia? Zgromadzenie Ustawodawcze bacznie przyglądało się wszelkim transakcjom i z pewnością nie przymknęłoby oka na jakikolwiek ruch mogący oznaczać nielegalną działalność. Może warto byłoby skorzystać z nadarzającej się okazji w o wiele lepszy sposób? Wreszcie miał coś, co z pewnością zainteresuje Robespierrea.

Maximilien de Robespierre stał za biurkiem, zza którego roztaczał się widok na północny ogród Tuileries. Okulary zsunęły mu się na czubek spiczastego nosa wystającego z wąskiej kościstej twarzy. Zza szkieł wyzierały zimne zielone oczy, przerażająco niewrażliwe i bez wyrazu. Biurko wykonane zostało specjalnie dla Marii Antoniny. Błat pokryty był cieniutką warstewką złota, a na bokach widniały malowane ptaki usadowione na gałęziach drzew. Robespierre wydawał się nie na miejscu tu, za eleganckim biurkiem, przeglądając pakiet obciążających dokumentów, które właśnie mu dostarczono. Wolał nie siadać na bogato zdobionym krześle. W czasie pracy zwykle stał. Robespierre, który zaczynał karierę jako prawnik z Arras zwany „Nieprzekupnym” ze względu na swą bezgraniczną uczciwość i surowe przestrzeganie zasad, potrafił długo pracować bez zmrużenia oka. Widywano go często, jako różnych porach dnia i nocy przemierza Tuileries wzdłuż i wszerz. Młody republikański rząd zezwalał na to, choć pałac był nadal częściowo zajęty przez króla i królową. To stąd Robespierre doglądał spraw Zgromadzenia. Zainspirowany idealizmem Rousseau, jako jedyny

cel stawiał sobie wprowadzenie Cnoty. Należało ją osiągnąć wszelkimi środkami, najlepiej poprzez rozlew krwi, tak by za jej pomocą zmyć zło. Miał się dopiero przekonać, że potrzebami ludu Francji były jedzenie i bezpieczeństwo, nie lekcje moralności i wyrzeczeń.

Robespierre segregował dokumenty, rozkładając je na biurku Marii Antoniny. Zgrzybiały nadworny ślusarz nazwiskiem Gamain przekazał mu wiadomość, że w królewskich komnatach w Tuileries znajdowała się żelazna skrzynia „godna uwagi”. Majster własnoręcznie wykonał ów sejf na życzenie Ludwika XVI i wiedział z całą pewnością, że jest po brzegi wypełniony tajemną dokumentacją króla. Wśród dokumentów można znaleźć obciążające pisma wskazujące na organizowanie kontrrewolucji poprzez próby ucieczki z Francji w celu zebrania oddziałów w Austrii. Robespierre posłużył się podstępem, zezwalając rodzinie królewskiej i dworzanom na urządzenie uroczystej, wykwintnej kolacji w swym gronie. W tym czasie jego oficerowie włamali się do gabinetu króla i odnaleźli skrzynię. Listy, dokumenty i mapy dowiodły prawdomówności Gamaina.

Odkryta dokumentacja zbytnio Robespierrea nie zaskoczyła. Czoło zmarszczył dopiero na widok zaszyfrowanego listu pochodzącego z nieznanego źródła, a oznajmiającego, że fundusze na ucieczkę przekazane zostaną królewskiej parze szczególnym transportem. W połączeniu z ciekawym znaleziskiem inspektora Séverina... cóż, nawet Robespierre, szczycący się umiejętnością zachowania kamiennego spokoju w każdej sytuacji, tym razem był zszokowany bezbrzeżną zuchwałością przemytników, którzy dostarczali królowi i królowej pieniądze i kosztowności.

W odpowiedzi na ostre pukanie do drzwi warknął „wejść”. Do pokoju wkroczył jeden z jego nowych powierników.

- Obywatelu Robespierre, wzywał mnie pan? - spytał przybysz, stając naprzeciw biurka.

- Owszem, mam dla ciebie ciekawe zadanie. Trzeba wytropić pewnego wroga Francji. - Wyjaśnił mężczyźnie, jakiego

dokonano odkrycia i czego życzył sobie w związku z nim. Powiernik wydawał się nieco zaskoczony informacją, lecz z radością przyjął wskazówki Robespierrea.

- *Liberté! Egalité! Fraternité!* - krzyknął na pożegnanie, opuszczając ociekającą złotem komnatę.

ROZDZIAŁ 25

Londyn, 30 czerwca 1792. Lizabut stawała się coraz częstszym gościem w domu i sklepie Claudette. Wraz z Béatrice, a czasami i Marguerite, chodziły razem na zakupy i do restauracji. Elizabeth była zawsze w centrum uwagi, zasypując towarzyszkę opowieściami o podróżach na Kontynent. Jej największym zmartwieniem był niezmiennie ślub.

- A dlaczego ta laleczka nie jest jeszcze wydana za jakiegoś majątnego hrabię, Claudette? Czy twój dżentelmen nie ma żadnych odpowiednich znajomości? - spytała Lizabut, głaszcząc po buzi zalewającą się rumieńcem Marguerite. Żegnały się właśnie przed sklepem.

- Kochana! Ma dopiero piętnaście lat.

- W sam raz! Nigdy nie jest za wcześnie, by rozpocząć poszukiwania.

Zwykle speszona dominującą osobowością przyjaciółki, tym razem nawet Béatrice nie zmilczała jej uwag.

- Claudette i ja obie znalazłyśmy partnerów z miłości i tego samego pragnę dla córki.

- Och, brednie! Dziewczynka jest już prawie kobietą, do tego zabójczo piękną z tymi swoimi kasztanowymi lokami. Lepiej znajdź jej męża, który zapewni ci komfort na starość, moja droga.

- Starość? - wykrztusiła Béatrice, po czym rozkaszała się na dobre.

- Dziękuję, panno Lizabut, ale nie planuję małżeństwa. Zostanę wielką lalkarką jak ciocia Claudette i nie potrzebuję męża, by to osiągnąć.

Claudette stłumiła wybuch śmiechu, rozpoznając własną zaciętość w założonych ramionach i uniesionym podbródku Marguerite.

- Nie chcesz męża? - nie dowierzała Elizabeth. - No, no, taka z ciebie dzielna stara panna? Nic to, nie będę zatem wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

Claudette zaprosiła Lizabut, by udała się wraz z nią i Williamem na sztukę Sheridana pod tytułem *Szkoła obmowy* do Théâtre Royal. Nikomu nie powiedziała jeszcze o zaręczynach, lecz rozważała wyjawienie tajemnicy tego wieczoru. Gdy siedzieli w łoży i w oczekiwaniu na spektakl popijali likier wiśniowy, Claudette była świadkiem, jak przyjaciółka nachalnie flirtuje z Williamem. Na ogół pełen galanterii, tym razem nie wytrzymał i stanowczo odtrącił jej umizgi. Elizabeth z furią poruszała wachlarzem, próbując ukryć zażenowanie. Ochłonawszy nieco, uśmiechnęła się słodko do Claudette.

- *La, chérie*, twój dżentelmen nie ma za grosz poczucia humoru, prawda?

Claudette skryła uśmiech za kieliszkiem. Może jednak poczeka z ogłoszeniem swych zaręczyn. Lizabut trajkotała już o nowym sklepie z kapeluszami, który odkryła niedawno, prowadzonym przez - wyobraźcie sobie! - polskiego imigranta. Wreszcie kurtyna poszła w górę.

Kilka dni później Elizabeth wpadła do sklepu w bladobłękitnym kapeluszu modnie przechylonym na bakier na jej ciemnych lokach. Do ronda kremową wstążką przywiązany był bukietek lawendy pachnący tak intensywnie, że otulał kobietę jak aksamitna kołderka. W dłoni trzymała małą paczuszkę.

- Claudette, właśnie to przejęłam.

Claudette odebrała przesyłkę z jej rąk. W środku znalazła dwa listy - jeden zaopatrzony był znajomą królewską pieczęcią,

na drugim widniało jej nazwisko napisane ręką Jeana-Philippea. Otworzyła kopertę od królowej. List był bardziej osobisty niż poprzedni i monarchini pytała w nim, czy droga lalkarka nie pofatygowałaby się do Francji, by pocieszyć zasmuconą władczynię. Maria Antonina oferowała jej mieszkanie i warsztat w Tuileries, z których mogłaby przez krótki czas skorzystać, wykonując lalki przedstawiające pozostałe damy dworu.

- Czy królowa mieszka nadal w Tuileries? - spytała. Lizabut czytała jej przez ramię.

- Z pewnością tak. Zgodzisz się, Claudette? Taka ekspedycja wydaje się niebezpieczna. Co powie William po powrocie do domu?

William wyjechał na tydzień, by obejrzeć ogiery kuców walijskich, które chciał kupić do swych stajni w Hevington.

- Wyślę mu wiadomość, żeby wiedział, dokąd się udałam. Zrozumie.

- Skoro tak twierdzisz - Elizabeth wydawała się nieprzeko-nana. - A ten drugi list?

- Zajrzę do niego później.

„Później” nadeszło dopiero po wielu godzinach, gdy wróciła wreszcie do swego mieszkania. Lizabut jak zwykle absorbowwała ją w całości swoją osobą, dopóki nie opuściła sklepu, a zaraz potem napłynęli klienci, zjawiając się nieprzerwanie aż do dziewiętnastej, kiedy wreszcie zamknęła drzwi na klucz. Zjadła kolację w towarzystwie Béatrice w ich wspólnym saloniku i dopiero wówczas pośpiesznie udała się do siebie, by przeczytać list od Jeana-Philippea.

Najdroższa Claudette!

Mam nadzieję, iż masz się dobrze. Z listu królowej dowiesz się, w jak wielkiej jest potrzebie przyjaciół i że wielce rada byłaby zobaczyć się z najświetniejszą lalkarką Europy. Z pewnością dotarły do Ciebie słuchy, że Francja przeżywa obecnie okres pewnych niestałości, lecz niech nie będzie to Twoim zmartwieniem. Chciałbym osobiście eskortować Cię do Francji, by służyć Ci jako przewodnik i stróż w czasie podróży.

Nie kochasz mnie już, wyraziłaś się jasno. Może jednak okażesz mi tę łaskę i zgodzisz na moją propozycję na znak naszej przyjaźni?

W dalszej części listu podane były szczegóły podróży oraz dokładna data jego przyjazdu, by towarzyszyć jej w drodze do Francji. „Jakiż on zuchwały”, pomyślała. Czuła jednak dziwne podekscytowanie. Jean-Philippe zaznaczył przecież jasno, że będzie tylko jej eskortą, aby czuła się bezpieczna, jadąc przez wzburzoną Francję na spotkanie z Jej Królewską Mością. List zakończył dalszymi zapewnieniami, że jego intencje wobec niej ograniczają się do zachowania przyjaźni.

- Zrobię to - rzekła na głos.

ROZDZIAŁ 26

15 lipca 1792. Powóz z hurgotem zatrzymał się w porcie w pochmurne, lecz ciepłe popołudnie. Claudette uderzona została falą smrodu - zapachem wody morskiej, gnijących odpadków i niemytych mężczyzn - która sprawiła, że przed oczami znów stanęła jej dawna podróż z Paryża do Londynu.

Jolie kolejny raz udowodniła, jak wielkim jest skarbem. Zbierając się w pośpiechu, Claudette kazała dziewczynie przysiąc, że nie zdradzi jej przed Beatrice, by nie błagała przyjaciółki o zaniechanie wyjazdu. Jolie zmarszczyła tylko brwi, ale zgodziła się i pomogła swej pani się spakować. Była w tym absolutną mistrzynią. W niewielkiej walizie i dwóch niedużych kufrach zmieściła tyle rzeczy, że Claudette mogłaby spędzić we Francji dużo więcej czasu, niż zamierzała.

Claudette wręczyła służącej listy do Williama i Beatrice i znów wymogła na niej obietnicę, że przekaże je zainteresowanym dopiero dzień po jej wyjeździe, tak by była już bezpiecznie we Francji, gdy otworzą koperty.

- *Madame*, czy podczas pobytu spotka się pani z *monsieur* Renaudem?

- Cóż, Jolie, nie zajmuj się takimi sprawami. Jadę spotkać się z królową. Naszą królową Francji, pamiętasz?

Wielkie, sowie oczy Jolie wpatrywały się w nią z namysłem.

- Co mam powiedzieć *monsieur* Greycliffe owi? Bez wątpienia będzie ode mnie oczekiwał więcej informacji, niż zawarła pani w liście.

- Nie wiesz, co napisałam.

- Nie, *madame*, ale niezależnie od tego, jestem pewna, że będzie chciał wiedzieć więcej niż to, co znajdzie w liście.

Bezczelna dziewczyna! Jednak twarz Claudette spłonęła z zakłopotania.

- Powiedz mu to, co wiesz, czyli że królowa wezwała mnie do siebie i że udałam się do Francji, by przez jakiś czas jej towarzyszyć. Wyjaśnię mu wszystko, gdy wrócę. - Odwróciła się szybko, by sobie oczy nie wyczytały już nic w głębi jej własnych.

Cieszyła się z perspektywy powrotu do Francji. Wpatrując się w tłum osób oczekujących przy trapie Maidens Glory, Claudette spostrzegła Jeana-Philippea pogrążonego w rozmowie z kapitanem.

- Jeanie-Philippie! Tu jestem! - krzyknęła, machając z zapalem.

- A, Claudette, co za radość znów cię widzieć. - Jean-Philippe podszedł do niej z uśmiechem na ustach. - Zapewniam, że zaopiekuję się tobą w czasie tej podróży i odwiozę z powrotem. Dopilnuję, byś nie doznała najmniejszego uszczerbku na zdrowiu czy zachwycającej urodzie. - Sięgnął po jej torbę, zaoferował ramię i razem nieśpiesznie ruszyli w stronę statku.

Jean-Philippe dopilnował już wszelkich formalności związanych z wynajęciem kajuty.

- W drodze do Anglii spędziłem sporo czasu z kapitanem Petersenem, pozwalając mu kilkakrotnie ograć się w karty, by zapewnić ci najwygodniejszą kwaterę, Claudette. Pozostały bagaż już zniesiono na dół, ale nie zajmujmy się tym na razie. Czy zgodzisz się na przechadzkę po pokładzie, zanim odbijemy?

- Z przyjemnością. Nie płynęłam jeszcze tak wielkim statkiem. Gestem, który należał do ich wspólnej przeszłości, Jean-Philippe zatknął jej przedramię w zgięciu swego prawego łokcia, a dłonią troskliwie przykrył jej dłoń. Spacerowali spokojnie. Na wysokości pokładu, przy lekkiej bryzie, nie czuli już smrodu przytłaczającego port.

- Jeanie-Philippie, zdaje się, że wiatr się wzmaga.

- Hm, tak, rzeczywiście wieje coraz mocniej. Ale nie martw się, moja turkaweczko, to potężny statek i poradzi sobie nawet z niepogodą.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy zwrócił się do niej starym przewiskiem, ale pomyślała, że pewnie zrobił to bezwiednie.

Niestety, zmienił się kierunek wiatru i niespodziewanie duży sztorm zbliżał się ku wybrzeżu, co zmusiło kapitana do opóźnienia rejsu o jeden dzień. Podeszedł do Claudette i Jeana-Philippea, którzy stali na pokładzie, i przerwał im rozmowę:

- *Pardon, monsieur*, chciałbym poinformować pana i *madame* Renaud, że zostaniemy w porcie najpewniej do jutra, by przeczekać sztorm. Zalecałbym, aby nie oddalali się państwo od statku, a najlepiej pozostali na pokładzie, gdyż wypłyniemy bezzwłocznie po przejściu burzy. - Mrugnawszy porozumiewawczo w stronę Jeana-Philippea, kapitan poszedł dalej nieść nowinę pozostałym pasażerom.

Claudette poczuła niepokój na myśl o pozostaniu na przycumowanym statku o dzień dłużej, lecz jeszcze mniej przyjemnym zaskoczeniem był sposób, w jaki zwrócił się do niej Petersen.

- Jeanie-Philippie, dlaczego kapitan odniósł się do mnie jako twojej żony?

- Och, Claudette, aby dostać dwie najlepsze kajuty na statku musiałem zapewnić go, że jesteś moją ukochaną panną młodą, która wraca ze mną z Anglii do Francji. Dzięki temu, że przegrałem parę groszy w karty, zjemy też z kapitanem przy jego stole, zamiast z resztą pasażerów. Proszę, nie złość się. Zdecydowałem się na to, aby podróż upłynęła ci jak najmilej. Musisz tylko udawać przed ludźmi na statku, że jesteście małżeństwem, nic więcej. Mamy oddzielne kajuty.

Claudette nie czuła się komfortowo w tej sytuacji, ale w gruncie rzeczy nie widziała przeszkód, żeby spełnić prośbę Jeana-Philippea.

Następnych kilka godzin spędzili, spacerując po pokładzie, gawędząc z pasażerami i obserwując, jak do portu wpływa inny statek, by wysadzić podróżnych i wyładować pocztę. W porze obiadowej, zgodnie z zapowiedzią Jeana-Philippea, kapitan zaprosił ich do swojego stolika. Podczas posiłku, suto

zakrapianego najznakomitszym bordo z zapasów kapitana, Jean-Philippe zabawiał obecnych, głównie przedstawiciele załogi, opowieściami o francuskim dworze.

- Król miał tylu służących, którym przypadł w udziale zaszczyt obsługiwania go przy czynności ubierania się, że niejednokrotnie trząsał się z zimna, stojąc nago pośrodku sypialni, zanim jego koszula przeszła przez ręce tuzinów dworzan, by móc wreszcie trafić na jego grzbiet. A wszystkie te darmozjady opłacane były z państwowej kiesy! Kryminał!

Claudette przyłożyła dłoń do ust, by zakryć uśmiech. Wiedziała, jaka skryta i nieśmiała była natura monarchy, rozumiała więc, że król wolał znosić dyskomfort, niż pozwolić, aby któryś z jego poddanych poczuł się urażony. Jean-Philippe uniósł kieliszek, dając znak, że życzy sobie dolewki.

- Prapradziadek Ludwika, Król-Słońce, dał początek niektórym z tych absurdalnych zwyczajów. Organizował uczyty złożone z setek potraw, a każda musiała być podana przez inną osobę. Tymczasem większość ludności cieszyła się, jeśli miała na stole bochen chleba i trochę baraniego tłuszczu dla okrasy. Od mężczyzn nie oczekiwano męskości. Dworzanie, wielu z nich na bardzo wysokich stanowiskach, nie otrzymywali od władcy żadnych zadań innych niż pisanie listów, wygłaszanie przemówień, uprawianie szermierki i wirowanie w tańcu. Czy można się dziwić, że rząd znalazł się w opłakanym stanie?

Przechylił kieliszek, by wysączyć trunek do ostatniej rubinowej kropli, po czym zawołał:

- Więcej wina tutaj, *sil vousplait!* - Ogarnął nową butelkę wygłodniałym wzrokiem, po czym nalał sobie i Claudette po pełnym kieliszku. Dziewczyna zaczynała czuć się nieswojo.

-Wzmocnij się, *madame* Renaud, gdyż przeprawa do Francji może okazać się wyczerpująca - rzekł, pijąc wino duszkiem i coraz bardziej niezdarnie. Trochę trunku wylało mu się na koszulę.

- Jeanie-Philippie, dzieliłeś się z nami takimi zajmującymi historiami. Może dość już wypiliśmy, ale z pewnością nie dość nam jeszcze opowiedziałeś.

Nachylił się do niej na tyle blisko, że czuła woń alkoholu w jego oddechu i widziała, jak błyszcza mu oczy, i wycharczał:

-*Madame*, nie tobie decydować za Jeana-Philippea Renauda. Tu ja jestem panem twojego losu, nie odwrotnie.

Claudette zachłysnęła się aż, lecz szybko wrócił jej rezon.

- Oczywiście, *mon cher*, jak sobie życzysz. - Było jej niedobrze. Co się z nim działo? Dlaczego tyle pił? Gdzie podziały się jego nienaganne maniery?

Jean-Philippe rzeczywiście snuł dalej swe historie, przyjmując jednak bardziej jadowity ton.

- Królowa... ba, austriacka dziwka. Pociąga za sznurki Ludwika Kapet, tej pękatej kukły. A cały czas ma przy sobie kochanków i kochance... Wszyscy wiedzą o tej de Lamballe. Łączy je coś więcej niż niewinna przyjaźń. Pewnie król przygląda im się, gdy są razem. - Jean-Philippe zachichotał, zadowolony z własnej bystrości. - Tak, podgląda sobie królową z jej damami dworu, a potem wraca do siebie, by dłużyć w swoich zamkach i innych zabawkach, bo małżonka go nie pożąda, o nie, jej gusta biegną w inną stronę.

Claudette siedziała całkiem zeszywniała. Jean-Philippe rozpowszechniał obrzydliwe kłamstwa! Kto go do nich przekonał? Był przecież zaufanym członkiem królewskiej świty, sownie wynagradzanym za swą służbę. Dlaczego zdradzał króla i królową?

Rzucając okiem na pełny kieliszek Claudette, Jean-Philippe kiwnął do niej.

-*Madame*, nie jesteś spragniona? - Potrząsnęła głową w milczeniu. - Dobrze więc, poczęstuję się i twoim winem. - Rozbawiony znów własnym dowcipem, porwał kieliszek i wychylił jego zawartość dwoma długimi haustami. Następnie wytarł usta wierzchem dłoni i wstał, niepewnie trzymając się na nogach. - *Madame* Renaud, czas udać się do naszej kajuty.

Skamieniała ze strachu Claudette rozejrzała się po towarzystwie przy stole. Na nikim dziwne zachowanie Jeana-Philippea nie robiło najmniejszego wrażenia. Pewnie niejedną wieczór spędzili nad butelką. Wstała równie chwiejnie jak on,

lecz nie pod wpływem alkoholu, a przerażenia. Rozpaczliwie zawołała do kapitana:

- Jeśli jeszcze nie wypływamy, może moglibyśmy spędzić noc w mieście? - Miała nadzieję, że jeśli sprowadzi Jeana-Philippea ze statku, uda jej się go otrzeźwić.

Rzucając jej lubieżne spojrzenie, Petersen odparł:

- Wiatr już ustaje, wypłyniemy przed świtem. - A wyczuwając zdenerwowanie Claudette, dodał: - No, no, *madame*, chyba nie obawia się pani jurności świeżo upieczonego męża? - Towarzystwo przy stole wybuchnęło gromkim śmiechem. Zachęcony zbiorową wesołością, kontynuował: - *Monsieur* zapewniał mnie, że z kajuty w najodleglejszym krańcu statku nie powinny nas już dobiegać pani jęki rozkoszy, żebyśmy nie tracili snu z zazdrości! - Jego wypowiedź znów skwitowano rechotem.

Myśli przebiegały przez głowę Claudette z prędkością błyskawicy. Najbardziej oddalona kajuta? Co to miało znaczyć? Z czasów swej pierwszej przeprawy przez Kanał wiedziała, że pomieszczenia w dalszej części statku były ciasniejsze, hałaśliwsze i brudniejsze. Powinna była wymóc na Jeanie-Philip-pie, aby zaprowadził ją do kajuty, gdy tylko weszli na pokład, by mogła zobaczyć panujące w niej warunki.

Wytrącając ją z zamyślenia, Jean-Philippe chwycił jej ramię i uchylił kapelusza przed kapitanem i jego gośćmi.

- Drodzy panowie, opuszczamy was teraz i przyłączymy się znów jutro na bardzo obfite śniadanie. Jestem przekonany, że oboje będziemy głodni jak wilki.

Pociągnął Claudette za sobą i wyszli z jadalni na korytarz. Wyrwała się z jego uścisku i zażądała:

- Jeanie-Philippie, wyjaśnij mi natychmiast, co to wszystko ma znaczyć. Dlaczego moja kajuta znajduje się gdzieś w czeluściach statku? Dlaczego poniżyłeś mnie przed kapitanem i całym towarzystwem? I jakim prawem oczerniasz króla i królową?

Przez chwilę stał bez ruchu, przyglądając się z namysłem jej trzęsącej się z gniewu postaci. Wyraźnie było widać, jak

bardzo jest przerażona, lecz strach ten mieszał się z oburzeniem i Jean-Philippe poczuł, że zalewa go fala pożądania. Od czasu ich dziecięcych zaręczyn wyrosła na przepiękną kobietę. Niemal żałował tego, co miało nastąpić. Chwytną ją znów za ramię, począł ciągnąć ją korytarzem do prowadzącej pod pokład klatki schodowej. Claudette krzyczała:

- Stój, przestań! Nalegam, byś przestał! - Walczyła z jego uściskiem.

Zamachnął się wolną ręką i uderzył ją mocno w twarz, by zamilkła. Claudette upadła. Odebrało jej na chwilę mowę. Wykorzystał to, by zatkać jej usta ręką. Powlókł ją ku stopniom, po czym ruszył w dół wąską, spiralną klatką schodową. Ciągnął ją za sobą, tak jak majtkowie na statku wloką wory mąki, ściągając je po schodach w dół, do kuchni. Dziewczyna zaplątała się w suknię i wiedziała, że każdy stopień zostawia na jej ciele pamiętkę w postaci bolesnego sińca.

Zaczęła błagać:

- Jeanie-Philippie, proszę, pozwól mi wstać. Proszę! Dotarłszy do podnóża pierwszej klatki schodowej, zatrzymał się, dysząc ciężko.

- Musisz zachować idealną ciszę albo każę cię wrzucić do Tamizy. Jeśli dam kapitanowi wystarczającą ilość pieniędzy, przymknie oko na wszystko, na co przyjdzie mi ochota. Rozumiesz, moja gołąbeczko?

Wzdrygnęła się.

- Tak - wyszeptała, ledwo dobywając głosu.

Zeszli kolejne dwa poziomy w głąb statku. Sterroryzowana Claudette szła spokojnie u boku swego oprawcy.

Wiódł ją wilgotnym korytarzem. Kilkoro drzwi stało otworem, większość prowadziło do magazynów. W końcu korytarza Jean-Philippe zatrzymał się raptownie, włożył klucz do zamka ostatnich drzwi po lewej stronie, otworzył je z rozmachem i wepchnął Claudette do środka. Sam wszedł za nią, zatrzaskując drzwi.

Claudette rozejrzała się wokół, nie wierząc własnym oczom. To nie mogła być prawda. Z sufitu zwisało wypchane słomą

posłanie, zajmowało długość jednej ze ścian. Pościel wyglądała stosunkowo schludnie, ale biorąc pod uwagę lokalizację kajuty, nie przypuszczała, by zmieniano ją zbyt często. Przy drugiej ścianie znajdowała się szafka z szufladami, a naprzeciw niej stało kulawe krzesło sąsiadujące z komodą. Pokój był też zaopatrzony w świecznik, Biblię, niewielkie pęknięte lustro oraz małą umywalkę. Warstwa zalegającego wszędzie kurzu była tak gruba, że skutecznie przysłaniała litery wyciśnięte na oprawie Biblii.

- I jak, *madame* Renaud? To właśnie czeka wszystkich podobnych tobie wielbicieli królewskiej pary.

- Jeanie-Philippie, o czym, na miłość boską, mówisz?

- Dobrze wiesz. Spiskowałaś z tą austriacką dziwką i jej mężem od lat, może zaprzeczysz? Sądziłaś, że jesteś taka błyskotliwa, tak? Knułaś te swoje intrygi, planowałaś zdradę. Cóż, powiem ci, że jestem zaszczycony rolą tego, który powstrzyma cię od działań przeciwko dobru Francji. Zostałaś zdemaskowana, Claudette, i staniesz przed obliczem sprawiedliwości!

Nie rozumiała jego słów. Zrobiło jej się słabo, zachwiała się i padła na krzesło, wznecając obłok kurzu.

- Jeanie-Philippie, musiałeś mnie z kimś pomylić. Jestem lojalną zwolenniczką zarówno króla i królowej, jak i Francji. -Do oczu napłynęły jej łzy. - O co mnie oskarżasz? Co takiego uczyniłam? Dlaczego tak okrutnie mnie traktujesz? Jesteśmy przyjaciółmi, a ty odnosisz się do mnie jak do podłej przestępczyni. - Łzy polały jej się po policzkach. - Zaczynam przypuszczać, że oszalałeś lub może to ja tracę rozum.

Zupełnie nieoczekiwanie Jean-Philippe rzucił się jej do stóp, obejmując ramionami jej nogi, a głowę składając na kolanach.

- Och, moja gołąbeczko, tak mi przykro. Kocham cię od dziecka i nie mogę znieść myśli, że mógłbym cię stracić. Z chęcią przyjąłem to zadanie od obywatela Robespierrea, aby się z tobą znów zobaczyć. *Ma chérie*, obiecaj, że do mnie wrócisz i przyjmiesz znów moje oświadczenia, a wybaczę ci i dopilnuję, by nie spotkała cię żadna krzywda.

Położyła rękę na jego ciemnych włosach i rzekła cicho:

- Jaka krzywda? Jeanie-Philippie, wiesz przecież, że moje życie jest teraz w Anglii.

- Nie! Anglicy to świnie. Przystąpiłaś do nich tylko dlatego, że sądziłaś, że nie żyję! Twoja przyszłość jest u mego boku. Zaraz dowiodę ci, jak bardzo cię kocham.

Zerwał się na równe nogi, wziął Claudette na ręce i zaniósł ją do kołyszącego się hamaka. Położył ją delikatnie, po czym sam wspiął się na legowisko, przytulając się do niej i kładąc nogę między jej udami.

- Turkaweczko, gołabeczek, pocałuj mnie. Wykręcając głowę, broniąc się przed nim, Claudette wyszeptała:

- Nie, Jeanie-Philippie, zejdź, co robisz? Nie rozumiem cię. Chwycił jej twarz w swe dłonie i obrócił ją ku sobie.

- Nie zdajesz sobie sprawy z tarapatów, w jakich się znalazłaś. Tylko ja mogę ci pomóc. Oddasz mi się teraz, a ja poprzez małżeństwo dam ci nazwisko, kiedy tylko dotrzemy do Francji. - Oczy lśniły mu dziwnym blaskiem. - Przekonam Robespierrea, że jesteś niewinna albo znajdę jakąś prostytutkę i wyślę mu ją zamiast ciebie. Claudette, urodzisz mi mnóstwo dzieci. Będziesz moją najukochańszą żoną. - Czule pocałował ją w szyję.

- Nie, Jeanie-Philippie, nie. - Starając się od niego odsunąć, zagroziła: - Powiem o wszystkim królowej, na pewno bardzo ją to rozzłości.

Roześmiał się gardłowo.

- Ta austriacka dziwka? Kogo obchodzi, co ona myśli? Jest nikim, tak jak ty beze mnie. *Mon Dieu*, jesteś boleśnie ponętna.

Zakrył jej usta swoimi, rozwierając jej wargi językiem. Przykrył ją całym swym ciężarem. Nie mogła drgnąć, nie mogła złapać oddechu. Odór wydychanego przez niego alkoholu wypełnił klitkę. Czowała jego wzwód na swoim prawym udzie i słyszała, jak jęczy, całując ją. Wiedziała, że na tyle zagłębili się we wnętrze statku, że nikt nie usłyszy jej wołania o pomoc. Nawet gdyby jej głos dotarł tak daleko, kapitan dopilnowałby,

żeby nikt nie przeszkadzał *monsieur* w dogadaniu swej *madame* w noc poślubną.

Poruszyła się pod nim, próbując się wydostać, lecz jedynie spotęgowało to jego podniecenie.

- Jeanie-Philippie, proszę, w imię naszej przyjaźni, puść mnie.

- Ach, Claudette, gdybym tylko mógł. Szaleję za tobą - wydyszał.

Chwycił jej *chemisier* i próbował pozbyć się go po omacku. Wreszcie, zniecierpliwiony, rozdarł materiał, pod którym ukazała się spodnia koszulka. Na widok jej ciała, przysłoniętego jedynie lekką tkaniną, ogarnęła go niepohamowana żądza. Zsunął się nieco, by wziąć w usta jej pierś, którą począł ssać przez cienki materiał. Jego ruch dał Claudette odrobinę swobody. Wyskoczyła z hamaka i rzuciła się do ucieczki. Chwycił ją w pól, gdy była tuż-tuż przy drzwiach. Odwrócił ją ku sobie i przycisnął do wybrzuszenia pomiędzy swymi nogami.

- Gołębeczko, jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie walcz ze mną. - Padł na kolana, ciasno oplatając ramionami jej kibić i ponownie skupił się na jej piersiach. Mając wolne ręce, Claudette w panice rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Jej wzrok padł na zakurzony świecznik stojący na komodzie. Czy uda się go dosięgnąć? Nie, był za daleko. Myśli pędziły z prędkością błyskawicy. Położyła mu dłonie na głowie i wymruczała:

- Och, Jeanie-Philippie, masz rację. Jesteśmy sobie pisani. Zanieś mnie do łóżka.

Uśmiech triumfu i pożądania wypłynął na jego usta i puścił ją na chwilę, by wstać. W mgnieniu oka zrobiła krok w tył, wychodząc poza zasięg jego ramion, a zbliżając się do komody, i złapała świecznik. Zamachnęła się z całych sił, trafiając go w skroń. Wyjąc z bólu, rzucił się, by wyrwać jej broń. Claudette szybko cisnęła ją pod łóżko, mając nadzieję, że napastnik po nią nie sięgnie. Uderzył ją w twarz, po czym łapiąc mocno za szyję, którą chwilę wcześniej całował z oddaniem, warknął:

- Nędzna mała zdiro. Masz wygórowane pojęcie o swej wielkości, zupełnie jak *madame* Kapet. Dobrze więc. Dostaniesz to, na co zasłużyłaś. Zostaniesz w kajucie do końca podróży. - Pchnął ją w stronę hamaka. Pośliznęła się i przewróciła na podłogę. Usiadła szybko, lecz ujrzała już tylko drzwi z trzaskiem zamykające się za Jeanem-Philippeem. Usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

ROZDZIAŁ 27

30 czerwca 1792. Claudette obudził ból pulsujący w jej ciele od bioder aż po twarz. Poczwała smak krwi. Ach tak, to dzieło Jeana-Philippea. Pomału rozwarła powieki. W kajucie panowała ciemność. Leżała wciąż na podłodze, tam gdzie ją zostawił. Podniosła rękę do policzka, badając go lekko. Był spuchnięty, a na wargach wyczuła zakrzepłą krew, ale nie miała wybitych zębów i zdawało się, że nie odniosła żadnego trwałego uszczerbku.

Macając na oślep, znalazła hamak i trzymając się go, podniosła się do pozycji siedzącej. Na nogach i biodrach widniały wyraźne sińce po tym, jak Jean-Philippe niedbale ciągnął ją przez statek. „Myśl, myśl - zmuszała umysł do wysiłku. -Dlaczego mnie uwięził? Dlaczego Jean-Philippe oskarża mnie o konszachty z królem i królową? Spiskowanie - ale jakie? Po co królewska para miałaby w ogóle mieszać się w jakieś intrygi? Może on jest po prostu niespełna rozumu. Ale zdawał się zupełnie sprawny na umyśle, zanim wsiedliśmy na pokład. Co zrobić?”

W ciemnościach podczołgała się do drzwi, uklękła i próbowała wezwać pomocy.

- Halo? Halo? Błagam, niech mnie ktoś wypuści! Odpowiedziała jej cisza, z wyjątkiem dobiegającego z oddali rechotliwego śmiechu pasażerów i załogi.

- Proszę, proszę, jestem uwięziona w kajucie. Ratunku! Poczęła bębnić pięściami w drzwi, wpadając w coraz większą

histerię i próbując przekrzyczeć wszystkie inne głosy. Wiedziała, że na nic się to nie zda. Byli zbyt daleko. Osunęła się na podłogę, opierając głowę o framugę. Z jej oczu obficie płynęły łzy.

Obudziła się nagle. Gdzieś z góry dobiegał hałas. Czyżby dotarli do Francji? Może Jean-Philippe zjawi się niebawem. Na czworakach przeszła z powrotem do hamaka i zaczęła szukać świecznika. Będzie potrzebowała broni, by przeciwstawić się porywaczowi, którego intencje okazały się tak nikczemne. Macała zakurzoną podłogę. O Boże, gdzie on jest? Wczołgała się głębiej pod hamak. Nagle wyczuła pod palcami mosiężnego sojusznika.

Usłyszała chrobot klucza w zamku, po czym drzwi otwarto z rozmachem. Zmrużyła oczy przed niespodziewanym światłem płynącym z trzymanej przez Jeana-Philippea latarni.

- Cóż, *madame* Renaud, ufam, że wypoczęłaś. Niedługo przybijamy do portu, więc przyszedłem wyjaśnić ci w najdrobniejszych szczegółach, jak masz się zachowywać. Słyszysz? - Kucnął i wyciągnął ku niej lampę. - *Mon Dieu*, aleś ty brudna. To w zasadzie bez znaczenia, ale, proszę, weź - rzekł, oferując jej kwadratowy kawałek materiału dobytego z kieszeni spodni. Wyciągnęła drżącą rękę i słabymi ruchami spróbowała zetrzeć z twarzy choć trochę krwi i kurzu.

- Pospiesz się, nie ma potrzeby się stroić, *madame*. Tam, gdzie zmierzasz, nikt nie zważa na powierzchowność. Wstawaj.

- Nie - padł ledwo dosłyszalny sprzeciw.

- Wstaniesz natychmiast.

Claudette zacisnęła palce prawej dłoni na ukrytym za plecami świeczniku. Nie będzie jej łatwo się podnieść, tak by oprawca nie zauważył ciężkiego kawałka mosiądzu. Nagle Jean-Philippe wyciągnął rękę i chwycił ją pod prawe ramię, szarpiąc do góry, by stanęła na nogach. Nie spodziewając się nagłego ruchu, upuściła świecznik, który upadł na podłogę z głuchym stuknięciem. Oboje wbili wzrok w leżącą na ziemi broń.

- O, widzę, że przygotowałaś niespodziankę dla Jeana-Philippea, wstrętne dziwko. - Sięgnął po świecznik i odstawił go na komodę. - Nieważne.

Przytrzymał jej brodę i odwrócił tak, by przyjrzeć się prawemu policzkowi. Uniósł latarnię.

- Sądzę, że Petersen bez trudu uwierzy, że trochę wczoraj przeholowaliśmy. - Ściskając jej twarz mocniej, wysyczał: -A teraz posłuchaj. Pójdziemy na górę, do jadalni kapitana, gdzie pozwolę ci zjeść śniadanie. Jeśli ktokolwiek cię zagadnie, powiesz, że jesteś zmęczona uciążliwymi zalotami męża i że życzysz sobie, by zostawili cię w spokoju. Jeśli spróbujesz dać komukolwiek choć najmniejszy znak, że coś jest nie w porządku, przywlokę cię z powrotem tutaj i dokończę to, co zacząłem zeszłej nocy. Czy wyrażam się jasno? - Pokiwała tępo głową. Puścił ją i cofnął się o krok. - Wyjdziemy zatem na pokład i pospacerujemy trochę, zupełnie jak zakochana para. Gdy statek przybije do portu, weźmiesz mnie pod ramię i zsiądziemy razem. Nikt nie ma prawa pomyśleć, że nie jesteś moją kochającą małżonką. Rozumiesz, co mówię, Claudette?

Drżąc ze strachu i wściekłości, odparła:

- Tak, Jeanie-Philippie, rozumiem.

- Dobrze, więc. Możesz opuścić kajutę.

Poprawiła potarganą suknię, by jak najmniej odsłaniała, i ramię w ramię ruszyli korytarzem z powrotem do podnóża spiralnej klatki schodowej, gdzie ich korytarz łączył się z innym. Zawahała się, źle wspominając kontakt ze stopniami.

- Podaj dłoń, *madame*, poprowadzę cię na górę.

Ani drgnęła. Z prostopadłego korytarza doszły ich głosy. Ktoś się zbliżał.

- Nawet nie próbuj. Weź mnie za rękę i ruszaj. W tej chwili. Zdając sobie sprawę z daremności buntu, Claudette podała mu dłoń i pozwoliła się zaprowadzić do jadalni.

W sali powitały ich wiwaty i gwizdy. Claudette spuściła głowę, by ukryć płonące policzki. Jean-Philippe poprowadził ją szybko do pustego, ustawionego na uboczu stolika, po czym wrócił na środek pokoju, gdzie siedziała większość gości.

- Ej, *monsieur* Renaud, coś nietego wygląda dziś pana żonka, co? Znalazł się i drugi dowcipniś:

- Dobrze, że już dopływamy, bo pewnie wyjadłaby do końca cały prowiant!

Jean-Philippe uśmiechnął się z pobłażaniem i mrugnął do mężczyzn porozumiewawczo. Podnosząc głos, powiedział:

- No, no, nie pozwolę na złośliwości pod adresem mojej zmęczonej małżonki. - Po czym ciszej, tak aby Claudette nie słyszała, dodał: - Zmęczonej i nieco obolałej!

Dziewczyny dobiegł jedynie rubaszny śmiech i wzdrygnęła się, wyobrażając sobie, co opowiada Jean-Philippe.

Majtek przyniósł jej drewnianą tacę załadowaną soloną rybą, suszonymi owocami i serem, a do popicia kufel rozcieńczonego wodą ale. Pogrzebała trochę w jedzeniu, podgryzła nieco sera, a kufel wychyliła niemal jednym haustem. „Może doda mi sił”, myślała z nadzieją.

Po upływie kilku minut wrócił do niej Jean-Philippe, mówiąc tak, by wszyscy go słyszeli:

- Skarbenku, najadłaś się już? Ledwo skubnęłaś śniadanie. Wiem, że jesteś przyzwyczajona do bardziej wyszukanych potraw, ale uważam, że powinnaś wykazać się większym szacunkiem dla gościnności kapitana Petersena.

Jego wypowiedź skwitowano nową salwą śmiechu. W odpowiedzi syknęła:

- Jeanie-Philippie, wystarczy już. Zabierz mnie stąd. Chwycił ją za łokieć, by pomóc jej wstać, i nie zniżając głosu, odparł:

- Tak, moja droga, wyjdźmy na pokład odetchnąć świeżym powietrzem.

Podniosła się z miejsca, a on zatknął sobie jej rękę pod ramię. Skłonił się załodze i pasażerom i opuścili jadalnię. Claudette patrzyła pod nogi, by nie wystawiać twarzy na widok innych podróżnych, dopóki Jean-Philippe nie ścisnął jej ręki na znak, że nie sprawdza się w swojej roli. Podniosła zatem wzrok i posłała towarzystwu nikły uśmiech, modląc się, żeby dotrzeć do drzwi bez omdlenia.

Gdy wyszli już z sali, Jean-Philippe powiódł ją dalej w stronę zewnętrznego pokładu.

- Nie najgorzej, moja gołąbeczko, ale nie jesteśmy jeszcze u kresu podróży - powiedział, ścisząc głos.

Na pokładzie powiewał orzeźwiający wiaterek. Claudette poczuła ulgę po pobycie w zatęchłej kajucie i zadymionej jadalni. Wchodzili do portu. Rozpoczęła się gorączkowa bieganina. Majtkowie miotali się po pokładzie, wydając sobie nawzajem polecenia, by bezpiecznie zadokować statek. Claudette z rozpaczą rozejrzała się wokół, lecz nikt nie zwracał uwagi na cichą żonę Jeana-Philippea Renauda.

Wreszcie można było opuścić pokład.

- *Monsieur* Renaud! *Monsieur* Renaud! - To Petersen sapał, maszerując do nich w pośpiechu. - Mniemam, że podróż upłynęła państwu, hmm, przyjemnie?

- Ależ tak, kapitanie. *Madame* Renaud i ja byliśmy zachwyceni warunkami na pańskim statku, nieprawdaż, kochanie?

Claudette zacisnęła zęby i pokiwała głową. Patrzyła, jak Jean-Philippe podaje marynarzowi sakiewkę, którą tamten chciwie przejmuje. Woreczek zabrzączał metalicznie. Zastanawiała się gorzko, ile też szansa upokorzenia jej była warta dla jej oprawcy.

- Ależ, *monsieur*, aż niezręcznie mi to przyjmować, gdy tak patrzę, ile radości sprawiła państwu przeprawa przez Kanał mym skromnym stateczkiem.

Oczy Jeana-Philippea skrzyły się chytrze.

- Nalegam jednak, aby przyjął pan ten skromny dowód wdzięczności z naszej strony. Kapitanie, czy moglibyśmy wysiąść jako jedni z pierwszych?

- Naturalnie, bez wątpienia. Lucas, podejdź tu, chłopcze. Proszę sprowadzić tę znakomitą parę na ląd. Dopilnuj, by zniesiono jej bagaże. No już! Przestań się gapić, idioto!

Młody pomocnik, nie starszy niż dwanaście lat, pognał wykonać polecenie pana.

Jean-Philippe mocno chwycił Claudette i zszedł z nią po trapie. Stanąwszy na lądzie, zaczęli, by odebrać swoje torby i kufry. Dziewczyna snuła ponure myśli na temat celu dalszej podróży. Wkrótce pojawił się Lucas, dźwigający wraz z drugim chłopcem ich dobytek. Jean-Philippe podziękował im.

- Dostaniecie po parę groszy, jeśli zanieście rzeczy do powozu. Czeka tam, niedaleko.

Claudette powiodła wzrokiem za jego wyciągniętym palcem. Oddalony nieco od dorożek odbierających innych pasażerów stał elegancki powóz. Chłopcy z zapalem taszczyli bagaże w tamtą stronę.

- Czy to twoja karoca, Jeanie-Philippie?

- Tak. Chodź, żono.

- Proszę, skończmy z tą maskaradą, skoro zeszliśmy już z pokładu.

- Jak sobie życzysz. - Jean-Philippe nonszalancko poprowadził ją do powozu. Rzucił każdemu z pomocników błyszczącą monetę i patrzył, jak odbiegają, wydając okrzyki radości. Skinął na stangreta, wydając mu nieme polecenie, i pomógł Claudette wsiąść do środka. Wnętrze pojazdu było czyste i wygodne, co dla Claudette, przetrzymanej w podłych warunkach na statku, było miłym zaskoczeniem.

- Wydajesz się zdziwiona. Nie daj sobie wmówić, że Francuzi nie potrafią być gościnni, nawet dla zdrajców.

Powóz ruszył.

- Jeanie-Philippie, dokąd zmierzamy? Życzę sobie, abyś zawiózł mnie do królowej. Będziesz się przed nią gęsto tłumaczył!

Chichocząc i kręcąc głową, odparł:

- *Au contraire*, to ty będziesz się gęsto tłumaczyć. Królowa nie przyjmie cię dzisiaj, bo nikogo już nie przyjmuje. Ta podła dziwka i jej mężuś występują obecnie w roli, hmm, gości nowego rządu.

- Jeanie-Philippie! Chcesz powiedzieć, że król i królowa zostali uwięzieni? Na jakiej podstawie?

- Lud dość się już nacierpiął pod władzą *madame* Deficyt i jej małżonka. Wkrótce zamiast nich nastanie rząd reprezentujący obywateli Francji, a korona stanie się reliktem przeszłości. *Liberté! Egalité! Fraternité!* - W jego oczach pojawił się błysk szaleństwa. Claudette zadrżała. - A ty, moja turkaweczko, zostaniesz przesłuchana w sprawie udziału w spisku

mającym na celu umożliwienie państwu Kapet ucieczki z kraju. Nie miej żadnych wątpliwości. To, czego się dopuściłaś, zostanie poczytane za zdradę, a wiesz dobrze, co czeka zdrajców. - Jego słowa zawisły w powietrzu.

- Zdrajczynie? Ależ, Jeanie-Philippie, od lat wiodę spokojne życie w Anglii. We Francji pojawiłam się tylko raz, kiedy przedstawiono mnie królowej. Skąd oskarżenia o zdradę?

- Dość. Nie zwiedzisz mnie, bym powiedział coś, czego potem użyjesz przeciwko rządowi. - Przyjrzał jej się z namysłem. - Byłbym jednak gotów wybaczyć to, jak potraktowałaś mnie na statku, a nawet ochronić cię przed obecnymi władzami Francji.

„Nie, tylko nie to”.

- Odmawiam. - Odwróciła głowę, by obserwować krajobraz przemykający za oknem. Jechali wzdłuż Sekwany, mijając znajome widoki Tuileries i pałacu królewskiego.

- Ty? Ty, zdrajczynie, odmawiasz mi? Wyrosłaś w tym Londynie na wyniosłą sukę. Dałaś mi tego posmakować w kajucie. Mogłaś tak przyjemnie odbyć tę podróż, a zamiast tego wolałaś utrudnić sobie życie. Mam zamiar nauczyć cię dobrych manier. Nie przystoi, żebyś prowadziła własny interes. Uderzyło ci to do głowy i zrodziło wizję bycia wielką damą. Zaraz cię przekonam, że to Jean-Philippe tu rządzi.

Skoczył ku niej, chwycił ją za łokcie, przeciągnął na swoją stronę powozu i przerzucił przez kolano.

- Moja kochanka uwielbia, gdy od czasu do czasu biorę ją w powozie. Uważa, że to pysznie niegrzeczne. Ta świadomość, że ktoś mógłby nas zobaczyć!

- Twoja kochanka to najwyraźniej dziwka. Odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

- Pewnie masz rację, choć nie chciałaby usłyszeć tego z twoich ust. Jest całkiem bogata, a do tego żarliwie wspiera naszą ideę. No, a teraz daj buzi.

Claudette szarpała się z nim, lecz była bezradna w ciasnej przestrzeni. Nachylił się nad nią i nakrył jej wargi swymi ustami. Zdając sobie sprawę z daremności swych wysiłków, zaprzestała

walki. Błędnie przyjmując jej spokój za wyraz uległości, wsunął rękę pod jej sukienkę i począł odsuwać spódnice i halki. Wolną ręką zaczęła z całych sił bić go w pierś, by przestał, ale tylko podnieciło to płomień jego żądy.

Jęknęła rozżalona i bezsilna. Wtem powóz zahamował ostro, strącając ich oboje na podłogę. Klnąc pod nosem, Jean-Philippe uchylił drzwi, by zrucać stangreta.

- Co się dzieje?

- Jesteśmy na miejscu, *monsieur*.

- Objedziemy przecznicę jeszcze raz!

- *Monsieur* Renaud, tłumy płyną rue Saint-Honore. Nie uda mi się podjąć pańskiego gościa na czas, jeśli natychmiast nie ruszę w drogę.

Gderając, Jean-Philippe opadł na kanapę. Claudette doprowadziła się do porządku i siedziała sztywno na swym siedzeniu, wbijając wzrok w sufit.

- Znów nam przeszkodzono, gołąbeczko. Może kiedyś, innym razem...

- Nigdy!

Nie odpowiedział już, lecz wysiadł z powozu i pociągnął ją za sobą. Objęła wzrokiem górujący nad nimi budynek z szarego kamienia. Zamiast okien miał wąskie szparki zabezpieczone kratą.

- Gdzie jesteśmy?

- Sama zobacz.

Spojrzała na tablicę: Maison de La Force.

- Co? *Mon Dieu*, Jeanie-Philippie, nie! Nie prowadź mnie tu. Nie jestem niczemu winna! Przysięgam! Proszę, zostanę twoją kochanką, jeśli tego właśnie pragniesz, ale nie zabieraj mnie tam! W imię naszych rodziców i wszystkiego, co kiedykolwiek nas łączyło, błagam, nie rób tego!

- Chodź. Twoje obietnice nie mają już dla mnie żadnego znaczenia. - Popchnął ją w kierunku wejścia do złowrogiego gmachu, podczas gdy stangret zniknął wraz z powozem w wypełniającym ulicę tłumie, by odebrać tajemniczego gościa. By poskromić Claudette, Jean-Philippe złapał ją od tyłu, oplótł ramieniem

pod biustem i pociągnął ku bramie. Władczo załomotał w drzwi. Odślonięto wizjer i pojedyncze oko zbadało przybyłych. Rozległ się dźwięk odsuwanych rygli, po czym drzwi stanęły otworem, ukazując ciemną, ziejącą paszczę więzienia La Force.

- Mam dla ciebie kolejną zdrajczynię, poruczniku Napier. Możesz wierzyć lub nie, ale ta obywatelka działała jako mózg przemytu klejnotów dla Kapetów. Wyślij po Robespierrea. Może mieć ochotę osobiście przesłuchać obywatelkę Laurent.

Z cienia wynurzył się mężczyzna przeciętnego wzrostu i średniej wagi, o brązowych włosach jak strąki i pokrytej bliznami twarzy. Miał brudną, luźną koszulę i równie obmierzłe spodnie w paski. Po stroju można było poznać, że jest radykałem, sankiulotą. Przyjrzał się Claudette.

- Smakowity kąsek, ta nasza mała zdrajczyni, obywatelu Renaudzie. Zwyczajny uniform dla niej? - Czuła na twarzy jego kwaśny oddech.

Napier pstryknął palcami, nie zdejmując spojrzenia z dziewczyny. Pracownica więzienia, kobieta w średnim wieku, przybiegła z tobołkiem ubrań. Napier rzucił je Claudette. Jego obleśny uśmiech odślonił przerwę w uzębieniu spowodowaną brakiem dwóch jedynek. Przeniósł wzrok na Jeana-Philippea.

- Mam ją odprowadzić? - Jego wzwód był już bardzo wyraźny i Claudette zastanawiała się, ile młodych kobiet padło tu ofiarą Napiera.

- Nie, sam doprowadzę ją do celu podróży. Klucz, proszę. Napier odpiął żelazny klucz z potężnego kółka przyczepionego do spodni.

- Wedle życzenia, obywatelu. - Napier popatrzył z żalem za Claudette prowadzoną przez Jeana-Philippea długim korytarzem głębiej w czeluści więzienia. - Może później, obywatelko, nadarzy się okazja, byśmy się bliżej poznali - zawołał za nimi. Jego rechot wrył się w umysł Claudette, słyszała go jeszcze, gdy w rzeczywistości byli już poza zasięgiem głosu strażnika.

Korytarz wykuty był w kamieniu. Z wielu miejsc sączyła się woda, sprawiając, że powietrze było chłodne i wilgotne, a na ścianach widniały długie, zielone i rdzawe zacieki. Żelazne latarnie wiszące po bokach dawały tylko tyle światła, by skutecznie oświetlić przestrzeń pod nogami. Przeszli około trzydziestu metrów, po czym Jean-Philippe pokierował ją w lewo, w korytarz przecinającym im drogę. Zaczęły dobiegać ich dźwięki - płacze i żalosne lamenty więźniów. Miała stać się jednym z nich. Po obu stronach korytarza, w nierównych odstępach rozmieszczono cele. Niektóre miały solidne drzwi zaopatrzone w pojedynczy, zasuwany otwór u spodu, przez który podawano jedzenie. Inne nie różniły się od sporych klatek o żelaznych prętach. Ściany cel były z tego samego zimnego, wilgotnego kamienia co korytarz. Uniemożliwiało to uwięzionym jakiegokolwiek kontakty, szczególnie że pomieszczenia nie były ulokowane bezpośrednio naprzeciw siebie. Zawodzenie więźniów stawało się coraz wyraźniejsze, wkraczali w sam środek szeregu cel. Czy było tu miejsce przewidziane i dla niej?

Jean-Philippe prowadził ją dalej w dół korytarza. Jakaś stara wiedźma wyciągnęła szpony przez kraty i spróbowała dosięgnąć spódnicy Claudette.

- Ej, *mademoiselle*, czy to ty, córuchno, przyszłaś po mnie? Claudette uskoczyła w bok. Nieco dalej ujrzała młodego

mężczyznę siedzącego na ziemi w swej celi. Z oczu sączyła mu się zielonożółta ropa świadcząca o zakażeniu, któremu pozwalano się rozwijać. Przez całą drogę więźniowie wołali zza prętów - jedni sugerując uciechę cielesną, inni błagając o pomoc. Głowa pękała dziewczynie od tych gorzkich krzyków i chciała puścić się biegiem, by uciec od nieznośnego hałasu. Jean-Philippe trzymał ją jednak mocno za łokieć.

- Tędy. - Poprowadził ją teraz w prawo, ku następnemu korytarzowi. Czy to przekłete miejsce miało jakieś granice? Zauważyła, że cele, które teraz mijali, były o wiele mniej zaludnione. Jak gdyby czytając w jej myślach, Jean-Philippe rzucił:

- Tu lepiej, prawda? Wybrałem ten luksusowy apartament specjalnie z myślą o tobie.

Zatrzymał się przy niczym nie wyróżniającej się celi, wsunął klucz do zamka i uchylił bramę z żelaznych prętów. Wepchnął Claudette do środka i zatrzasnął z powrotem kraty. Dziewczyna stała bez ruchu, tępym wzrokiem chłonąc swe otoczenie. Już rozumiała, dlaczego był to apartament. W pomieszczeniu znajdowała się umywalka. Ciekawe, czy nalewają do niej czystej wody? Miała co do tego poważne wątpliwości. W rogu stał nocnik - czy ktoś kiedykolwiek go opróżnia? Na metalowej pryczy, na wysokości piętnastu centymetrów nad ziemią, leżał słomiany materac. Może przynajmniej to ocali ją od pogryzienia przez szczury. Z pewnością leżący na posłaniu cieniutki koc nie ochroni jej przed przejmującym chłodem tego miejsca. Jak bardzo temperatura spadnie po zmierzchu? W celi znajdowało się jeszcze kulawe krzesło i stół. Miała okazję zobaczyć warunki, w jakich przetrzymywani są inni więźniowie, mający do dyspozycji jedynie słomiane sienniki, więc doceniała otrzymane wygody.

Jean-Philippe odezwał się, wytrącając ją z zamyślenia:

- Czas, żebyś przywdziała swój uniform. - Zdążyła zapomnieć o trzymanym w rękach tobołku. Rozłożyła go i przyjrzała mu się w nikłym świetle płynącym z przodu celi. Była to prosta muślinowa sukienka, brudna i cuchnąca niemytym ciałem. Co spotkało kobietę, która jako ostatnia miała na sobie ten strój? - Na co czekasz? Przebieraj się.

- Włożę to, gdy będę sama.

- Zrobisz to teraz albo wejdę i sam cię przebiorę. Claudette przygryzła wargę. Upokorzona poczęła poluzowywać naddartą, obszytą koronką górę swej niegdyś pięknej sukni. Przez głowę przebiegła jej ponura myśl, że więzienny uniform nie może być chyba brudniejszy niż jej własna odzież. Odwróciła się od Jeana-Philippea, by zapewnić sobie chociaż namiastkę prywatności.

- Nie, Claudette, przebierzesz się zwrócona twarzą do mnie.

Spojrzała na niego.

- Czy nie możesz oszczędzić mi choć odrobiny upokorzenia, Jeanie-Philippie? Jestem niewinną kobietą wtrąconą do więzienia na podstawie wyssanego z palca zarzutu. Bawisz się moim kosztem od chwili, gdy opuściliśmy Anglię. Proszę, zostaw mnie samą.

- Ściągaj ubranie. - Czuła się bardziej poniżona niż w powozie, gdy rzucił się na nią, ponieważ wtedy nie była przynajmniej obnażona. A jeśli zejdzie tu ten obleśny Napier, akurat wtedy, gdy będzie się przebierała? - Nie ociągaj się, Claudette. Wiesz, że budzi się we mnie choleryk, jeśli coś idzie nie po mojej myśli.

Nie pozostawił jej wyboru. Zaczęła zdejmować ubranie. Schyliła się, by odpiąć guziki stylowych, wysokich butów z kozłej skóry, i zsunęła je z nóg. Następnie pomału zrolowała pończochy, po kolei, jedna po drugiej, tak delikatnie, jakby chciała zachować je w razie, gdyby pojawiła się szansa ucieczki z tego koszmaru. Rozpięła wierzchnią suknię i pozwoliła jej opaść na ziemię. Jej niegdyś lawendowy kolor był nie do poznania, zmieniony w smutną szarość. Potem rozwiązała tasemki bluzki i zdjęła ją z ramion. Następnie zsunęła się na podłogę brązowa spódnica. Claudette stała w samej bieliźnie i z niesmakiem patrzyła na leżącą na krześle więzienną sukienkę.

- Spiesz mi się, goście oczekują mnie w domu. Dokończ już to przebieranie.

- Twoja dziwka, co? Zaśmiał się.

- W rzeczy samej. Muszę się zjawić na czas, żeby się nie zniecierpliwiała. Już mnie kokietka raz potraktowała paznokciami, jak ją zezłościłem.

Claudette była zszokowana. Kim on się stał?

- Prędzej, nie będę więcej powtarzał.

Powolutku zdjęła przez głowę koszulkę i rzuciła ją na krzesło, chwytając w zamian uniform. Wśliznęła się weń szybko, planując w myślach, że kiedy tylko Jean-Philippe się oddali, przebierze się z powrotem.

- Podaj mi swoje ubranie, Claudette. - W jej oczach odmalowało się przerażenie. - Nie sądziłaś chyba, że pozwolę ci je zatrzymać? Oddawaj.

Roztrzęsiona, pozbierała sztuki odzieży, ciepłe jeszcze temperaturą jej ciała, po czym przeszła przez celę i wręczyła mu je bez słowa. Jean-Philippe przejął ubranie i przyłożył je do nozdrzy, wdychając głęboko. Następnie, z tobołkiem pod pachą odwrócił się, by odejść. Po kilku krokach odwrócił się jeszcze, by rzec:

- Korzystaj z nowego domu, Claudette. Nie zostało ci wiele czasu, by się nim nacieszyć.

ROZDZIAŁ 28

Hevington, Kent, 10 sierpnia 1792. William garbił się ponuro przed trzaskającym ogniem, bębniąc palcami o bogato rzeźbioną poręcz fotela. Dlaczego Claudette nie napisała do niego po przyjeździe do Francji? Było to zupełnie niespotykane. A w ogóle - cóż to za nagłe, tajemnicze ucieczki?

W pokoju zjawił się służący, przynosząc najświeższą prasę i karafkę porto. William warknął coś na znak aprobaty i sługa pospiesznie wymknął się z pokoju, nieprzywykły do tak podłego nastroju u swego chlebowdawcy.

William odłożył „Timesa”, by zatonać w lekturze „L'Ami du Peuple” - „Przyjaciela Ludu”. Prenumerował jadowity dziennik, aby mieć bieżące informacje o błyskawicznie postępującym rozpadzie porządku politycznego Francji z perspektywy radykałów. Marat jak zwykle wskazywał palcem własnych „wrogów ludu”. Jean-Paul Marat, tak zawzięty redaktor, jakiego tylko można sobie wyobrazić, bez ustanku skazywał ludzi lub donosił o ich rzekomym braku lojalności. Gazeta była brukowcem, ale dawała wgląd w mentalność rewolucjonistów. William przejrzał typowo krzywdzące nagłówki o niedoli francuskich obywateli, wypatrując nazwiska Claudette w kolumnie poświęconej królewskim spotkaniom towarzyskim. Nic! A niech to licha, dwa tygodnie przebywa już w Paryżu, a nigdzie ani wzmianki o niej. Przerzucił kilka innych artykułów. Wtem - co to? Król i królowa zostali przeniesieni do więzienia Tempie! Czy Claudette udało się z nimi zobaczyć, zanim to nastąpiło? W stolicy robiło się coraz niebezpieczniej. Czy nic jej nie zagraża?

Ze złością zmiażdżył gazetę i cisnął ją w płomień z pomrukiem gniewu. Spojrzał na karafkę porto, po czym i ją rzucił wraz z tacą w stronę kominka. Szkło rozprysło się na wszystkie strony, ale nie poczuł ulgi.

Kilka wieczorów później William udał się na przyjęcie w londyńskiej rezydencji hrabiego Pembroke. Miał zamiar wysłać wiadomość, że z żalem odmawia zaproszenia, ale jego młodziutka kuzynka Arabella, która odwiedzała akurat jego rodziców i podbiła już towarzystwo w Kent, prosiła go bardzo, by wziął ją w miejsce nieobecnej Claudette. Arabelli wpadł w oko Charles Durham, którego rodzina zainwestowała spore kwoty w Kompanię Wschodnioindyjską. Akurat miał być obecny na owym wieczorku. William zgodził się więc i towarzyszył krewniaczce do Londynu.

Ucieszył go widok Giovanny Baccelli. Była lubą hrabiego Pembroke, odkąd księżę Dorset odprawił ją z Knole i ze swego życia niemal trzy lata wcześniej. Para przeprowadziła się do Londynu z posiadłości hrabiego w Wiltshire, gdyż ta zajęta została przez jego żonę, która porzuciła go już wcześniej, lecz teraz postanowiła odegrać święte oburzenie.

Giovanna, choć nieco blada, wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

Po kolacji, gdy goście ruszyli na parkiet, William poprowadził Włoszkę pod okno w gabinecie hrabiego, by wyjawic jej swój niepokój związany z podróżą Claudette.

- Giovanni, zdradź, proszę, co ci podpowiada twa kobieca intuicja. Czy niepotrzebnie się martwię?

Kobieta z uwagą przyjrzała się Williamowi, marszcząc brwi. Porzuciła swoje ulubione teatralne szeptki i rzekła cicho:

- Mówisz, że przed wyjazdem zostawiła ci jedynie liścik? Bardzo dziwne. Cóż, to co wiem o signorinie Laurent mówi mi, że nigdy nie postąpiłaby wobec ciebie nieuczciwie, jeśli to cię troska. - Przez twarz Williama przemknął cień ulgi. - Jednak zastanawiający jest fakt, że zgodziła się jechać do

Francji, mając świadomość, jak bardzo jest tam teraz niebezpiecznie.

- Jest szczerze oddana królowej. Nie tylko ze względu na to, że otrzymuje od niej zlecenia, lecz przede wszystkim dlatego, że uważa, iż rodzina Burbonów jest niesłusznie oczerniana, a do tego pozbawiona przyjaciół. Nie dziwi mnie, że przyjęła zaproszenie, ale to, że nie daje znaku życia.

Giovanna ujęła jego dłoń w obie swoje.

- Signor Greycliffe, byłoby tragedią dla nas obojga, gdybyśmy stracili naszą lalkareczkę. Sądzę, że musisz przeprowadzić dochodzenie w sprawie miejsca jej pobytu, abyśmy oboje mogli spać spokojnie.

William uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

- Tak, trzeba działać - przytaknął Włoszce, całując ją w rękę. Potem wrócił do sali balowej, by z niecierpliwością zaczekać, aż Arabella zakończy flirty z panem Durhamem. Kuzynka trajkotała przez całą drogę powrotną do Hevington, ale do Williama nie dotarło ani słowo. Gdy dojechali do domu, zostawił ją pod opieką lokaja, a sam rzucił się po schodach do swej sypialni, obmyślać plan akcji.

ROZDZIAŁ 29

Paryż, 13 sierpnia 1792. Skazanie rodziny królewskiej na areszt domowy w murach Tuileries nie zaspokoilo rewolucjonistów. *Assignats* szybko traciły na wartości, a ceny żywności rosły. Sytuację pogarszali jeszcze spekulanci przetrzymujący dobrej jakości plony, by przekazać je kupcom, którzy sprzedawali je korzystnie poza granicami kraju.

Dominację nad Zgromadzeniem objęła teraz inna grupa -żyrondyści, zrodzeni z frakcji jakobinów. Ich nazwa płynęła stąd, że wielu członków ugrupowania było deputowanymi departamentu Gironde, reprezentującego prowincje Guyenne i Gascogne. Byli idealistami i marzycielami pozbawionymi umiejętności wykreowania realistycznego planu. W efekcie ciężko im przychodziło stawianie czoła trudnym sprawom. To w ich rękach spoczął los króla i jego rodziny.

Jednym z pomysłów żyrondyistów na rozwiązanie problemów ojczyzny był atak na inny kraj. Wierzyli, że szerząc francuską wizję demokracji, odwrócą uwagę ludu Francji od rozpadu państwa. Jednak Ludwik, wszelką mocą, jaka mu pozostała, wetował wszystkie kroki mogące doprowadzić do realizacji owego planu.

Do Zgromadzenia wpłynęło ultimatum, że do dziewiątego sierpnia ma nastąpić detronizacja króla, bo w przeciwnym razie pałac zostanie zaatakowany, a monarchia obalona siłą. Sprzymierzeńcy króla zebrali się tego dnia w Tuileries, by odeprzeć inwazję. Wczesnym rankiem dziesiątego sierpnia rozbrzmiały dzwony kościołów, ogłaszając marsz zbuntowanych poddanych na pałac. Widząc, jak gaśnie ostatni promyk nadziei, Ludwik zabrał rodzinę z komnat i skryli się w siedzibie

Zgromadzenia Narodowego znajdującej się w innej części pałacowych ziem.

Ze swej kryjówki słyszeli wystrzały oraz szczęk pik i innej broni, przytłumiony jedynie wrzaskami tłumu, który przedarł się przez Gwardię Szwajcarską do wnętrza pałacu. Pograżeni w amoku wściekłości ludzie szaleli w środku Tuileries, tłukąc szyby i wyrzucając meble przez powyłamywane ramy okienne.

Pod presją ludu Zgromadzenie w końcu odebrało koronę Ludwikowi XVI, królowi Francji, a rodzinę królewską osadzono w mrocznej i ponurej fortecy Tempie, niegdyś siedzibie zakonu templariuszy. *Princesse de Lamballe* i inni bliscy przyjaciele z własnej woli podążyli za nimi.

ROZDZIAŁ 30

Pierwszym powziętym przez Williama krokiem było wynajęcie konstabla, by zdobył informacje dotyczące miejsca pobytu Claudette. Mężczyzna zażyczył sobie fortuny za wykonywanie działań mających cokolwiek wspólnego z niestabilną sytuacją we Francji, ale William nie kwestionował wyśpiewanej przez niego kwoty. Konstabl opuścił Hevington z myślą, że powinien był podwoić stawkę - klient był nie tylko bogaty, wyglądał również na zdesperowanego.

Tydzień minął, a wynajęty specjalista nie odezwał się ani słowem. William wrócił do domu po długiej przejażdżce przez wiejski krajobraz Kentu, na którą wybrał się, by nieco uspokoić skołatanę nerwy. Przy wejściu znalazł świeżą porcję prasy. Poprosił gospodynię, by nikt mu nie przeszkadzał, wziął plik gazet pod pachę i udał się do biblioteki. Z rozmachem otworzył „L'Ami du Peuple”, jak tyle razy wcześniej. Marat pluł jadem już z pierwszej strony, rozsmakowując się w doniesieniach, że wszyscy „zdrajcy, szumowiny, złodzieje” stawali przed obliczem sprawiedliwości, jako że ludzie wreszcie mieli prawo wziąć los w swoje ręce. William zastanawiał się, czy Claudette jest świadoma tego szaleństwa. Przeglądając jak zwykle nagłówki, z brzegu strony natknął się na listę nazwisk. Wiódł po nich palcem, czytając jedno po drugim. Nagle zaklął.

Claudette Renée Laurent, dotychczasowa mieszkanka Anglii, została aresztowana za działalność spiskową mającą na celu pomoc niepożądanym elementom we Francji i jest obecnie przetrzymywana w La Force. Jest gorącym pragnieniem tej gazety, aby została stracona

w jak najszybszym terminie, tak by posłużyć jako przykład wszystkim potencjalnym intrygantom knującym przeciwko wolności, której domaga się lud.

Serce podeszło Williamowi do gardła, a krew zmroziła lodowata furia. „Niech to szlag! Kto sfabrykował obciążające ją dowody? Po co? W jaki sposób się w to wplątała? Muszę sam się tego dowiedzieć”.

William rzucił służbie garść instrukcji na temat opieki nad posiadłością pod jego nieobecność, po czym pospiesznie skreślił dwa listy. Jeden z nich rozkazał bezzwłocznie przekazać Béatrice, by poinformować ją o kłopotach Claudette i jego własnym planie działania. Drugi dotyczył natychmiastowego zwolnienia nieskutecznego posterunkowego. Służący prędko wrzucił do walizy kilka najpotrzebniejszych rzeczy i William, dwie godziny po przeczytaniu notki o uwięzieniu Claudette, galopował na złamanie karku ku portowi w Dover.

ROZDZIAŁ 31

Więzenie La Force, 14 sierpnia 1792. Niewola Claudette rozciągnęła się z pierwszej doby w niekończący się korowód dni i nocy. Początkowo obawiała się, że porucznik Napier, który gapił się na nią tak obleśnie i lubieżnie, gdy przybyła do więzienia, będzie odwiedzał jej celę, ale od tamtej pory nie ujrzała go ani razu.

Wieczny półmrok panujący w korytarzach uniemożliwiał odróżnienie dnia od nocy. Claudette towarzyszyły tylko szloch i wycie współwięźniów przerywane co jakiś czas odgłosami chłosty i bicia, gdy strażnicy tracili cierpliwość z powodu hałasu. Drewniana miska rzadkiej, wodnistej zupy, a niekiedy i kromka czerstwego chleba pojawiały się od czasu do czasu w jej celi, lecz nie na tyle regularnie, by mogła na ich podstawie liczyć dni.

Jedzenie prawie zawsze przynosiła kobieta, która dostarczyła Claudette więzienną odzież. Po kilku wizytach strażniczki podającej jedzenie lub ubranie na zmianę - równie cuchnące jak to, które Claudette już miała na sobie - dziewczyna spróbowała zdobyć jakiegokolwiek informacje.

- Przepraszam, czy może mi pani powiedzieć, jak długo jeszcze tu będę?

- To nie ja decyduję.

- Czy to znaczy, że pani nie wie, czy nie może mi tego zdradzić?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. - Miska Claudette stanęła na podłodze z takim impetem, że część zawartości chlusnęła na posadzkę. Kobieta obróciła się na pięcie i odeszła.

Gdy wróciła po odbiór pustego naczynia, dziewczyna ponownie ją zagadnęła:

- Czy może mi pani powiedzieć, jaki dziś jest dzień?

- Sobota.

- A czy jest rano czy wieczór?

- Właśnie zjadłaś kolację. Jest koło dziewiętnastej.

- Dziękuję. - Claudette stwierdziła, że lepiej nie przeholować przy okazji pierwszego, maleńkiego sukcesu. Zdobyte informacje nie na wiele się zdawały, biorąc pod uwagę, że nawet posiadając punkt wyjścia, nie miała jak z niego skorzystać, by dalej liczyć czas. Jak długo tkwi już w tej zatechłej celi? Tydzień? Miesiąc? Jeszcze dłużej? Z pewnością William wyruszył na poszukiwania. Czy zostanie oficjalnie oskarżona o zbrodnię, czy po prostu zostawią ją tu, aż umrze?

Przy kolejnym posiłku Claudette postanowiła wznowić konwersację ze strażniczką.

- Przepraszam, a która teraz jest godzina?

- Która godzina, jaki dzień? - przedrzeźniała kobieta. - Co z ciebie za idiotka? Jesz o siódmej rano i dziewiętnastej, w dni, w kiedy wypada twoje karmienie. Cykl nigdy się nie zmienia, więc po co pytasz?

Lekceważąc drwinę w jej głosie, Claudette postanowiła zrobić kolejny krok.

- Nazywam się Claudette Laurent, a pani?

- Jestem Emeline - odparła zapytana, natychmiast dziwiąc się sobie, że w ogóle podała przestępczyni tak osobistą informację. Odwróciła się szybko, by opuścić korytarz. Claudette zerwała się na nogi ze swego posłania.

- Proszę zaczekać! Proszę, niech się pani zgodzi odpowiedzieć na jedno pytanie.

Emeline odwróciła się z powrotem.

- Niech zgadnę - rzekła szyderczo. - Chcesz, bym przekazała wiadomość jakiemuś twojemu kochasiowi, tak? A może chciałabyś mi opowiedzieć, jak to jesteś spokrewniona z kimś wielce wpływowym, kto nagrodi mnie hojnie, jeśli cię uwolnię? Nie jestem jakąś prostytutką, żeby łatwo dać się przechytryć. Nie tacy jak ty próbowali wystrychnąć mnie na dudka.

Opanowując zniecierpliwienie, Claudette powiedziała:

- Chciałabym się tylko dowiedzieć, czy zostanę oficjalnie oskarżona i stanę przed sądem. A jeśli tak, to kiedy?

- Ha! Kto by nie chciał? Mnie nie interesują szczegóły, obywatelko. Procesy i przesłuchania leżą w gestii moich przełożonych. Nie mieszam się w losy osadzonych.

Dni mijały. Nie mogła być pewna, ale wydawało się jej, że upłynęły cztery tygodnie. Wkrótce doczekała się kolejnej wizyty Emeline, która okazała się przełomem w jej więziennej egzystencji.

- Przenoszą cię, obywatelko Claudette. Chodź ze mną. Drzwi stanęły otworem i strażniczka wkroczyła do środka.

- Dokąd mnie pani zabiera?

- Do innej celi. Bądź wdzięczna, będziesz miała przyjaciół. Przyjaciele? Claudette nie wiedziała już, co znaczy to słowo.

Emeline poprowadziła ją korytarzem w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przybyła pierwszego dnia. Wreszcie dotarły do obszernej, szerokiej na pięć metrów celi, gdzie kilka kobiet siedziało na krzesłach, haftując i grając w karty, podczas gdy jedna z nich czytała pozostałym na głos. Wszystkie podniosły głowy, gdy drzwi się otwarły, i Claudette, popchnięta przez Emeline, przekroczyła próg. Pulchna starsza kobieta o pooranej zmarszczkami twarzy wstała z miejsca, trzymając w ręce talię kart.

- Moja droga, witaj w naszym niewielkim zastępie nieszczęsnych więźniarek. Wiesz, plotki szybko niosą się pośród tych zatechłych murów. Doszły nas słuchy, że tu jesteś i że to ty wykonywałaś bajeczne lalki, które królowa kolekcjonowała w Petit Trianon. Bardzo pragnęliśmy cię poznać i przekupiłyśmy porucznika Napiera, by przeniósł cię do nas. Mam nadzieję, że uznasz tę kwatere, jak i nasze towarzystwo, za zadowalające.

- Jestem ogromnie wdzięczna za wyprowadzkę z mojej celi.

- A zatem witamy cię serdecznie w naszych skromnych progach.

Kobieta przedstawiła się jako *madame* D'Aubigne i wyjaśniła, że jest związana z Burbonami poprzez małżeństwo z nieślubnym potomkiem Ludwika XIV. Jej mąż zginął tragicznie

podczas polowania dwa lata temu, lecz ona sama żyła w dostatku dzięki przezorności małżonka, który zabezpieczył kapitał z państwowej kiesy przeznaczony przez byłego króla na jego utrzymanie. Jej zdaniem rewolucjoniści przez jakiś czas patrzyli chciwie na jej majątek, aż wreszcie stwierdzili, że wspiera przyszłość monarchii pod rządami Burbonów w celu zachowania swojej pozycji - ten pretekst wystarczył im, by skonfiskować jej dobra, a ją samą wtrącić do La Force.

Madame D'Aubigne przedstawiła Claudette pozostałe pięć mieszkańek celi. Wszystkie były szlachciankami lub dalekimi krewnymi rodziny królewskiej, a zarzuty przeciwko nim były wyssane z palca. Nie miały pojęcia, jakich przestępstw dokonały, poza jednym - urodziły się arystokratkami.

- Ależ to samo przydarzyło się mnie! - wykrzyknęła Claudette. Opowiedziała im, jak została oskarżona o zdradę polegającą na niesieniu pomocy rodzinie królewskiej, ale nie wiedziała, co konkretnie zrobiła, by sprowadzić na siebie gniew ludu. - Nigdy nie dopuściłabym się zdrady, choć gdybym była świadoma, że król i królowa potrzebują ratunku, z wielką chęcią ruszyłabym im z pomocą.

- Cóż, kochana, nie mów tak głośno. Pozostajemy tu wszystkie w wielkim niebezpieczeństwie, a gdyby strażnicy podsłuchali podobne oświadczenia, byłoby z nami źle. A teraz przede wszystkim musimy poprawić ci trochę samopoczucie.

Kobiety podeszły do kilku sfatygowanych kufrów stojących w rogu celi i poczęły wyciągać z nich szczotki do włosów, kosmetyki i odzież. Najwyraźniej damom należało się więcej przywilejów niż godnej politowania lalkarce. Skakały wkoło niej, ubolewając nad jej mizernym stanem. Wcierały jej krem w twarz, nakładały róż i szminkę, rozczesywały skołtunione włosy, a wreszcie zdarły z niej obrzydliwą odzież więzienną, zastępując ją źle dopasowaną, lecz stosunkowo czystą sukienką. Brakowało w niej guzików i kokardek, w dodatku była za duża, ale Claudette i tak poczuła ulgę, uwolniwszy się od szmaty, w którą dotąd była odziana.

Madame DAubigne bezradnie wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, moja droga. Musiałyśmy użyć dodatków z tej sukni, by podreperować nasze własne stroje. Żadnej z nas nie dano zbyt wiele czasu na spakowanie się, a, co zrozumiałe, mamy stąd marny dostęp do znajomych czy członków rodziny.

W oczach Claudette lśniły jednak łzy szczerej wdzięczności.

- *Madame DAubigne*, przez cały czas mego pobytu tutaj, choć nie wiem, ile dni upłynęło, nikt nie okazał mi ani cienia uprzejmości. Aż do teraz.

- Ludzie... strąceni ze swych pozycji, jak my, muszą troszczyć się o siebie nawzajem, nieprawdaż? Mamy pewną możliwość, ograniczoną, ale jednak, kupowania pewnych rzeczy, które są nam niezbędne. Co prawda strażnicy przy okazji takich transakcji porządnie napychają sobie kieszenie, ale nie mamy wyjścia. Kiedy jadłaś ostatni posiłek?

Claudette zamyśliła się.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że nie obowiązuje mnie jakiś konkretny porządek posiłków, choć zapewniano mnie, że jadam dwa razy dziennie.

- Przynieś trochę sera cantal dla *mademoiselle* Claudette! - Gestem zmobilizowała jedną z mieszkanek celi. - Otworzymy też butelkę wina, by uczcić nową członkinię naszej załogi! Abyśmy wszyscy przetrwali te ciężkie czasy!

Claudette rzuciła się na jedzenie. Aromatyczne kawałki twardego, cierpkiego sera były tak różne od zapleśniałego chleba i brei, którą dostawała do tej pory, że trzymała je w ustach jak najdłużej, nim je połknęła. Ser popiła wielkimi łykami wyśmienitego czerwonego wina z butelki, ulewając troszkę na przód pożyczonej sukni. Wstydziła się swego napadu zachłanności, ale *madame DAubigne*, wyraźnie dowodząca grupką, uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Zdaje się, że trafiłaś do nas w samą porę, *mademoiselle* Laurent.

Następnych kilka dni minęło Claudette na poznawaniu towarzyszek niedoli. Była wdzięczna za możliwość spędzania czasu z istotami ludzkimi, które nie pojawiały się tylko po to,

aby wrzucać jej do celi brudne koszule lub serwować ledwo jadalne posiłki. Opanowała podstawy eleganckiego haftu, lecz nie sięgała po karty, gdyż nie miała pieniędzy na podobne igraszki. Dzielila również obowiązki lektorki z jedną z pozostałych pań. Dama dotąd zajmująca się głośnym czytaniem wyraziła chęć odpoczynku.

Biorąc pod uwagę warunki, w których wcześniej bytowała, Claudette była do tego stopnia zadowolona, że zapominała nawet o wiszącej nad sobą groźbie *Madame* Gilotyny. Nie doczekała się też wizyt ze strony Jeana-Philippea.

William z pewnością przetrząsa już kraj w poszukiwaniach. Tylko jak ma ją znaleźć w tych lochach? Mógł wiedzieć jedynie tyle, że udała się pocieszać zgnębiałą królową, lecz ta wiedza nie pomoże mu odkryć, co rzeczywiście jej się przytrafiło. Jakaż głupia była, ufając Jeanowi-Philippeowi! Dlaczego po prostu nie poślubiła Williama i nie osiadła spokojnie wśród gromadki dzieci, zamiast obsesyjnie walczyć o powodzenie sklepu i dobro klientów? Nawet jeśli William wyruszył jej szukać, pewnie po tak długim czasie już się poddał.

Béatrice zarządzała sklepem, co oznaczało, że pewnie byli już bliscy katastrofy... Może Marguerite jej pomaga. Biedna Béatrice. Cień uśmiechu przemknął przez twarz Claudette na myśl o bliskich. Nie ma sensu roztrząsać losu warsztatu. Nigdy go już nie ujrzy. Tak jak Williama, Béatrice ani niczego poza tymi murami.

19 sierpnia 1792. W korytarzu wybuchło nagle zamieszanie, burząc względny spokój więzionych pań. Niespotykane krzyki i błagania wzbijały się nad codzienny gwar więzienia. Natychmiast zdały sobie sprawę, że do ich celi prowadzono kolejne zatrzymane. Claudette, porzucając cerowaną właśnie sztukę odzieży, pierwsza skoczyła na równe nogi, rozpoznając przywiedzione kobiety.

- *Princesse! Madame* de Tourzel! Skąd się tu wzięłyście?

Przestraszona i potargana *princesse* de Lamballe rozglądała się wokół szeroko rozwartymi oczami. Z początku nie kojarzyła, kto do niej mówi, lecz po chwili padła w ramiona Claudette. Jej delikatnym ciałem wstrząsał szloch. Pozostałe mieszkanki celi obserwowały scenę z zainteresowaniem, lecz bez zdziwienia. Czyż każda z nich nie zachowywała się tak samo, gdy się tu znalazła?

Gdy się nieco uspokoiła, *princesse* zdała im relację, jak trafiły do nikczemnego przybytku. Komisarze Komuny Paryża, rewolucyjnego rządu miasta, ogłosili, że pozostali przy królowej dworzanie mają zostać przesłuchani. Miało to związek z nowym rozkazem wydanym przez Komunę, który stawiał rojalistów przed specjalnym trybunałem mającym osądzać ich za zbrodnie rzekomo popełnione podczas obalania monarchii przez lud. Królowa wszelkimi siłami próbowała zatrzymać *princesse* przy sobie, argumentując, że są krewniaczkami. Słusznie bowiem przypuszczała, że Tempie jest miejscem bezpieczniejszym od zwykłego więzienia. Jej starania spełzły na niczym i obie *princesse* oraz *madame* de Tourzel zabrano.

Madame de Tourzel, której towarzyszyła córka Pauline, dodała:

- Królowa prosiła mnie, bym troszczyła się o *princesse* i z całego serca zamierzam to czynić. Nie mam jednak pojęcia, co z nami będzie ani jak mogę jej pomóc.

Princesse skupiła się nagle na Claudette.

- Ale jak ty znalazłaś się w tym nikczemnym miejscu?

- Zdradziła mnie dziecięca miłość.

To stwierdzenie na tyle przykuło uwagę *princesse*, że jej własne problemy na chwilę wyleciały jej z głowy.

- Jak to?

- Czy pamiętasz dzień, kiedy przedstawiono mnie Jej Wysokości, oraz dżentelmena, który mi wówczas towarzyszył?

- Tak, chyba tak.

Claudette wyjaśniła, jak to w młodszych latach zaręczyli się z Jeanem-Philippeem, jak rozdzielił ich pożar i jak Spotkali się ponownie po latach.

- Byłam głupia, *princesse*, ponieważ kiedyś wyobrażałam sobie, że mogłabym porzucić Anglię, by wrócić do Francji, tu robić lalki i wyjść za pana Renauda. Nie wiedziałam, że nasiąka powoli szaleństwem Rewolucji. Ktoś przekonał go, że dopuściłam się zdrady stanu, paktując z królem i królową. Za pomocą oszustwa zwabił mnie do Francji, by wtrącić do więzienia. To niesłychane! Najgorsze jest to, że w Anglii został mężczyzna, który szczerze mnie kocha i dawno byłby moim mężem, gdybym nie była taką samolubną, głupią gąską. Niemożliwe, by William wiedział, co mnie spotkało, a jednak żyje nadal, uparcie wierząc, że pewnego dnia jeszcze go zobaczę. Chyba postradałam zmysły, czyż nie?

- A może jest jeszcze nadzieja dla nas obu, *mademoiselle* Claudette. Może któregoś poranka zjawią się wybawcy i uwolnią nas z tych okropnych lochów. Byle tylko królowej i jej rodzinie oszczędzono takiej nędzy.

Princesse szybko wpadła w żmudną rutynę będącą udziałem Claudette i jej towarzyszek. Karty, szycie i czytanie przerywane były jedynie od czasu do czasu dostawą jedzenia czy drobnych sprzętów, zależnie od wielkości ofiarowanej strażnikowi łapówki. Bezbarwne dni zlewały się jeden z drugim. Jedna z kobiet postanowiła wydrapywać w ścianie kreseczki oznaczające każdą mijającą dobę, ale po pewnym czasie zaprzestała, straciwszy zainteresowanie zajęciem lub gubiąc się w kalkulacjach. Przynajmniej zawsze można było spędzić kilka godzin na spaniu. Oczywiście jeśli żaden współwięzień nie przeszkadzał wrzaskiem czy jękiem.

Pewnego dnia w ich celi zjawił się strażnik, którego nigdy wcześniej nie widziały. Wskazał palcem na kilka z nich, w tym Claudette, *madame* DAubigne, *princesse*, *madame* de Tourzel i jej córkę Pauline. Zaprowadził je do pokoju przesłuchań znajdującego się przy bocznym wejściu do więzienia. Słyszały podniesione głosy i krzyk dobiegające gdzieś z zewnątrz.

Claudette jako pierwszą poddano przesłuchaniu. Pytania zadawał niski, zadufany w sobie urzędnik. Do kapelusza przypiął sobie niebiesko-biało-czerwoną rozetkę, co szczęśliwie odwracało uwagę od jego krzywych, pożółkłych zębów wyszczerzonych w obłudnym uśmiechu. Jedna z jedynek była znacząco krótsza od reszty uzębienia. Gdy mówił, dłuższą z jedynek przygryzał sobie dolną wargę, co nadawało mu wygląd szczerbatego bobra. Wyłożył przed sobą kilka kartek papieru.

- Nazwisko, obywatelko.

- Claudette Renée Laurent.

- Zamieszkała w Paryżu? - Ząb nie pozwalał mu domknąć ust, więc jego „Paryż” brzmiał bardziej jak „Faryż”.

- Urodzona w Paryżu. Od kilku lat przebywam w Londynie.

- Jesteś świadoma stawianych ci zarzutów?

- Tak, ale nie jestem...

- Jesteś oskarżona o zdradę przeciwko nowej Republice Francji. Spiskowałaś w celu przekazania Ludwikowi Kapet i jego małżonce kosztowności, tak by dopomóc im w ucieczce przed wymiarem sprawiedliwości. Masz coś na swoją obronę?

Wreszcie szansa oczyszczenia swego imienia!

- Jestem niewinna, *monsieur*. Posiadam sklep lalkarski w Londynie i najwyraźniej ktoś szmuglował pieniądze czy inne wartościowe przedmioty do Francji bez mojej wiedzy, z wykorzystaniem przesyłek zawierających lalki zamówione przez królową, to jest obywatelkę Kapet. - Claudette żarliwie splotła przed sobą dłonie.

- Bez twojej wiedzy? - Brwi oficjela uniosły się ku rozetce.

- Tak, *monsieur*. Podejrzewam, że któryś z moich pracowników może mieć z tym coś wspólnego.

- I kto mógłby to być?

- Nie wiem. Przez ostatnie lata sprzedaż tak bardzo nam wzrosła, że zatrudniłam wiele nowych osób.

- Jesteś właścicielką sklepu, a nie posiadasz wiedzy na temat kosztowności przemycanych w twoim towarze ani żadnych podejrzeń co do tożsamości sprawcy. - Słowa płynące z przypominających szczurzy pyszczek ust ociekały sarkazmem.

- Tak jest, *monsieur*.

Przerzucił kilka kartek i podniósł jedną z nich.

- Widzę, że przywiózł cię tu obywatel Renaud. Poświadcza tu, że był świadkiem twojej przestępczej działalności. - Pokazał jej dokument, na którym wyraźnie widniał śmiały podpis Jeana-Philippe'a.

- Ale to nieprawda! Jean-Philippe gniewał się na mnie za odrzucenie jego zalotów. Nie popełniłam żadnej zbrodni przeciwko Francji ani komukolwiek innemu! - Claudette poczuła, że ktoś dotyka lekko jej łokcia. Odwróciła się i ujrzała, jak *princesse* rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie.

Widząc *princesse*, inkwizytor natychmiast stracił zainteresowanie Claudette.

- Możesz usiąść. Chcę przesłuchać cię, obywatelko. *Princesse* odprowadziła lalkarkę do stojącego pod ścianą

krzesła, po czym wróciła przed oblicze urzędnika, by stawić czoła przesłuchaniu. Z punktu widzenia Claudette było ono niespójne i złośliwe, a oficjel atakował *princesse* pytaniami pozbawionymi ładu i składu.

- Nazwisko?

- Marie-Thérèse Louise de Savoie-Carignan, księżna de Lamballe.

- Co wiesz o wydarzeniach z dnia dziesiątego sierpnia? -Nic.

- Gdzie spędziłaś ten dzień?

- Pojechałam za królem do Zgromadzenia Narodowego.

- O której godzinie się tam udał?

- O siódmej.

- A czy przed wyjazdem nie przejrzał stanu oddziałów? Czy wiesz, co kazał im przysiąc?

- Nie słyszałam o żadnej przysiędze.

- Czy wiesz coś o dziale armatnim ustawionym i wycelowanym w komnaty Tuileries?

-Nie.

- Czy wiesz, gdzie znajdują się tajemne drzwi w pałacu Tuileries?

- Nie wiedziałam o istnieniu takich drzwi.
- Czy od momentu, w którym trafiłaś do Tempie, otrzymywałaś listy i odpisywałaś na nie, planując wysłać potajemne wiadomości?
- Ani razu nie dostałam ani nie napisałam listu, który nie przeszedłby przez ręce urzędnika miejskiego.
- Czy wiadomo ci coś na temat mebla wykonywanego dla *madame Elisabeth*?
- Nie.
- Jakie książki przechowujesz w Tempie?
- Nie posiadam żadnych.
- Czy znana ci jest okratowana klatka schodowa? -Nie.

I tak dalej. Po godzinnym przysłuchiwaniu się takiej wymianie pytań i odpowiedzi Claudette usunięto z sali i zaprowadzono z powrotem do celi. Chwilę później dołączyła do niej *madame DAubigne*, *madame de Tourzel* i Pauline. Upłynęły całe wieki, nim powróciła *princesse*.

Przesłuchiwano ją trzynaście godzin. Spędziła je wyprostowana pod złowrogimi spojrzeniami oficjeli. Wreszcie zdecydowali, że musi pozostać za kratami, dopóki nie spłyną nowe rozkazy, lecz może dokonać wyboru więzienia: La Force albo La Salpetriere. Bez namysłu zdecydowała się na pierwszą opcję. Najpierw uzgodniono, że zostanie rozdzielona z *madame de Tourzel*, jednak widocznie i urzędnicy mieli w sobie jakiś okrucieństwo, gdyż w końcu przystali na towarzystwo poczciwej niewiasty i pozostałych kobiet z celi.

Czas włókł się dalej, choć Claudette i przyjaciółki królowej odnajdywały pocieszenie we wspólnych rozmowach o rodzinie królewskiej, życząc jej jak najlepiej. Wracały też myślami do radosnych chwil, które przeżyły jako serdeczne przyjaciółki Marii Antoniny. Mijał dzień za dniem, a towarzyski niedoli nie były ani o krok bliżej wolności niż w chwili wtrącenia ich do lochu.

ROZDZIAŁ 32

2 września 1792.

- Po cóż kolejne przesłuchanie? - denerwowała się *madame de Tourzel*, przemierzając tam i z powrotem twardą posadzkę, od której brzeg jej sukni był już brudny i podniszczony. - Czego chcą się dowiedzieć od *princesse*, o co jeszcze nie pytali?

Claudette próbowała koić jej zszargane nerwy.

- Może otrzymali jakieś wieści, które oczyszczą ją z zarzutów, i zostanie uwolniona.

- Uwolniona! Ha! Od początku nie było dowodów, na podstawie których mieliby prawo w ogóle ją przetrzymywać. Dlaczego nagle mieliby odnaleźć cokolwiek, co zmazałoby jej wyssaną z palca winę?

Ta odpowiedź uderzyła Claudette, jak gdyby ktoś wymierzył jej cios. Dlaczego ułaskawiać kogoś, dla kogo sfabrykowało się zbrodnię?

Wkrótce i *madame de Tourzel* wezwano na ponowną rozmowę. Uścisnęły się mocno z Claudette, nim starsza kobieta opuściła celę.

- Proszę przekazać *princesse*, by nie traciła ducha - szepnęła Claudette. - I pani będzie dzielna, jestem tego pewna. - Dziewczyna posłała kobiecie krzepiący uśmiech.

Po chwili *madame de Tourzel* zniknęła, a w pomieszczeniu pozostało osiem zmizerniałych osób, łącznie z silnie wzburzoną Pauline.

Wszystkie z niepokojem czekały na powrót towarzyszek, lecz mijały godziny, a one wciąż się nie pojawiały. Wreszcie sprowadzono na dół *madame de Tourzel*. Została cudem

oczyszczona z zarzutów, lecz nalegała, by pozwolono jej zobaczyć się jeszcze z nowymi przyjaciółkami, by donieść im, że *princesse* odważnie oznajmiła przesłuchującym: „Nie mam nic do powiedzenia. To, czy śmierć nadejdzie nieco wcześniej, czy później, jest dla mnie bez znaczenia. Jestem gotowa złożyć swoje życie w ofierze”.

Madame de Tourzel widziała jednak, jak *princesse* prowadzono do wyjścia wiodącego ku więzieniu Abbaye, więc miała nadzieję, że dostarczono ją tam bez szwanku i że pobyt w nim będzie krokiem ku jej zwolnieniu.

Madame de Tourzel wraz z córką wypuszczono niedługo potem. Wycalowały wszystkie towarzyszki niedoli na pożegnanie, obiecując, że postarają się zrobić, co w ich mocy, by uwolnić przyjaciółki. Był to z ich strony uroczy gest, choć wszystkie zdawały sobie sprawę, że mocy nie mają żadnej. Więźniarki szybko wpadły z powrotem w otepiałą rutynę szycia, czytania i kart.

Do celi przyniesiono bochenek czerstwego chleba i wyszczerbioną wazę chudego rosółu. Dodały kilka przechowywanych w ukryciu przypraw, sprawiając, że posiłek stał się niemal smaczny, więc wygłodniałe rzuciły się jedzenie. Inny strażnik zjawił się, by odebrać od nich naczynia, lecz zamiast od razu odejść, kręcił się po celi, uśmiechając chytrze, jak gdyby trzymał w zanadrzu jakiś sekret. Ocierając usta wierzchem dłoni, Claudette zaszczyciła go spojrzeniem.

- *Monsieur*, zdaje się, że ma pan coś do powiedzenia.
- Waszej przyjaciółki już tu nie ma.
- Której? Ma pan na myśli *madame* de Tourzel? Oczywiście, że jej nie ma, wypuszczono ją.
- Nie o nią mi chodzi. Ta druga.
- *Princesse*?
- Nie ma już takiego tytułu. Nowy rząd tak oznajmił. Claudette westchnęła.
- Dobrze więc. Czy mówi pan o obywatelce de Lamballe?

- O, tak, o niej.

- Co z nią? Przeniesiono ją do więzienia Abbaye. Niedługo wyjdzie na wolność.

- Nic z tego.

Claudette poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku.

- Co zatem? Czy umieszczono ją w innym budynku?

- „Więzienie Abbaye” to zaszyfrowana nazwa.

- Szyfr? Na co?

- Na wyjście drugimi drzwiami.

- *Monsieur*, męczą mnie już pana zagadki. Jakie znów drugie drzwi? Dokąd poszła *princesse*... obywatelka de Lamballe?

I wtedy strażnik z lubością opisał los, który spotkał *princesse*. Posłano ją na więzienny dziedziniec, gdzie czekał na nią powiadomiony uprzednio tłum. Runęli na niespodziewającą się niczego kobietę jak dzikie bestie, mordując ją i rozrywając jej ciało na kawałki. Ostatnią rzeczą, jaką widział opowiadający, było nadzianie jej głowy na jedną pikę, wnętrzości na drugą, a jakiejś innej, bliżej nieokreślonej części ciała na trzecią. Hołota odmaszerowała, unosząc wysoko w górę swe trofea, śpiewając donośnie i śmiejąc się w głos, jakby szła z dziećmi na paradę.

Słuchaczkom odebrało mowę. Jeśli *princesse* de Lamballe nie udało się ocalić od tak okrutnego końca, dla nich tym bardziej wszelka nadzieja już zgasła.

Claudette najciężej przeżyła śmierć *princesse*. Zwinęła się w kłębek na kamiennej podłodze w najdalszym kącie celi. Bez przekonania zamachnęła się na karalucha, który zbliżył się do niej, by sprawdzić, czy nie nadaje się do zjedzenia. Patrzyła na niego bezmyślnie, zastanawiając się, czy by mu smakowała. Albo jednemu ze szczurów, które od czasu do czasu przemykały przez cele zwabione obrzydliwym smrodem świadczącym o śmierci któregoś z więźniów, gwarantującym obfity obiad. Zresztą, czy miało to jakieś znaczenie? Leżała tu, zapomniana, porzucona, by umrzeć w brudzie i nędzy.
„Williamie, Willia-

mie, gdzie jesteś? Zniosłabym wszystko, gdybym tylko wiedziała, że mnie szukasz".

Kilka godzin - a może lat? - później, usłyszała w korytarzu znajomy odgłos, który oznaczał, że ktoś się zbliża. Uniosła głowę, by lepiej łowić dźwięki, ale wysiłek okazał się za wielki na jej wątłe siły i opadła z powrotem na ziemię, zamykając ponownie oczy. Wtem poczuła, że ktoś nią potrząsa.

- *Mademoiselle* Claudette, masz gościa. - *Madame* DAubigne ciągnęła ją za rękaw. Dziewczyna podniosła wzrok. W drzwiach celi stał Jean-Philippe. Podniosła się nieco, podparta na łokciu.

- Odejdź, Jeanie-Philippie. Czy nie dość mnie już wymęczyłeś?

- Obywatelko Laurent, wstaniesz i podejdziesz tu.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Natychmiast podejdziesz i wysłuchasz, co mam do powiedzenia.

Madame D'Aubigne, która nadal stała przy niej, otoczyła ją w pasie ramieniem, by pomóc jej wstać. Jednocześnie szepnęła jej do ucha:

- *Mademoiselle*, proszę, będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli zrobisz, co każe.

Claudette przeszła przez celę, nie dbając o to, co Jean-Philippe chciał jej przekazać. Popatrzyła na niego pozbawionymi wyrazu oczami.

- O co chodzi?

Rozwinął oficjalnie wyglądający dokument, na którym Claudette dostrzegła czyjś podpis i pieczęć. Odchrząknął:

- Obywatelko Laurent, za zbrodnie przeciwko narodowi francuskiemu, w tym szpiegostwo i zdradę stanu, jesteś oto skazana na karę śmierci poprzez ścięcie gilotyną, które dokona się jutro o jedenastej na placu du Carrousel. - Zwinął papier. - Możesz uważać się za wybrankę losu. Doznasz zaszczytu samotnej podróży dwukołowym wozem. Większość więźniów ładujemy na wozy zbiorowo. Ktoś zjawi się wieczorem, by ogolić ci głowę. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł tak szybko,

jak się zjawił. Jeszcze przez chwilę dobiegał ich oddalający się stukot jego obcasów.

Claudette spojrzała po towarzyszkach. Wszystkie bez wyjątku wpatrywały się w nią, a na ich obliczach malowały się niedowierzanie i strach. *Madame D'Aubigne* rzuciła się ku dziewczynie, by porwać ją w ramiona.

- Drogie dziecko, jak to możliwe? Jesteś za młoda na ten koszmar, który spadł na nas wszystkie. Uwierz, proszę, w nasz najszczęśliwszy żal.

Claudette wtuliła twarz w suknię kobiety, ale łzy nie chciały płynąć. Czowała się pusta, wyzuta z wszelkich emocji. Tylko jedno uczucie wciąż się w niej tliło: „Williamie, najmilszy, kocham cię. Jakże pragnę raz jeszcze ci to powiedzieć. Tak żałuję, że umieram, nie będąc twoją żoną”.

Jakiś czas później zjawiła się pracownica więzienia, której Claudette nigdy wcześniej nie widziała. Wkroczyła do celi, bezceremonialnie skrzyknęła niegdyś bujne, kręcone włosy łal-karki i zadała im kilka cięć nożem, tak że pukle zostały jej w dłoni. Kobieta, nie przedstawiając się nawet, rzuciła Claudette czepek, nakazując jej włożyć go, gdy następnego ranka przyjdzie po nią straż. Na stojącym samotnie stole umieściła niewielki zegar, który zwykle uważany byłby za cenną nagrodę, lecz dziś drwiąco przypominał o tym, co miało wkrótce nastąpić. Claudette zagapiła się na czepek spoczywający w jej drżącej dłoni. Podniosła wzrok, by raz jeszcze spojrzeć za strażniczką znikającą w głębi korytarza z jej lokami w dłoni. Przez umysł Claudette przemknęła szalona myśl, ile peruk dla lalek wykonałaby z takiej ilości włosów. Szybko potrząsnęła głową, by pozbyć się wspomnień dawnego życia. Czekala ją już tylko śmierć.

ROZDZIAŁ 33

Temple, wrzesień 1792. Średniowieczna konstrukcja fortecy nadawała jej wygląd nieprzystępny i złowrogi. Budynek stał się prawdziwym więzieniem dla rodziny królewskiej. Strzeżeni „dla swego bezpieczeństwa” byli obecnie: król, Maria Antonina, siostra Ludwika, *madame* Elisabeth, delfin Ludwik Karol i jego siostra, *princesse* Marie-Thérèse. Zostali zredukowani do nędznej grupy zbrodniarzy przetrzymywanych ku uciesze ludu.

Pomijając warunki, w jakich przebywali, ich codzienna rutyna nie odbiegała jednak od domowej normy. Para królewska zgodnie przyjęła role matki-opiekunki i ojca-nauczyciela. Śniadanie spożywano o dziewiątej. Następnie Ludwik zasiadał do lekcji z Ludwikiem Karolem, a Maria Antonina nauczała córkę. *Madame* Elisabeth wzięła na siebie odpowiedzialność przekazania obojgu tajników nauk matematycznych. Później wspólnie, całą rodziną, zażywali odrobiny ruchu w ogrodzie. Podczas ich pobytu na zewnątrz przeszukiwano zwykle zajmowane przez nich komnaty.

Obiad podawano o czternastej, a po nim następował czas zabaw i gry w karty. Późnym popołudniem Ludwik zapadał w głęboką drzemkę, chrapiąc głośno, a kobiety czuwały. Po kolacji czytali lub każdy w skupieniu oddawał się własnym zajęciom. Przed modlitwą, którą królowa odmawiała wraz z dziećmi, i udaniem się na spoczynek, był jeszcze czas na dodatkowe lekcje dla Ludwika Karola lub książkę, którą król czytał na głos rodzinie. Kładli się spać o dwudziestej trzeciej.

Domowy spokój zakłócano tylko raz dziennie, około dziewiętnastej, kiedy pod oknami *Temple* pojawiali się krzykacze

donoszący o najnowszych wydarzeniach. Poza tym jednym punktem programu dzień po dniu mijał rodzinie królewskiej bez urozmaiceń. Paradoksalnie, królowa osiągnęła to, co starała się uzyskać, budując Hameau - nieskomplikowane, nieograniczone konwencjami życie.

Drugiego września doznali jednak wstrząsu, szczególnie silnego w przypadku Marii Antoniny.

Król i królowa grali akurat w tryktraka w pokoju na górze, gdy z zewnątrz dobiegły ich krzyki. Rozpoznając w hałasie odgłosy nadciągającego tłumu, kilkoro służących, którym zlecono pracę dla państwa Kapet, wyjrzało przez okno, by przekonać się, co tym razem wiodło lud. Jedna ze służek wydała lekki okrzyk, po czym zatrzęsnęła wszystkie okna i wybiegła z pokoju, wzywając pomocy.

Król spokojnie podniósł wzrok znad pionków.

- Kolejna demonstracja w imię praw człowieka? - spytał.

Usłyszeli na dole szaleńczy śmiech. Ludwik wezwał jednego z pełniących służbę strażników, by dowiedzieć się, co jest przyczyną zgromadzenia.

- Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, *monsieur*, to lud próbuje pokazać wam głowę *madame* de Lamballe.

Maria Antonina wstała znad planszy do gry, wpatrując się w zamknięte okno bez mrugnięcia powieką. Stała tak przez kilka chwil, skamieniała z przerażenia. Nawet najmniej współczującym strażnikom potworność dokonanego czynu odebrała mowę.

Królowa zemdląła i padła na podłogę. Nie reagowała na oklepywanie rąk i stóp ani na swoje imię, którym wzywali ją obecni. Córka przytuliła się do niej, szepcząc słowa otuchy, i nie dopuściła nikogo innego do matki.

Lecz okropności było jeszcze więcej. Tłum zebrał z okolic Tempie gruz, z którego powstał kopiec potrzebny, by ktoś mógł się wspiąć i pochwalić przed królową cennymi trofeami. Już po chwili mieszkańcy fortecy usłyszeli stukanie w szybę.

- Hej, Antonino, podejdź, przywitaj się z przyjaciółką! Buzi, buzi! Nie odstawimy, dopóki nie dasz jej buzi! Buzi! - Lud ryczał ze śmiechu. Wewnątrz pokoju brzmiało to tak, jak

gdyby rozwrzeszczana masa ludzka lada chwila miała wdrzeć się do środka.

- Jeśli nie dasz jej buziaczka, może dodamy twoją głowę do jej, co? Wyjdź i zobacz, co spotyka tych, którzy przeciwstawiają się woli ludu, austriacka zdiro! - Szydercze okrzyki długo jeszcze nie ustawały.

- Dzikusy - mruknął komisarz Daujon, który zarządzał twierdzą Tempie i pojawił się w pokoju chwilę wcześniej, by dociec źródła wrzawy. Nie darzył króla i królowej większą sympatią niż jakikolwiek przeciętny Francuz, ale tego było już za wiele nawet dla niego.

Poszedł do bramy fortecy i kazał ją zabarykadować. Wyjącemu na zewnątrz tłumowi oznajmił:

- Głowa Antoniny nie należy do was. - Poradził im, żeby zamiast na nią dybać, pomaszerowali sobie wokół Tempie ze swymi odrażającymi pikami. Z radością zastosowali się do tej sugestii, okrążając fortecę nieprzerwanie aż do godziny piątej następnego ranka, gdy wreszcie wyczerpały się ich zapasy słusznego oburzenia i wina.

Królowa nie ujrzała w końcu straszliwych trofeów. Po dłuższym czasie docucono ją i delikatnie zaprowadzono do łóżka. Nie opierała się, a z sypialni zawołała tylko raz, prosząc, by przyniesiono jej lalkę Józefinę. Później do zgromadzonej pod jej pokojem rodziny dobiegały na zmianę żalospny płacz i prowadzona zwyczajnym tonem konwersacja z lalką, jakby u wezgłowia Marii Antoniny siedziała nie figurka, lecz jej zmarła przyjaciółka.

Dwa dni później doniesiono królowi na osobności, że księciu de Penthièvre, leciwemu teściowi *princesse*, udało się odzyskać ciało dziewczyny wraz z głową i pochować je w rodzinnym grobowcu.

Ludwik odparł:

- Postawa *princesse* w obliczu naszej niedoli najlepiej tłumaczy, dlaczego królowa wybrała właśnie ją na prawdziwą, najbliższą przyjaciółkę dla siebie samej i dla całego naszego nieszczęsnego kręgu.

ROZDZIAŁ 34

Więzenie La Force, 3 września 1972. Do świtu Claudette zebrała siły i mogła z godnością stawić czoła swojej egzekucji. Pójdzie na szafot w milczeniu i bez buntu. „Mamo, tato - modliła się. -Wkrótce będziemy razem. Proszę, nie bądźcie mną zawiedzeni”.

Gdy już wypowiedziały morze słów współczucia, towarzyszki siedziały bez słowa, wpatrzone w nieuchronną wędrówkę wskazówek zegara. Szósta. Jeszcze tylko pięć godzin życia, może kilka minut więcej, zależy, jak długo trwać będzie przejazd wozem pod gilotynę. „Czy ktoś przybędzie, aby być świadkiem mojej egzekucji?” O wiele gorsze od śmierci byłoby żegnanie się ze światem w pojedynkę, bez jednej duszy, którą obchodziłoby jej odejście.

„Czy ostrze zadaje ból?” Gdy angielska królowa Anna Boleyn dowiedziała się, że zostanie ścięta przez francuskiego mistrza miecza, ponoć zaśmiała się z radości, dziękując losowi, że uniknie niezdarnej siekiery. Rzekła: „Doszły mnie słuchy, że kat jest bardzo sprawny, a ja mam drobną szyję”.

Claudette nigdy nie słyszała o przypadku, by gilotyna nie zadziałała z pełną skutecznością, jedynie częściowo obcinając komuś głowę. Jeśli więc uda jej się dzielnie zachować godność do chwili, gdy stanie na podwyższeniu, wszystko potoczy się gładko i bezboleśnie.

Punktualnie o jedenastej, przynajmniej według wskazań ich zegara, usłyszała zbliżające się kroki kilku osób. Nie drgnęła na swojej pryczy. Trzej mężczyźni ubrani w mundury otworzyli celę. Zaśmiała się bez cienia wesołości:

- Aż tylu was potrzeba, by pozbawić mnie głowy tego ranka?

Madame DAubigne nie powstrzymała okrzyku. Przybyli zdawali się chwilowo zbici z tropu, lecz najniższy z nich, najwyraźniej dowódca, oznajmił władcym tonem:

- Obywatelko Laurent, zostaniesz natychmiast przewieziona na plac de Carrousel na egzekucję.

Dostrzegła teraz, że jeden z mężczyzn trzyma dwa kawałki sznura. Ku oburzeniu *madame DAubigne* związał jej ręce za plecami. Zauważył, że Claudette patrzy na drugą część sznura, więc wyjaśnił:

- To na później. Na nogi. Żebyś nie zsunęła się z deski. Dziewczyna wzięła głęboki wdech, starając się nie myśleć o przywiązaniu do deski, którą wsuną pod ostrze. Wkrótce będzie po wszystkim.

Nie odwróciła się już, by spojrzeć na towarzyszki, gdy prowadzono ją w głąb mrocznego korytarza. Bała się, że złamie postanowienie o spokoju i dzielności. Dotarli do bocznego wyjścia i drzwi otwarto na oścież. Oślepiły ją jasne, ciepłe promienie słońca. Zatrzymała się, mrużąc oczy, by przyzwyczaić je do światła. Pewnie każdy wychodzący reagował w ten sposób, bo przywykli do tego strażnicy podarowali jej tę cenną chwilę, by mogła rozejrzeć się wokół.

Od drzwi poprowadzono ją do wozu, niewielkiego, dwukołowego pojazdu, na którego nieheblowanej ławce mieścił się akurat jeden człowiek. Siedzisko znajdowało się nisko nad ziemią, tak że głowa pasażera była na wysokości kapeluszy przechodniów. Wóz miał rozklekotane drewniane koła i sprawiał ogólne wrażenie bardzo niewygodnego jak na czyjeś ostatnie minuty życia. Wóz połączony był z małym podestem dla woźnicy. Tym razem wodze przypięto do upręży konia, który dawno zostawił za sobą lepsze dni, ale po co dobrej jakości zwierzę zaprzęgać do wozu ze skazańcami? Woźnica stał już tyłem do Claudette, ale widziała jego cienkie, przetłuszczone włosy wymykające się spod czapki z wszechobecną trójkolorową rozetą. Zastanawiała się, czy udałoby się go przekonać, aby

wysłał jej ciało do Anglii. Zdała sobie jednak sprawę, że nie miała nic, czym mogłaby go przekupić, a to właśnie łapówki poprawiały więźniom jakość życia.

Mężczyzna odpowiedzialny za więzy rzucił niewykorzystany jeszcze kawałek sznura woźnicy, polecając, by przekazał go osobie, która będzie ich oczekiwała na placu egzekucji. Ten odburknął, że nie jest *imbécile* i że zna się na swojej robocie.

Claudette siedziała tyłem do kierunku jazdy, co uważano za dodatkowe upokorzenie dla skazanego. Poczowała silne szarpnięcie i wóz ruszył, zabierając ją na ostatnią w życiu przejażdżkę. Koła kręciły się powoli, a ich turkot po nierównym bruku był ogłuszający. Gdy skręcili w rue Pavée, kilku młodzików dostrzegło dziewczynę i podbiegło do wozu, towarzysząc mu w powolnym przejeździe. Rozpoznali czepek na obciętych włosach i związane z tyłu ręce jako jawny znak niechybnej egzekucji.

- Jesteś morderczynią? Wykończyłaś swojego męża? - pytali.

Nie przerywała milczenia, z determinacją wbijając wzrok w dal. Inni obywatele również zwrócili uwagę na przejeżdżający wóz, a nawet przyłączyli się do procesji. Publiczna egzekucja zawsze budziła o wiele większe emocje niż praca zawodowa czy domowa. Rodzaj popełnionej zbrodni był bez znaczenia. Szafot to szafot, a ścięcie głowy zawsze było wspaniałą uliczną rozrywką.

Tłum wokół wozu stopniowo gęstniał. Claudette poczuła bolesne ukłucie w policzek. Otarła twarz o bark i zauważyła czerwoną smużkę krwi. Niewielki kamyk leżał u jej stóp. Niemal natychmiast kolejny pocisk trafił w ściankę wozu. Tym razem poczuła odór końskiego łajna. Pęczniejąca masa ludzka, pełna ciał równie nieumytych i cuchnących jak jej własne, zaczęła wstrzymywać i tak powolny już postęp wozu.

Lud począł z niej szydzić, obrzucając obelgami i plując jej w twarz. Najgoręcej pragnęli, by dała się sprowokować i ponieść złości. Wybuchowa reakcja z jej strony podgrzałaby atmosferę. Wtem z ust Claudette wyrwał się mimowolny krzyk, gdyż ktoś trafił ją zgniłym owocem prosto w pierś tak mocno,

że na chwilę straciła oddech. Tłum wzniosł okrzyk uciechy bądź to z powodu jej reakcji, bądź w wyrazie pochwały dla celności rzutu. Claudette nie była pewna przyczyny. Ku jej niemałemu zaskoczeniu woźnica zawołał gniewnie do rzucającego, po czym strzelił z bata, przyspieszając przeprawę przez uliczny ruch. Dziewczyna zaniepokoiła się nieco, gdy wóz zaczął podskakiwać na nierówno wybrukowanej ulicy. Była związana, co groziło upadkiem na bruk, prosto w ręce motłochu. Czy miał ją spotkać los *princesse*?

Ludzie nadażali za wozem, mimo przyspieszonego tempa, zdecydowani nie przegapić pasjonującego widowiska. Dostrzegła, że wielu pokazuje coś palcami i krzyczy radośnie na widok czegoś przed nimi. Odwracając się przez ramię, zrozumiała, co ich tak poruszyło. Dojeżdżali na plac de Carrousel i wzrok Claudette padł na ogromną gilotynę górującą nad wznoszącym się na dwa metry nad ziemię podwyższeniem. Obawiała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa i nie da rady wejść po schodkach. Na podeście kręciło się kilkoro ludzi. Nie umiała stwierdzić, czy jest wśród nich skazany lub skazana. Całą jej uwagę pochłonęła gilotyna, potwór o wiele większy niż sobie wyobrażała. Ostrze było uniesione, przygotowane na następną ofiarę. Na podeście, poniżej ostrza, znajdował się rowek wydrążony na szyję. To tam za chwilę złoży swoją głowę, podczas gdy ciało przywiążą jej do deski i umieszczą dokładnie pod mechanizmem tnącym. Panika ścisnęła jej gardło, wydobywając z krtani cichy jęk.

Woźnica wykonał nagle ostry skręt w lewo, w boczną uliczkę, tuż przed placem egzekucji. Niespodziewany ruch rzucił Claudette na podłogę pojazdu, ale dziękowała losowi, że nie wypadła na zewnątrz. Woźnica zachowywał się jak obłąkany, wrzeszcząc na pieszych, dorożkarzy i sprzedawców owoców, którzy choć odrobinę spowolnili ruch wozu. Tłum rozpierzchł się, gdy pojazd zmienił kurs, jako że korzystniej było stłoczyć się przy samej gilotynie w oczekiwaniu na kolejnego nieszczęśnika, niż gonić za wozem w celu sprawdzenia, dokąd wiozą jakąś nieznaną zbrodniarkę.

Claudette skuliła się na dnie wozu. Nie mogła wstać, gdyż ze związanymi rękami nie potrafiła złapać równowagi. Czuła, że pojazd kluczy wśród różnych ulic i alejek, a gdy po jakimś czasie podniosła wzrok, zorientowała się, że opuścili centrum miasta. Zamiast kamienic migwały jej przed oczami drzewa. Czy woźnica stracił rozum? Czy zamierzał skrzywdzić ją bardziej niż kat?

Po półgodzinie szybkiej jazdy zwolnili wreszcie i nawet ze swej niedogodnej pozycji Claudette słyszała, jak biedny koń parszaniem i prychnaniem skarży się na zbyt wielki wysiłek. Przy wolnym tempie była w stanie z trudem podnieść się i usiąść z powrotem na siedzisku. Pozycja słońca na niebie wskazywała na to, że kierują się na zachód. Jechali wąską polną drogą. Po chwili koń skręcił do opustoszałego gospodarstwa. Co czekało ją teraz? „Błagam, Boże, dopomóż”.

Przygotowała się na najgorsze, słysząc, jak woźnica zeskakuje na ziemię i klepie konia w zad, wypowiadając słowa pochwały. Zdawała sobie sprawę ze swej zupełnej bezradności. Wpijające się w nadgarstki więzy pozbawiały ją jakiegokolwiek swobody ruchu. Ramionami, nienaturalnie ściągniętymi za plecami, targał ból. Zacisnęła powieki. Poczula, jak mężczyzna zrywa jej z głowy czepek i zacisnęła zęby, szykując się na cios.

Zamiast tego, czyjaś mocna ręka pogłaskała ją po krzywo uciętych włosach.

- Spójrz na mnie - usłyszała.

Zebrawszy resztkę energii, Claudette niespodziewanie skoczyła z wozu, uderzając mężczyznę głową w brodę. Zatoczył się i padł na ziemię jak długi. Dziewczyna nie czekała ani chwili. Ruszyła przed siebie, zwiększając dystans od gospodarstwa. Związane za plecami ręce spowalniały ją, blokując ruchy i zaburzając równowagę. Nie odbiegła nawet pięćdziesięciu metrów, a już z trudem łapała oddech, a za sobą słyszała wściekły ryk oprzytomniałego już woźnicy. Parę sekund i już był przy niej, chwytając ją w pól.

- Claudette! - krzyknął, odwracając ją twarzą ku sobie.

Patrzyła na niego bezrozumnym wzrokiem. Kapelusz, a także przetłuszczone, skołtunione, ciemne włosy przekrzywiły mu się na głowie i wyglądał jeszcze koszmarnej niż ona. Czy był uciekinierem z La Force?

- Nie poznajesz mnie. - Jego głos zabrzmiał płasko. Claudette zastygła, wpatrzona w oczy nieznanego. Dostrzegła w nich znajomy błysk.

- William? - spytała z drzeniem w głosie. - Czy to być może? Jak mnie odnalazłeś?

Jednym ruchem ściągnął kapelusz i skłonił się nisko. Wewnątrz nakrycia głowy wisiały w nieładzie przyklejone sztuczne włosy, a wokół twarzy rozsypały mu się jego blond kosmyki. Bez wątplenia mogła już stwierdzić, że stał przed nią William.

Cisnął na bok niepotrzebne już czepek oraz kapelusz i delikatnie uwolnił ją z więzów. Następnie rozmasował jej ręce, by przywrócić w nich krążenie. Widząc, że jej ramionom i policzkom powoli wraca kolor, wziął ją na ręce i patrząc z niedowierzaniem na jej mizerny stan, zaniósł ją do chatki, jednym kopnięciem otwierając wiszące luźno na zawiasach drzwi. Położył ją troskliwie na wypchanym materacu przy kominku, który od wielu lat nie widział płomieni. Zapewniła Williama, że poza poważnym bólem serca, głodem i przerażeniem nic groźnego jej nie dolega, więc pocałował ją i obiecał, że wkrótce wróci. Dotrzymał słowa i po niespełna godzinie był z powrotem, dźwigając rozpałkę, drewno na opał oraz jedzenie, które udało mu się kupić od pobliskiego rolnika.

Podczas gdy on rozpalał ogień, Claudette rzuciła się na skrzynkę z produktami spożywczymi, badając po kolei każdy z osobna.

- Jajka! Nie widziałam świeżych jaj od chwili, gdy trafiłam do więzienia. Mam ochotę pocałować w dziobek kure, która je zniosła. Och, Williamie, czy to naprawdę świeży chleb? Pewnie zapłaciłeś majątek!

- Gospodarz wziął w zamian konia i wóz. Wydawał się zadowolony z dobitego targu. - William przyniósł też wór z używanymi ubraniami, również kupionymi od rolnika.

Claudette znalazła w nim praktyczną sukienkę, więc jak najprędzej zrzuciła z siebie więzienny strój i cisnęła go w płomienie, gdzie dołączył do bawełnianego czepka oraz peruki i kapelusza Williama.

Przy trzaskającym ogniu przyrządzili wspólnie posiłek złożony z produktów zdobytych przez Williama, który popili niewielką ilością wina kupionego od gospodarza za cenę dwukrotnie przekraczającą jego wartość. Siedzieli przytuleni na posłaniu, rozmawiając, a za oknami zapadał zmrok.

William opowiedział, jak znalazł jej nazwisko w gazecie Marata i jak pędził do Francji. Po przybyciu do Paryża cały czas obserwował budynek więzienia, starając się znaleźć sposób, by dostać się do środka. Gdy uzyskał informację się, że wkrótce zostanie ścięta, wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia.

- Ale jak udało ci się zdobyć ten wóz?

- Zawarłem znajomość z jednym ze strażników pracujących w La Force. Pochodził z Suffolk, ale ożenił się z Francuzką i dlatego zamieszkał tutaj. Przekonałem go, by mi pomógł.

- Przekonałeś go? Nie trafiłam w La Force na choć jednego człowieka, do którego dotarłby najlogiczniejszy nawet argument.

- Na każdego można znaleźć jakiś sposób. W przypadku pana Rogera Wickhama były to po prostu pieniądze. Potrzebował ich, aby przeprowadzić się wraz z żoną Simone z powrotem do Anglii, gdyż tu upadł ich interes mleczarski. Zaopatrzyłem go w wystarczającą sumę, a jego zadanie polegało tylko na tym, by upewnić się, że to ja poprowadzę wiozący cię wóz.

Claudette opowiedziała mu z kolei o tym, jak przekazano jej podrobiony list od królowej i jak w istocie już na pokładzie statku została więźniem. Z pewnym trudem streściła historię dziecięcych zaręczyn z Jeanem-Philippeem, przyznała się do czasu spędzanego z nim w trakcie pierwszej wizyty na francuskim dworze i opowiedziała o tym, jak zdradził ją, wabiąc na statek. Pomięła szczegóły związane z próbami wykorzystania jej

przez Jeana-Philippea, gdyż po pierwsze chciała wymazać z pamięci koszmarnie wspomnienie, a ponadto wiedziała, że William natychmiast zapragnąłby zemsty, by oczyścić jej honor.

Nie odezwał się ani słowem w trakcie jej opowieści, ani gdy przestała mówić. Leżąc przy płonącym kominku, po raz pierwszy od niemal dwóch miesięcy syta, zapadła w bezbarwny sen.

Zbudziły ją jasne promienie słońca. William porządkował chatkę, by zostawić ją w takim stanie, w jakim ją zastali. W milczeniu podał jej pozostałości jedzenia, po czym zaprowadził do studni za domkiem, gdzie mogła zmyć z siebie cały brud i smród La Force.

Gdy wróciła do środka, spostrzegła, że William zupełnie wygasił ogień. Posadził ją na jednym z dwóch kulawych krzeseł tworzących komplet umeblowania izby i spojrzał na nią z powagą.

- Kochasz go jeszcze? - spytał bez ogródek.

- Nie. - Odwzajemniła jego spojrzenie z równą mu stanowczością i mocą. - W dzieciństwie myślałam, że darzę go uczuciem. Później, gdy spotkałam go na dworze Marii Antoniny, z początku miałam wątpliwości, ale jeszcze zanim wsiadłam na statek powrotny do Anglii wiedziałam z całą pewnością, że moje serce należy do ciebie. Wątpiłam tylko, czy będę potrafiła stać się odpowiednią Angielką dla ciebie.

- Odpowiednią Angielką? Ty? - roześmiał się. - Nie chcę o tym słyszeć. Jesteś kobietą, jakiej nigdy nie spotkałem w całej Anglii. Podziwiam twoją odwagę i hart ducha. Nigdy nie zapomnę, jak wpadłaś w furję w bibliotece Ashbych, gdy założyłaś, iż przypuszczam, że nie umiesz czytać.

Claudette śmiała się razem z nim z przywołanego wspomnienia, które jednak po chwili sprowadziło jej myśli na poważniejsze tory.

- Widzisz, o tym właśnie mówię. Nie jestem podobna do wysoko urodzonych angielskich panien. Zajmuję się rzemiosłem. Jestem cudzoziemką. Zanim poznałam pannę Baccelli w Knole, nie przypuszczałam, że będę w stanie poruszać się

w kręgu twoich znajomych. Giovanna pomogła mi zrozumieć, że to jednak możliwe.

- W istocie, jest ona równie niekonwencjonalną, co wierną przyjaciółką. Na naszym weselu zasiądzie na honorowym miejscu.

Claudette spojrzała na niego.

- Czy naprawdę nadal pragniesz mnie poślubić? Po tym wszystkim, co się zdarzyło? I pomimo mego opłakanego stanu?

- Jestem zauroczony twym opłakanym stanem i bardziej zawzięty niż kiedykolwiek, by nie dopuścić, aby jakakolwiek krzywda spotkała kiedyś moją panią Greycliffe. Lecz na razie musimy przedostać się do Anglii. Z pewnością wysłano już pościg za nami, a i do uszu gospodarza, którego odwiedziłem, dotrze wieść o zbiegłej więźniarce i jej woźnicy. Bez trudu doda dwa do dwóch, szczególnie, że sprzedałem mu konia i wóz oznakowany jako własność La Force.

Claudette była tak przeraźliwie wychudzona, że mogła z powodzeniem udawać chłopca. Znaleźli parę spodni i luźną koszulę na strój dla niej, a na krzywo przycięte włosy założyli farmerską czapkę. Gdyby ktokolwiek ich wypytywał, będą utrzymywać, że są braćmi, zmierzającymi na pobliski targ, by w imieniu ojca dokonać zakupu owiec. Ruszyli wprost pod słońce, trzymając się wąskich ścieżek i co jakiś czas kryjąc się w lesie, by uniknąć kontaktu z ludźmi. Pod koniec pierwszego dnia wędrówki Claudette przypomniała sobie starego przyjaciela Jacques'a, który mówił jej po pożarze, że przeniesie się do krewnych zamieszkałych w miasteczku Wersal. Za jej namową zmienili nieco kierunek marszu, by u przyjaciół szukać odpoczynku, jedzenia oraz pomocy w przedostaniu się na Wyspy.

ROZDZIAŁ 35

Paryż, 21 września 1792. Zjawiający się co wieczór krzykacze byli dla rodziny królewskiej jedynym źródłem informacji. Z rzadka trafiała do nich przemycona czyjaś ręką wiadomość, lecz większość materiałów do pisania skonfiskowano. Z ich pokoiów zabrano też tak podstawowe akcesoria jak nożyce krawieckie czy mydło do golenia. Co dziwne, podawano im nadal wyszukane posiłki, serwowane na srebrnych półmiskach, a do picia mieli świetne wina, z których jednak korzystał tylko król.

Dwudziestego pierwszego września krzykacze oznajmili coś, co wydawało się niewiarygodne w roku i tak już pełnym niespotykanych wydarzeń. Nie tylko zdetronizowano króla, ale właśnie całkowicie zniesiono monarchię. By podkreślić wagę owej deklaracji, oficjalnie zrestrukturyzowano kalendarz, czyniąc dzień dwudziestego drugiego września pierwszym dniem nowego roku. Nazwy miesięcy również zmodyfikowano, tak aby odzwierciedlały zachodzące w przyrodzie zmiany. Od dojrzewających owoców powstał *Fructidor*, a od wysokich temperatur - *Thermidor*. Rok Republiki Francuskiej rozpoczął się miesiącem *Vendémiaire*, co oznaczało „dobry rocznik”.

Nowy rok nie rozpoczął się jednak szczęśliwie. Pomędzy frakcjami w Zgromadzeniu wybuchały coraz to nowe niesnaski i kłótnie. Robespierre nabierał wiatru w żagle jako przywódca „Góry”, nowej frakcji, która przejęła klub jakobinów, a swoją nazwę czerpała z faktu, że jej członkowie zajmowali najwyższe ławki w sali obrad Zgromadzenia. Żądali silnego rządu centralnego wyrosłego z perspektywy paryskiej. Przywódcami

ugrupowania byli Robespierre, Danton, Saint-Just oraz zwolennicy Marata i Heberta, znani jako *enrages* - fanatycy. „Góra” głosiła, że republika nie ruszy z miejsca, dopóki jej twórcy na dobre nie pozbędą się panującego wcześniej monarchy.

Grząc ze swego miejsca w Zgromadzeniu, Saint-Just argumentował, że „Ludwik nie stanie przed sądem, bo już został osądzony. Został skazany, bo w przeciwnym razie suwerenność Republiki nie byłaby absolutna”.

Robespierre dodał przekonująco, że Ludwik sam podpisał na siebie wyrok nie tym, co zrobił, lecz tym, kim był.

Zgromadzenia nie trzeba było długo przekonywać. Ludwik XVI pójdzie pod sąd, a sprawiedliwości stanie się zadość.

ROZDZIAŁ 36

Kent, 12 października 1792. Claudette i William pobrali się na szerokich trawnikach Hevington w pogodny, jesienny dzień. W ceremonii udział wzięli proboszcz lokalnej parafii, rodzice Williama, Beatrice, Marguerite, Jolie, pracownicy warsztatu lalkarskiego, a także hrabia Pembroke ze swą kochanką. Giovanna nalegała, by Claudette pozwoliła jej przyszykować suknię ślubną. Była to kreacja z wyjątkowej jakości różowego jedwabiu zdobiona przy rękawach koronką w kolorze kości słoniowej i falbanami z obramówką z pereł. Stroju dopełniał identycznie wykończony, spływający do ziemi welon. Pomagając pannie młodej w ubieraniu się, Włoszka wykrzyknęła:

- Słodka signorino, udało ci się! Osiągnęłaś stan zameżny, ach! - Wywróciła oczami, po czym dodała: - Postarajcie się tylko szybko o dzieci, żeby mój John Frederick miał wreszcie towarzystwo do zabawy.

Nastoletnia Marguerite była zachwycona pobytem w Hevington, a szczególnie jednym z koniuszych Williama. Podczas gdy on przygotowywał konie i powóz na podróż poślubną nowożeńców, ona, zupełnie niezainteresowana jazdą konną czy powożeniem, spijała słowa z jego ust. Na przyjęciu weselnym pojawiła się dopiero wtedy, gdy podawano tort i poncz.

Stół z prezentami uginał się od podarków życzących im szczęścia przyjaciół. Pośrodku znajdowało się tak ogromne pudło, że wreszcie zdjęto je z blatu i postawiono na ziemi. W środku odkryli misternej roboty woskową postać przedstawiającą Claudette rzeźbiącą lalkę. Był to oczywiście nieoczekiwane hojny dar od Marie Grosholtz. Rzeźbiarce udało się

wysłać potajemną wiadomość o zaślubinach do Marii Antoniny, tak że i ona przesłała list z gratulacjami. Wyraziła w nim również żal z powodu cierpienia, jakie Claudette musiała znieść z powodu znajomości z królową. Do listu dołączono perfumowaną koronkową chusteczkę haftowaną we wzór lilii burbońskiej wyszyty złotą nicią. Był to najlepszy podarunek, na jaki monarchini mogła sobie pozwolić w swej ciężkiej sytuacji. Claudette wyznała później Williamowi, że prezent ten był jej największym skarbem pośród wszystkich ślubnych podarków.

Podczas gdy William zabawiał hrabiego i Giovannę, Claudette skorzystała z okazji, by porozmawiać z Béatrice. Czerwone obwódki wokół oczu mówiły wiele o stanie ducha przyjaciółki: ogromnej radości zmieszanej z bólem serca z powodu małżeństwa Claudette, gdyż oznaczało ono konieczność wyprowadzki z kamienicy.

Claudette ucałowała Béatrice w policzek.

- Wszystko będzie dobrze, najdroższa. Proszę, mam dla ciebie prezent ślubny. Przyjmij go.

- Prezent ślubny dla mnie? - Béatrice wyjęła z jej ręki złożony, zapieczętowany papier. Rozłożyła go i jej oczom ukazał się dokument darujący jej dożywotni wynajem kamienicy za kwotę jednego funta rocznie.

Opuchnięte już oczy Béatrice trysnęły nową fontanną łez. Pośród protestów, podziękowań i pociągania nosem zadeklarowała wdzięczność swej „przyjaciółce do grobowej deski”.

Wreszcie, po wielu życzeniach szczęścia, przeciągających się pożegnaniach i napomnieniach, że muszą koniecznie postarać się o całą gromadkę małych Greycliffe'ów, młodych odprowadzono do powozu. Odjeżdżając, słyszeli jeszcze łzawe zapewnienia gorących uczuć i widzieli, jak wszyscy gorliwie machają za nimi chusteczkami.

William i Claudette spędzili trochę czasu, delektując się podróżą wzdłuż wybrzeża Kornwalii. Zachwycali się zapierającym dech w piersiach widokiem fal uderzających o skały, napawali własnym towarzystwem i dziękowali Bogu za świeżo odzyskaną wolność Claudette.

Claudette odzyskała figurę sprzed pobytu w więzieniu, a nawet odrosły jej nieco włosy. Nigdy więcej nie wspominała o Jeanie-Philippe i jego okrucieństwie wobec niej w La Force, a William nie naciskał, by wyjawiała szczegóły owych wydarzeń.

Po dwóch tygodniach pobytu w Kornwalii William chciał wracać do Hevington, by tam kontynuować miesiąc miodowy, ale Claudette nalegała, by pojechali do Londynu. Wrócili więc, by sprawdzić, jak prosperuje sklep, i lalkarka upewniła się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nowożeńcy kupili przestronny, wygodny dom przy Vauxhall Lane i sprzedali wcześniejszą londyńską rezydencję Williama, przeznaczoną niegdyś na rekonwalescencję Lenory. Spędzali wiele czasu na nadzorowaniu remontu wykonywanego w ich nowym domu: wymieniali tapety, wieszali nowe zasłony, przebudowywali kominki w popularnym, georgiańskim stylu i dokonywali przeróżnych drobniejszych napraw.

Od czasu do czasu Claudette odwiedzała sklep, by doglądać transakcji i przekonywać Beatrice, by była bardziej asertywna w zarządzaniu interesem. Widziała też, że umiejętności Marguerite w dziedzinach rzeźbiarstwa i wykonywania projektów rosną w oszałamiającym tempie.

Pewnego dnia, gdy Claudette wczesnym rankiem otworzyła sklep, znalazła wsuniętą pod drzwi kartkę.

Pani Greycliffe!

Jes mi bardzo pszykro, że przez to co zrobiłem zamkli paniom w wienzieniu w Paryżu. Nie chciałem żeby pani miała kłopoty, ale lord Ferszen dał nam z mamom takje ładne mjeszkanie, żebym tylko robił skrytki w lalkach, co szły do krulowej Francji. Potem wysyłał mi paczki, cobymje wsadzał do lalek, ale niepaczy-łem, co w nich jest. Przysiengal, że to nic takjego i że to tylko taki rzart co robi pani i krulowej. Niewidziałem w tym nic złego. Dawał mi nawet 2 szylingi w premii za kaźdom lalkę com mu ją pszygotował. Mama umarła w zeszłym tygodniu, wienc te duże mjeszkanie jusz mi nie potszebne, a pozatym on pszestał mi wysyłać pjeniondze jak pani pojechała do Paryża no a potem pani

była w wienzieniu. Pani, mam nadzieje ze mi wybaczysz moje grzechy i obiecuje już nie kuopotaćpani ani pani rodziny.

Pani oddany sługa Joseph Cummings

Claudette westchnęła ciężko. A więc tak do tego doszło. To, co hrabia Fersen wysyłał królowej, zostało odkryte przez Jeana-Philippea i uznane za zagrożenie dla nowego rządu. Jean-Philippe bez trudu poznał lalki z jej warsztatu. Cóż, zadanie ułatwiał mu znak firmowy wyryty na każdej figurce.

Biedny Joseph, nie musiał uciekać, był przecież jeszcze dzieckiem wplątany w niebezpieczną intrygę. Gdy tylko któryś z pracowników zjawi się w sklepie i przejmie obsługę klientów, ona wyruszy na poszukiwania chłopca, by zaoferować mu z powrotem pracę w roli jej ucznia i pomocnika.

Kilka minut później do sklepu wpadł Roger Hatfield, ledwo łapiąc oddech.

- Panno Claudette! To znaczy, chciałem powiedzieć, pani Greycliffe... a może *lady* Greycliffe? - Podrapał się po kudłatej głowie.

Claudette posłała mu promienny uśmiech.

- Tak między nami, niech zostanie „panna Claudette”, zgoda? Jakie przynosisz wieści?

- Obawiam się, że złe. Pamięta pani małego Josepha Cum-mingsa? Właśnie wyłowili go z rzeki pod mostem Battersea. Wygląda na to, że odebrał sobie życie. Jego matka zmarła w tamtym tygodniu. Pewnie zamroczyło mu to głowę. Biedaczek. Dobry był z niego mały pomocnik.

„Och nie - pomyślała Claudette. - Tylko nie kolejne życie złożone na ołtarzu nienasyconej bestii, Rewolucji”. Starła się powstrzymać pojawiający się przed jej oczami obraz ciała chłopca niesionego przez mętne wody Tamizy.

- Czy ma jeszcze w okolicy jakąś rodzinę? Jeśli tak, musimy im pomóc. I należy mu się przyzwoity pochówek.

Béatrice, dzięki wskazówkom Claudette, była wreszcie w stanie samodzielnie i sprawnie prowadzić sklep, choć nierzadko wzywała córkę na pomoc. Marguerite spędzała sporo czasu, pomagając matce w porządkowaniu spraw administracyjnych, lecz największą jej pasją była praca w warsztacie. Jedynaczka Béatrice już dawno straciła francuski akcent i ze swym lekko zadartym noskiem oraz kasztanowymi puklami okalającymi twarz w modnie ułożonej fryzurze wyglądała jak każda młoda panna pochodząca z szanowanego angielskiego rodu. Gdy nastolatka opanowała już podstawowe czynności związane z zarządzaniem sklepem, Claudette bez trudu przekonała Béatrice, by pozwoliła córce zająć miejsce za ladą, tak by to ona wchodziła w interakcję z klientami. Ujmującym uśmiechem potrafiła oczarować każdego.

Łatwość, z jaką Marguerite nawiązywała kontakty, sprawiała, że dziewczyna знаła zawsze mnóstwo plotek. Większość z nich dotyczyła dynastii Hanowerów: szaleństw króla Jerzego, ekstrawaganckich wydatków księcia kierowanych na fircykowatych przyjaciół i utrzymanki oraz sztywnego wychowania, jakie królowa Szarlotta podawała swoim córkom. Czasami jednak zdarzało się, że zasłyszane wieści dotyczyły innych lal-karzy. Niektórzy klienci zjawiali się w sklepie i napomykali o konkurencyjnych warsztatach, próbując wyłudzić niżkę.

Pewna kobieta zagaiła, że w innym sklepie spotkała się z korzystniejszymi ofertami.

- Jestem przekonana, że u Dunstana i Hegmana dostanę ten towar o wiele taniej. Mają kłopoty z wierzycielami, więc przecenili cały asortyment!

Claudette odpowiedziała ostro:

- Nie ustalamy cen na podstawie niepowodzenia innych, proszę pani. - I odprowadziła damę do drzwi.

Stali klienci ubóstwiali francuską lalkarkę i jeśli podrzucali jakieś nowinki, to tylko po to, by właścicielka sklepu C. Laurent - Modne Lalki była świadoma, że gdzieś właśnie począł działać nowy handlarz lalek czy kukiełek, tym samym wzmacniając konkurencję na rynku.

Jeden rywal w świecie lalkarstwa rzeczywiście nie dawał Claudette spokoju. Byli nim niesławni państwo Pierotti, którzy niegdyś usiłowali ją okraść. Pan Henry Pierotti odziedziczył interes po ojcu, Domenico, który sprowadził rodzinę i przedsiębiorstwo do Londynu z północnych Włoch w 1770 roku. Słyszała już od kilkorga klientów, że rodzina ta również wykonywała lalki z wosku, i to tak świetnej jakości, że zdawało się, iż są obleczone prawdziwą skórą. Czyżby worek elementów, które im przekazała, wystarczył, by nie tylko powielili, ale i udoskonalili jej techniki? Claudette, nie wspominając o niczym Béatrice, założyła kapelusz o bardzo szerokim rondzie i pod jego osłoną udała się do konkurencyjnego sklepu, by ukradkiem zbadać oferowany towar. Lalki rzeczywiście były bardzo realistyczne w dotyku. Jednak ciemny pszczeli wosk, którego używali, sprawiał, że figurki wyglądały na poplamione, a na niektórych pojawiały się nawet smugi. Usatysfakcjonowana przekonaniem, że jej metody przewyższają technikę konkurentów, a ponadto pewna, że stroje jej lalek są o niebo elegantsze, Claudette wróciła do własnego sklepu. Odczuła ulgę, ale miała też świadomość, że musi być czujna i stale otwarta na nowe sposoby pracy i obowiązujące trendy.

ROZDZIAŁ 37

Paryż, grudzień 1792. Król Francji, obecnie po prostu Ludwik Kapet, obywatel francuski, stanął przed Konwentem Narodowym jedenastego grudnia. Konwent składał się ze zgromadzenia konstytucyjnego oraz ustawodawczego i sprawował władzę wykonawczą nad krajem.

Przez trzy godziny Ludwik dzielnie, bez mrugnięcia okiem odpowiadał na pytania oskarżycieli. Nie zdradzał żadnych emocji, z wyjątkiem momentu, kiedy zarzucono mu, że przyczynił się do rozlewu krwi Francuzów.

- O, nie, *sir* - zawołał. - Nie mam na rękach krwi moich pobratymców.

Zalanego łzami Ludwika wyprowadzono z sali. Obronę króla przedstawiono dwudziestego szóstego grudnia. Niewielu adwokatów chciało służyć okrytemu hańbą monarsze, ale w końcu siedemdziesięcioletni obrońca nazwiskiem Malesherbes wraz z młodym prawnikiem o nazwisku Seze odważnie podjęli wyzwanie. Dano im dziesięć dni na przejrzenie dokumentów z żelaznej skrzyni, które Robespierre rozmyślnie pomieszał przed oddaniem w ich ręce, tak aby prawnicy nie mieli zbyt wiele czasu na opracowanie planu. Obrona skupiała się przede wszystkim wokół przepisu, który wnosił, że Konwent nie może sądzić króla, ponieważ nie jest oficjalnie uznanym organem sądowniczym.

Strategia ta nie przyniosła jednak pomyślnych rezultatów, ponieważ „Góra” zdecydowała już, że Ludwik zostanie złożony w ofierze ku czci Rewolucji. Jego los był tematem trwającej dwadzieścia cztery dni debaty. Ci, którzy optowali za deportacją monarchy, byli oburzeni surowością wyroku. Większość

uznała jednak Ludwika Kapet winnym zarzucanych mu czynów. Głosowanie przegrał o włos. Skazano go na śmierć.

Ogłoszony dwudziestego stycznia 1793 roku wyrok przyjął spokojnie. Poprosił o trzy dni, by móc się przygotować, lecz odmówiono mu tej łaski. Zezwolono na wizytę irlandzkiego księdza, opata Edgewortha, oraz na widzenie z rodziną. Z pełną szczerością porozmawiał z żoną, do której nabrał wyjątkowego szacunku podczas wspólnego życia w niedoli. Był świadom, że nie jest jedynym w jej sercu, ale starał się nie przywiązywać do tego wagi.

- To było nieuniknione, *madame*. Zawzięli się, by usunąć z tego kraju najmniejszy nawet ślad monarchii. A czy jest wyraźniejszy symbol monarchii od samego monarchy?

Okrutne byłoby wytykanie Ludwikowi, co mógł osiągnąć, gdyby był mniej upartym, szybciej podejmującym decyzje królem. Poza tym teraz, na swój własny sposób, Maria Antonina żywiła do niego uczucia, jakich nie znała w ich poprzednim, dostatnim życiu.

- Rodzina będzie cię opłakiwać. To najgorszy obrót, jaki mogły przyjąć sprawy dla nas i dla Francji. Och, chyba wisi nad nami klątwa!

- Porzucając wszelkie dworskie konwenanse, rzuciła się mężowi w ramiona.

Ludwik niezręcznie poklepał ją po łopatce.

- Już, już, *madame*, odwagi! Jesteśmy potomkami królewskich dynastii Burbonów i Habsburgów. Musisz przyjąć teraz rolę zarówno matki, jak i ojca, i dopilnować, by pewnego dnia delfin odzyskał tron. Trzeba przywrócić Burbonom świetność, by zmazać krzywdy, których kraj doznał pod moim panowaniem.

Uniosła na niego oczy pełne łez. Przez lata małżeństwa poznała wiele cech Ludwika - jego nieśmiałość, nieprzeciętne zamiłowanie do wszelakich mechanizmów, nieracjonalny upór i ogólny brak bystrości umysłu. Lecz teraz dojrzała coś nowego - niezwykle spokojny w obliczu śmierci. Czy odważy się przyznać, że nigdy nie podejrzewała małżonka o taką odwagę?

- Drogi mężu, wybacz, jeśli cokolwiek złego stało kiedyś między nami. - Złożyła głowę na jego szerokiej piersi.

- Nie myśl o tym. Byłaś zawsze elegancką królową, kimś więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Nigdy nie wywołałaś mego niezadowolenia ani czynem, ani dobozem przyjaciół.

Dzieci zaczynały popłakiwać, obserwując niecodzienną czułość w rozmowie rodziców. Łzy trysnęły z oczu młodego Ludwika Karola, a i *Princesse Royale* nie była w stanie powstrzymać łkania. Maria Antonina wytarła twarz rękami, nie mając już do dyspozycji chusteczek z cieniutkiego płótna obszytego koronką, i zwróciła się do nich obojga:

- Dzieci, przed nami wielka tragedia. Wasz tata zostanie nam odebrany na zawsze. Wróci jednak rano, by jeszcze się z wami pożegnać, prawda *monsieur*⁷. - Zerknęła na Ludwika, zwracając się do niego grzecznościowym tytułem, którego używała przez wszystkie wspólne lata.

- Tak, tak, oczywiście. Zjawię się rankiem. - Dał znak strażnikowi, że jest gotów, i raz jeszcze popatrzył w oczy królowej. - Pamiętaj, żeby czynić wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo naszym dzieciom, a pewnego dnia przywrócić Ludwika Karola na tron. Miejmy nadzieję, że moja osoba zaspokoi apetyt ludu na zemstę. Nie zwrócą się przeciwko tobie, jesteś zaledwie królową. Musisz zachować odwagę i przetrwać. - Podszedł jeszcze do toaletki i wyciągnął coś spod leżącej tam sterty papierów, ubrań i książek.

- Proszę. Pamiętasz ją? Mała *poupée* o rysach twojej najdroższej przyjaciółki *princesse de Lamballe*. Przytul ją do siebie, tak jak wtedy, w tamtą straszną noc. Przyniosła ci wówczas pocieszenie, czyż nie?

Maria Antonina pokiwała głową w milczeniu. To prawda, ale jak to możliwe, że potrzeba pocieszenia nadeszła znów, tak szybko?

- Śpij dobrze, *madame*. Spotkamy się rano.

Lecz nie ujrzeli już Ludwika. Zrezygnował z ostatniego widzenia z rodziną, by oszczędzić jej bólu kolejnego rozstania. W zamian zjadł obfitą kolację, spędził wieczór na modlitwie, przespał noc spokojnie z czystym sumieniem, a wczesnym rankiem dwudziestego pierwszego stycznia przygotował się do wyjścia, jak gdyby zamierzał udzielić audiencji doradcom.

Zawiedziono go na szafot, gdzie z powagą spróbował przemówić do rzeszy zebranych.

- Poddani moi, niewinny żegnam się z życiem... - zaczął, ale na umówiony sygnał dobosze poczęli bić w bębny i jego głos zatonął w gromkich dźwiękach. Chwilę później głowę byłego monarchy uniesiono w górę i rozległ się krzyk:

- Król nie żyje, niech żyje Republika!

Wiwaty dotarły do zamkniętej w Tempie królowej. Co oznaczały one dla pozostałych członków rodziny królewskiej?

Londyn, styczeń 1793. Claudette i William siedzieli pochyleni nad artykułami prasowymi ogłaszającymi śmierć króla i opisującymi wszystkie związane z nią szczegóły. Claudette ścisnęła mocno rękę męża, gdy czytał sprawozdanie z egzekucji. Będąc odwiecznymi rywalami Francuzów, Anglicy nie szczędzili wyrazów oburzenia, jakie rodził w nich fakt, że francuscy obywatele podnieśli rękę na własnego monarchę.

„Times” 25 stycznia 1793

TYRANI REPUBLIKI FRANCUSKIEJ osiągnęli swój krwawy cel diabelskim aktem właściwym dzikim bestiom, nie ludziom. Zamordowali swojego Króla bez cienia sprawiedliwego sądu, więc nie mogą liczyć na przyjazne ani nawet jakiegokolwiek stosunki z cywilizowanymi krajami świata. Spadną na nich gniew i zemsta Europy i w niedługim czasie z triumfatorów zmienią się w najpodlejszych nędzarzy. Słowo „Francuz” uważane będzie za równoznaczne z „dzikiem”, a ich obecności

unikać się będzie jak trucizny, która zabija szczęście i spokój rodzaju ludzkiego. Widocznym jest, że większość Konwentu Narodowego oraz rządu tego w istocie despotycznego kraju stanowią budzący najwyższą odrazę złoczyńcy.

William potrząsnął głową.

- Na dole strony umieszczono komunikat od króla Jerzego, który potępia odebranie życia władającemu monarsze. Francuzi mieli mniej litości dla własnego króla niż dla kulawego konia, którego dobijają, by oszczędzić mu cierpienia. Tylko co teraz poczną? To banda sępów, które lada chwila zaczną dziobać się nawzajem. Nie szanują żadnych praw, obywatelom ucina się głowy za byle błażostkę. To czysta anarchia.

- Ale królowa, Williamie, nieszczęsna królowa. Jaki los ją czeka? Sądzisz, że jest jeszcze dla niej szansa na azyl za granicą?

- Nie wiem. Rewolucjoniści są spragnieni krwi i ich żądzy może nie dać się łatwo zaspokoić. Rozsmakowali się w niej, o czym sama wiesz najlepiej.

Claudette całymi tygodniami nie mogła sobie znaleźć miejsca, rozmyślając nad sposobem, by chociaż trochę ukoić ból Marii Antoniny. Lecz ta dobra kobieta znajdowała się w wirze wydarzeń, nad którym nikt nie miał kontroli. Claudette porzuciła czytanie gazet i zabroniła nawet Williamowi cytować ich fragmenty. Dni jednak nadal spędzała pogrążona w czarnych myślach.

- Ciociu Claudette, wyczerpał nam się zapas gipsu! Nie zamawiałaś więcej? - W oczach Marguerite malował się niepokój, który nękał nieraz i Claudette. Lalkarka nalegała, aby w warsztacie zawsze był zapas materiałów, by nie było ryzyka opóźnień w realizacji zamówień.

- Hm? - Claudette wyjęła z szuflady list od Josepha Cummingsa, schowany głęboko po tym, gdy pierwszy raz go

odczytała. Myślała o bezsensownej śmierci biednego malca. W zeszłym tygodniu na cmentarzu Świętego Jerzego Męczennika wzniesiono mu nagrobek, na którym widniał napis: „JOSEPH CUMMINGS, 1780-1792, UKOCHANY SYN I UCZEŃ”. Claudette kupiła bardzo kosztowny, różowy marmur na tablicę i sama nadzorowała jej wykonanie. Pomyślała, że śmierć to wyczerpujący interes.

- Claudette, słyszysz? W zeszłym miesiącu skończył nam się wosk, a teraz brakuje gipsu. Czy Roger nie zamawia materiałów?

Claudette zmusiła się do powrotu do rzeczywistości.

- Co? O, Marguerite. Nie, twoja mama przejęła od niego składanie zamówień. Sądziła, że lepiej się do tego nadaje.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem, nie widziałam jej jeszcze dzisiejszego ranka. Czy wyszła z domu przed tobą?

- Tak mi się wydawało, ale nie sprawdzałam. Odkąd przejęliśmy twoje mieszkanko, każda z nas ma własną przestrzeń, dla prywatności.

Claudette zostawiła sklep w odpowiedzialnych rękach Rogera i wraz z Marguerite pospieszyły do kamienicy, wciąż zarządzanej przez panią Jenkins. W zajmowanej przez Béatrice części mieszkania panowała cisza. Zajrzały do sypialni i zobaczyły, jak niespokojnie przewraca się w pościeli. Marguerite skoczyła ku niej.

- Mamo, co się dzieje? Jesteś chora?

Claudette powoli zbliżyła się do łóżka i natychmiast stwierdziła, że przyjaciółka w istocie zmaga się z chorobą. Na jej twarzy wykwitły ciemne rumieńce, a ciałem schowanym pod grubym kocem wstrząsały dreszcze.

Béatrice uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- To nic, kochanie. Jestem tylko zmęczona.

- Zmęczona? Mamo, jesteś rozpalona gorączką! Marguerite zwróciła dzikie z rozpaczy spojrzenie na

Claudette.

- Wiedziałaś o tym?

- Absolutnie nie. Twoja matka nigdy na nic się nie skarżyła.

- Oooo - jęknęła z bólu Béatrice, przewracając się na bok.

- Mamusiu, co się dzieje?

- Trochę kłuje mnie w boku. Ale boli mnie tylko wtedy, gdy biore głęboki wdech. To na pewno jakiś skurcz - rzekła, nie mogąc jednak powstrzymać szczykania zębów.

Claudette pognała w dół po schodach.

- Pani Jenkins! Proszę natychmiast wezwać doktora! Pani du Georges ciężko zaniemogła.

Lekarz zjawił się szybko wraz z panią Jenkins deptając mu po piętach. Podczas gdy on badał Béatrice, ona skakała koło niej, poprawiając poduszki i podając wodę. Doktor wyszedł z sypialni po godzinie, ze smutkiem kręcąc głową. Oznajmił diagnozę grobowym tonem: zaawansowane stadium zapalenia opłucnej. Zalecił skrwawianie, najobfitsze, jakie znieś pacjentka. Miała też odpoczywać i pić ciepły napój z ziarna jęczmienia z miodem lub konfiturą porzeczkową. Starannie przestrzegały wszystkich zaleceń medyka, lecz stan chorej nie poprawiał się - było wręcz coraz gorzej.

Claudette wynajęła pielęgniarkę, by siedziała przy Béatrice, podczas gdy sama doglądała sklepu. Nocami Claudette i Marguerite zmieniały się przy łóżku pacjentki. Pewnego razu Claudette zastała opiekunkę przeszukującą rzeczy przyjaciółki i z miejsca ją odprawiła. Kolejna zatrudniona najczęściej zjawiała się rano pijana w sztok. Wreszcie pani Jenkins zaoferowała, że sama zajmie się Béatrice. Robiła to z takim oddaniem, że wkrótce sama przybladła i straciła na wadze, gdyż zamiast troszczyć się o swoje potrzeby, pilnowała, by chorej niczego nie brakowało.

William przysłał prywatnego lekarza rodzinnego, ale werdykt był jeszcze gorszy - brak szans na powrót do zdrowia. Od tamtej chwili Béatrice marniała w oczach. Przesypiała większość dnia, budząc się tylko nękana pragnieniem. Pewnego wieczoru otrząsnęła się jednak ze snu i usiadła na łóżku, bardziej świadoma niż wtedy, gdy odkryto jej chorobę. Wezwała do siebie Claudette i Marguerite.

- Najdroższa Claudette, byłaś mi cudowną przyjaciółką przez te wszystkie lata. Gdy odszedł Alexandre, nie sądziłam, że uda mi się przetrwać, a jednak ty mnie ocaliłaś. - Mocno zacisnęła na ręce lalkarki swoje suche, rozpalone dłonie. Claudette, zażenowana jej słowami, poczęła zaprzeczać.

- Nie, Claudette, wysłuchaj mnie. Jesteś drugą po Marguerite osobą, którą kocham najbardziej na świecie. Umrę spokojna, jeśli będę miała pewność, że się nią zaopiekujesz. Przysięgnij mi, że będziesz traktowała ją jak własne dziecko. Wprowadź ją w świat lalek, tak jak uczyniłaś to ze mną. - Oczy chorej zaszklily się. Chwyliła rękę Claudette z zadziwiającą siłą. - Obiecuj!

- Najmilsza, nie zaprzataj sobie tym myśli. Marguerite jest dla mnie jak córka i zapewnię jej wszystko, o czym tylko mogłabyś dla niej zamarzyć. Zostanie dziedziczką sklepu. - Lalkarka odgarnęła włosy z twarzy przyjaciółki i pocałowała ją w czoło. - A teraz odpoczywaj i dojdź do zdrowia, abyśmy nie musiały już poruszać takich tematów.

Béatrice zamknęła oczy i usnęła. Na jej ustach malował się łagodny uśmiech, a zmarszczki zmartwień wokół oczu wygładziły się. W ciągu następnych dni obudziła się tylko dwukrotnie. Raz, w delirium, prosiła o więcej mydła, by móc skończyć pranie, a potem raz jeszcze, wzywając Alexandre'a. Odeszła we śnie dziesiątego kwietnia 1973 roku.

Béatrice została pochowana w boleśnie piękny dzień tuż przy Josephie Cummingsie. Pastor Daniels mrucał nad grobem, a Claudette mrużyła oczy w słońcu, myśląc, że był to właśnie taki dzień, o którym przyjaciółka trajkotałaby radośnie, komentując ciepło promieni słonecznych, zapach kapryfolium wypełniający powietrze i radość dzieci bawiących się w parkach. Och, jak bardzo będzie jej brakowało tego irytującego szczebiotu. William poczuł, że zadrżała, i przytulił ją do siebie.

Obok niej stała Marguerite, z bólem wpatrując się w przestrzeń i nie dopuszczając do świadomości żadnych dźwięków

ani widoków. Nie pozwalała się dotknąć i prawie nie przyjmowała jedzenia. Nie opuszczała pokoju, który Claudette i William pospiesznie urządzili jej w swoim domu. Pani Jenkins, obecna na pogrzebie wraz z pracownikami warsztatu, pakowała dobytek Béatrice i Marguerite, by można było przewieźć go do nowego domu dziewczyny. Jolie załamywała ręce.

- *Madame*, nie pozwala mi się ubrać, ani nawet rozczesać włosów!

- Dojdzie do siebie. Właśnie straciła ukochaną matkę. Bądź cierpliwa, Jolie.

Marguerite wyszła ze swego pokoju tylko po to, by udać się na pogrzeb. Jej ściągnięta smutkiem twarz pozbawiona była kosmetyków, a ciemne włosy luźno okalały policzki. Włożyła szarą sukienkę, sprawiającą na niej wrażenie worka, szczególnie że dziewczyna bardzo zmizerniała. „Jeszcze kilka dni -myślała Claudette - a będzie trzeba zmusić ją, by zjadła coś pożywnego”.

Claudette próbowała zwrócić uwagę dziewczyny na duchownego, który mówił o nieomyślnej łasce Pana. Nagle dostrzegła jakiś ruch, tuż poza polem widzenia. Odwróciła głowę i ujrzała Nicholasa Ashby'ego stojącego przy kępie rosnących nieopodal drzew. Nie spuszczał wzroku z Marguerite. Co on tu robi? Skąd dowiedział się o śmierci Béatrice? Trąciła dziewczynę lekko i kiwnęła w stronę Nicholasa. Marguerite zmarszczyła brwi i potrząsnęła gniewnie głową, jak gdyby rozdrażniona próbą wtargnięcia w jej ból.

Po pogrzebie William, Claudette i Marguerite wrócili do domu, gdzie udali się na werandę, by posiedzieć w ciepłych promieniach słońca. Claudette namówiła Marguerite, by napiła się herbaty, i we troje snuli wspomnienia o Béatrice. Godzinę później przerwał im lokaj, ogłaszając wizytę niejakiego pana Nicholasa Ashby'ego.

Marguerite zjeżyła się na jego widok. Dołączył do nich przy stole, dodając to, co po zmarłej zostało w jego pamięci. Zwierzył im się ze swej młodzieńczej miłości do Béatrice. Jego

matka rzuciła jakąś sarkastyczną uwagę na temat odejścia tej „przygłupiej służącej”, o czym dowiedziała się od Emily Harrison, która usłyszała wieść od państwa Radleyów, gdzie gosposią była kuzynką w drugiej linii jednego ze służących u Greycliffe'ów.

Gdy wiadomość dotarła do Nicholas, sam wyszukał informacje o pochówku, by móc się zjawić i oddać hołd zmarłej.

- Jesteś nam miłym gościem - rzekł William. Akceptacja ze strony starszego mężczyzny wywołała na policzkach Nicholas a cień rumieńca.

Claudette zauważyła, że rezerwa Marguerite topnieje nieco z każdym wypowiedzianym przez młodzieńca słowem zachwytu nad Béatrice.

- A więc kochałeś się w mojej mamie?

- Cóż, to było wiele lat temu, gdy byłem małym chłopcem. Zawsze potem ciepło ją wspominałem.

Claudette dodała:

- Nicholas od początku był naszym sprzymierzeńcem w domu Ashbych. To on zadbał o to, byś miała lekarstwa, gdy dopadła cię gorączka.

- Doprawdy? Ledwie pamiętam, że w ogóle byłem chora. Z tamtego czasu zachowałem tylko wspomnienie lalek przedstawiających państwa Ashbych, które dałyście mi już w okresie rekonwalescencji. - Zaśmiała się cichutko, na co Claudette posłała Williamowi spojrzenie zabarwione nutką optymizmu.

- Ja także pamiętam te figurki, choć obawiam się, że o wiele bardziej niż na nich skupiałem się wtedy na twojej matce -wyznał Nicholas. - Czy masz je jeszcze?

- Tak! Nasza gospodyni pakuje wszystkie rzeczy... - przez oblicze Marguerite przemknął cień - aby przewieźć je tutaj. Będę dzieliła czas między Londyn a Hevington.

- Może mógłbym przyjść w przyszłym tygodniu, by je zobaczyć? - w jego głosie zabrzmiała nadzieja.

- Dobrze - odparła Marguerite niezobowiązująco, ale zaczęła poprawiać włosy, by ukryć skrepowanie.

Nicholas powrócił dokładnie tydzień później odziany w kamizelkę i wyprasowane w kant spodnie. William i Claudette podglądali z okna na piętrze, jak podaje wodze koniuszemu i zmierza do drzwi.

- Bardzo wystrojony jak na wizytę w celu zabawy lalkami, nieprawdaż? - zaśmiała się Claudette z za zasłony, za którą się skrywała.

- Cóż, przypuszczam, że łatwiej mu pójdzie niż mnie z tobą, uparta ślicznotko! - William chwycił ją w pasie i wtulił nos w jej szyję. Claudette udawała oburzoną.

- Ależ o czym pan mówi, *siń* Zawsze byłam najpotulniejszą z dam.

- Oczywiście - odparł. - Istne wcielenie kobiecej uległości. Nicholas nie zaprzestawał wizyt przez następnych kilka

miesięcy, jasno dając do zrozumienia, jakie są jego uczucia i intencje w stosunku do Marguerite. Jego towarzystwo pomogło dziewczynie wynurzyć się z czarnej otchłani bólu. Wkrótce, gdy mówiła o matce, w jej głosie brzmiała już tylko czułość. Zniknął ton litości i użalania się nad sobą, a w oczach znów zapłonęły wesołe isierki.

ROZDZIAŁ 38

Po śmierci męża Maria Antonina żyła w stanie swoistego zawieszenia. Docierały do niej plotki, że zostanie wygnana lub odesłana do ojczyznej Austrii, ale siedząc w zimnych pokojach Tempie, wiedziała, że prawda jest jedna. Nigdy nie opuści Paryża i nigdy nie wyjdzie na wolność.

Trzeciego lipca, mimo że z całych sił protestowała, odebrano jej syna. Strażnicy wyjaśnili jej, że potrzebował własnej przestrzeni, gdzie mógłby być szkolony na mężczyznę, zamiast przesiadywać w tłumie głupich bab. Lecz noc za nocą, gdzieś z odległych części fortecy, dobiegał ją płacz dziecka. Nikt nie chciał jej udzielić informacji na jego temat. Lała więc łzy tęsknoty za swym utraconym krajem, mężem i synem. Od czasu nieudanej próby ucieczki z Francji nie widziała się też z Axe-lem. Miała nadzieję, że nie będzie wbrew rozsądkowi próbował się z nią zobaczyć, gdyż widziała, jak jej przyjaciele tracą życie w koszmarnych okolicznościach. Może wrócił na stałe do Szwecji. Jego bezpieczeństwo stało się dla niej ważniejsze niż własne.

Włosy pokryła jej biel, ale i tak poza *Princesse Royale, madame Elisabeth* i kilkoma nieuprzejmymi strażnikami nie było przy niej nikogo, kto zwróciłby na to uwagę. Dni płynęły jej na wbijaniu pustego wzroku w otoczone murem podwórze pod oknem.

Maria Antonina wiedziała, że wytoczenie jej procesu było tylko kwestią czasu. Wynik będzie znany z góry, podobnie jak w przypadku wyroku na jej męża.

Nieuniknione nadeszło drugiego sierpnia. Przedstawiciele Zgromadzenia zjawili się, by zaprowadzić ją do trzeciego z kolei domu, w którym przyszło jej mieszkać przez ostatnie cztery lata - do Conciergerie, kobiecego więzienia na wyspie Cité. Tam miała oczekiwać wyroku, podczas gdy jej córka i *madame* Elisabeth pozostawały w Tempie.

- O co jestem oskarżana? - spytała wiodących ją strażników. Na chwilę zbudził się w niej dawny, waleczny duch, lecz zgasł tak szybko jak płomień zapalki.

- Zdrada. Spowodowanie braku żywności. Nieprzyzwoite stosunki z kobietami. Wybierz sama, wdowo Kapet. - Taki przydomek nadano jej po śmierci Ludwika i również tym razem go zlekceważyła, tak jak zrzucała z siebie wszystkie obelgi i oszczerstwa, którymi ją obsypywano.

Bez słowa sprzeciwu pozwoliła się przewieźć do więzienia i ani jedna skarga nie padła z jej ust, nawet gdy zaprowadzili ją do najgorszej celi. Pomieszczenie znajdowało się w lochach i miało jedno maleńkie, brudne okno umieszczone tak wysoko, że nie dało się przez nie wyjrzeć. Wpadało przez nie do środka jedynie nikłe światło. W ciasnej przestrzeni upchnięto siennik, niewielki stolik do pisania i krzesło oraz parawan do przebierania się. Królowa złożyła za nim jedyną walizkę z osobistym dobytkiem, jaką pozwolono jej zabrać. Przysłano jej również służącą nazwiskiem Rosalie Lamorlière, która od razu poczuła sympatię i przywiązanie do smutnej, lecz uroczej, straconej z tronu królowej.

- Dziękuję, moja droga - rzekła Maria Antonina z wdzięcznością, gdy Rosalie pierwszy raz zjawiała się w celi - ale, jak widzisz, warunki, w których mieszkam, nie wymagają pomocnicy.

Jednak Rosalie chciała jej służyć i nadaremno namawiała królową, by przełknęła choć kęs ciepłej strawy, w większości odrzucanej przez więźniarkę. Starła się też chronić godność królowej, zasłaniając ją przed oczami ciekawskich. Za niewielką opłatą strażnicy wpuszczali do więzienia ludzi, którzy przychodzili pooglądać Marię Antoninę zza krat, jak gdyby była

zwierzęciem w klatce. W dodatku niektórzy traktowali dosłownie polecenie, by „nie spuszczać oka z wdowy Kapet”, przez co nie miała nawet chwili prywatności, by przebrać bieliznę, jako że parawan nie zapewniał jej w dostatecznym stopniu. Jej uprzejme prośby o parę minut samotności wzbudzały tylko drwiny.

Dopiero noc przynosiła chwilę wytchnienia. Nie było gapiów, Rosalie wracała do domu rodziców, a strażnik na warcie na ogół zasypiał.

Królowa westchnęła, siadając przy kiwającym się, niemalowanym stole, którego blat dzierżył nacięcia i wyżłobienia wykonywane przez lata rękami sfrustrowanych więźniów, ryjących w drewnie swe imiona czy słowa gorzkości. Dostawała jedną łożową świecę dziennie i cieszyła się światłem, rozpakowując papier do pisania i nurzając pióro w atramencie, by pisać listy do rodziny i przyjaciół, którzy jeszcze jej pozostali. Oparta o stół, wiernie towarzyszyła jej Lalka de Lamballe, niosąc pocieszenie od chwili uwięzienia rodziny królewskiej w Tuileries. Już dwukrotnie figurka omal nie zaginęła, lecz na szczęście królowa jej nie straciła. Lalka, akcesoria do pisania, jedna zmiana ubrania i kilka pamiątek to było wszystko, co Marii Antoninie udało się spakować i przywieźć z sobą do Conciergerie. Któregoś razu Rosalie spytała o lalkę.

- *Madame*, dlaczego ma pani za towarzyszkę tę małą *poupée* ?

- Bez powodu, jak sądzę. Pozwala mi zachować w pamięci to, co było i zniknęło bezpowrotnie.

Młodziutka dziewczyna, nieświadoma, przez co przeszła monarchini, wyglądała na nieco zdziwioną, ale nie pytała już o nic. Zdała sobie jednak sprawę, że lalka jest dla królowej świętością i dbała o to, by strażnicy nie zwrócili na nią uwagi. Mogliby ją uznać za narzędzie wywrotowe i odebrać ją właścicielce. Maria Antonina co noc wyjmowała lalkę z kufra i opierała ją o stół lub tuliła do piersi, leżąc na niewygodnym pościeli. Każdego ranka, gdy nikłe światło próbowało wdrzeć się

do celi, królowa chowała swój skarb, nim pojawiali się strażnicy i ciekawscy gapie, zadający psychiczne tortury zdetronizowanej monarchini.

Paryż, 15 grudnia 1973

Najdroższa Claudette!

Tak mi przykro z powodu choroby i odejścia Twojej bliskiej przyjaciółki. Utrata kogoś, kogo darzymy uczuciem, zawsze napawa nas żalem. Miała córkę, prawda? Pewnie to już dojrzała kobieta.

Od czasu mego ostatniego listu do Ciebie Francja pogrążyła się w stanie, który określić mogę jedynie jako terror. Odnoszę wrażenie, że jest to wręcz celem nowo powołanego rządu. Ostatni rok był tak koszmarne, że posądzisz mnie pewnie o postradanie zmysłów, gdy Ci o nim opowiem.

Rodzinę królewską przeniesiono do Tempie, fortecy w pobliżu pałacu Tuileries. Królowa nie cierpiała tego budynku, jego potężnych murów i zaokrąglonych wieżyczek, a jednak stał się on domem dla niej i wtrąconej tam wraz z nią rodziny.

O tym, że uroczą princesse de Lamballe została stracona, a może powinnam rzec: brutalnie zamordowana przez tłum, na pewno wiesz, gdyż obie przebywałyście wówczas w La Force. Nie wiesz natomiast, że ten sam tłum przyniósł mi jej głowę, abym ją przystroiła. Sprzeciwiłam się, protestowałam, ale zagrozili, że odbiorą mi życie, jeśli nie umyję jej i nie uczeszę. Kazano mi również wykonać woskowy odlew jej głowy. Było to nieporównanie gorsze niż podobna sytuacja z naczelnikiem Bastylji. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że co chwilę upuszczałam narzędzia. Z całych sił starałam się opanować nawracające mdłości. Nie miałam pojęcia, że zaniósą princesse do Tempie. Gdybym była świadoma ich planu, wołałabym chyba zginąć z ich rąk, niż przyczynić się do cierpienia nieszczęsnej królowej. Ale nie ma to już znaczenia.

Na pewno dotarły do Ciebie wieści o skazaniu króla za zdradę wobec narodu Francji. Bardziej absurdalnych zarzutów nie

można było wymyślić, gdyż Ludwik XVI dbał tylko o swój lud, choć może nie był zbyt skuteczny w okazywaniu swego zaangażowania. Poszedł na ścięcie z determinacją i opanowaniem. Można było mieć nadzieję, że na tym skończy się szaleństwo i rozlew krwi, ale nie.

Naszą serdeczną przyjaciółkę, królową, również czekał proces. Odbył się czternastego października. Oskarżyli ją o najohydniejsze czyny, w tym nieprzyzwoite stosunki z kobietami i, co najgorsze, z jej własnym synem. Stała przed nimi skamieniała z przerażenia i dobrą chwilę zajęło, nim odzyskała głos, by odpowiedzieć na stawiane jej zarzuty.

„Natura drży, będąc świadkiem takiego oskarżenia stawianego matce. Apeluję do wszystkich obecnych tu matek!”

Nawet serca przybyłych do sądu przekupek, dotąd tak zażartych w toczonych przeciw królowej bojach, wypełniło współczucie. Co za horda bezdusznych bestii, by zarzucać jej kazirodztwo.

Reszta procesu, trwającego z jedną krótką przerwą do dwudziestej trzeciej pierwszego dnia i cały dzień następny, nie przyniosła nic. Dzielna królowa stanowczo zaprzeczała wszystkiemu, o co ją oskarżano, a oni, oczywiście, niczego nie mogli poprzeć dowodem.

Przepymano ją o wszystko - od próby ucieczki z Tuileries, po tożsamość osób, których pukle włosów przywiozła z sobą w małych paczuszkach do Conciergerie. Należały do jej męża i dzieci. To wszystko było żalosną próbą zniesławienia niewinnej matki i żony, którą i tak dostatecznie już poniżono.

Cały proces był ohydą farsą, gdyż - jak dowiedzieliśmy się później - ten potwór Hébert jeszcze zanim rozprawa się zaczęła, wydał rozkaz: „Muszę mieć głowę Antoniny”.

Świtem szesnastego października ogłoszono ją winną przeróżnych zbrodni przeciwko narodowi i skazano na śmierć. Pewnie czytałaś już w angielskich gazetach o tym, z jakim spokojem przyjęła werdykt i jak dzielnie zachowywała się przed gilotyną. Nadal leję łzy nad niesprawiedliwością, jaka spotkała tę biedną kobietę.

Teraz Konwent działa bezkarnie. Jeśli na podstawie lichych - lub żadnych! - dowodów można przeprowadzić egzekucję monarchy, to jakie szanse ma przeciętny człowiek, który chciałby im się przeciwstawić? Kochana, doświadczyłaś jedynie preludium do ich szaleństwa. Ludzi stadami prowadzą teraz na szafot za zbrodnie popełnione lub zmyślone. Co czeka Francję?

Jako oddzielną przesyłkę przekazuję Ci Lalkę de Lamballe, którą wykonałaś dla królowej. Poprosiła swą więzienną pomocnicę, by zaniosiła lalkę wraz z listem do Princesse Royale, aby przechowała figurkę w bezpiecznym miejscu. Lalka była jednym z kilku przedmiotów, które Maria Antonina zabrała z sobą do lochów. Princesse przyszła do mnie, ale powiedziałam jej, że moim zdaniem Ty jesteś teraz prawowitą właścicielką lalki. Proszę, dbaj o nią i darz uczuciem jako pamiątkę po naszej tragicznie zmarłej przyjaciółce i królowej.

Twoja przyjaciółka na wieki Marie Grosholtz

Kilka dni później Claudette otrzymała wspomnianą w liście paczkę. Suknia lalki była w nieładzie, poplamiona w kilku miejscach i pęknięta wzdłuż szwu. Brylantowe kolczyki i inne wartościowe ozdoby zdarto z niej w pośpiechu. Brakowało jednego trzewika, a włosy wymagały uczesania, lecz Claudette była w stanie naprawić większość wyrządzonych szkód.

„Mała Józefino, jakież historie mogłabyś mi opowiedzieć o swojej pani?”

ROZDZIAŁ 39

Londyn, październik 1794. Marguerite towarzyszyła Claudette w wyprawach po materiały na lalki. Claudette cieszyły entuzjazm i werwa dziewczyny oraz jej talent w doborze barw. Córka Béatrice miała też bezpośrednią, towarzyską naturę, której zawsze brakowało jej matce. Szybko nauczyła się, jak oczarować sprzedawców i negocjować najlepsze ceny. Oni z kolei uwielbiali jej charyzmatyczną osobowość i często brali ją za siostrę Claudette.

Lalkarka stopniowo skupiała się na projektowaniu lalek jedynie dla wybranej grupy klientów, pozwalając Marguerite zająć się większością sprzedaży. Roger był ich zaufanym człowiekiem w sklepie i to on nadzorował dzień pracy w warsztacie.

Nikt nie zdziwił się, gdy Nicholas poprosił Marguerite o rękę, zwróciwszy się najpierw o pozwolenie do Williama i otrzymawszy je z całego serca. Nikt, z wyjątkiem Maude Ashby, której wściekłość dotarła aż do Hevington. Wysłała do Claudette list z żądaniem spotkania. Claudette uprzejmie zaprosiła ją na podwieczorek do Hevington.

Gdy Maude weszła do środka, mimowolnie zachwyciła się pięknem i elegancją wnętrza. Nie zapominając jednak o misji, z którą przybyła, zasiadła w bawialni i rozpoczęła rozmowę.

- Jak z pewnością zdajesz sobie sprawę, Claudette...

- *Lady Greycliffe*. Król nadał Williamowi tytuł barona. Pani Ashby krew uderzyła do głowy.

- *Lady Greycliffe* zatem. Znalazłam się w s z a l e n i e kłopotliwej sytuacji. Pan Ashby i ja cieszymy się oczywiście, że Nicholas chce poślubić podopieczną tak zacnego dżentelmena, jakim jest William Greycliffe. Historia jej matki sugeruje

jednak, że może nie być odpowiednią kandydatką dla naszego syna. W dodatku dziewczyna zamieszana jest w tak proste rzemiosło. To, jak również fakt, iż William, to jest lord Greycliffe, ożenił się, cóż, szczerze mówiąc, poniżej swej klasy, już wywołało skandal, którym żyje całe towarzystwo. Na usta Claudette powoli wypłynął uśmiech.

- Pani Ashby, jedyną kwestią, jaką obecnie roztrząsa towarzystwo, to niezwykła uroda przyszłej panny młodej. Z największą radością powitamy Nicholasa w naszej rodzinie, pomimo jędry, jaką ma za matkę. Oczekujemy, że i państwo z otwartymi ramionami przyjmą Marguerite. Oczywiście z przyjemnością będziemy widywać uroczą parę na wszystkich przyjęciach w naszym domu, ale skoro państwo są tak niezadowoleni z planowanego małżeństwa, postaram się pamiętać, by nie wpisywać was na listy gości, aby nie urazić waszej wrażliwości. - Wstała na znak, że rozmowa dobiegła końca. Gorączkowe kalkulacje czynione w tej chwili w głowie pani Ashby były widoczne jak na dłoni.

- Cóż, chwileczkę, nie sądziłam... - wykrztusiła Maude. - Nie myślałam o... Nigdy bym nie odmówiła... *Lady Greycliffe*, z całym przekonaniem pan Ashby i ja bylibyśmy zaszczytzeni, uczestnicząc w którymkolwiek z państwa świetnych wieczorków.

- Nie wątpię. Miłego dnia, pani Ashby - rzuciła Claudette, wychodząc z pokoju i zostawiając gospodyni przyjemność odprowadzenia gościa do drzwi. Tego wieczoru wraz z Williamem wysłali wiadomość do Nicholasa, oferując, by do dnia ślubu korzystał z ich domu przy Vauxhall, na co skwapliwie przystał.

Marguerite poświęcała wiele czasu i energii, by nauczyć się wszystkiego, czego mogła o lalkarstwie. Roger pokazał jej różne gatunki drewna i poinstruował, jaką siłę przykładac przy struganiu, dopasowując ją do stopnia miękkości drewna i głębokości planowanego wyżłobienia.

Claudette szkoliła ją w wykonywaniu form do odlewów, po czym pokazywała, jak wlewać do nich wosk o właściwej

temperaturze, a następnie jak wyczuć odpowiedni moment, kiedy masa już zastygnie, by rozłączyć foremki i wyjąć z nich żądany kształt. Praca z woskiem stanowiła dla Marguerite największe wyzwanie, ale dziewczyna była niezachwiana w dążeniu do osiągnięcia perfekcji i w tej dziedzinie.

Razem z Agnes, krawcową, nauczyły dziewczynę wykonywania strojów. Claudette oddała jej cały swój zasób szkiców, by mogła zaglądać do nich w przyszłości, a Agnes wyćwiczyła ją w wyszywaniu miniaturowych wzorów. Tu nauka szła błyskawicznie, gdyż już Béatrice uczyniła z córki mistrzynią igły.

Wkrótce Claudette i Marguerite pracowały ramię w ramię w sklepie i warsztacie, projektując nowe *grandes Pandores*. Często zostawały razem, pracując do późnych godzin nocnych nad zamówieniem dla członka londyńskiej elity.

Z czasem Claudette coraz mniej czasu spędzała na pracy. Były chwile, kiedy czuła się wręcz niepotrzebna, tak znakomicie prowadzony był interes. Zdarzyło się raz, że odwiedziła sklep, a Marguerite podniosła głowę i powitała ją słowami:

- Och, ciociu Claudette, nie spodziewałam się, że dziś wpadniesz. Gdybym wiedziała, zostawiłabym ci coś do zrobienia, bo obawiam się, że teraz nie ma nic.

Claudette z żalem pokręciła głową. Od dawna chciała uwolnić się od codziennego obsługiwania sklepu, lecz z drugiej strony tęskniła za dreszczem, który przechodził ją zawsze w chwili, gdy podnosiła świeżo ukończone dzieło, a jego odbiorca wydawał okrzyk zachwytu. „Jakże zmienia się nasze życie - myślała. - Los wiedzie nas ścieżkami, których istnienia nigdy nie przewidzimy”.

ROZDZIAŁ 40

Wrzesień, 1795. Marguerite udała się na wyprawę po zakupy, chcąc nabyć dla siebie kilka strojów, a Claudette z zapalem wróciła na kilka dni do sklepu. Któregoś razu, pod wieczór, zamknęła drzwi za ostatnim klientem i zasunęła rygiel, biorąc głęboki wdech. Chwilę wcześniej dwie starsze panie, majątne i wymagające, tak bardzo zadzierały nosa, że Claudette omal nie puściły nerwy. Były niezadowolone ze wszystkich modeli, jakie im przedstawiła. Nie pomogły też szkice ze sklepowego portfolio. Damy były siostrami, a ich cioteczna prawnuczka, mała Bonnie, Betty czy jakkolwiek brzmiało imię nieszczęsnego dziecka, miała koniecznie otrzymać „najładniejszą, najelegantszą, a mówiąc szczerze, kochana, najdroższą lalkę” w prezencie na jedenaste urodziny. Kręcąc głową na samo wspomnienie uciążliwych klientek, Claudette kończyła porządkować sklep.

Wtem, gdy chowała rysunki, które wyjęła, próbując zadowolić stare ciotki, usłyszała drapanie do drzwi, a potem głośny łomot. Była sama w sklepie, więc zawahała się przez chwilę, ale potem zdecydowanym krokiem podeszła do okna przy drzwiach. Ujrzała skuloną, starszą, bezdomną kobietę. Miała długie, skołtunione włosy w kolorze matowego brązu, przetykane siwizną. Była ubrana w suknię, która w czasach swej świetności olśniewała delikatnością jedwabiu, lecz teraz przerażała dziurami, plamami i rozmiarem zbyt obszernym dla wychudłej postaci. Kobieta trzęsła się pod brudnym szalem, lecz próbowała wstać. Wysięk okazał się zbyt wielki i padła z powrotem na ziemię.

Claudette odsunęła zasuwę i ostrożnie uchyliła drzwi. Kobieta powoli podniosła na nią wzrok i dziewczyna napotkała puste spojrzenie niemal ślepych oczu.

- Claudette, czy to ty? - wyszeptała zjawą, drżąc na całym ciele. Lalkarka pochyliła się, by pomóc jej wstać. Nieznajoma nie ważyła prawie nic. Claudette wprowadziła ją do wnętrza sklepu i posadziła wygodnie na krześle. Pospiesznie zaparzyła herbaty i postawiła ją, wraz z biszkoptami, przed schorowanym gościem. Delikatnie uniosła filiżankę do ust kobiety i włożyła jej do ręki jedzenie. Przez krótką chwilę wygłodniała jadła i piła łączywie, lecz potem odepchnęła rękę Claudette.

- Nie, proszę, wystarczy. Muszę z tobą po... po... porozmawiać - wykrztusiła.

Spojrzała lalkarce prosto w oczy i przywołała na twarz znajomy, lekko krzywy uśmiech, ukazujący przy okazji gnijące zęby i zaognione dziąsła. Poniżej dolnej wargi widniała rana, na której zaschła ropa i krew. Nagle Claudette cofnęła się o krok, uświadamiając sobie, kto stoi przed nią w skórze wyniszczonej, starej kobiety. Lizabut.

- Kochałam go, Claudette, miłowałam szczerze. Ale wszystko na nic. On nigdy nie darzył mnie uczuciem, teraz to wiem.

Poznałam Jeana-Philippea w czasie jednej z moich podróży do ciotki, zanim zmarła. Po raz pierwszy ujrzałam go, gdy przemawiał w Ogrodzie Luksemburskim. Był inny niż wszyscy: pełen pasji i wiary w swoje przekonania, namiętny w miłości, niezwykle przystojny. Zresztą, sama to wszystko wiesz. Przysięgam, z początku nie miałam pojęcia, że to twój narzeczony z dzieciństwa. A kiedy zorientowaliśmy się, że łączy nas znajomość z tobą, było już za późno. Zawładnął moją duszą. Ja dysponowałam majątkiem ciotki i mogłam wspierać jego idee, a on przekonywał mnie, że dążenia rewolucjonistów są prawe i sprawiedliwe, że czas monarchii dobiegł kresu. Mówił, że potrzebuje mojej pomocy. Pomocy? Byłam gotowa osobiście poderżnąć gardło królowej, gdyby tylko mnie o to poprosił.

Mieszkaliśmy u niego. Właściciel krzywił się na widok nieślubnej pary, ale czym miałam się przejmować? Kochałam go

bardzo i byłam przekonana, że w nowym rządzie otrzyma wysokie stanowisko. Zrobiłabym wszystko, wszystko, by osiągnąć swój cel.

Jean-Philippe stał się zaufanym powiernikiem Robespierrea. Wierzył w każde jego słowo o pojęciu Cnoty i o eliminacji monarchii za pomocą krwi i płomieni. Mnie samą porwała ta wizja. Gdy Jean-Philippe opowiedział mi, że próbujesz wspierać Ludwika i Marię Antoninę w ucieczce z kraju, bez wahania przyjął to za prawdę.

Elizabeth przerwała swą opowieść, by przetrzeć brudną twarz jeszcze brudniejszym rękawem. Claudette podała jej chusteczkę, lecz kurz i pył na twarzy kobiety rozmazały się tylko. Lizabut podjęła dalej swą historię, mnąc chustkę w palcach.

- Och, Claudette, co ze mnie za przyjaciółka! Jak mogłam choć przez chwilę przypuszczać, że zaangażowałabyś się w spisek! A nawet jeśli byś to uczyniła, jak bliska musiałam być obłędu, skoro dopuściłam, nie, pomogłam w aresztowaniu i wtrąceniu cię do więzienia?

A to właśnie zrobiłam. Dostarczyłam ci sfabrykowany przez Jeana-Philippea list z zaproszeniem od królowej. Cieszyłam się wówczas, że spotyka cię kara. Wstyd mi za to, Claudette, uwierz mi. Nie mogę o tym myśleć, bo cierpię męki poczucia winy wywołujące migreny, od których tracę wzrok.

Lizabut podniosła zaplątaną w supły chusteczkę i wydmuchała nos, co z kolei spowodowało atak kaszlu. Szarpiący nią kaszel otworzył ranę pod wargą, z której, gdy mówiła, sączyła się ohydna ciecz.

- Spotkałam się z Jeanem-Philippeem w naszym mieszkaniu tuż po tym, gdy trafiłaś do lochów La Force. Był tej nocy rozpalony jak nigdy. Nigdy wcześniej nie widziałam, by był tak żarliwie przekonany do swych racji. Sądziłam, że nasz związek staje się coraz mocniejszy i bardziej namiętny. Nigdy nie wiązałam jego pasji z ukrytą obsesją na twoim punkcie. -Krople krwi i ropy kapały jej na kolana. - Jean-Philippe urósł w oczach Robespierrea. Wkrótce przywódca począł zlecać mu zadania szpiegowskie polegające na wykrywaniu wrogów

ludu. Jean-Philippe dysponował własną armią zaufanych ludzi, którzy wykonywali jego rozkazy. Pozycja, którą miał niegdyś na dworze, dała mu bogatą wiedzę na temat ludzi: kto się czym zajmuje i kto sympatyzuje z królową. Wieczorami pokazywał mi swoje tajne listy nazwisk i mogłam być pewna, że te same nazwiska ujrzę za parę dni w gazecie w kolumnie podającej dane skazańców. Robespierre bezustannie chwalił sumienną pracę Jeana-Philippea w demaskowaniu zdrajców, a ja wierzyłam, że mój kochanek będzie u boku przywódcy, gdy ten przejmie władzę nad rządem. Nocami Jean-Philippe szeptał mi do ucha, jak wysoko postawioną damą będę jako jego partnerka. Nigdy nie wspominał o małżeństwie, co jakoś przeoczyłam, zaślepiona miłością do niego. Do głowy by mi nie przyszło, że może nie chceć się ze mną żenić. Nie zdawałam sobie sprawy, że próbuje odegrać się na tobie poprzez moją osobę.

Wszystko poszło nie tak. Obsesja Robespierre'a na punkcie idei Cnoty pogłębiła się i zaczął eliminować wszystkich, którzy stawali mu na drodze. Przeciwnicy uknuli więc spisek, wskutek którego Robespierre i jego zwolennicy zostali oficjalnie potępieni w czasie obrad Zgromadzenia. Jakiś nieznany deputowany zażądał nawet aresztu dla Robespierre'a.

Wraz z kresem jego potęgi nadszedł koniec Jeana-Philippea. Aresztowano ich w lipcu zeszłego roku, gdy Robespierre przebywał w domu burmistrza po jednym ze swych płomiennych przemówień przed członkami Kongresu. Schwytano wtedy całą grupę osób, w tym znanego anioła śmierci Saint-Justa. Osadzono ich w Tuileries. Gdy zorientowałam się, co się stało i następnego ranka pognałam na miejsce, było już za późno. Obu zawleczono już na szafot. Biegłam najszybciej, jak potrafiłam, i dotarłam pod gilotynę akurat w chwili, gdy mego ukochanego kładli na platformie. Próbował jeszcze wstać, przemówić do zgromadzonych, ale jego głos utonął w ryku tłumu. Nie zależało im na nim. Chcieli oglądać Robespierre'a. Jeana-Philippea szarpnęli i rzucili pod to przekłete, piekielne ostrze. Nigdy nie zapomnę dźwięku,

który wydało, sunąc przez wyżłobione w drewnie rowki, dosięgając swego celu. Przypomina to odgłos wozu ciągniętego z hurgotem przez konie, gdy koła skrzypią i piszczą w proteście, a wreszcie wóz staje z głośnym „łup”. I nagle okazuje się, że głowa twego ukochanego jest oddzielona od reszty ciała, że krew tryska wszędzie, a tłum cieszy się, nie, tłum się tym delectuje. Oni wiwatowali, Claudette, widząc, jak toczy się jego głowa.

Lizabut szlochała głośno. Claudette przebiegła przez myśl ponura wizja jest własnej egzekucji, której cudem uniknęła. Zadrzała.

- Ciało Jeana-Philippea cisnęli na bok, a na szafot powiedli Robespierrea. Wiedziałaś o tym, że nie sprzątają wcale przed straceniem kolejnego skazanego? Kładą mu głowę w to samo śmierdzące, zakrwawione zagłębienie, które zajmował ktoś inny kilka minut wcześniej. Robespierre miał opatrunek na szczęce i wrzeszczał wniebogłosy. Ktoś powiedział mi później, że postrzelono go w twarz, ale nie jestem pewna, czy trafili go strażnicy, czy zranił się sam. Ostrze gilotyny było dla niego równie bezlitosne jak dla mojego Jeana-Philippea ledwie chwilę wcześniej. I jego zwłoki rzucono na bok, bo nie byli ostatnimi przeznaczonymi do stracenia tego dnia. Widzowie skoczyli naprzód z wyciągniętymi chusteczkami, by nasączyć je krwią Robespierrea kapiącą z platformy. Ja upomniałam się potem o ciało Jeana-Philippea i zorganizowałam mu pochówek. Jakieś zbiry wywlokły jego głowę za wóz, dla zabawy. Nie mogłam na to patrzeć, więc zapłaciłam grabarzowi, by ją odzyskał i pogrzebał wraz z ciałem.

Nie sądziłam, że może być jeszcze gorzej, ale mam na sumieniu poważne grzechy i zdaję sobie sprawę, że muszę za nie zapłacić własnym cierpieniem. Wróciłam do naszego mieszkania oplakiwać ukochanego. Siedziałam tak, dzień za dniem, przy zaciągniętych zasłonach, by żaden promień światła czy życia nie wdarł się do środka. Wreszcie zdecydowałam, że czas opuścić Paryż, zostawić za sobą cały związany z nim etap życia i wrócić do Anglii.

Możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie - ciągnęła Lizabut, mrużąc oczy z bólu - gdy pośród jego rzeczy znalazłam sporą lalkę z odłamaną głową. W jej korpusie odkryłam medalion zawierający twoje zdjęcie, kilka starych listów pisanych twoją ręką, a także pudełeczko z pierścionkiem. Miał oczko z wielkiego szmaragdu otoczonego perłami. - Zaśmiała się głucho. - Szmaragd, zieleń, kolor ludu. Symbol tego, czego oczekiwał od przyszłości. Ten pierścionek przeznaczony był dla c i e b i e, Claudette, nie dla mnie. To nigdy nie miałam być ja. Te wszystkie opowieści o tym, jak będę stała u jego boku, gdy rewolucjoniści dojdą do władzy, były tylko znakiem, że dostrzegał moje uczucia. Byłaś zawsze obecna, zawsze przy nim. Jak sądzisz, jak często myślał o tobie, Claudette, swej jedynej prawdziwej miłości, która go odtrąciła? Zamknął cię w więzieniu, cały czas zapewniając mnie, jak głęboką darzy cię nienawiścią za to, że służyysz królowej zamiast obywatelom. Jak on mógł zmrużyć oko, podczas gdy ty gniłaś w lochach La Force? A ja? Cóż za wspaniała przyjaciółka ze mnie. Kłamliwa, zdradziecka oszustka. Claudette przerwała jej.

- Lizabut, proszę, to już przeszłość, skończyła się, minęła i nie ma dla mnie znaczenia. Nie...

Elizabeth zdawała się nie słyszeć słów sprzeciwu.

- Porzuciłam Paryż i wróciłam do Londynu, gdzie poczęłam odpowiadać za swe grzechy z naddatkiem. Jako że cały majątek oddałam Jeanowi-Philippe'owi, byłam niemal bez grosza. Wmieszałam się w interesy Simona Briggsa. Pamiętasz go, prawda? Tak, zostałam prostytutką. Najpierw umieścił mnie w jednym z najlepszych domów publicznych w mieście, ale nie podobałam się klientom. Byłam atrakcyjna, ale za dużo pyskowałam i nie zgadzałam się wykonywać nic zbyt perwersyjnego. Właścicielka wkrótce mnie wyrzuciła, a Briggs musiał mnie przenieść do dzielnicy zamieszkiwanej przez niższe klasy. Tu klienci nie mieli skrupułów, by uderzyć mnie w twarz, jeśli powiedziałam coś innego niż „ależ z ciebie przystojniaczek” czy „trzy funty, proszę”. Straciłam urodę. Osiwiałam

w ciągu jednej nocy, zaraz potem zepsuły mi się zęby i jestem więcej niż pewna, że złapałam syfilis. Uciekłam w picie, bo tylko tak mogłam zapomnieć o swym nędznym losie. Simon odmawiał mi ubrań, gdyż zarabiałam mniej niż pozostałe dziewczęta, i w końcu została mi tylko ta jedna suknia na grzbiecie. -Uniosła rąbek sukienki. - To była kiedyś piękna kreacja, nawet jeśli podarował mi ją klient, którego żona nie chciała w niej już chodzić.

Gdy doszło do tego, że nie byłam w stanie skusić więcej niż kilku klientów tygodniowo, i to w porcie, gdzie nie są zbyt wybredni, Simon zaciągnął mnie do swojej kwatery. Tam mnie wykorzystał, a potem pobił, niemal pozbawiając życia. Na koniec wypchnął mnie przez okno. Do dziś mam szkło w skórze rąk i nóg, a warga nie zagoiła mi się wcale, gdyż wdała się infekcja. Modliłam się do Boga, by pozwolił mi tam dokonać żywota, ale najwyraźniej miał dla mnie inne plany. To wtedy olśniło mnie, że powinnam odnaleźć cię i prosić o wybaczenie.

Przez kilka dni tułałam się po mieście, głodna i oszołomiona brakiem trunku. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jest twój sklep. Wreszcie trafiłam do zakonu. Przygarnęły mnie zakonnice i próbowałam wydobrzeć. Na nic jednak zdały się wszelkie starania, jestem już zbyt poważnie chora. Odeszłam stamtąd i dziś odszukałam twój sklep. - Lizabut wyciągnęła rozpaloną gorączką rękę i z całej mocy chwyciła dłoń lalkar-ki. - Claudette, Claudette, błagam, wybac mi. Wybac, że byłam taka samolubna i nielojalna. - Jej oczy, choć prawie niewidome, nabrały dawnego blasku.

Claudette pogłaskała trzymającą ją rękę swoją wolną dłonią.

- Lizabut, wszystko dobrze. Wybaczam ci. Proszę, nie martw się tym więcej. Musimy zająć się doprowadzeniem cię do porządku. - Poprowadziła Elizabeth przez warsztat do niewielkiego pokoiku urządzonego na tyłach dla pracowników, w razie gdyby chcieli przenocować na miejscu. Okryła przyjaciółkę kocem i rzekła:

- Nie musimy już wracać do tego tematu. Obiecuj, że od jutra będziesz się starała wyzdrowieć. Rano wezwę lekarza.

Lizabut powiodła po niej niewidzącym spojrzeniem i próbowała chwycić jej suknię. Wreszcie udało jej się i trzymając przyjaciółkę blisko, wyszeptała:

- Już za późno. Za późno. Moje uczynki są niewybaczalne. Muszę odpłacić za nie życiem. Proszę - sięgnęła w zakamarki sukni i wyjęła małe zawiniątko, które następnie wcisnęła w dłoń Claudette - to dla ciebie. Moja ofiara za odkupienie grzechów.

Claudette odłożyła paczuszkę na szafkę nocną i nachyliła się nad Lizabut, by wytrzeć jej twarz wilgotną szmatką.

- Elizabeth, śpij już. Rano zobaczysz świat w innych barwach, a gdy wyzdrowiejesz, udamy się na zakupy i sprawimy ci dziesięć nowych sukienek i atlasowe pantofelki pod kolor. -Siedziała przy łóżku, trzymając Lizabut za rękę, dopóki jej oddech się nie wyrównał. Nie wstając, sięgnęła po paczuszkę.

W środku znajdował się medalion i szmaragdowy pierścień.

Następnego ranka, Claudette zajrzała do bystrej niegdyś i przebojowej przyjaciółki. Lizabut nie żyła.

EPILOG

Hevington stało się domem kwitnącej rodziny. W roku 1797 urodził się Edward, rok później przyszła na świat Rebecca, a po niej, na przełomie wieków - Elizabeth, którą przezywano czule Drobinką. William i Claudette kłócili się bardzo rzadko, ale właśnie imię córeczki było przyczyną jednego z ich sporów. Claudette upierała się, by uczcić pamięć Lizabut, nazywając dziewczynkę jej imieniem, a William równie zawzięcie twierdził, że właśnie ze względu na fałszywą przyjaciółkę nie można tak ochrzcić dziecka. Drobinka szybko podbiła jednak serce taty, nie przejawiając żadnej z wad imienniczki.

Marguerite i Nicholas pobrali się i wynajmowali londyńską rezydencję Greycliffe'ów, dopóki nie odłożyli kwoty wystarczającej na kupno własnego domu. Marguerite z radością przyjęła wierną i stałą naturę Nicholasa, odwzajemniając mu się miłym i radosnym usposobieniem. Nawet obcy ludzie na ulicy nie mogli się nadziwić, jak oddani sobie są młodzi państwo Ashby, spacerujący zawsze pod rękę. Maude Ashby, pokonana w walce o najwyższy szczebel społeczny, uznała wreszcie ich małżeństwo, a nawet pomogła im nieco w urządzaniu nowego domu.

Marguerite stopniowo przejęła codzienną obsługę sklepu. Niekiedy można było zobaczyć ją wraz z Claudette, jak siedzą w bawialni Hevington lub londyńskiej rezydencji Greycliffe'ów z głowami pochylonymi nad nowym wzorem lalki lub kufrem pełnym najnowszych tkanin prosto z Paryża, farbowanych na dzikie barwy. Mimo że Claudette Greycliffe była zachwycona rolą żony i matki, to jednak zawsze przechodził ją dreszcz emocji, gdy w progu stawała Marguerite z rulonem szkieców pod pachą.

Idąc za radą Claudette, Marguerite poszerzyła asortyment sklepu o domki dla lalek i związane z nimi akcesoria. Aby interes rozwijał się lepiej, Claudette sprzedawała kamienicę, zakupioną niegdyś od pani Jenkins, którą zdrowie i tak zmusiło do przeprowadzki i zamieszkania u krewnych w łagodnym klimacie Brighton.

Sprzedaż domków dla lalek łączyła się z wykonywaniem całych lalkowych rodzin, by miał kto zamieszkać w małych budyneczkach. Każdy członek małej rodziny wykonany był z drewna i miał ruchome kończyny, podobnie jak duże lalki. Majętne damy, które zamawiały takie zestawy, prosiły, by komplety odzwierciedlały ich własne rodziny. Zakup jednego domku przynosił sklepowi lalkarskiemu C. Laurent - Modne Lalki sporo korzyści, gdyż w ślad za sprzedażą domu szła produkcja miniaturowych mebelków, dywanów, srebrnych naczyń, bielizny pościelowej i oczywiście samych laleczek.

Jack Smythe, któremu sprytu nie ubywało, mądrze zainwestował większość pieniędzy zarobionych dzięki współpracy z Claudette i jej warsztatem. Gdy zbierał wystarczającą sumkę, opuścił dom Ashbych w środku nocy i otworzył własną gospodę. Ożenił się z dziewczyną z Northumberland i wspólnie prowadzili gospodę oraz dołączony do niej niewielki zajazd. Dobrze im się wiodło. Doczekali się też sześciu uroczych łobuzów.

Marie Grosholtz pozostała bliską przyjaciółką Claudette, choć utrzymywała z nią głównie kontakt listowy. Wyszła za mąż za François Tussaуда w roku 1795, po krótkim pobycie w więzieniu jako „gość” francuskich rewolucjonistów. Urodziła dwóch synów, Josepha i Francisa. Z tonu jej listów wynikało, że nie była szczęśliwa w małżeństwie. Nie przerwała jednak swej pracy nad rzeźbą w wosku i w 1802 roku stworzyła nawet wędrowne widowisko, dzięki któremu jej figury podróżowały po całej Anglii, Irlandii i Szkocji. Marie z zapalem i rozbawieniem opisywała, jak ludzie z wyższych sfer z otwartymi ustami podziwiali jej dzieła.

Pewnego razu William i Claudette wybrali się do Londynu na objazdową wystawę figur woskowych Madame Tussaud, która akurat dotarła do stolicy. Byli zafascynowani postaciami o naturalnych rozmiarach, wyglądających zupełnie jak żywe. Największe zdumienie budziła kobieta leżąca na sofie, odpoczywająca z rękami założonymi na czole. Przyjrzawszy się bliżej, spostrzegli, że kobieta zdaje się oddychać! Claudette wydała okrzyk: „O rety!”, i Marie roześmiała się swoim bystrym, ostrym głosem, zupełnie jak ptaszek.

- Podoba ci się? To *madame* du Barry, ulubienica króla Ludwika XV. Może w prawdziwym świecie straciła życie pod ostrzem gilotyny, och, wybacz, kochana!, ale w świecie wosku żyje nadal.

Marie zaproponowała, że wykona z wosku postać Claudette i dołączy ją do specjalnej kolekcji przygotowywanej na temat Rewolucji. Wykonała już pośmiertne maski Ludwika XVI, Marii Antoniny, Jeana-Paula Marata i Robespierrea. Lalkarka grzecznie odmówiła. Wspomnienia związane z tamtym okresem nękały ją tak bardzo, że nie miała ochoty na figurę, która przypominałaby jej o owym koszmarze, a na dodatek wystawiana byłaby w przedstawieniu ku uciesze ludzi.

Nie mieli kontaktu z nikim związanym z okresem Rewolucji, z wyjątkiem Rogera Wickhama, strażnika z La Force, który pomógł Williamowi ocalić Claudette. Na znak szacunku dla swego dobrodzieja Roger i jego żona Simone, którzy osiedli w Kent w pobliżu miasteczka Sittingbourne, co roku na Boże Narodzenie podsyłali Greycliffem beczułki najlepszej śmietany.

Claudette trzymała Lalkę de Lamballe w Hevington, w pokoju, w którym przyjęła oświadczenia Williama. Zleciła wykonanie specjalnej gabloty, by chronić figurkę przed szkodliwym działaniem światła i kurzu. Nieczęsto zaglądała do owego pokoju.

Życie Claudette zmieniło się w niekończące się pasmo radosnych, pogodnych chwil. Tylko czasem, gdy siedziała samotnie w altanie w Hevington, z książką lub haftem w rękach,

pozwalala, by nawiedzały ją wspomnienia Jeana-Philippea, La Force i nieszczęsnej królowej Marii Antoniny. Sztywniała wtedy cała, przeżywając na nowo czas śmierci i destrukcji. Na szczęście złe myśli ulatniały się w mgnieniu oka, gdy tylko zjawiało się któreś z jej dzieci, by pokazać mamie, jakiej ciekawej nowej sztuczki nauczył się spaniel, lub gdy William przychodził jej szukać, spragniony pocałunku czy pogładzenia po policzku. Życie osieroconej lalkareczki z Francji znalazło się wreszcie na właściwym torze.

POSŁOWIE

Choć znaczną większość bohaterów powieści stworzyłam sama, to jednak na jej stronach pojawiają się również postaci autentyczne. Starłam się, by ich obecność w książce była wiarygodna i zgodna z kontekstem wydarzeń historycznych. Jednak z tego, co wiem, nigdy nie zaplanowano spisku polegającego na wsparciu ucieczki Ludwika XVI i Marii Antoniny z wykorzystaniem lalek!

Marie Grosholtz, bardziej znana jako Madame Tussaud, była protegowaną doktora Philippea Curtiusa specjalizującego się w modelowaniu wosku w celu wykonywania modeli anatomicznych. Praca z woskiem doprowadziła go do sztuki portretu, która okazała się o wiele intratniejsza niż jego poprzednie zajęcia. Doktor Curtius zapoznawał Marie z technikami rzeźby w wosku od najmłodszych lat. Doszła do takiej perfekcji w swym rzemiośle, że wkrótce wykonywała woskowe figury przedstawiające wielkich ludzi epoki, takich jak pisarz Wolter czy amerykański mąż stanu Benjamin Franklin. W tamtych czasach figury woskowe funkcjonowały w pewnym sensie jak dzisiejsze kino czy telewizja - ludzie znali nazwiska sławnych osób, ale nie wiedzieli, jak te osoby wyglądają, więc byli gotowi słono zapłacić, by ujrzeć z bliska ich postacie. To doktor Curtius wpadł na pomysł wystawy objazdowej.

Nie upłynęło wiele czasu i umiejętności Marie zwróciły uwagę siostry Ludwika XVI *madame* Elisabeth, wskutek czego Marie została zaproszona do pracy w Wersalu - miała dbać o edukację artystyczną *madame* Elisabeth. Marie spędziła na dworze dziewięć lat i wykonała w tym czasie figury przedstawiające członków rodziny królewskiej.

Prawdą jest, że Marie zmuszono do zajęcia się nadzianą na pikę głową *princesse de Lamballe*, jak również to, że musiała wykonać maski pośmiertne Ludwika XVI i Marii Antoniny. Była autorką pośmiertnych masek także innych osobistości: Robespierre'a, Jeana-Paula Marata czy naczelnika Bastylji Bernarda de Launay. Jak wiele innych osób Marie spędziła pewien czas w więzieniu podczas Rewolucji. Uwolniono ją tuż przed planowaną egzekucją. Doktor Curtius zmarł wkrótce po ustaniu zamieszek i Marie przejęła wystawę, którą wspólnie stworzyli. Po wyjściu za mąż za François Tussaуда objeżdżała Wielką Brytanię ze swym przedstawieniem przez trzydzieści lat, aż wreszcie osiadła z nim w jednym miejscu - gdzie woskowe figury pozostają do dziś. Pośmiertne maski króla Ludwika XVI, królowej Marii Antoniny i Robespierre'a można oglądać na wystawie w muzeum Madame Tussaud przy Marylebone Road w Londynie. Najstarsze dzieło w kolekcji to „żywa” postać Jeanne du Barry, ulubionej kochanicy Ludwika XV. Jest doprawdy warta podróży do Londynu!

Hrabia Axel Fersen był rzeczywiście wyjątkowym przyjacielem Marii Antoniny. Czy byli kochankami? Wielu historyków twierdzi, że tak, ale nie jestem pewna, czy charakter królowej pozwoliłby jej na zaangażowanie się w potajemny romans. Była świadoma powagi swojej pozycji jako matki następcy tronu. Trzeba jednak dopuścić możliwość, że do romansu doszło. Istnieją listy wskazujące na to, że związek Fersena z królową miał również aspekt cielesny. Hrabia odbył podróż do Anglii w czasie zgodnym z jego książkową wyprawą i rzeczywiście był podziwiany przez eleganckich Anglików, zyskując sobie miano „Obrazka”, gdyż był piękny jak malowanie. W roku 1810, siedemnaście lat po śmierci Marii Antoniny, Fersen zginął z rąk szwedzkiego tłumy został rozszarpany na kawałki przez wściekły motłoch. Wzbudził gniew podczas konduktu żałobnego Christiana, niedoszłego następcy tronu Danii. Tłum podpuszczono, by uwierzył, że to Fersen otrął Christiana.

Hrabia zginął więc śmiercią, którą sam często przewidywał dla Marii Antoniny.

Princesse de Lamballe była jedną z najbliższych przyjaciółek królowej. Z całą pewnością nie była jej kochanką, mimo podejmowanych przez surowych krytyków dworu prób wmawiania takiej wersji ludowi. Uważam ją za jedną z najtragiczniejszych postaci tamtych czasów, gdyż rzeczywiście była wcieleniem niewinności, a jej oddanie królowi i królowej było niepodważalne. Los, który spotkał ją w więzieniu La Force, opisałam w książce. W dniu jej śmierci masakr dokonano w niejednym paryskim więzieniu. Nie licząc zabitych w Wersalu i Reims, w tym dniu zginęło około tysiąca trzystu więźniów i więźniarek.

Marie-Jeanne Rose Bertin była główną krawcową Marii Antoniny i stała się pierwszą we Francji słynną projektantką mody. Będąc pod hojnym patronatem królowej, Bertin mogła żądać majątku za swoje kreacje. Zaprojektowane i wykonane przez nią suknie oraz nakrycia głowy kosztowały przeszło dwadzieścia razy tyle, ile w tamtych czasach wynosiła roczna pensja sprawnego robotnika. W okresie Rewolucji Francuskiej wielu z jej klientów wyemigrowało, więc i ona przeniosła swój interes do Londynu. Po latach wróciła do Francji, a jej klientką została Józefina de Beauharnais, żona Napoleona Bonaparte, lecz popyt na wyszukane stroje w stylu *ancien régime* nie był już tak duży. Bertin zmarła w roku 1813.

W przeciwieństwie do wielu, którzy w Rewolucji dopatrywali się szansy na osobisty zysk, Maximilien de Robespierre święcie wierzył w głoszone przez siebie idee. Na wprowadzenie Terroru patrzył bezosobowo, widząc w nim metodę osiągnięcia Cnoty. Paradoksalnie, sam doświadczył losu, na który skazał tak wielu. Został zawleczony na szafot w lipcu 1794 roku, w stanie upojenia alkoholowego i w dotkliwym bólu spowodowanym raną postrzałową w szczękę, którą sam sobie zadał. To on jest autorem prawa głoszącego, że „każdy, kto uzurpuje sobie prawo do rządzenia krajem, zostanie natychmiast pozbawiony życia przez

ludzi wolnych". Powołując się na to właśnie prawo, obcięto mu głowę.

Przywódca kordelierów Jean-Paul Marat był jadowitym dziennikarzem, wykorzystującym swój dziennik, „L'Ami du Peuple” do kierowania ognia nienawiści tam, gdzie uznawał, że ktoś posiada zbyt wielką władzę - nieważne, czy byli to rojaliści, żyrondyści czy jeszcze inne ugrupowanie. Został zasztyletowany w lipcu 1793 roku przez Charlotte Corday, zagorzałą sympatyczkę żyrondyistów.

Ślusarz François Gamain, naczelnik de Launay, *madame de Tourzel* wraz z córką Pauline, Jeanne de la Motte, kardynał Rohan, jubilerzy Boehmer i Bassenge, a także lalkarz Pierotti to również postaci autentyczne. John Sackville, trzeci książę Dorset, jego utrzymanka Giovanna Baccelli i jej opiekun Henry Herbert, dziesiąty hrabia Pembroke, wznieśli ogromny skandal w Kent na przełomie wieków.

Propozycję użycia gilotyny jako narzędzia egzekucji po raz pierwszy wysunął doktor Joseph-Ignace Guillotin. Był lekarzem i humanistą, mierzył go widok wulgarnych egzekucji ulicznych. Zaproponował, by opracowano jednolitą, humanitarną metodę karania wszystkich skazanych na śmierć więźniów. Nowe urządzenie chwalono za to, że „szybko i przyzwoicie” radzi sobie z ofiarami. Zaczęto je stosować dopiero po roku 1792 i na cześć pomysłodawcy nazywano *madame guillotine*. Szacuje się, że w okresie Terroru zginęło blisko czterdzieści tysięcy ludzi - siedemnaście tysięcy po procesach sądowych, dwanaście bez jakiegokolwiek sądu. Gilotyny używano we Francji do roku 1981, kiedy to rząd zniósł karę śmierci.

Terror wypalił się po śmierci Robespierrea. Gwardia Narodowa objęła władzę nad Kongresem i bez trudu stłumiła wybuchłe wiosną 1795 roku zamieszki. Nakreślono plan nowej konstytucji, która oddawała władzę wykonawczą w ręce pięciu osób. Jeszcze zanim dokument ujrzał światło dzienne, na Tuileries maszerowali już rojaliści, buntując się przeciwko nowej konstytucji. Wreszcie wkroczyła regularna armia, by

zapewnić ludziom bezpieczeństwo, a jej przywódcą uczyniono młodego Korsykańczyka Napoleona Bonaparte. Sprawnie poradził sobie z ugaszeniem rebelii, co wypchnęło go na scenę świata. Nowy rozdział w historii Francji i Anglii miał się niebawem rozpocząć.